



Eleanor to wyjątkowo niekonwencjonalna
postać literacka: zabawna, wzruszająca
i nieprzewidywalna.

JOJO MOYES

Eleanor Oliphant

ma się całkiem dobrze

GAIL HONEYMAN

Gail Honeyman

**Eleanor Oliphant ma się
całkiem dobrze**

Tłumaczenie:
Magdalena Słysz

Mojej rodzinie

...Samotności nieodłącznie towarzyszy intensywne pragnienie, aby z niej wyjść; nie można tego dokonać siłą woli ani po prostu poprzez częstsze wychodzenie z domu, ale tylko poprzez budowanie bliskich relacji z innymi. Łatwo powiedzieć, zwłaszcza jeśli chodzi o ludzi, którzy są samotni w wyniku straty, wykluczenia czy też uprzedzeń, i mają powody, żeby się bać albo nie ufać, choć bardzo pragną towarzystwa.

...Im bardziej ktoś staje się samotny, tym mniej umie poruszać się w społeczeństwie. Samotność obrasta go jak pleśń czy mech, profilaktyczna osłona chroniąca przed kontaktem, choćby najbardziej upragnionym. Samotność się nasila, powiększa, wydłuża. Kiedy się umocni, trudno się z niej wyzwolić.

Olivia Laing, *The Lonely City*

Dobre dni

1

Kiedy ktoś mnie pyta, czym się zajmuję - taksówkarze, asystentki dentystyczne - odpowiadam, że pracuję w biurze. Przez prawie dziewięć lat nikt nie chciał wiedzieć, w jakim biurze ani co tam robię. Nie wiem, czy powodem jest to, że idealnie odpowiadam wyobrażeniu pracownika biurowego, czy to, że kiedy ludzie słyszą określenie „praca w biurze”, sami dopowiadają sobie resztę - kobieta powielająca dokumenty, mężczyzna stukający w klawiaturę. Wcale się nie skarzę. Jestem zadowolona, że nie muszę wdawać się w fascynujące zawiłości księgowania faktur. Gdy mnie tam przyjęto, pytana o zatrudnienie, za każdym razem mówiłam, że pracuję w firmie graficznej, ale wtedy wszyscy zakładali, że jestem pracownikiem kreatywnym. Zaczął mnie nużyć widok ich obojętniejących twarzy, gdy wyjaśniałam, że pracuję na zapleczu, nie używam cienkopisów ani wyrafinowanych programów komputerowych.

Zbliżam się do trzydziestki, a pracuję tam od dwudziestego pierwszego roku życia. Bob, właściciel, przyjął mnie niedługo po otwarciu firmy. Chyba było mu mnie żal. Miałam dyplom filologa klasycznego i żadnego doświadczenia zawodowego, o którym warto by wspomnieć. Przyszłam na rozmowę o pracę z podbitym okiem, kilkoma wybitymi zębami i złamaną ręką. Może wyczuł wtedy, że nie mogę liczyć na nic innego niż słabo płatna praca biurowa, że nie odejdę i oszczędzę mu trudu związanego z koniecznością szukania kogoś nowego. Może

zorientował się także, że nie wezmę urlopu, aby wyjechać w podróż poślubną, ani nie pójdę na macierzyński. Sama nie wiem.

W biurze zdecydowanie panuje system kastowy; kreatywni to gwiazdy filmowe, a reszta - aktorzy drugiego planu. Patrząc na nas, łatwo określić, do której kategorii się zaliczamy. Szczerze mówiąc, ma to po części związek z płacą. Pracownicy biurowi zarabiają żałosne pieniądze, więc nie stać ich na modne fryzury i dziwaczne okulary. Ciuchy, muzyka, gadzety - chociaż projektanci rozpaczliwie chcieliby uchodzić za niezależnych wolnomyślicieli, z uporem maniaka noszą mundurki. Grafika mnie nie interesuje. Jestem urzędniczką w księgowości. Mogłabym wystawiać faktury na cokolwiek: broń, flunitrazepam, orzechy kokosowe.

Chodzę do pracy od poniedziałku do piątku, na wpół do dziewiątej rano. Przysługuje mi godzinna przerwa na lunch. Kiedyś przynosiłam własne kanapki, ale jedzenie w domu ciągle psuło mi się przed zużyciem, więc teraz kupuję coś na mieście. W piątki zawsze wyskakuję do Marks & Spencer, co przyjemnie wieńczy tydzień pracy. Siadam z kanapką w pomieszczeniu socjalnym, czytam gazetę od pierwszej do ostatniej strony, a potem rozwiązuję krzyżówki. Kupuję „Daily Telegraph”, nie dlatego, że szczególnie lubię tę gazetę, ale ponieważ ma najlepsze hasła kalamburowe. Nie rozmawiam z nikim - gdy już kupię „kanapkę dnia”, przeczytam gazetę i rozwiążę obie krzyżówki, godzina na lunch się kończy. Wracam za biurko i pracuję do piątej trzydzieści. Jazda do domu autobusem zajmuje mi pół godziny.

Robię sobie kolację i jem ją, słuchając w radiu *The Archers*. Przeważnie przyrządzam makaron z pesto i sałatę – jeden rondel i jeden talerz. Jako dziecko czułam się jak na kulinarnym rollercoasterze, w tych latach karmiono mnie zarówno przegrzebkami z ręcznego połowu, jak i mrożonym filetem z dorsza. Po wnikliwym rozważeniu politycznych i socjologicznych aspektów żywienia doszłam do wniosku, że jedzenie zupełnie mnie nie interesuje. Lubię to, co jest tanie, łatwe do zdobycia i przetworzenia, a jednocześnie dostarcza potrzebnych do życia składników odżywczych.

Po umyciu naczyń czytam książkę, a czasami oglądam telewizję, jeśli jest w niej coś, co poleca „Telegraph”. W środy zwykle (cóż, zawsze) mniej więcej przez piętnaście minut rozmawiam z mamą przez telefon. Około dziesiątej kładę się do łóżka, przez pół godziny czytam, a potem wyłączam światło. Przeważnie nie mam kłopotów z zasypianiem.

W piątki po pracy nie idę od razu do autobusu; zamiast tego udaję się do Tesco Metro za rogiem i kupuję pizzę margaritę, chianti i dwie duże butelki wódki Glen's. Po powrocie do domu jem pizzę i piję wino. Później strzelam sobie wódkę. W piątki niewiele mi potrzeba, tylko kilka głębszych. Zazwyczaj budzę się na kanapie około trzeciej nad ranem i wlokę się do łóżka. W ciągu weekendu wypijam resztę wódki; rozkładałam to na dwa dni, żeby nie być ani pijana, ani trzeźwa. Do poniedziałku mam dużo czasu.

Mój telefon dzwoni rzadko – kiedy już zadzwoni, aż podskakuję – i zwykle są to ludzie, którzy pytają, czy nie sprzedano mi jakiegoś trefnego ubezpieczenia. Syczę wtedy:

„Wiem, gdzie mieszkasz”, a potem delikatnie, bardzo delikatnie się rozłączam. W moim mieszkaniu od roku nie było nikogo z wyjątkiem fachowców z administracji; nie wpuszczam za próg żadnych ludzkich istot, chyba że chodzi o odczyt stanu licznika. Pewnie pomyślicie, że tak się nie da żyć, prawda? A jednak się da. Przecież żyję, no nie? Chociaż często mam wrażenie, że mnie tu nie ma, że jestem wytworem własnej wyobraźni. Są takie dni, kiedy czuję się tak luźno związana z ziemią, że łączące nas więzy wydają się cienkie jak nitki babiego lata czy waty cukrowej. Mógłby je przerwać silniejszy powiew wiatru i odleciałabym jak puch z dmuchawca.

Te więzy wzmacniają się nieco od poniedziałku do piątku. Ludzie dzwonią do biura w sprawie linii kredytowych, przysyłają e-maile dotyczące umów i wycen. Koledzy, z którymi siedzę w pokoju – Janey, Loretta, Bernadette i Billy – zauważyliby, gdybym się nie zjawiła. Po kilku dniach (często się zastanawiam ilu) zaczęliby się niepokoić, że nie powiadomiłam ich o chorobie – to do mnie takie niepodobne – i wydobyliby z teczki personalnej mój adres. W końcu chyba zadzwoniliby na policję, prawda? Czy policjanci wyważyliby drzwi do mieszkania? Znalazłszy mnie, zasłoniłoby twarze, powstrzymując mdłości od smrodu? Koledzy w biurze mieliby o czym gadać. Nie lubią mnie, ale przecież nie życzą mi śmierci. Tak mi się w każdym razie wydaje.

Wczoraj poszłam do przychodni. Mam wrażenie, że nie byłam tam od wieków. Tym razem trafiłam na młodego lekarza, bladego faceta o rudych włosach. Byłam z tego zadowolona. Im są młodszy, tym lepiej wykształceni, a to

korzystne. Nie znoszę, gdy w rejestracji kierują mnie do starej doktor Wilson; ma około sześćdziesiątki i nie wyobrażam sobie, żeby wiedziała zbyt wiele o najnowszych lekach i najświeższych odkryciach medycznych. Ledwie umie obsługiwać komputer.

Ten młody lekarz, podobnie jak większość z nich, mówił, nie patrząc na pacjenta; czytał moją kartę na ekranie i przewijając ją, uderzał w klawisz z coraz większą zaciętością.

- Co tym razem pani dolega, pani Oliphant?

- Ból w plecach, panie doktorze - odpowiedziałam. - To męka.

Wciąż na mnie nie spojrział.

- Jak długo to trwa? - zapytał.

- Od paru tygodni - odparłam.

Skinął głową.

- Chyba wiem, co go powoduje - podjęłam - ale chciałam zasięgnąć pańskiej opinii.

Przestał czytać i wreszcie na mnie popatrzył.

- A co go według pani powoduje?

- Chyba piersi, panie doktorze.

- Piersi?

- Tak - potwierdziłam. - Zważyłam je. Wazą prawie trzy kilo... to znaczy, razem, nie każda osobno! - Zaśmiałam się. Patrzył na mnie poważnie, bez wesołości. - To duży ciężar do dźwigania, nie sądzi pan? - zagadnęłam. - Gdybym przywiązała panu do piersi trzy kilogramy żywego ciała i kazała z nimi chodzić przez cały dzień, rozbolałyby pana

plecy, no nie?

Przyjrzał mi się, a potem odchrząknął.

- Jak... jak je pani...?

- Na wadze kuchennej - wyjaśniłam, kiwając głową. - Umieściłam na niej jedną. Nie ważyłam obu, założyłam, że każda ma mniej więcej taki sam ciężar. Nie jest to może naukowe podejście, ale...

- Przepiszę pani kolejne leki przeciwbólowe - powiedział, pisząc na komputerze.

- Tylko tym razem silniejsze - rzuciłam stanowczo - i większą ilość. - Próbowali mnie zbyć aspiryną w małych dawkach. Potrzebowałam skuteczniejszych medykamentów. - Czy może pan także przepisać mi tamten środek na egzemę? W okresach stresu czy ekscytacji wyraźnie mi się pogarsza.

Nie zaszczycił mojej uprzejmej prośby odpowiedzią, tylko kiwnął głową. Żadne z nas nie odzywało się do czasu, gdy drukarka wypluła recepty, które mi wręczył. Ponownie spojrział na ekran komputera i wrócił do pisania. Zapadła niezręczna cisza. Jego talenty towarzyskie pozostawiały wiele do życzenia, zwłaszcza że w swoim zawodzie miał kontakt z ludźmi.

- To do widzenia, panie doktorze - powiedziałam w końcu. - Bardzo dziękuję, że poświęcił mi pan czas. - Ale on zupełnie nie zwrócił uwagi na mój ton. Wciąż był zajęty pisaniem. To jedyna wada tych młodych lekarzy; nie mają podejścia do pacjenta.

To było wczoraj rano, w innym życiu. Dzisiaj, później, gdy jechałam do pracy, autobus przemieszczał się sprawnie.

Padało i wszyscy wyglądali żałośnie, skuleni w płaszczech, zaparowując szyby porannymi kwaśnymi oddechami. Codziennosc przeziarała przez krople deszczu na oknie, jej zapach sączył się wśród woni wilgotnych ubrań i przemoczonych butów.

Zawsze szczyliam się tym, że umiem funkcjonować sama. Jestem jedynym ocalałym rozbitkiem - nazywam się Eleanor Oliphant. Nie potrzebuję nikogo - w moim życiu nie ma wielkiej pustki; w puzzlach, jakie ono stanowi, nie brakuje żadnego elementu. Tak przynajmniej zawsze sobie powtarzam. Ale minionego wieczoru znalazłam miłość swojego życia. Kiedy zobaczyłam go wchodzącego na scenę, po prostu wiedziałam. Miał na głowie stylowy kapelusz, ale nie to do mnie przemówiło. Nie - taka płytka nie jestem. Był ubrany w trzyczęściowy garnitur, z odpiętym ostatnim guzikiem przy kamizelce. Prawdziwy dżentelmen zostawia ostatni guzik niezapięty, tak zawsze mówiła mama - to jedna z oznak, których należy szukać, charakteryzująca wyrafinowanego, eleganckiego mężczyznę z odpowiedniej klasy, o odpowiedniej pozycji towarzyskiej. Ta jego piękna twarz, głos... wreszcie ktoś, po tak długim czasie, kogo można ze sporą dozą pewności uznać za „materiał na męża”.

Mama będzie zachwycona - pomyślałam.

2

W pracy panowała wręcz wyczuwalna piątkowa radość, wszyscy zgodnie wmawiali sobie, że weekend będzie wspaniały, a następny tydzień – inny, lepszy. Ci ludzie nigdy się nie nauczą. Jednak dla mnie rzeczywiście coś się zmieniło. Spałam niespokojnie, ale mimo to czułam się dobrze, lepiej, doskonale. Mówią, że kiedy spotka się „tego jedyne go”, to po prostu się wie. Wszystko się zgadzało, nawet to, że los postawił go na mojej drodze w czwartek wieczorem i już nie mogłam doczekać się weekendu, który zapowiadał się obiecująco i niósł wiele nadziei.

Jeden z grafików kończył tego dnia pracę w firmie – jak zwykle mieliśmy go pożegnać tanim winem, drogim piwem i czipsami w miseczkach do płatków śniadaniowych. Liczyłam, że impreza zacznie się wcześniej – że zdążę się na niej pokazać i wyjdę o czasie. Musiałam przecież jeszcze zrobić zakupy przed zamknięciem sklepów. Pchnęłam więc drzwi i zadrżałam pod wpływem klimatyzacji, mimo że miałam na sobie bezrękawnik. Billy brylował. Stał odwrócony do mnie plecami, a pozostali byli zbyt na nim skupieni, aby zauważyć, że wślizgnęłam się do pokoju.

– Jest stuknięta – mówił.

– Wszyscy wiemy, że jest stuknięta – powiedziała Janey. – Nigdy nie było co do tego wątpliwości. Pytanie tylko, co zrobiła tym razem.

Billy prychnął.

- Wygrała dwa bilety na ten głupi koncert i zaproponowała mi, żeby z nią poszedł, macie pojęcie?

Janey się uśmiechnęła.

- Coroczna loteria Boba. W puli darmowe eventy najgorszych klientów. Pierwsza nagroda: dwa darmowe bilety. Druga nagroda: cztery darmowe bilety.

Billy westchnął.

- Właśnie. Totalna żenada... macie pojęcie, czwartkowa impreza charytatywna w pubie, z udziałem pracowników działu promocji naszego największego klienta, do tego różne żalosne występy znajomych i krewnych? I żeby było jeszcze gorzej - z nią?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nie mogłam nie przyznać mu racji; nie była to upojna dekadenccka zabawa w stylu Gatsby'ego.

- W pierwszej części występował taki zespół... Johnnie jakiś tam i Pilgrim Pioneers... który nie był wcale najgorszy - ciągnął. - Grał przeważnie własne kawałki, ale i covery, klasyczne standardy.

- Znam tego gościa... to Johnnie Lomond! - włączyła się Bernadette. - Był na jednym roku z moim bratem. Któregoś razu przyszedł do nas na imprezę, kiedy rodzice wyjechali na Teneryfę... on i kilku kumpli brata. Jeśli dobrze pamiętam, skończyło się na tym, że zatkała się umywalka w łazience...

Odwróciłam się, bo nie chciałam słuchać o jego młodzieńczych wyskokach.

- W każdym razie - podjął znowu Billy; z tego, co zauważyłam, nie lubił, kiedy mu przerywano - jej ten zespół

się zupełnie nie spodobał. Siedziała nieruchomo, ani drgnęła, nie klaskała, nic. Kiedy tylko skończyli grać, oznajmiła, że musi wracać do domu. Nie dotrwała nawet do przerwy i musiałem przez resztę koncertu siedzieć sam jak palec.

- Jaka szkoda, Billy. Wiem, że chciałeś zabrać ją później na drinka, może nawet na tańce - rzuciła Loretta, dźgając go łokciem.

- Bardzo śmieszne, Loretto. Nie, wypadła stamtąd jak pocisk. Zanim zespół skończył program obowiązkowy, na pewno leżała już w łóżku z kubkiem kakao i „Chwilą dla Ciebie”.

- Och, nie sędzę, żeby czytała „Chwilę dla Ciebie” - zauważyła Janey. - Raczej coś bardziej od czapy. „Tygodnik Wędkarza”? „Karawaning dla Każdego”?

- „Koń i Ogar” - oświadczył Billy z przekonaniem. - Ma prenumeratę.

Wszyscy zarechotali.

To mnie nawet rozbawiło.

Nie spodziewałam się, że to stanie się właśnie tamtego wieczoru, zupełnie. Dlatego trafiło mnie jeszcze mocniej. Należę do ludzi, którzy lubią wszystko planować, być przygotowanym. A tu taka niespodzianka; to było jak policzek, cios w brzuch, grom z jasnego nieba.

Zaproponowałam Billy'emu, żeby poszedł ze mną na koncert, głównie dlatego, że był najmłodszy w biurze; pomyślałam, że jeśli komuś spodoba się ta muzyka, to właśnie jemu. Słyszałam, jak inni, myśląc, że wyszłam na lunch, nabijali się z niego. Nie wiedziałam wiele o tym koncercie, nie

słyszałam nic o żadnym z występujących zespołów. Sama szłam z poczucia obowiązku; wygrałam bilety na loterii i wiedziałam, że potem będą pytać mnie w biurze, jak było.

Sączyłam kwaśne białe wino, ciepłe i zalatujące plastikowym kubkiem, w którym je podano. Mieli nas za dzikusów! Billy uparł się, żeby postawić mi drinka, w ramach podziękowania. Wiadomo było, że to nie jest żadna randka. Sama myśl o tym wydawała się śmieszna.

Zgasły światła. Billy nie chciał oglądać występu grupy supportowej, ale ja się uparłam. Nigdy nie wiadomo, czy nie ujrzymy narodzin nowej gwiazdy, nie wiadomo, kto wejdzie na scenę i ją zdobędzie. I jemu się to właśnie udało. Patrzyłam na niego. Bił od niego blask. Wręcz jaśniał. Wydawało się, że wszystko, czego dotknie, ulegnie przemianie. Siedziałam wyprostowana na brzegu krzesła, żeby być bliżej. Znalazłam go. Wreszcie.

Teraz, kiedy los ukazał mi moją przyszłość, musiałam dowiedzieć się o tym człowieku czegoś więcej. Pomyślałam, że zanim zabiorę się do rozliczeń na koniec miesiąca, istnego koszmaru, zajrzę na parę stron w internecie – ze sprzętem elektronicznym – aby sprawdzić, ile kosztuje komputer. Mogłam przyjść w weekend do biura i skorzystać z komputera, ale istniało ryzyko, że ktoś się nawinie i spyta, co robię. Nie to, żebym zamierzała robić coś nielegalnego, ale po prostu wolałabym nie mówić Bobowi, że pracuję w weekendy i wciąż nie mogę zabrać się do wielkiego stosu faktur, które czekają na zaksięgowanie. Poza tym miałam inne zajęcia w domu, choćby wypróbowanie dań, które mogłabym

ugotować na naszą pierwszą wspólną kolację. Mama powiedziała mi przed laty, że mężczyźni przepadają za pasztecikami z mięsem. Jeśli chce się zdobyć serce któregoś z nich, powiedziała, to warto upiec paszteciki: gorące kruche ciasto, dobrej jakości mięso. Od lat nie przyrządzałam niczego oprócz makaronu. Nigdy nie piekłam pasztecików. Choć nie sądzę, żeby to było wyjątkowo trudne. To tylko ciasto i kupne mielone mięso.

Włączyłam komputer i wpisałam hasło, ale rzęch się zawiesił. Uruchomiłam go ponownie, ale tym razem nie pojawiło się nawet pole z hasłem. Wkurzające. Poszłam do Loretty, naszej kierowniczki. Ma zawyżone mniemanie o swoich zdolnościach administracyjnych, a w wolnym czasie wykonuje obrzydliwą biżuterię, którą potem sprzedaje kretynom. Powiedziałam jej, że mój komputer nie działa i że nie mogę się skontaktować z Danym z działu informatycznego.

- Danny odszedł, Eleanor - odparła, nie odrywając wzroku od ekranu swojego komputera. - Na jego miejsce przyszedł nowy. Raymond Gibbons? Zaczął pracę w zeszłym miesiącu? - powiedziała, jakbym powinna była to wiedzieć. Wciąż nie podnosząc głowy, zapisała jego nazwisko i numer wewnętrzny na samoprzylepnej karteczce, którą mi podała.

- Bardzo dziękuję, jak zwykle byłaś niezwykle pomocna, Loretto - rzuciłam. Oczywiście, puściła to mimo uszu.

Zadzwoiłam pod podany numer, ale połączyłam się z automatyczną sekretarką:

- Dzień dobry, tu Raymond, choć jednak nie tu. Jak kot

Schrödingera. Proszę zostawić wiadomość po sygnale. Do usłyszenia.

Z niesmakiem pokręciłam głową, a następnie powiedziałam wolno i wyraźnie:

- Dzień dobry, panie Gibbons. Nazywam się Oliphant, pracuję w księgowości. Mój komputer nie działa i byłabym wdzięczna, gdyby zajrzał pan dziś do niego. Mój numer wewnętrzny to pięć, trzy, pięć. Bardzo panu dziękuję.

Miałam nadzieję, że moja jasna, zwięzła wiadomość stanie się dla niego wzorem. Odczekałam dziesięć minut, sprzątając biurko, ale nie oddzwonił. Po dwóch godzinach papierkowej roboty, wobec braku odzewu ze strony pana Gibbonsa, postanowiłam zrobić sobie przerwę na lunch nieco wcześniej. Przyszło mi do głowy, że powinnam przygotować się na spotkanie ze swoim muzykiem i zadbać o siebie. Tylko czy miałam zacząć od środka, czy od zewnątrz? Ułożyłam w myślach listę zabiegów związanych z wyglądem zewnętrznym, którym musiałam się poddać: włosy (na głowie i całym ciele), paznokcie (u rąk i nóg), brwi, cellulit, zęby, rozstępy... to wszystko wymagało korekty, poprawy, udoskonalenia. W końcu postanowiłam zacząć od zewnątrz - jak to zazwyczaj dzieje się w przyrodzie. Zrzucanie skóry, odrodzenie. Zwierzęta, ptaki i owady potrafią być inspirujące. Gdybym kiedykolwiek miała wątpliwości, jaki obrać kurs, powinnam pomyśleć: „A co zrobiłaby fretka?” albo: „Jak w takiej sytuacji zachowałaby się salamandra?”. I w końcu znalazłabym odpowiedź.

Codziennie w drodze do pracy przechodziłam obok salonu

piękności U Julie. Dopisało mi szczęście, bo okazało się, że ktoś odwołał wizytę. To potrwa z dwadzieścia minut, zajmie się mną Kayla, koszt: czterdzieści pięć funtów. Czterdzieści pięć! Jednak, kiedy Kayla prowadziła mnie do gabinetu na parterze, uznałam, że mój muzyk jest tego wart. Dziewczyna, jak inne kosmetyczki, miała na sobie biały strój przypominający kitel chirurga i białe klapki. Podobał mi się ten pseudomedyczny uniform. Weszliśmy do niekomfortowo małego pomieszczenia, ledwie mieszczącego łóżko, krzesło i boczny stolik.

- A teraz - powiedziała Kayla - niech pani wyskoczy z... - Spojrzała na dolną część mojego ciała. - ...Eee, ze spodni i bielizny, a potem położy się na łóżku. Może pani pozostać goła od pasa w dół albo, jeśli pani woli, wskoczyć w to. - Położyła na łóżku małe zawiniątko. - Niech się pani przykryje ręcznikiem, a ja wyskoczę na chwilę i wrócę za parę minut. W porządku?

Kiwnęłam głową. Nie spodziewałam się, że to będzie wymagało tyle skakania.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, zdjęłam buty i spodnie. Nie wiedziałam, czy mam zostać w skarpetkach. Uznałam, że chyba tak. Zdjęłam majtki i zaczęłam się zastanawiać, co z nimi zrobić. Jakoś nie mogłam się zdobyć, żeby powiesić je na krześle, na widoku, tak jak spodnie, więc złożyłam je starannie i schowałam do torby. Ponieważ czułam się trochę obnażona, wzięłam zawiniątko, które Kayla zostawiła na łóżku, i zajrzałam do środka. Wytrząsnęłam jego zawartość i podniosłam: była to para bardzo małych, bardzo skąpych

czarnych majtek, w fasonie, który w Marks & Spencer nosił nazwę „tanga”, i wykonanych z takiej samej papierowej tkaniny jak torebki herbaty ekspresowej. Włożyłam je i naciągnęłam. Były o wiele za małe i moje ciało wylewało się z nich ze wszystkich stron, z przodu, z tyłu i po bokach.

Łóżko było bardzo wysokie, ale znalazłam plastikowy stopień, dzięki któremu się na nie wspięłam. Położyłam się; było wyłożone czarnymi ręcznikami, z takim samym sztywnym niebieskim papierem na wezgłowie, jakie znajdują się na kozetkach u lekarza. U moich stóp leżał złożony inny czarny ręcznik, więc go pociągnęłam, żeby zakryć się do pasa. Jakież to obrzydliwe plamy miał zamaskować ten kolor? Popatrzyłam w sufit i policzyłam światła punktowe, a potem rozejrzałam się wokoło. Mimo słabego oświetlenia dostrzegłam rysy na jasnych ścianach. Kayla zapukała do drzwi i weszła, cała radosna i pełna energii.

- A więc co dziś robimy? - zapytała.

- Tak jak mówiłam, depilację okolic bikini.

Uśmiechnęła się.

- Tak, wiem, ale jaką?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Zwykłą... woskiem, takim od świecy? - odpowiedziałam.

- W jaki kształt? - rzuciła zwięźle, a potem zauważyła moją minę. - Bo mamy - wyjaśniła cierpliwie, pokazując na palcach - depilację francuską, brazylijską i hollywoodzką.

Zdumiałam się. Powtórzyłam w myśli wymienione przez nią nazwy, odwołując się do tej samej techniki, której używałam przy rozwiązywaniu anagramów w krzyżówkach, i czekając,

aż coś się z nich wyłoni. Francuska, brazylijska, hollywoodzka... Francuska, brazylijska, hollywoodzka...

- Hollywoodzka - zdecydowałam w końcu. - Jak szaleć, to szaleć, w filmowym stylu.

Zignorowała mój komentarz i uniosła przykrywający mnie ręcznik.

- Ojej... - jęknęła. - No dooobrze... - Podeszła do stołu i wysunęła szufladę, a następnie coś z niej wyjęła. - To będzie kosztowało dwa funty więcej, za użycie maszynki do strzyżenia - oświadczyła surowo, wkładając lateksowe rękawiczki.

Maszynka brzęczała, a ja patrzyłam w sufit. To wcale nie bolało! Kiedy skończyła, wielkim grubym pędzlem zmiotła ogolone włosy na podłogę. Poczułam, że ogarnia mnie panika. Kiedy weszłam, nie zwróciłam uwagi na podłogę. A jeśli tak samo robiła przy innych klientach - i teraz ich włosy łonowe znajdowały się na podszwach moich skarpetek w kropki? Na samą myśl poczułam mdłości.

- No, już znacznie lepiej - skomentowała. - Będę się streszczać. Proszę przez co najmniej dwanaście godzin nie używać w tej okolicy perfumowanych mleczek, dobrze? - Poruszyła naczyniem z woskiem, który podgrzewała na bocznym stoliku.

- Nie ma obawy, nie przepadam za takimi smarowidłami, Kayla - odparłam.

Wytrzeszczyła na mnie oczy. Myślałam, że personel w branży kosmetycznej ma podejście do klienta. A ona była równie beznadziejna, jak moi koledzy z pracy.

Odsunęła papierowe majtki na jedną stronę i poprosiła, żebym naciągnęła skórę. Potem drewnianą szpatułką nałożyła na mój wzgórek łonowy ciepły wosk i przycisnęła w tym miejscu pasek materiału. Chwyciwszy jego koniec, oderwała go płynnym szybkim ruchem, tak że z bólu ujrzałam pod powiekami gwiazdy.

- *Morituri te salutant* - szepnęłam, czując, jak od łez pieką mnie oczy. To właśnie mówię w takich sytuacjach i zawsze od razu robi mi się lepiej. Próbowалаm usiąść, ale Kayla delikatnie pchnęła mnie z powrotem na łóżko.

- Obawiam się, że to jeszcze nie koniec - powiedziała raźnie.

Ból to pestka; dla mnie nic nowego. Wycofałam się do białego pokoiku w swojej głowie, tego w kolorze chmur. Pachnie w nim czystą bawełną i młodziutkimi królikami. Powietrze, które go wypełnia, jest barwy najjaśniejszego cukrowo-migdałowego rózu, i słuchać piękną muzykę. Tego dnia było to *Top of the World* The Carpenters. Ten wspaniały głos... taki błogi, pełen miłości. Cudowna, szczęśliwa Karen Carpenter.

Kayla kontynuowała smarowanie i zrywanie. W pewnej chwili poleciła, żebym zgięła kolana i zetknęła pięty. Jak do żabki, zauważyłam, ale zajęta pracą, zupełnie mnie zignorowała. Okazało się, że wyrwała mi włosy tam, na dole, niemal spode mnie. Nie wiedziałam, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Skończywszy, poprosiła, żebym położyła się normalnie, a potem znowu odchyliła mi papierowe majtki. Nałożyła gorący wosk na pozostałe jeszcze włosy i wyrwała je

triumfalnie.

- No - powiedziała. Zdjęła rękawiczki i wierzchem dłoni otarła czoło. - Teraz wygląda o wiele, wiele lepiej!

Podawała mi lusterko, żebym mogła się obejrzeć.

- Ależ ja tam jestem zupełnie łysa! - odparłam ze zgrozą.

- Zgadza się, depilacja hollywoodzka - oświadczyła. - Tak sobie pani życzyła.

Zacisnęłam dłonie w pięści i z niedowierzaniem pokręciłam głową. Przyszłam tam, żeby stać się normalną kobietą, a ona zrobiła ze mnie dziecko.

- Kayla - powiedziałam, nie wierząc, że znalazłam się w takiej sytuacji - facet, którym się interesuję, to normalny dorosły mężczyzna. Miałby ochotę na seks z normalną dorosłą kobietą. Sugerujesz, że to jakiś pedofil? Jak śmiesz!

Popatrzyła na mnie z przerażeniem. Miałam tego dosyć.

- Wyjdź, proszę, żebym mogła się ubrać - rzuciłam, odwracając twarz do ściany.

Wyszła, a ja wstałam z łóżka. Wciągnęłam spodnie, pocieszając się myślą, że zanim dojdzie do mojej pierwszej łóżkowej randki, włosy odrosną. Wychodząc, nie zostawiłam Kayli napiwku.

Po powrocie do pracy zobaczyłam, że mój komputer nadal nie działa. Usiadłam przed nim ostrożnie i ponownie zadzwoniłam do Raymonda z działu informatycznego, ale tak jak wcześniej włączyła się automatyczna sekretarka. Postanowiłam więc pójść na górę i sama go odszukać; sądząc z groteskowego nagrania na sekretarce, był z tych, którzy ignorują dzwoniący telefon i zbijają bąki. Kiedy już odsuwałam

krzesło, podszedł do mnie jakiś facet. Był niewiele wyższy ode mnie. Nosił zielone sportowe buty, rozciągnięte džinsy i T-shirt z leżącym na budzie rysunkowym psem; pod koszulką rysował się niewielki brzuch. Miał włosy jasnoblonde, obcięte krótko, aby ukryć, że się przerzedzają, zwłaszcza nad czołem, oraz jasny nierównomierny zarost. Skóra, zarówno na twarzy, jak i ciele, była bardzo różowa. Przyszło mi do głowy jedno słowo: prosiak.

- Eee... czy pani Oliphant? - zapytał.

- Tak... Eleanor Oliphant... we własnej osobie - odpowiedziałam.

Rzucił się w stronę mojego biurka.

- Jestem Raymond, z działu informatycznego - przedstawił się.

Podaliśmy sobie rękę, którą w końcu, z pewnym wahaniem, uściskał. Kolejne świadectwo godnego pożalowania upadku dobrych manier we współczesnym świecie. Cofnęłam się i ustąpiłam mu miejsca za biurkiem.

- Na czym polega problem? - zapytał, patrząc na ekran mojego komputera.

Wytłumaczyłam mu.

- Dobrze, panie bobrze - odparł i zaczął stukać głośno w klawiaturę.

Wzięłam swój „Telegraph” i oznajmiłam, że będę w pokoju socjalnym; nie było sensu, żebym stała przy nim, gdy będzie naprawiał komputer.

Autorem krzyżówki tego dnia był „Elgar”, którego hasła zawsze były eleganckie i przyjemne dla oka. Właśnie stukałam

długopisem w zęby, zastanawiając się nad dwanaście poziomo, gdy Raymond zajrzał do pokoju i przerwał mi tok myśli. Spojrzał mi przez ramię.

- Krzyżówki, co? - zagadnął. - Nigdy mnie nie interesowały. Za to codziennie mogę grać na komputerze. Na przykład w *Call of Duty*...

- Naprawił pan? - Przerwałam mu tę cczą gadaninę.

- Uhm - odparł z zadowoleniem w głosie. - Miała pani paskudnego wirusa. Wyczyściłem twardego dysk i wgrałem od nowa ochronę. Powinna pani raz w tygodniu skanować cały system. - Musiał zauważyć moją minę. - Chodźmy, pokażę pani. - Ruszyliśmy korytarzem. Pod jego obrzydliwymi butami trzeszczała podłoga. Kaszlnął.

- Więc... długo tu pani pracuje, Eleanor? - zapytał.

- Owszem - odparłam, przyspieszając kroku.

Dogonił mnie, ale był lekko zdyszany.

- Aha. - Odchrząknął. - Ja przyszedłem kilka tygodni temu. Wcześniej pracowałem u Sandersonów. W centrum. Zna ich pani?

- Nie.

Znaleźliśmy się przy moim biurku, więc za nim usiadłam. Facet pochylił się nade mną. Zbyt nisko. Zalaatywało od niego kuchnią i - lekko - papierosami. Nieprzyjemnie. Zaczął mi tłumaczyć, co mam robić, a ja wykonywałam jego polecenia, starając się wszystko zapamiętać. Kiedy skończył, mój dzienny limit zainteresowania sprawami technicznymi był na wyczerpaniu.

- Dziękuję panu za pomoc, Raymondzie - powiedziałam

znacząco.

Wyprostował się i zasalutował. Trudno było jednak wyobrazić sobie kogoś o mniej wojskowej postawie i zachowaniu.

- Drobiazg, Eleanor. Do zobaczenia!

Bardzo wątpię, pomyślałam, otwierając arkusz kalkulacyjny z płatnościami czekającymi na uregulowanie. Informatyk oddalił się dziwnym sprężystym krokiem, zbyt mocno przenosząc ciężar na palce. Zauważyłam, że wielu nieatrakcyjnych facetów tak chodzi. A sportowe buty bynajmniej nie poprawiają wrażenia.

Mój piosenkarz poprzedniego wieczoru miał piękne skórzane broggy. Był wysoki, elegancki i pełen wdzięku. Trudno uwierzyć, że on i Raymond należą do tego samego gatunku. Zaczęłam wiercić się na krześle. Piekło mnie tam na dole i już zaczęło swędzieć. Może powinnam włożyć z powrotem majtki? - pomyślałam.

Impreza pożegnalna zaczęła się około czwartej trzydzieści. Postarałam się gorąco zaklaskać na koniec przemówienia Boba i głośno zawołać: „Brawo, brawo!”, żeby wszyscy mnie zauważyli. Wyszłam o czwartej pięćdziesiąt dziewięć i udałam się do domu towarowego tak szybko, jak tylko pozwalało na to podrażnienie świeżo wydepilowanego łona. Szczęśliwie, dotarłam na miejsce piętnaście po piątej. Biorąc pod uwagę wagę zadania, pomyślałam: „Lepszy wróbel w garści” i od razu skierowałam się do największego sklepu wielobranżowego. Pojechałam windą do działu z urządzeniami elektrycznymi.

Młody mężczyzna w szarej koszuli i lśniącem krawacie patrzył na szereg wielkich ekranów telewizyjnych. Podeszłam do niego i poinformowałam, że chciałabym kupić komputer. Wyraźnie się przestraszył.

- Desktop, laptop, tablet? - zaintonował.

Nie miałam pojęcia, o czym on mówi.

- Nigdy wcześniej nie kupowałam komputera, Liam - wyjaśniłam, przeczytawszy jego imię na plakietce. - Ma pan do czynienia z klientem zupełnie nieobeznany w najnowszej technologii.

Pociągnął kołnierzyk u koszuli, jakby chciał wyzwolić z jego więzów wielkie jabłko Adama. Miał wzrok gazeli albo impali, jednego z tych nijakich zwierząt o wielkich, okrągłych oczach po bokach głowy. Zwierząt, które kończą w paszczy lamparta.

To był kiepski początek.

- Do czego sprzęt ma służyć? - zapytał, unikając kontaktu wzrokowego.

- To nie pańska sprawa - odparłam z oburzeniem.

Wyglądał, jakby miał się rozplakać, więc zrobiło mi się przykro. Był taki młody. Musnęłam jego ramię, choć nie znoszę dotykania.

- Jestem trochę wytrącona z równowagi, bo muszę koniecznie w ten weekend skorzystać z internetu - wytłumaczyłam. Z jego twarzy jednak nie zniknęło zdenerwowanie. - Liam - podjęłam wolno - po prostu chcę kupić komputer, którego mogłabym używać w zaciszu domowym, żeby przeprowadzić poszukiwania w sieci. Niewykluczone, że za jakiś czas będę wysyłać z tego

urządzenia pocztę. To wszystko. Ma pan na składzie coś odpowiedniego?

Chłopak spojrzał w sufit i zamyślił się głęboko.

- Laptop i mobilny dostęp do internetu? - rzucił.

Po co pytał, na litość boską? Kiwnęłam głową i wręczyłam mu swoją kartę debetową.

Kiedy wróciłam do domu, lekko oszołomiona kwotą, którą wydałam, zdałam sobie sprawę, że nie mam nic do jedzenia. Piątek oczywiście był dniem pizzy, ale mój tryb życia, po raz pierwszy od dłuższego czasu, został zaburzony. Przypomniałam sobie, że włożyłam do szuflady ze ściereczkami ulotkę, którą kiedyś wrzucono mi do skrzynki pocztowej. Znalazłam ją bez trudu i rozprostowałam. Na dole widniały kupony zniżkowe, których ważność minęła. Przypuszczałam, że od tego czasu cennik się zmienił, ale założyłam, że numer telefonu pozostał aktualny. Już tamte, dawne ceny były niedorzecznie wysokie i wzbudziły moje rozbawienie. W Tesco Metro pizze kosztowały o połowę mniej.

Postanowiłam jednak zadzwonić. Owszem, to była ekstrawagancja i słabość, ale dlaczego nie? W życiu powinno się próbować nowego, przekraczać granice - przypominałam sobie. Człowiek po drugiej stronie linii poinformował mnie, że pizza przybędzie za piętnaście minut. Przeczesałam włosy, zdjęłam kapcie i z powrotem włożyłam buty do pracy. Zastanawiałam się tylko, jak poradzą sobie z pieprzem. Czy dostawca będzie miał ze sobą młynek? Chyba nie popieprzy mi pizzy, stojąc w progu? Wstawiłam wodę na gaz w razie, gdyby

miał ochotę na herbatę. Powiedziano mi, ile będę musiała zapłacić, więc wyjęłam pieniądze, włożyłam je do koperty i napisałam na niej „Pizza Pronto”. Adres sobie darowałam. Nie bardzo wiedziałam, jak to ma być z napiwkami, i żałowałam, że nie mam kogo spytać. Mama by mi nie pomogła. Nie umie nawet zdecydować, co chciałaby zjeść.

Wadą planu z pizzą był brak wina. Nie dostarczali go, jak powiedział mi tamten facet przez telefon i nawet sprawiał wrażenie rozbawionego, gdy o to zapytałam. Dziwne - chyba wino do pizzy to najnormalniejsza rzecz na świecie? Nie miałam pomysłu, skąd wytrzasnąć picie do posiłku. Bo przecież musiałam coś wypić. Martwiłam się tym, czekając na dostawę.

Koniec końców cały ten eksperyment okazał się mocno rozczarowujący. Dostawca wcisnął mi pudełko w rękę, wziął kopertę i grubiańsko ją przy mnie otworzył. Usłyszałam, jak licząc monety, mruknął pod nosem: „Niech to szlag”. Od jakiegoś czasu zbierałam na ceramicznym talerzyku pięćdziesięciopensówki i uznałam teraz, że to idealna okazja, aby je wykorzystać. W ramach napiwku dorzuciłam jedną dla niego, ale nawet nie podziękował. Gbur.

Pizza była okropnie tłusta, a samo ciasto rozmiękle i bez smaku. Postanowiłam, że nigdy więcej nie zamówię jej do domu, a już na pewno nie w towarzystwie swojego muzyka. Gdyby kiedyś desperacko zachciało nam się pizzy, a bylibyśmy zbyt daleko od Tesco Metro, w grę wchodziły tylko dwa rozwiązania. Pierwsze: złapiemy taksówkę i pojedziemy do jakiejś wspaniałej włoskiej restauracji. Drugie: on sam

przyrządzi dla nas pizzę, tak po prostu. Zagniecie ciasto, rozciągając je długimi zadbanymi palcami, i uformuje. Potem stanie przy kuchence i przygotowuje sos pomidorowy ze świeżymi ziołami, redukując go, aż stanie się gładki i lśniący od oliwy.

Będzie miał na sobie najstarsze, najwygodniejsze dzinsy, opinające jego zgrabne biodra, i będzie przytupywał gołymi stopami w rytm piosenki, którą zaśpiewa swoim boskim głosem podczas mieszania w rondlu. Po nałożeniu kawałków karczocha i fenkuła wsadzi pizzę do piekarnika. Weźmie mnie za rękę i zaprowadzi do kuchni. Nakryje do stołu, z wazonem gardenii pośrodku i świeczkami o mrugających przez kolorowe szkło płomykach. Powoli, z miłym dla ucha odgłosem, odkorkuje butelkę barolo, postawi ją na stole i podsunie mi krzesło. Zanim usiądę, weźmie mnie w ramiona i pocałuje, przyciągając tak blisko, że czułabym pulsowanie jego krwi, słodki korzenny zapach skóry i ciepły balsamiczny oddech.

Dojadłam marną pizzę i właśnie skakałam po pudełku, żeby dało się je złożyć i wsadzić do kosza na śmieci, kiedy przypomniałam sobie o brandy. Mama zawsze mówiła, że brandy jest dobra na wszelkie stresy, więc przed laty na wszelki wypadek kupiłam butelkę. Schowałam ją do szafki w łazience, z innymi środkami na różne dolegliwości. Zajrzałam tam i ją znalazłam, za zrolowanymi bandażami i ochraniaczami nadgarstków – był to półlitrowy rémy martin, jeszcze nieotwarty. Odkręciłam go i łyknęłam sobie. Nie smakował jak wódka, ale nie był zły.

Niepokoiliam się o laptopa, bo nigdy nie instalowałam

komputera, ale poszło mi całkiem łatwo. Z mobilnym internetem też sobie poradziłam. Zabrałam brandy i laptopa na stół kuchenny, wpisałam wiadome nazwisko w Google'a i kliknęłam „szukaj”, po czym zasłoniłam dłońmi oczy. Kilka sekund później zerknęłam przez palce. Pojawiły się setki linków! Wyglądało na to, że sprawa będzie całkiem prosta, więc postanowiłam dawkować sobie informacje; w końcu miałam przed sobą cały weekend, nie musiałam się spieszyć.

Pierwszy link zaprowadził mnie na stronę internetową mojego jedyne go, na którą składały się prawie wyłącznie zdjęcia – jego samego i zespołu. Przysunęłam twarz bliżej ekranu, aż niemal dotknęłam go nosem. Nie wyobraziłam sobie tego faceta ani nie przesadziłam w ocenie jego urody. Drugi link wiódł na jego profil na Twitterze. Pozwoliłam sobie przeczytać trzy ostatnie posty, z których dwa były szalenie dowcipne, a trzeci – czarujący. Mój ukochany wyrażał w nim koleżeński podziw dla innego muzyka. Co za klasa!

Następna była jego strona na Instagramie. Zamieścił prawie pięćdziesiąt zdjęć. Kliknęłam pierwsze z brzegu, ukazało się zbliżenie jego twarzy, spokojnej i zrelaksowanej. Miał idealnie prosty nos, o klasycznych proporcjach. Idealne uszy, ani za duże, ani za małe, małżowiny i chrząstki nieskazitelnie symetryczne. Oczy – piwne.

Na stronie znajdowały się całe szeregi zdjęć, ale zmusiłam się, żeby z niej wyjść i wrócić do przeglądarki. Przejrzałam resztę linków, podsuniętych przez Google'a. Były wśród nich wideoklipy jego występów na YouTube. Artykuły i recenzje. A to dopiero pierwsza strona z wynikami. Zamierzałam

przeczytać wszystkie informacje na jego temat, jakie tylko dało się znaleźć, i jak najlepiej go poznać – w końcu jestem bardzo dobra w wyszukiwaniu danych i rozwiązywaniu problemów. Nie chcę się chwalić, po prostu stwierdzam fakt i tyle. Musiałam dowiedzieć się o nim jak najwięcej, to było rozsądne podejście, jeśli miał być miłością mojego życia. Wzięłam brandy, nowiutki notes oraz zatemperowany ołówek, który pożyczyłam z biura, i przeniosłam się na kanapę, żeby wdrożyć swój plan działania. Brandy działała rozgrzewająco i kojąco, więc popijałam ją dalej.

Obudziłam się tuż po trzeciej nad ranem; ołówek i notes leżały na podłodze. Powoli przypomniałam sobie, że w miarę jak alkohol rozchodził się po moim ciele, traciłam zapał do pracy i oddałam się marzeniom. Wierzchy dłoni miałam „wytatuowane”, wszędzie widniało jego imię, niekiedy w serduszkach, wypisane czarnym tuszem, tak że na skórze nie było już ani kawałeczka wolnej powierzchni. W butelce pozostał łyk brandy. Wypiłam go i poszłam do łóżka.

3

Dlaczego akurat on? Dlaczego akurat teraz? Usiłowałam do tego dojść w poniedziałek rano, czekając na autobus. Trudna sprawa. Bo kto przeniknie ścieżki losu? Próbowaliśmy tego dokonać - i odniosły porażkę - znacznie tęzsze umysły od mojego. Oto on, dar bogów - przystojny, elegancki i utalentowany. Było mi dobrze, zupełnie dobrze samej, ale chciałam, żeby mama, zadowolona i spokojna, przestała wreszcie suszyć mi głowę. Chłopak - mąż? - mógł spełnić to zadanie. Nie żebym ja sama kogoś potrzebowała. Jak już wspomniałam, czułam się świetnie sama ze sobą.

Dokładnie przejrzawszy przez weekend jego zdjęcia, doszłam do wniosku, że ma on w oczach coś hipnotyzującego. Moje, choć w podobnym kolorze, nie były ani w połowie tak piękne, brakowało im tamtej skrzęcej miedzianej głębi. Gdy oglądałam te wszystkie fotografie, ujrzałam kogoś. Było to jak zatarte wspomnienie, twarz pod lodem albo owiana dymem, niewyraźna. Oczy zupełnie jak moje, osadzone w drobnej twarzy, szeroko otwarte i bezbronne, pełne łez.

To śmieszne, Eleanor. Nie powinnam pozwalać sobie na sentymentalizm, choćby tylko przez chwilę. Przecież mnóstwo ludzi na świecie ma piwne oczy, jak ja - to fakt naukowy. Jest statystycznie nieuniknione, że niektórzy nawiążą ze mną kontakt wzrokowy w ramach relacji interpersonalnych.

Jednak niepokoiło mnie coś innego. Badania naukowe dowodzą, że ludzie wybierają partnera mniej więcej tak

atrakcyjnego jak oni sami; podobieństwa się przyciągają, taka jest zasada.

Nie miałam złudzeń. Jeśli chodzi o wygląd, w skali jeden do dziesięciu on mógł dostać dziesięć punktów, a ja... sama nie wiem. Na pewno mniej. Rzecz jasna, miałam nadzieję, że nie okaże się powierzchowny, że spojrzy trochę głębiej, ale jak mówiłam, zdawałam sobie sprawę, że jego zawód wymaga, aby miał co najmniej ładną partnerkę. W przemyśle muzycznym, show-biznesie, prezencja odgrywa kluczową rolę i ktoś taki jak on nie może pokazywać się z kobietą, która będzie postrzegana jako mało atrakcyjna. Miałam tego świadomość. Musiałam zrobić więc wszystko, żeby stanąć na wysokości zadania.

Mój ukochany tymczasem wrzucił do internetu kilka nowych fotek, dwa portrety, z lewego i prawego profilu. Były doskonale i identyczne - obiektywnie i dosłownie nie miał gorszej strony. Jasne, piękno charakteryzuje się przede wszystkim symetrią, co do tego zgadzają się wszystkie autorytety. Zaczęłam się zastanawiać, jaka pula genów wydała takie przystojne potomstwo. I czy miał rodzeństwo? Jeśli byliśmy sobie pisani, pewnie bym je poznała. Sama niewiele wiedziałam o rodzicach w ogólności ani o rodzeństwie w szczególności, bo miałam dość... niekonwencjonalne dzieciństwo.

Współczułam pięknym ludziom. Uroda od samego początku jest efemeryczna, niknie. To musi być trudne. Trzeba wciąż udowadniać, że masz w sobie coś więcej, pragniesz, żeby ludzie wejrzeni głębiej, kochali cię dla twojego wnętrza, a nie

pięknego ciała, błyszczących oczu czy grubych lśniących włosów.

W większości zawodów starzenie się oznacza zwiększanie kwalifikacji, zdobywanie szacunku z racji wieku i doświadczenia. Jeśli jednak twoja praca zależy od urody, jest odwrotnie – jakie to przygnębiające. Nieżyczliwość innych musi być ciężka do zniesienia – tych wszystkich zgorzkniałych, mniej atrakcyjnych ludzi, niechętnych i zazdroszczących ci urody. To z ich strony strasznie niesprawiedliwe. W końcu ci urodziwi tacy przyszli na świat. Nie powinno się ich nie lubić tylko dlatego, że są atrakcyjni, i nie powinno się nie lubić nikogo dlatego, że jest kaleki.

Nie przeszkadza mi wcale, jak ludzie reagują na widok mojej twarzy i białej blizny o nierównych brzegach, przecinającej prawy policzek od skroni aż po brodę. Patrzą na mnie, wymieniają szeptem komentarze; zwracam na to uwagę. Pocięczałam się jednak myślą, że on zrozumie, bo sam zwraca uwagę, choć z zupełnie innych powodów.

Tego dnia zrezygnowałam z „Telegraph” na rzecz innej lektury. Wydałam nieprzyzwoitą kwotę na mały wybór prasy kobiecej, od cienkich, krzykliwych pisemek, po grube, błyszczące magazyny; wszystkie obiecywały szereg cudów, proste, lecz wpływające na jakość życia zmiany. Nigdy nie kupowałam takich czasopism, choć oczywiście przerzucałam je w szpitalnych poczekalniach i różnych instytucjach. Zauważyłam, niestety, że żadne nie zawierało krzyżówki kalamburowej; w jednym była „wykreślanka z gwiazdami oper mydlanych”, uwłaczająca inteligencji siedmiolatka. Za cenę

tego niewielkiego pliku pisemek mogłabym kupić trzy butelki wina albo litr markowej wódki. Niemniej, po głębokim zastanowieniu, doszłam do wniosku, że stanowi on nader solidne i przystępne źródło informacji, których szukałam.

Z czasopism tych mogłam się dowiedzieć, jakie nosić ubrania i buty, jak dobrać odpowiednią fryzurę. Jakie kupić kosmetyki i jak je stosować. To z kolei pozwoli mi stać się akceptowalną kobietą, tak żeby wszyscy przestali się na mnie gapić. Moim celem był udany kamuflaż jako samicy rodzaju ludzkiego.

Mama zawsze mi mówiła, że jestem brzydka, dziwna, odstręczająca. Robiła tak od najwcześniejszych lat, zanim jeszcze nabawiłam się blizn. Więc bardzo cieszyłam się na te zmiany. Byłam wręcz podniecona. Czułam się jak białe płótno.

Wieczorem w domu, myjąc oszpecone ręce, spojrzałam do lustra nad umywalką. Zobaczyłam sobie: Eleanor Oliphant. Długie proste jasnobrązowe włosy, opadające do pasa, jasna cera, twarz będąca palimpsestem ognia. Za mały nos i za duże oczy. Uszy: nieszczęśliwe. Wzrost przeciętny, waga przeciętna. Przeciętność mi odpowiada. W swoim czasie byłam obiektem zbyt wielkiej uwagi. Proszę dalej, proszę dalej, nie ma tu na co patrzeć.

Z zasady nie spoglądałam w lustro. Nie ma to nic wspólnego z bliznami. Raczej z niepokojącą mieszkanką genów, która odpowiada na moje spojrzenie. Widzę zbyt dużo rysów mamy. Nie potrafię dostrzec rysów ojca, bo go nie znałam i z tego, co wiem, nie zachowały się żadne jego zdjęcia. Mama prawie nigdy o nim nie wspominała, a kiedy już to robiła, nazywała go

„dawcą gamet”. Kiedyś znalazłam to hasło w *New Shorter Oxford English Dictionary* (od gametes z greki, co znaczy „mąż” – czy to ta młodzieńcza przygoda z etymologią obudziła we mnie zainteresowanie filologią klasyczną?) i potem przez parę lat rozmyślałam o tym dziwnym stanie rzeczy. Już w młodym wieku zdawałam sobie sprawę, że wspomagane poczęcie to antyteza bezmyślnego, spontanicznego czy też nieplanowego rodzicielstwa, przemyślany krok, podejmowany przez poważne kobiety, które chcą być dobrymi matkami. Biorąc pod uwagę własny przykład i doświadczenia, nie mogłam więc uwierzyć, że mama była taką kobietą i że tak bardzo pragnęła dziecka. Jak się okazało, miałam rację.

Wreszcie zebrałam się na odwagę i żeby uzyskać jakieś informacje na temat tego mitycznego dawcy nasienia, czyli swojego ojca, zapytałam ją wprost, jak zostałam poczęta. Jak każde dziecko w takiej sytuacji – a nawet bardziej, w mojej szczególnej sytuacji – w skrytości ducha pielęgnowałam małe, ale intensywne fantazje dotyczące charakteru i powierzchowności nieobecnego rodzica. Mama śmiała się i śmiała.

- Dawca? Tak powiedziałaś? To była tylko metafora, kochanie – oznajmiła.

Kolejne słowo, które musiałam sprawdzić w słowniku.

- Chciałam oszczędzić ci przykrości. To była raczej... spontaniczna donacja, żeby się tak wyrazić. Nie miałam w tej kwestii wyboru. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Odpowiedziałam, że tak, ale skłamałam.

- Gdzie on mieszka, mamo? – zapytałam dzielnie. – Jak

wygląda? Czym się zajmuje?

- Nie pamiętam, jak wygląda - odparła lekceważąco, ze znudzeniem. - Zalaatywał padliną i płynnym roquefortem, jeśli to może coś pomóc. - Musiałam mieć zdziwioną minę. Pochyliła się do przodu, odsłaniając zęby. - To zepsute mięso i śmierdzący ser, kochanie. - Umilkła i uspokoiła się. - Nie wiem, czy żyje - podjęła po chwili. - Jeśli żyje, pewnie ma duży majątek, zdobyty wątpliwymi, nieetycznymi metodami. Jeśli nie żyje... a mam nadzieję, że tak... wyobrażam sobie, że przebywa w zewnętrznym pierścieniu siódmego kręgu piekła, zanurzony w rzece wrzącej krwi i ognia, i nękanym przez centaury.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że nie warto pytać, czy zachowała jakieś zdjęcia.

4

Był środowy wieczór. Pora mamy. Choćbym nie wiem jak chciała, żeby było inaczej, zawsze w końcu mnie dopadła. Westchnęłam i wyłączyłam radio, świadoma, że będę musiała poczekać do sobotniej powtórki, aby się dowiedzieć, czy cydr Eddiego Grundy sfermentował. Ogarnęła mnie fala rozpaczliwego optymizmu. A gdybym tak nie musiała z nią rozmawiać? Gdybym mogła porozmawiać z kimś innym, kimkolwiek?

- Halo?

- O, heja, to ja. Ale kijowa pogoda, co?

Trudno się było dziwić, że moja matka trafiła do zakładu - należało się z tym liczyć, biorąc pod uwagę, czego się dopuściła - ale jakby tego było mało, co jakiś czas samorzutnie przejmowała akcent i słownictwo miejsc, w których przebywała. Sądziłam, że to pomaga jej integrować się ze współtowarzyszami albo z personelem. A może po prostu robiła to dla zabawy. Te akcenty świetnie jej wychodziły, ale przecież była osobą o licznych talentach. Przygotowałam się do tej rozmowy, *en garde*, inaczej się z nią nie dało. Była groźnym przeciwnikiem. Może to głupota z mojej strony, ale wykonałam pierwszy ruch.

- Minął zaledwie tydzień, wiem, ale mam wrażenie od czasu naszej ostatniej rozmowy upłynęły wieki, mamó. Byłam tak zajęta pracą i...

Przerwała mi, słodka jak miód, zmieniając akcent, żeby się

do mnie dostosować. Ten głos; pamiętałam go z dzieciństwa i wciąż słyszałam w koszmarach nocnych.

- Wiem, co masz na myśli, kochanie - powiedziała. Mówiła szybko. - Posłuchaj, nie mogę długo gadać. Opowiedz, jak ci minął ten tydzień. Co robiłaś?

Powiedziałam, że byłam na koncercie, i wspomniałam o imprezie pożegnalnej w pracy. Nic więcej nie zdradziłam. Gdy tylko usłyszałam jej głos, poczułam, że powoli ogarnia mnie znajomy lęk. Tak czekałam, żeby podzielić się z nią nowinami, rzucić je do jej stóp niczym pies myśliwski, aportujący ustrzelonego ptaka. A teraz nie mogłam pozbyć się myśli, że podniesie je i z brutalnym spokojem rozerwie na strzępy.

- O, koncert, brzmi cudownie... zawsze uwielbiałam muzykę. Wiesz, od czasu do czasu mamy tu różne występy, kilku rezydentów, gdy najdzie ich ochota, śpiewa sobie razem w sali rekreacyjnej. To naprawdę... coś. - Zamilkła i usłyszałam, że warczy na kogoś. - Odwal się, Jodi... gadam ze swoją małą i nie będę se przeszkadzać dla takiej zdziiry jak ty. - Nastąpiła chwila ciszy. - Nie. Spadaj. - Chrząknęła. - Przepraszam cię, kochanie. To ćpunka... ona i jej kumpelki narkomanki zostały przyłapane na kradzieży perfum w Bootsie. Midnight Heat Beyoncé, dasz wiarę? - Znowu ściszyła głos. - Nie mamy tu mistrzów zbrodni, kochanie... profesor Moriarty może spać spokojnie.

Zaśmiała się perliście - było to lekki, wesoły śmiech postaci z Noela Cowarda podczas dowcipnej wymiany bon motów na tarasie porośniętym glicynią. Próbowałam kontynuować

rozmowę.

- Więc... jak się masz, mamó?

- Cudownie, kochanie, wprost cudownie. Kilka przemiłych, życzliwych pań uczy mnie wyszywać powłoczki. To urocze z ich strony, że poświęcają swój czas, prawda? - Na myśl o mamie z długą, ostrą igłą w dłoni poczułam lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Ale dosyć o mnie - rzuciła i ostra nuta w jej głosie się pogłębiła. - Chcę usłyszeć więcej o tobie. Jakie masz plany na weekend? Idziesz może na tańce? Jakiś adorator zaprosił cię na randkę?

Co za jad. Staralam się nie przejmować.

- Zbieram informacje do pewnego przedsięwzięcia.

Zaczęła szybciej oddychać.

- Tak? Jakiego? Związanego z czymś czy kimś?

Nie mogłam się powstrzymać. Wyjawiłam jej.

- Kimś, mamó - odparłam.

Szepnęła tak cicho, że ledwie usłyszałam:

- A więc coś się kroi, tak? Powiedz... Cała zamieniam się w słuch.

- Nie ma o czym mówić, mamó - odpowiedziałam, patrząc na zegarek. - Po prostu... natknęłam się na kogoś... miłego... i chcę dowiedzieć się o nim... więcej. - Musiałam jeszcze trochę popracować, zanim odważę się pokazać jej swój nowy błyszczący klejnot, położyć go przed nią, żeby wyraziła aprobatę. Na razie chciałam tylko, żeby dała mi spokój, zostawiła mnie. Proszę...

- Świetnie! Będę czekała na informacje o postępach

w związku z tym przedsięwzięciem, Eleanor – rzekła wesoło. – Wiesz, jak bardzo bym chciała, żebyś znalazła sobie kogoś odpowiedniego. Kogoś wyjątkowego. Wszystkie te rozmowy, które odbyłyśmy w minionych latach... Zawsze miałam wrażenie, że coś tracisz, nie mając w życiu nikogo. To dobrze, że zaczęłaś szukać... swojej drugiej połówki. Wspólnika zbrodni, żeby się tak wyrazić. – Zaśmiała się cicho.

– Nie czuję się samotna, mamó – zaznaczyłam. – Dobrze mi samej. Zawsze było mi dobrze.

– Hm, nie zawsze byłaś sama, prawda? – odparła cicho, przebiegle. Poczułam na karku pot, od którego zawilgotniały mi włosy. – Ale cóż, wmawiaj sobie, co tylko chcesz, żeby jakoś dotrwać do rana, kochanie. – Zaśmiała się. Potrafiła rozbawić samą siebie, choć mało komu było do śmiechu w jej towarzystwie. – Wiesz, że zawsze możesz ze mną porozmawiać. O wszystkim. Albo o każdym. – Westchnęła. – Tak lubię cię słuchać, kochanie... Oczywiście, ty tego nie rozumiesz, ale więź między matką a dzieckiem, jest... jak to najlepiej określić... nierozzerwalna. My dwie jesteśmy ze sobą związane na zawsze, rozumiesz... w twoich żyłach płynie ta sama krew co w moich. Rosłaś we mnie, twoje zęby, język, szyjka macicy powstały z moich komórek, moich genów. Kto wie, jakie małe niespodzianki zostawiłam w twoim ciele, jakie zmiany wprowadziłam w ruch. Raka piersi? Alzheimer? Tylko poczekaj. Przyjemnie fermentowałaś sobie we mnie przez te wszystkie miesiące, Eleanor. Choćbyś chciała od tego uciec, nie możesz, kochanie, po prostu nie możesz. Nie da się zerwać tak silnej więzi.

- To nie musi być prawda, mamó - odrzekłam spokojnie. Co za zuchwałość. Nie wiem, skąd wzięłam odwagę. Pulsowało mi w skroniach i drżały mi ręce.

Odpowiedziała, jakby nie usłyszała:

- Dobrze, więc będziemy w kontakcie, tak? Pracuj nad swoim małym przedsięwzięciem. Porozmawiamy za tydzień o tej samej porze. Jesteśmy umówione. Muszę lecieć... Pa!

Dopiero gdy po drugiej stronie zaległa cisza, zauważyłam, że płaczę.

5

Niedługo weekend. Kiedy przyszedłam do pracy, koledzy już zebrali się przy czajniku i paplali o operach mydlanych. W ogóle nie zwrócili na mnie uwagi; od dawna przestałam ich zagadywać. Powiesiłam bezrękawnik na krześle i włączyłam komputer. Wytrącona z równowagi rozmową z mamą, nie spałam zbyt dobrze. Postanowiłam więc zrobić sobie odświeżającej herbaty, zanim zabiorę się do pracy. Mam własny kubek i łyżeczkę, które ze względów higienicznych trzymam w szufladzie biurka. Koledzy uważają to za dziwactwo, tak przynajmniej sędzę z ich reakcji, a sami piją z brudnych naczyń, mytych niestarannie przez nie wiadomo kogo. Jeśli chodzi o mnie, nie wyobrażałam sobie, żebym mogła włożyć do gorącego napoju łyżeczkę, którą zaledwie godzinę wcześniej lizała obca osoba. Obrzydlistwo.

Czekając, aż woda w czajniku się zagotuje, stałam przy zlewie i starałam się nie słuchać, o czym rozmawiają. Jeszcze raz, na wszelki wypadek, przepłukałam wrzątkiem imbryk i pogrążyłam się w rozkosznych myślach, myślach o nim. Byłam ciekawa, co w tej chwili robi - może pisze piosenkę? Czy jeszcze śpi? Zastanawiałam się, jak we śnie wygląda jego piękna twarz.

Czajnik się wyłączył, więc ogrzałam imbryk, a potem wsypałam do niego łyżeczkę darjeeling z wiosennego zbioru, wciąż snując wizje swojego śpiącego trubadura. Trochę przeszkadzały mi dziecinne śmiechy kolegów, ale sądziłam, że

ma to coś wspólnego z moim wyborem napoju. Sami bowiem, w błogiej nieświadomości, wrzucają do kubka torebki herbaty najslabszej jakości, zalewają wrzątkiem, a potem rozrzedzają ten żalosny aromat, dodając zimnego mleka, wprost z lodówki. I są zadowoleni, a ja z jakiegoś powodu uchodzę za dziwaczkę! Ale jeśli już zamierzasz napić się herbaty, dlaczego nie zadbać o to, żeby zmaksymalizować tę przyjemność?

Chichoty trwały, a Janey zaczęła nucić. Nawet nie próbowali się kryć; śmiali się już całkiem głośno. Nucenie przeszło w śpiew. Nie rozpoznawałam jednak ani melodii, ani słów. Nagle przestała; nie mogła śpiewać dalej, bo za bardzo się śmiała, wciąż pokazując dziwny chód do tyłu.

- Cześć, Wacko Jacko^[1]! - zawołał do mnie Billy. - O co chodzi z tą białą rękawiczką?

To ich tak bawiło! Nie do wiary.

- To z powodu egzemy - wyjaśniłam powoli i cierpliwie, jak dzieciom. - W środę wieczorem mi się nasiliła i skóra na mojej prawej ręce jest w stanie zapalnym. Noszę tę bawełnianą rękawiczkę, żeby zapobiec infekcji.

Śmiechy ucichły i nastąpiła długa chwila ciszy. Spoglądali na siebie w milczeniu jak krowy na pastwisku.

Nieczęsto wdawałam się z nimi w takie poufale rozmowy. Uświadomiwszy to sobie, zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam skorzystać z okazji. Bernadette знаła poprzez brata obiekt mojego zainteresowania - na pewno wystarczyłaby chwila, żeby uzyskać od niej dodatkowe, pożyteczne informacje na jego temat. Nie byłam skłonna do dłuższej pogawędki - ma bardzo donośny, skrzeczący głos, jak

pokrzykująca mała - ale może warto poświęcić kilka minut swojego czasu? Zamieszałam herbatę zgodnie z ruchem wskazówek zegara, obmyślając gambit na otwarcie.

- Podobała ci się reszta koncertu tamtego wieczoru? - zwróciłam się do Billy'ego.

Wydawał się zaskoczony i odpowiedział dopiero po chwili:

- Tak, był w porzo.

Elokwentny jak zwykle. Wyglądało na to, że nie pójdzie mi tak łatwo.

- Czy inni wokaliści byli na podobnym poziomie co... - Przerwałam, udając, że nie mogę sobie przypomnieć. - ... Johnnie Lomond?

- Chyba tak, byli niezli - odpowiedział, wzruszając ramionami. Co za wnikliwość i precyzja opisu.

Odezwała się Bernadette, tak jak się tego spodziewałam; przy żadnej okazji nie mogła oprzeć się pokusie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Ja znam Johnniego Lomonda - poinformowała mnie z dumą. - Kiedyś kumplował się z moim bratem. W szkole.

- Tak? - zapytałam, po raz pierwszy nie udając zaciekawienia. - Co to była za szkoła?

Sposób, w jaki wymieniła nazwę tego przybytku, świadczył, że powinnam była o nim słyszeć. Zrobiłam minę, jakbym była pod wrażeniem.

- I wciąż się przyjaźnią? - ciągnęłam, ponownie mieszając herbatę.

- Nie, już nie - odpowiedziała. - Wprawdzie przyjechał na ślub Paula, ale potem ich drogi się rozeszły. Wiesz, jak to

jest... kiedy ma się żonę i dzieci, traci się kontakt z kolegami, którzy są wolni, no nie? Nie ma z nimi zbyt dużo wspólnych spraw...

Nie miałam wiedzy ani doświadczenia w tej kwestii, ale pokiwałam głową, myśląc cały czas: jest wolny, jest wolny, jest wolny.

Zaniosłam herbatę na biurko. Śmiechy kolegów przeszły w ciche szepty. Nie przestaje mnie zadziwiać, czym się interesują, co ich bawi, co wydaje im się niezwykle. Ich życie musi być bardzo ubogie.

Janey, sekretarka, zaręczyła się ze swoim ostatnim Neandertalczykiem i po południu zamierzaliśmy wręczyć jej prezent. Dołożyłam się do niego w kwocie siedemdziesięciu ośmiu pensów. Miałam w portmonetce albo drobniaki, albo banknot pięćofuntowy, a na pewno nie zamierzałam wkładać takiej niebotycznej sumy do wspólnej koperty, żeby kupić coś zupełnie niepotrzebnego komuś, kogo ledwie znałam. Przez te lata musiałam już dołożyć się w setkach funtów do wszystkich prezentów, na urodziny, na pożegnanie, z okazji przyjscia na świat dziecka, a co dostawałam w zamian? Moje urodziny mijały niezauważone.

Ktokolwiek wybierał prezent z okazji zaręczyn, zdecydował się na kieliszki do wina i karafkę od kompletu. Takie akcesoria są niepotrzebne, kiedy ktoś pije wódkę – ja używam po prostu ulubionego kubka. Kupiłam go przed kilkoma laty w sklepie z używanymi rzeczami; ma z jednej strony zdjęcie mężczyzny o twarzy okrągłej jak księżyc. Jest w brązowej skórzanej kurtce. Powyżej widnieje napis dziwnym krojem pisma

w żółtym kolorze: „Top Gear”. Nie rozumiem, o co tu chodzi. Jednak w kubku mieści się idealna ilość wódki i nie trzeba jej stale dolewać.

Janey planowała krótkie zaręczyny, jak oświadczyła, mizdrząc się przy tym, więc zanosilo się na to, że wkrótce czeka nas kolejna zrzuta, tym razem na prezent ślubny. Ze wszystkich obowiązkowych składek pieniężnych ta irytuje mnie najbardziej. Para ludzi wędruje po sklepie John Lewis i wybiera dla siebie śliczne przedmioty, a potem każe innym za nie płacić. To jawna arogancja. Wybierają takie rzeczy jak talerze, miski, sztucce – a do tej pory jak jedli: wsadzali jedzenie z paczek rękami do ust? Po prostu nie rozumiem, dlaczego zalegalizowanie związku między dwojgiem ludzi ma zmuszać przyjaciół, rodzinę i kolegów z pracy, by podwyższali standard ich wyposażenia kuchennego.

Właściwie nigdy nie byłam na żadnym ślubie. Kilka lat wcześniej zostałam zaproszona na wesele Loretty, jak wszyscy z pracy. Odbywało się wieczorem, w strasznym hotelu niedaleko lotniska i trzeba było wynająć minibus, żeby się tam dostać; musiałam się dorzucić do kosztów, choć oprócz tego płaciłam za bilet autobusowy do centrum i z powrotem. Goście przez cały wieczór sami kupowali sobie drinki, co mnie zaszokowało. Nie znam się na urządzaniu przyjęć, to nie moja specjalność, przyznaję, ale chyba jeśli jest się gospodarzem, należy zapewnić gościom napoje? Piłam wtedy wodę z kranu – rzadko raczę się alkoholem w miejscach publicznych. Lubię go pić, gdy jestem sama w domu. Późnym wieczorem przynajmniej zaserwowali bezpłatną herbatę i kawę; podano

do niej kiepskiej jakości słone przekąski i – co za dziwo – kawałki ciasta z bakaliami, pieczonego zwykle na Boże Narodzenie. Dyskoteka trwała godzinami; straszni ludzie tańczyli strasznie do strasznej muzyki. Siedziałam sama, bo nikt nie poprosił mnie do tańca, co zresztą całkowicie mi odpowiadało.

Inni goście chyba dobrze się bawili, a przynajmniej tak mi się wydawało. Gibali się na parkiecie, czerwoni na twarzy i pijani. Ich buty wyglądały na niewygodne. Wykrzykiwali sobie w twarze słowa piosenek. Nigdy więcej nie pójde na taką imprezę. Po prostu nie warto – dla filiżanki herbaty i kawałka ciasta? Wieczór nie był jednak całkiem stracony, bo udało mi się wsunąć do torebki z tuzin owiniętych w serwetki pasztecików z mięsem – na później. Niestety, nie były smaczne – daleko im do tych od Greggsa, zawsze niezawodnych.

Kiedy to beznadziejne wręczanie prezentu zaręczynowego wreszcie się skończyło, zapięłam bezrękawnik i wyłączyłam komputer, podniecona myślą, że w domu, gdy tylko będę mogła, przerzucę się na laptopa. Może, mając ten strzępek informacji, który wyciągnąłem od Bernadette, uda mi się znaleźć w internecie jakieś wiadomości o latach szkolnych mojego ukochanego. Byłoby cudownie, gdybym trafiła na jego zdjęcie klasowe! Chętnie bym zobaczyła, jak wyglądał w młodości, czy zawsze był taki przystojny, czy też zamienił się w pięknego motyla na stosunkowo późnym etapie. Dałabym głowę, że był taki urodziwy od dzieciństwa. Może znajdę też listę nagród, które zdobył! Na pewno z muzyki, być może z angielskiego; przecież pisał takie piękne teksty piosenek.

Tak czy owak, wyglądał mi na zdobywcę licznych wyróżnień.

Staram się tak planować wyjścia z pracy, żebym po drodze nie musiała z nikim rozmawiać. Zawsze te pytania: Co robisz dziś wieczorem? Masz jakieś plany na weekend? Zarezerwowałaś już miejsce na wakacje? Nie wiem, dlaczego innych tak interesuje, co robię w wolnym czasie. Wybrałam idealny moment i właśnie przemykałam ze swoją wielką torbą przez próg, gdy uświadomiłam sobie, że ktoś przytrzymuje mi drzwi. Odwróciłam się.

- Wszystko w porządku, Eleanor? - zapytał ten facet, uśmiechając się cierpliwie, gdy wyciągałam sznurek od rękawiczek z jednym placem. Chociaż nie były potrzebne przy obecnej umiarkowanej temperaturze, trzymałam je in situ, na wypadek gdyby nagle pogorszyła się pogoda.

- Uhm - odparłam, a potem, przypomniawszy sobie o dobrym wychowaniu, mruknęłam: - Dziękuję, Raymondzie.

- Nie ma za co - odpowiedział.

Ku mojej irytacji, znaleźliśmy się jednocześnie na tej samej trasie.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

Wskazałam nieprecyzyjnie w stronę wzgórza.

- Ja też - rzucił.

Pochyliłam się, udając, że zawiązuję sznurowadło. Robiłam to jak najwolniej, bo liczyłam, że facet zrozumie sugestię. Kiedy wreszcie się wyprostowałam, stał w tym samym miejscu z luźno opuszczonymi ramionami. Zauważyłam, że ma na sobie budrysówkę. Czy budrysówki nie są dla dzieci i małych niedźwiedzi? Kiedy ruszyliśmy razem w dół, wyjął paczkę

papierosów, poczęstował mnie. Cofnęłam się.

- To obrzydliwe - oświadczyłam. On jednak, niezrażony, zapalił.

- Przepraszam - wymamrotał. - Fatalny nałóg, wiem.

- A tak - potwierdziłam. - Umrzesz przedwcześnie, prawdopodobnie na raka płuc albo na zawał serca. Przez jakiś czas nie będziesz dostrzegał wpływu palenia na te narządy, ale zauważysz to w ustach... choroby dziąseł, wypadanie zębów... a już masz charakterystyczną dla palaczy ziemistą, postarzałą cerę. W składzie tytoniu papierosowego znajduje się cyjanek i amoniak, wiesz? Naprawdę chcesz przyswajać takie toksyny?

- Strasznie dużo wiesz o petach jak na osobę, która nie pali - zauważył, wydmuchując ohydny obłok substancji rakotwórczych.

- Przez krótki czas zastanawiałam się, czy nie zacząć palić - przyznałam - ale zanim się od tego uzależniłam, starannie zbadałam sprawę i w końcu uznałam, że papierosy to żadna sensowna rozrywka. Poza tym kosztowna - odparłam.

- Uhm. - Skinął głową. - Rzeczywiście, pochłania fortunę. - Nastąpiła przerwa. - Dokąd dalej idziesz, Eleanor? - zapytał.

Zastanowiłam się nad odpowiedzią. Wracałam do domu na podniecające rendez-vous. Ta bardzo niezwykła okoliczność - wizyta gościa - oznaczała, że muszę skrócić naszą nieplanowaną interakcję. W tym celu powinnam wybrać każdą inną trasę oprócz tej, którą szedł Raymond. Ale którą? Właśnie mieliśmy minąć klinikę pielęgnacji stóp, gdy doznałam olśnienia.

- Jestem tu umówiona - oznajmiłam, wskazując naprzeciwko. Spojrzał na mnie. - Haluksy - zaimprovizowałam. Zauważyłam, że zerknął na moje stopy.

- Przykro mi to słyszeć, Eleanor - skomentował. - Moja matka też na nie cierpi; ma straszliwe kłopoty ze stopami.

Zatrzymaliśmy się przy przejściu dla pieszych. Zauważyłam, że starszy pan po drugiej stronie ulicy nagle się potknął. Był niski i krępy, ale zwrócił moją uwagę ze względu na pomidorowoczerwony sweter, który wycierał spod typowych dla emeryta szarości i zgaszonych pasteli. Jakby w zwolnionym tempie zaczął się zataczać, a ciężkie wypchane reklamówki sprawiały, że przypominał ludzkie wahadło.

- Pijany w biały dzień - zauważyłam cicho, bardziej do siebie niż do Raymonda, który otworzył usta, żeby odpowiedzieć, gdy starszy mężczyzna w końcu się przewrócił, ciężko upadł na plecy i leżał nieruchomo. Jego zakupy rozsypały się dookoła; zauważyłam, że były wśród nich wafelki w czekoladzie i wielkie opakowanie parówek.

- Cholera - zaklął Raymond i wcisnął guzik, regulujący światłami na przejściu.

- Zostaw go - powiedziałam. - Jest zalany. Nic mu nie będzie.

Raymond popatrzył na mnie.

- To słaby stary człowiek, Eleanor. Mocno uderzył głową o chodnik - odparł.

Poczułam się podle. Chyba nawet alkoholicy zasługują na pomoc, chociaż powinni upijać się w domu, jak ja, żeby nie przysparzać innym kłopotów. Ale przecież nie każdy jest taki

rozsądny i przezorny.

Wreszcie zapaliło się zielone światło i Raymond, wrzuciwszy papierosa do rynsztoka, przebiegł przez ulicę. Nie ma powodu, żeby być żulem, pomyślałam, ruszając za nim równym krokiem. Kiedy dotarłam na drugą stronę, Raymond klęczał już przy staruszką i mierzył mu puls na szyi. Powtarzał głośno i wyraźnie takie głupie teksty jak: „Hej, bracie, jak się masz?” i „Proszę pana, słyszy mnie pan?”. Tamten jednak nie odpowiadał. Pochyliłam się nad nim i głęboko wciągnęłam powietrze.

- Nie jest pijany - powiedziałam. - Dałoby się wyczuć, gdyby upił się do tego stopnia, żeby upaść i stracić przytomność.

Raymond zaczął rozpinać mu ubranie.

- Wezwij pogotowie, Eleanor - polecił spokojnie.

- Nie mam komórki - wyjaśniłam - choć jestem gotowa przyznać, że bywają przydatne.

Raymond pogrzebał w kieszeni budrysówki i rzucił mi swoją komórkę.

- Pospiesz się - nakazał - starszy pan stygnie.

Zaczęłam wystukiwać 999 i wtedy z całą mocą wróciło do mnie tamto wspomnienie. Nie byłam w stanie przeżyć tego jeszcze raz, po prostu nie zniósłabym głosu pytającego: „Z jakimi służbami mam połączyć?”, a potem dźwięku zbliżających się syren. Dotknęłam blizny i oddałam telefon Raymondowi.

- Ty zadzwoń - odpowiedziałam. - Ja przy nim zostanę.

Raymond zaklął pod nosem i wstał.

- Nie ruszaj go, tylko do niego mów - rozkazał.

Zdjęłam z siebie kamizelkę i nakryłam nią mężczyznę.

- Cześć - powiedziałam. - Nazywam się Eleanor Oliphant. - Raymond kazał mi do niego mówić, więc mówiłam. - Co za piękny sweter! - kontynuowałam. - Rzadko widuje się dzianinę w tym kolorze. Czy to cynober? Czy może karmin? Naprawdę mi się podoba. Sama oczywiście nie wybrałabym tego odcienia. Ale panu pasuje. Siwe włosy i czerwone ubranie... jak Święty Mikołaj. Czy ten sweter to prezent? Na to wygląda, jest taki miękki i elegancki. Za drogi, żeby kupić go sobie samemu. Ale może pan kupuje sobie porządne rzeczy... niektórzy tak robią, wiem. Sprawiają sobie to, co najlepsze, i wcale się nie przejmują. Jednak, biorąc pod uwagę resztę pańskiego stroju i zawartość torby z zakupami, raczej nie należy pan do takich osób.

Trzy razy głęboko zaczerpnęłam powietrza i ostrożnie położyłam rękę na jego dłoni. Przytrzymałam ją tak długo, jak tylko dałam radę.

- Pan Gibbons już dzwoni po pogotowie - ciągnęłam - więc proszę się nie martwić, nie będzie pan leżał zbyt długo na środku ulicy. Nie ma powodu do niepokoju; opieka medyczna jest w tym kraju całkowicie bezpłatna i uchodzi za najlepszą na świecie. Jest pan szczęściarzem. To znaczy, raczej nie chciałby pan się przewrócić i uderzyć głową o chodnik, powiedzmy, w niedawno powstałym państwie Sudanu Południowego, biorąc pod uwagę jego bieżącą sytuację polityczną i gospodarczą. A tu, w Glasgow... cóż, uważam, że miał pan szczęście, jeśli wybaczy mi pan to określenie.

Raymond się rozłączył i podszedł szybkim krokiem.

- Co z nim, Eleanor? - zapytał. - Odzyskał przytomność?

- Nie - odparłam - ale mówię do niego, tak jak kazałeś.

Raymond ujął rękę staruszka.

- Biedak - powiedział.

Pokiwałam głową. O dziwo, poczułam coś, co zidentyfikowałam jako niepokój albo troskę o tego obcego człowieka. Usiadłam i moje pośladki trafiły na coś dużego, o okrągłym kształcie. Kiedy się odwróciłam, okazało się, że to duża plastikowa butelka napoju gazowanego z kofeiną. Podniosłam się, zaczęłam zbierać rozsypane zakupy i wkładać je z powrotem do reklamówek. Jedna z nich był rozerwana, więc wyciągnęłam moją ulubioną ekotorbę, tę z Tesco, z lwami. Spakowałam wszystkie artykuły i postawiłam reklamówki przy stopach starszego pana.

Usłyszeliśmy syreny i Raymond oddał mi kamizelkę. Karetka zajechała na chodnik tuż obok. Wyszli z niej dwaj mężczyźni. Byli w trakcie rozmowy; zdziwiło mnie, że wyrażają się tak prostacko. Sądziłam, że będą bardziej na poziomie, jak lekarze.

- Dobra - odezwał się starszy z nich - co my tu mamy? Staruszek wywinął orła?

Raymond opowiedział, co się stało, a ja przyglądałam się młodszemu z mężczyzn; pochylił się nad leżącym, zmierzył mu puls i poświecił latarką w oczy, a potem poklepał go delikatnie, żeby uzyskać jakąś reakcję. Wreszcie odwrócił się do kolegi.

- Musimy się pospieszyć - rzucił.

Szybko wyjęli nosze, sprawnie i zadziwiająco delikatnie położyli na nich nieprzytomnego mężczyznę i przypięli.

Młodszy okrył go czerwonym kocem z polaru.

- Taki sam kolor jak jego sweter - zauważyłam, ale żaden z nich nie zwrócił na mnie uwagi.

- Jedzie pani z nim? - zapytał starszy. - Z tyłu jest miejsce tylko dla jednej osoby.

Raymond i ja spojrzeliśmy na siebie. Zerknęłam na zegarek. Mój gość miał zjawić się *chez Oliphant* za pół godziny.

- Ja pojedę, Eleanor - powiedział. - Nie możesz stracić wizyty w klinice.

Kiwnęłam głową, a on wszedł do karetki obok sanitariusza, który podłączał kroplówkę i inne urządzenia z monitorami. Podniosłam reklamówki, żeby podać je Raymondowi.

- Proszę posłuchać, to nie samochód dostawczy. Nie wozimy zakupów - odezwał się sanitariusz nieco zgryźliwie

Raymond rozmawiał przez telefon; zawiadamiał kogoś, najwyraźniej matkę, że się spóźni. Potem szybko się rozłączył.

- Eleanor - poprosił - zadzwoń do mnie za jakiś czas. Może przywiozłabyś mu później te rzeczy?

Zastanowiłam się nad tym i kiwnęłam głową, podczas gdy on sięgnął do kieszeni i wyjął długopis. Chwycił mnie za rękę. Wciągnęłam powietrze i zaskoczona, cofnęłam się o krok, wrywając dłoń i chowając ją za plecy.

- Muszę ci zapisać swój numer - wyjaśnił cierpliwie.

Wyjęłam z torby notesik. Oddał mi go po chwili, ledwie czytelnym, dziecięcym pismem nagryzmoliwszy na jednej z kartek swoje imię i szereg cyfr.

- Odezwij się za godzinę - powiedział. - Będiesz już po zabiegu w klinice, prawda?

6

Ledwie zdążyłam wrócić do domu, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi – dziesięć minut przed czasem. Pewnie chodziło o to, żeby wziąć mnie z zaskoczenia. Kiedy nie zdejmując łańcucha, powoli je otworzyłam, zobaczyłam nie tę osobę, której się spodziewałam. Kimkolwiek była, nie uśmiechała się.

- Eleanor Oliphant? June Mullen, z opieki społecznej – przedstawiła się. Zrobiła krok do przodu; dalej nie mogła, bo blokowały ją drzwi.

- Czekałam na Heather – odparłam, rozglądając się po korytarzu.

- Obawiam się, że Heather jest na zwolnieniu lekarskim. Nie mamy pojęcia, kiedy wróci do pracy. Przejęłam jej sprawy.

Poprosiłam ją o jakiś dokument potwierdzający tożsamość – ostrożności nigdy dosyć.

Westchnęła i zaczęła szperać w torebce. Była wysoka, starannie ubrana w czarny kostium ze spodniami i białą bluzkę. Kiedy pochyliła głowę, zauważyłam jasną linię przedziałka; miała lśniącego ciemnego boba. W końcu uniosła spojrzenie i wręczyła mi legitymację z dużym logo opieki społecznej i małym zdjęciem. Przyjrzałam mu się uważnie, kilka razy przenosząc wzrok na jej twarz i z powrotem. Nie była to korzystna fotografia, ale nie miałam jej tego za złe. Sama nie jestem szczególnie fotogeniczna. W realu była mniej więcej moją rówieśniczką, miała gładką cerę i cienkie usta, pociągnięte czerwoną szminką.

- Nie wygląda pani na pracownicę opieki społecznej - zauważyłam.

Popatrzyła na mnie, ale nic nie powiedziała. Tylko nie to! Na swojej drodze z przerażającą częstotliwością natykam się na ludzi o niedostatecznie rozwiniętych zdolnościach socjalnych. Jak to się dzieje, że zawody wymagające kontaktu z człowiekiem tak pociągają mizantropów? To zagadka. Postanowiłam później wrócić do tego tematu, zdjęłam łańcuch przy drzwiach i zaprosiłam ją do środka. Poszłam z nią do salonu, słuchając stukotu jej wysokich obcasów. Zapytała, czy mogłaby szybko obejść mieszkanie; oczywiście, spodziewałam się tego. Heather zawsze tak robiła; rozumiem, że to element pracy, mający na celu sprawdzenie, czy nie trzymam własnego moczu w butelkach ani nie porywam chomików, aby zaszywać je w poszewkach na poduszki. Kiedy weszliśmy do kuchni, bez entuzjazmu pochwaliła urządzenie wnętrza.

Usiłowałam spojrzeć na swój dom oczami gościa. Zdaję sobie sprawę, jakie mam szczęście, że tu mieszkam, bo budownictwo socjalne w tej części miasta ostatnio praktycznie zanika. Gdyby nie opieka społeczna, nie stać by mnie było na mieszkanie w tej dzielnicy, na pewno nie przy tej żalostnej pensji, którą płaci mi Bob. Ale dzięki służbom społecznym mogłam przeprowadzić się tutaj po opuszczeniu ostatniej rodziny zastępczej latem przed rozpoczęciem studiów na uniwersytecie. Właśnie skończyłam wtedy siedemnaście lat. W tamtym czasie młode osoby, które wychowały się pod opieką państwa, umieszczano w mieszkaniach komunalnych blisko miejsca, gdzie się uczyły. Wyobraźcie to sobie.

Urządzenie tego lokum zajęło mi trochę czasu, pamiętam; pomalowałam je dopiero tego lata, kiedy skończyłam studia. Kupiłam farbę i pędzle, zrealizowawszy czek, który dostałam pocztą z rektoratu razem z dyplomem; okazało się, że zdobyłam małą nagrodę, imienia dawno zmarłego filologa klasycznego, za najlepszą pracę magisterską, poświęconą Georgikom Wergiliusza. Oczywiście, otrzymałam dyplom in absentia; nie było sensu, żebym wchodziła po niego na podwyższenie, bo nie było nikogo, kto by mnie oklaskiwał. Od tego czasu mieszkanie się nie zmieniło.

Starając się zachować obiektywizm, przypuszczam, że wygląda na dość podniszczone. Mama zawsze mówiła, że obsesja na punkcie wystroju wewnątrz to przejaw drobnomieszczaństwa, i co gorsza, że każda aktywność w zakresie „zrób to sam” jest domeną hoi polloi, czyli plebsu. To dość przerażające, gdy się pomyśli, jakie poglądy mogłam od niej przejąć.

Meble dostarczyła organizacja dobroczynna, która pomaga młodym ludziom po przejściach i byłym więźniom, kiedy wprowadzają się do nowego domu; to używane, niepasujące do siebie rzeczy, za które byłam i jestem wdzięczna. Wszystkie są bardzo funkcjonalne, więc nie widziałam potrzeby, żeby którąś z nich wymieniać. Obawiam się, że nieczęsto sprzątam, co może potęgować ogólne wrażenie pewnego zaniedbania. Nie widzę jednak sensu w sprzątaniu; jedyną osobą, która tu jada, myje się, chodzi spać i wstaje, jestem ja.

Ta June Mullen to mój pierwszy gość od listopada minionego

roku. Pracownicy opieki społecznej przychodzą mniej więcej co pół roku. W tym roku kalendarzowym odwiedzili mnie po raz pierwszy. Odczytu liczników jeszcze nie było, choć muszę powiedzieć, że wolę, kiedy zostawiają kartkę i mogę podać dane przez telefon. Uwielbiam wszelkie call center; to zawsze takie ciekawe – słyszeć różne akcenty i próbować dowiedzieć się czegoś o osobie, z którą się rozmawia. Najlepsze, kiedy na koniec pytają: „Czy mogę jeszcze ci w czymś pomóc, Eleanor?”, a ja odpowiadam: „Nie, dziękuję, odpowiedziałeś na moje pytania i rozstrzygnąłeś wszelkie wątpliwości”. Zawsze miło usłyszeć swoje imię wypowiedziane ludzkim głosem.

Oprócz pracowników opieki społecznej i zakładów użyteczności publicznej od czasu do czasu przychodzą wyznawcy tego czy innego Kościoła, pytając, czy przyjąłem do swojego życia Jezusa. Jednak, jak się przekonałam, raczej niechętnie rozmawiają o możliwości nawrócenia się, co jest rozczarowujące. W zeszłym roku zjawił się dostarczyciel katalogu Betterware, który okazał się nader przyjemną lekturą. Wciąż żałuję, że nie nabyłam łapacza pajaków, naprawdę bardzo pomysłowego wynalazku.

June Mullen nie chciała herbaty i kiedy wróciłyśmy do salonu, usiadła na kanapie, po czym wyjęła z aktówki moją teczkę. Miała ona kilka centymetrów grubości i przezornie była spięta gumką. Jakaś nieznana mi ręka napisała flamastrem w prawym górnym rogu „Oliphant Eleanor”, a pod spodem „12 lipca 1987”; była to data mojego urodzenia. Ta pękata teka, sfatygowana i poplamiona, przypominała

dokument historyczny.

- Heather ma okropne pismo... - mruknęła, przesuwając wymanikiowanym palcem po kartce na samym wierzchu. Przeczytała cicho, raczej dla siebie niż dla mnie: - „Wizyty dwa razy w roku... dalszy ciąg integracji społecznej... wczesna identyfikacja dodatkowych potrzeb finansowych... - Czytała dalej. Potem wyraz jej twarzy się zmienił; zerknęła na mnie ze zgrozą, z lękiem i współczuciem. Musiała dojść do części o mamie. Wytrzymałam jej spojrzenie. Wzięła głęboki wdech, ponownie spojrzała w papiery, a potem powoli wypuściła powietrze i popatrzyła na mnie znowu.

- Nie miałam pojęcia - zaczęła. Ton jej głosu odzwierciedlał minę. - Czy... bardzo jej pani brakuje?

- Mamy? - odparłam. - Raczej nie.

- Nie, chodziło mi o to, czy... - Nie dokończyła, skrępowana, przejęta, zakłopotana. Och, znałam to wszystko - święta trójca reakcji na Oliphant. Wzruszyłam ramionami, bo nie miałam pojęcia, co chciała powiedzieć.

Zapadło między nami nabrzmiałe żalnością milczenie. Po chwili, która wydawała się trwać wieczność, June Mullen w końcu zamknęła teczkę i uśmiechnęła się z przesadną wesołością.

- A więc, Eleanor, jak sobie radzisz... ogólnie... od ostatniej wizyty Heather?

- Cóż, nic nie wiem o żadnych dodatkowych potrzebach finansowych i w pełni zintegrowałam się społecznie, June - odpowiedziałam.

Przyjęła to ze słabym uśmiechem.

- W pracy wszystko dobrze? Bo widzę, że.... - Ponownie zajrzała do teczki. - ...Pracujesz w biurze?

- W pracy jest okej - odparłam. - Wszystko w porządku.

- A w domu? - zapytała.

Rozejrzała się po pokoju, zatrzymując wzrok na dużym zielonym pufie w kształcie wielkiej żaby; był to pierwszy używany mebel, który dostałam, kiedy się tu wprowadziłam. Z biegiem czasu polubiłam jej wyłupiaste oczy i ogromny różowy język. Pewnego wieczoru, takiego z wódką, podprowadzonym markerem narysowałam na nim wielką muchę domową, *Musca domestica*. Nie jestem pod żadnym względem uzdolniona artystycznie, ale moim skromnym zdaniem było to udane przedstawienie tematu. Czułam, że dzięki temu aktowi przejęłam na własność podarowany przedmiot i uczyniłam z niego coś nowego. Poza tym żaba wyglądała na głodną. June Mullen wyraźnie nie mogła oderwać od niej oczu.

- Wszystko u mnie dobrze, June - poddałam się. - Rachunki zapłacone, serdeczne relacje z sąsiadami. Czuję się świetnie.

Znowu przerzuciła papiery, a potem odetchnęła głęboko. Wiedziałam, co zamierza powiedzieć, rozpoznałam zmianę tonu - obawę, wahanie zawsze poprzedzające ten temat.

- Wciąż, jak rozumiem, nie chcesz znać szczegółów tamtego wypadku ani dowiedzieć się więcej o matce? - Tym razem żadnego uśmiechu.

- Zgadza się - potwierdziłam. - Nie ma potrzeby... Rozmawiam z nią raz w tygodniu, w środę wieczorem, regularnie jak w zegarku.

- Naprawdę? Nadal, po tylu latach? Ciekawe... Chcesz... podtrzymać ten kontakt?

- A dlaczego nie? - zapytałam ze zdziwieniem. Skąd, u licha, opieka społeczna bierze tych wszystkich ludzi?

Celowo przeciągała milczenie i chociaż znałam tę technikę, w końcu nie wytrzymałam i zapełniłam ciszę.

- Sądzę, że mama chciałaby, żebym próbowała dowiedzieć się więcej o... wypadku... ale nie mam takiego zamiaru.

- Nie - powtórzyła, kiwając głową. - Cóż, to, ile chcesz wiedzieć o tym, co się stało, zależy wyłącznie od ciebie. Sąd orzekł jasno... przed laty... że wszystko w tej kwestii podlega twojej decyzji, prawda?

- Właśnie - odparłam - tak to zostało sformułowane.

Spojrzała na mnie uważnie, jak tylu ludzi przed nią, doszukując się w mojej twarzy rysów mamy i czując dziwną ekscytację na myśl, że siedzi tak blisko córki kobiety, którą prasa nazywała wciąż, po tych wszystkich latach, urodziwym obliczem wcielonego zła. Patrzyłam, jak przesuwając wzrokiem po moich bliznach. Wciąż miała lekko otwarte usta i stało się jasne, że ten kostium i fryzura stanowiły nieudolne przebranie szczególnie prostackiej sensatki.

- Mogłabym znaleźć zdjęcie, gdybyś chciała - odezwałam się.

Zamrugnęła i oblała się rumieńcem, a potem zajęła się opasłą teczką, usiłując ułożyć luźne dokumenty w porządną plik. Zauważyłam, że wysunęła się pojedyncza kartka i wylądowała pod stolikiem do kawy. June Mullen tego nie dostrzegła i zastanawiałam się, czy jej o tym powiedzieć. W końcu to

dokument na mój temat, więc formalnie rzecz biorąc, należy do mnie, czyż nie? Oczywiście, zwróciłabym tę kartkę przy następnych odwiedzinach opieki społecznej – nie jestem złodziejką. Wyobraziłam sobie cichy głos mamy mówiący mi, że mam rację, że pracownicy opieki społecznej to ciekawscy, uszczęśliwiający innych na siłę, wścibscy intryganci. June spięła teczkę gumką i moment, żeby wspomnieć o kartce, przeminął.

- Czy... czy jest coś, o czym chciałabyś ze mną porozmawiać? – zapytała.

- Nie, dziękuję – odpowiedziałam, uśmiechając się najszerszej, jak potrafiłam. Wyglądała na nieco wytraconą z równowagi, może nawet lekko przestraszona. Byłam zawiedziona. Chciałam być miła i życzliwa.

- Więc to na razie wszystko, Eleanor, zostawię cię w spokoju – oznajmiła. Chowając teczkę do aktówki, mówiła dalej, przybierając niedbały ton: – Masz jakieś plany na weekend?

- Zamierzam odwiedzić kogoś w szpitalu – odpowiedziałam.

- Och, to ładnie z twojej strony. Wizyty zawsze poprawiają choremu humor, prawda?

- Tak? – rzuciłam. – Nie mam o tym pojęcia. Nigdy nie odwiedzałam nikogo w szpitalu.

- Ale przecież sama spędziłaś w nim dużo czasu – zauważyła.

Popatrzyłam na nią. Dysproporcja w zakresie naszej wiedzy o sobie nawzajem była jawnie niesprawiedliwa. Pracownicy opieki społecznej powinni przedstawiać nowemu podopiecznemu swoje życiorysy, żeby ją wyrównać. W końcu

ta kobieta miała nieograniczony dostęp do grubej brązowej teczki, wielkiej księgi Eleanor, zawierającej informacje z dwudziestu lat o każdym szczególe mojego życia. Ja wiedziałam o niej tylko, jak się nazywa i gdzie pracuje.

- Jeśli wiadomo ci o tym, wiesz także, że ze względu na okoliczności sprawy mogli mnie odwiedzać tylko przedstawiciele policji i reprezentujący mnie prawnicy.

Wytrzeszczyła oczy. Przypomniały mi się twarze klaunów z wesołych miasteczek, te, w których rozdziawione usta próbujesz trafić piłeczką pingpongową, żeby wygrać złotą rybkę. Otworzyłam jej drzwi, patrząc, jak mimowolnie powraca wzrokiem do wielkiej zmodyfikowanej żaby.

- No to do zobaczenia za sześć miesięcy, Eleanor - powiedziała niechętnie. - Wszystkiego dobrego.

Z niezwykłą delikatnością zamknęłam za nią drzwi.

Nie powiedziała nic na temat Polly - uświadomiłam sobie - co było dziwne. Śmiesznie, w imieniu Polly poczułam się niemal obrażona. Przez całe spotkanie siedziała w kącie i bez wątpienia stanowiła najbardziej przykuwający uwagę obiekt w całym pokoju. Moja piękna Polly, prozaicznie nazywana niecierpkim papuzim, a czasami kongijskim kwiatem kakadu, ale mnie znana w chwale terminologii łacińskiej jako *Impatiens niamniamensis*. Często wypowiadam to na głos: *niamniamensis*. To jak pocałunek. Zmusza cię do złączenia ust, potknięcia się na spółgłoskach, wyartykułowania językiem „ns” i „s”. Przodkowie Polly pierwotnie przybyli tu aż z Afryki. Cóż, tak jak my wszyscy. To jedyna stała w moim życiu od dzieciństwa, jedyna żywa rzecz, która przetrwała. Była

prezenterem urodzinowym, ale nie pamiętam od kogo, a to dziwne. Nie byłam przecież dziewczynką zasypywaną prezentami.

Przyszła ze mną z mojego dziecięcego pokoju, przeżyła kolejne rodziny zastępcze i domy dziecka i tak jak ja wciąż tu jest. Dbam o nią, opiekuję się nią, odżywiam ją i przesadzam, kiedy marnieje. Lubi światło i dużo pije. Poza tym wymaga niewiele troski i uwagi, i przeważnie sama sobie radzi. Czasami do niej mówię, nie wstydzę się do tego przyznać. Kiedy dopadają mnie samotność i cisza, osaczając, przygniatając i kalecząc jak lód, od czasu do czasu muszę mówić głośno, choćby tylko po to, aby się przekonać, że żyję.

Pytanie filozoficzne: jeśli w lesie upada drzewo i nie ma nikogo, kto by to usłyszał, czy wtedy wydaje ono jakiś dźwięk? A jeżeli kobieta, całkowicie sama, od czasu do czasu mówi do rośliny, to czy jest zdrowa na umyśle? Jestem pewna, że mówienie czasami do siebie jest zupełnie normalne. I to nie tak, że oczekuję odpowiedzi. Mam pełną świadomość, że Polly to roślina.

Podlałam ją, a potem przeszłam do innych obowiązków domowych, nie mogąc się doczekać, kiedy będę mogła otworzyć laptop i sprawdzić, czy pewien przystojny piosenkarz opublikował w internecie jakieś nowe posty. Facebook, Twitter, Instagram. Okna na świat cudów. Kiedy ładowałam pralkę, zadzwonił telefon. Gość i dzwonek telefonu! Doprawdy dzień godny zapamiętania. Dzwonił Raymond.

- Zadzwoniłem do Boba i opowiedziałem mu, jaka jest

sytuacja, a on znalazł twój numer w teczce personalnej i mi go podał – wyjaśnił.

No, naprawdę. Czy w grubych teczkach można było znaleźć o mnie wszystkie informacje, dostępne dla każdego, kto tylko chciał je znać?

- Co za karygodne nadużycie mojej prywatności, nie wspominając już o naruszeniu prawa o ochronie dóbr osobistych – oznajmiłam. - W przyszłym tygodniu porozmawiam o tym z Bobem.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- No i? – zapytałam.

- A, tak. Właśnie. Przepraszam. Ale powiedziałaś, że zadzwonisz i nie zadzwoniłaś, a ja wciąż jestem w szpitalu. Zastanawiałem się, no wiesz... czy nie zechciałabyś przywieźć rzeczy staruszka? Jesteśmy w Western Infirmary. Och, on nazwa się Sami-Tom.

- Co takiego? – rzuciłam. - Chyba coś ci się pomyliło, Raymondzie. To mały, gruby starszy pan z Glasgow. Niemożliwe, żeby dano mu na chrzcie Sami-Tom. - Zaczęłam mieć poważne obawy co do stanu umysłu Raymonda.

- Nie, nie, Eleanor... Sammy jak... zdrobnienie od Samuel. A Thom jak T-H-O-M.

- Ach tak – odparłam. Nastąpiła kolejna dłuższa chwila ciszy.

- Więc... jak powiedziałem, leży w Western. Wizyty są od siódmej, gdybyś chciała przyjechać...

- Jeśli powiedziałam, że przyjadę, to przyjadę. Jestem słowna. Dziś zrobiło się już trochę późno, więc najlepiej pasowałoby mi jutro, wczesnym wieczorem, jeśli to ci

odpowiada?

- Jasne - odparł. Kolejna przerwa. - Chcesz wiedzieć, co z nim? - Tak, oczywiście - odpowiedziałam. Ten człowiek był wyjątkowo kiepskim rozmówcą, co niezwykle utrudniało całą wymianę zdań.

- Nie najlepiej. Jego stan jest stabilny, ale poważny. Żebyś była przygotowana. Wciąż nie odzyskał przytomności.

- W takim razie nie sądzę, żeby już jutro potrzebował wafelków i parówek, prawda? - zapytałam.

Raymond zaczerpnął tchu.

- Posłuchaj, Eleanor, to zależy od ciebie, możesz przyjechać albo nie, jak chcesz. Rzeczywiście, facet nie potrzebuje pilnie swoich zakupów, więc chyba powinnaś wyrzucić te, które mogą się zepsuć. Jak mówiłem, biedak w najbliższym czasie nie będzie niczego smażył.

- Właśnie. Wydaje mi się nawet, że to przede wszystkim smaženina doprowadziła go do takiego stanu - oznajmiłam.

- Muszę już kończyć, Eleanor - powiedział i nagle się rozłączył. Co za gbur!

Znalazłam się w nie lada rozterce; nie było specjalnie sensu jechać do szpitala, żeby odwiedzić nieprzytomnego obcego człowieka i rzucić mu przy łóżku kłamoty. Z drugiej strony, to byłoby interesujące doświadczenie: znaleźć się w szpitalu jako gość, no i zawsze istniała szansa, że on się obudzi, gdy tam będę. Odniosłam wrażenie, że podobał mu się mój monolog, gdy czekaliśmy na karetkę; przynajmniej o ile mogłam to stwierdzić, biorąc pod uwagę, że był nieprzytomny.

Zastanawiając się nad tym, wzięłam leżącą na podłodze

kartkę i ją odwróciłam. Była nieco pożółkła na brzegach i zalatywała urzędem; metalicznie, szafkami na dokumenty i brudem, jakby dotykały ją liczne niemyte anonimowe ręce. Zauważyłam, że banknoty mają podobny zapach.

Wydział Opieki Społecznej

Stenogram zebrania

15 marca 1999, godz. 10.00

Dotyczy: OLIPHANT, ELEANOR (12.07.1987)

Obecni: Robert Brocklehurst (zastępca kierownika Wydziału Opieki Społecznej do spraw Dzieci i Rodzin), Rebecca Scatcherd (starszy urzędnik Wydziału Opieki Społecznej) oraz państwo Reed (rodzice zastępczy podopiecznej).

Zebranie miało miejsce w domu państwa Reed, których dzieci, łącznie z Eleanor Oliphant, przebywały w tym czasie w szkole. Państwo Reed poprosili o spotkanie przed wyznaczonym terminem, aby przedstawić swoje obawy na temat podopiecznej.

Pani Reed stwierdziła, że zachowanie Eleanor pogorszyło się od czasu ostatniego spotkania przed kilkoma miesiącami. Pan Brocklehurst poprosił o przykłady i państwo Reed oświadczyli, co następuje:

- stosunki podopiecznej z pozostałymi dziećmi niemal całkiem ustały, zwłaszcza z Johnem (lat 14), najstarszym z nich;
- podopieczna na co dzień wykazywała nieposłuszeństwo i zachowywała się niegrzecznie wobec pani Reed. Kiedy ta

próbowała ją dyscyplinować, na przykład wysyłając na górę do dodatkowego pokoju, żeby przemyślała swoje postępowanie, dziewczynka wpadała w histerię i raz nawet zareagowała przemocą fizyczną;

- podopieczna pewnego razu udawała omdlenie w celu uniknięcia kary lub też w odpowiedzi na nią;

- podopieczna wykazywała strach przed ciemnością i wciąż budziła rodzinę histerycznymi krzykami. Otrzymała lampkę nocną i reagowała gwałtownym szlochaniem oraz drgawkami na wszelkie sugestie, żeby się uspokoiła, bo jest już duża;

- podopieczna niejednokrotnie odmawiała jedzenia, które dostawała; posiłki stały się źródłem konfliktów przy stole;

- podopieczna z góry odmawiała wypełniania prostych obowiązków domowych, jak rozpalanie ognia czy wymiatanie popiołu.

Państwo Reed wyrazili poważne obawy o wpływ zachowania Eleanor na pozostałą trójkę dzieci (Johna, lat 14, Elizę, lat 9, i George'a, lat 7) i w świetle tych obaw, a także poprzednich, wyrażanych w trakcie wcześniejszych spotkań, wniesli o rozważenie najlepszego postępowania wobec podopiecznej.

Rodzice zastępczy poprosili też o więcej informacji na temat historii dziewczynki i pan Brocklehurst wyjaśnił, że to niemożliwie, gdyż rzeczywiście nie było takiego zezwolenia.

Pani Scatcherd uzyskała przed spotkaniem opinię wychowawczyni Eleanor; wynikało z niej, że dziewczynka w szkole dobrze się sprawuje i osiąga dobre oceny ze wszystkich przedmiotów. Zdaniem wychowawczyni jest wyjątkowo bystrym i elokwentnym dzieckiem, o zaskakująco

szerokim słownictwie. Poszczególni nauczyciele twierdzili, że na lekcjach zachowuje się cicho i grzecznie, choć słucha uważnie. Kilku członków personelu zauważyło, że Eleanor jest bardzo wycofana i izoluje się podczas przerw, nie nawiązując kontaktów z rówieśnikami.

Po długiej dyskusji, wobec powtarzanych przez państwa Reed obaw o wpływ zachowania Eleanor na inne dzieci, uzgodniono, że najlepszym wyjściem będzie zabranie dziewczynki z rodziny zastępczej.

Państwo Reed wyrazili zadowolenie z takiego rozwiązania i pan Brocklehurst poinformował, że wydział powiadomi ich co do dalszych kroków.

Dopisek: 12 listopada 1999 roku odbyła się Rewizja Nakazu Przymusowego Nadzoru dotyczącego Eleanor Oliphant, z udziałem pana Brocklehursta i pani Scatcherd (stenogram w załączeniu).

Rada do Spraw Dzieci orzekła, że wobec zachowania dziewczynki w tym i poprzednim miejscu pobytu opieka rodziny zastępczej nie jest obecnie dla niej wskazana. Dlatego też uzgodniono, że Eleanor powinna zostać umieszczona na razie w domu dziecka i że decyzja ta zostanie zweryfikowana przez radę po dwunastu miesiącach.

(Działania: p. Scatcherd ma zbadać dostępność miejsc w pobliskich placówkach i powiadomić państwa Reed o spodziewanym terminie przeniesienia).

R. Scatcherd, 11.12.1999

**Kłamstwa. Kłamstwa, kłamstwa,
kłamstwa.**

W autobusie było pusto, więc miałam dla siebie dwuosobowe miejsce; zakupy starszego pana spoczywały obok w dwóch ekotorbach z Tesco. Parówki i żółty ser wyrzuciłam, a mleko zatrzymałam dla siebie; uznałam, że to nie kradzież, bo właściciel i tak go nie wykorzysta. Miałam skrupuły, wyrzucając inne artykuły o krótkim terminie przydatności. Niektórzy ludzie uważają, że marnotrawstwo to grzech, i po głębokim namyśle zgadzam się z nimi. Mnie jednak wpojono inny sposób myślenia; mama zawsze mówiła, że tylko zapracowani chłopcy i brudni robotnicy przejmują się tak trywialnymi rzeczami.

Mama twierdziła, że my jesteśmy monarchiniami, sułtankami i maharaniem w domu i naszym obowiązkiem jest wieść życie sybarytek, pełne przyjemności i rozkoszy. Każdy posiłek powinien być epikurejską ucztą dla zmysłów, powtarzała, i raczej należy chodzić głodnym, niż kłaść podniebienie czymś mniej wyrafinowanym niż najlepsze przysmaki. Opowiadała mi, jak na nocnych targowiskach Koulunu jadła smażone z chili tofu i że najlepsze sushi poza Japonią można spotkać w São Paulo. Najpyszniejszym daniem, jakie kosztowała w życiu, była ośmiornica pieczona na węglu drzewnym, którą jadła pewnego letniego wieczoru o zachodzie słońca w niepozornej portowej knajpie na Naksos. Patrzyła, jak rybacy przywożą rano ośmiornicę, a potem przez całe popołudnie sączyła ouzo, podczas gdy pracownicy kuchni

uderzali głowonogiem o portowy mur, żeby jego mięso z przyssawkami stało się miękkie i delikatne. Muszę ją zapytać, jakie jedzenie jest tam, gdzie teraz przebywa. Podejrzewam, że *lapsang souchong* i *langues de chat* to rzadkie przysmaki.

Pamiętam, jak kiedyś koleżanka zaprosiła mnie po szkole do domu. Tylko mnie. „Na herbatę”. Już samo to wprowadziło mnie w dezorientację; spodziewałam się, niebezpiecznie, że zostanę poczęstowana popołudniową herbatą, podczas gdy matka dziewczynki przygotowała dla nas coś w rodzaju wczesnej kolacji. Wciąż to pamiętam: trzy pomarańczowobeżowe paluszki rybne, rozpaćkana fasolka z puszki i kopczyk bladych frytek z piekarnika. Nigdy nie widziałam tych produktów, nie mówiąc już o jedzeniu, więc zapytałam, co to jest. Następnego dnia Danielle Mearns opowiedziała o tym w klasie, a wszyscy się śmiali i nazywali mnie Fasolowym Dziwadłem (w skrócie Fasoldziwo, co na jakiś do mnie przyłgnęło). Nieważne; nie chodziłam długo do szkoły. Zdarzył się bowiem incydent z nadmiernie dociekliwą nauczycielką, która skierowała mnie do szkolnej pielęgniarki; mama uznała, że wspomniana nauczycielka była „ledwie piśmienną, jednojęzyczną kretynką, która mogła pochwalić się jedynie certyfikatem z udzielania pierwszej pomocy”. Potem uczyłam się już w domu.

Matka Danielle podała nam zamiast puddingu jogurt owocowy Klub Chrup-Chrup, więc ukradkiem schowałam pusty pojemniczek do tornistra, żeby później dokładnie go obejrzeć. Artykuł ten nazwą i opakowaniem nawiązywał do

animowanego serialu dla dzieci, którego bohaterami były owoce i warzywa. A mówili, że to ja jestem dziwadłem! Inne dzieci w szkole z niechęcią odnosiły się do faktu, że nie znałam żadnych programów telewizyjnych. Nie miałyśmy telewizora; mama nazywała go katodowym kancerogenem, rakiem dla intelektu, więc czytałyśmy albo słuchałyśmy płyt, czasami grałyśmy w tryktraka albo madżonga, jeśli była w dobrym humorze.

Zdziwiona moim brakiem kontaktu z mrożonkami, matka Danielle zapytała, co jada się u mnie w domu do herbaty.

- Nie ma reguły - odparłam.

- A tak w ogóle co jesz? - indagowała, autentycznie zaintrygowana.

Wymieniałam niektóre z dań. Aksamitne szparagi z kaczym jajem w koszulce i olejem orzechowym. *Bouillabaisse* z domowej roboty sosem *rouille*. Kurczęta glazurowane miodem z selerowym purée. W sezonie *linguine* ze świeżymi truflami i masłem. Wytrzeszczyła na mnie oczy.

- To wszystko strasznie... wyszukane - zauważyła.

- O nie, czasami to naprawdę bardzo proste dania - odparłam - jak chleb na zakwasie z serem *manchego* i pastą z pigwy.

- No tak - skwitowała, wymieniając spojrzenia z Danielle, która gapiła się na mnie z otwartą buzią, ukazując częściowo przeżutą fasolkę. Żadna nie powiedziała nic więcej. Pani Mearns postawiła na stole butelkę gęstego czerwonego płynu, który Danielle wstrząsnęła energicznie i poląła nim pomarańczowobeżowe jedzenie.

Oczywiście, gdy wzięto mnie pod opiekę, szybko zaznajomiłam się z nową kulinarną rodziną; Aunt Bessie, Captain Birdseye i Uncle Ben, wszyscy stali się w kuchni stałymi bywalcami i niczym jakiś sommelier od sosów już potrafiłam odróżnić po zapachu HP Sauce od Daddies. Była to jedna z niezliczonych rzeczy, pod względem których moje nowe życie zasadniczo różniło się od starego. Przed pożarem i po nim. Jednego dnia jadłam na śniadanie melona z fetą i nasionami granatu, a następnego chleb tostowy z margaryną. Tak przynajmniej mówiła mi mama.

Autobus zatrzymał się pod samym szpitalem. Na dole budynku mieścił się sklep wielobranżowy. Domyślałam się, że idąc w odwiedziny do pacjenta, należy przynieść mu prezent, ale co miałam kupić? Nie znałam Sammy'ego, nic a nic. Wiktuały wydawały się bez sensu, ponieważ celem mojej wizyty było odniesienie mu zakupów. Zważywszy na to, że wciąż był nieprzytomny, wszelkie lektury również nie znajdowały zastosowania. Nic innego jednak nie przychodziło mi do głowy. W sklepie oferowano także niewielki asortyment kosmetyków, ale uznałam, że byłoby to niestosowne, gdybym jako obca osoba płci przeciwnej sprezentowała starszemu panu coś związanego z funkcjami życiowymi, a poza tym tubka pasty do zębów czy paczka nożyków do golenia nie wydawały mi się ujmującymi podarunkami.

Próbowałam sobie przypomnieć najmiłszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Z wyjątkiem Polly, rośliny w doniczce, nic nie przychodziło mi do głowy. Za to naszła mnie myśl o Declanie, moim pierwszym i jedynym chłopaku, którego

prawie udało mi się wymazać z pamięci, gdyż wspomnienie o nim nie należało do przyjemnych. Przypomniałam sobie, jak kiedyś, widząc jedyną kartkę urodzinową, jaką dostałam (od dziennikarki, która jakoś zdołała mnie wytropić i załączyła liścik, proponując, że zapłaci znaczną sumę za wywiad, kiedykolwiek i gdziekolwiek zechcę), oświadczył, że specjalnie ukryłam przed nim datę swoich urodzin. Dlatego na dwudzieste pierwsze uderzył mnie w nerki i gdy leżałam na podłodze, skopał do nieprzytomności, aż zemdlałam, a potem podbił mi oko „za zatajanie informacji”. Oprócz tych urodzin pamiętałam jeszcze tylko jedenaste. Dostałam srebrną bransoletkę od rodziny zastępczej, u której wtedy mieszkałam, z wisiorkiem w kształcie misia. Byłam bardzo wdzięczna za ten prezent, ale nigdy go nie nosiłam. Nie jestem misiowa.

Zaczęłam się zastanawiać, jaki prezent mógłby ofiarować mi mój przystojny muzyk, powiedzmy, na urodziny albo pod choinkę. Nie, chwileczkę - na walentynki, szczególnie, najromantyczniejszy dzień roku. Może napisałby dla mnie piosenkę, coś pięknego, a potem zagrałby mi ją na gitarze, podczas gdy ja sączyłabym idealnie schłodzonego szampana. Nie, nie na gitarze, to zbyt oczywiste. Zrobiłby mi niespodziankę, ucząc się grać na... fagocie. Tak, zagrałby mi tę melodię na fagocie.

Ale wracając do spraw bardziej prozaicznych. Z braku innych pomysłów kupiłam Sammy'emu gazety, bo pomyślałam, że przynajmniej mogłabym przeczytać mu je na głos. Razem stanowiły znośny wybór. Sądząc z wyglądu starszego pana

i zawartości jego toreb na zakupy, uznałam, że należy raczej do czytelników „Daily Star” niż „Daily Telegraph”. Nabyłam więc parę brukowców i postanowiłam zanieść mu także jakiś periodyk. To przedstawiło już pewną trudność. Tyle ich było. „Condé Nast Traveler”, „Yachts” i „Yachting, Now!” – skąd mogłam wiedzieć, które wybrać? Nie miałam pojęcia, czym on się interesuje. Myślałam wnikliwie i racjonalnie, żeby wydedukować odpowiedź. Jedyne, co wiedziałam o nim na pewno: jest dorosłym mężczyzną, wszystko inne było czystym domysłem. Zdałam się na rachunek prawdopodobieństwa, wspięłam się na palce i sięgnęłam po „Playboya”. I po sprawie.

W szpitalu było gorąco, skrzypiała podłoga. Przed wejściem na salę znajdował się podajnik z antybakteryjnym żelem do rąk; widniał na nim napis: „Nie do picia”. Czyżby ludzie naprawdę pili żel do rąk? Chyba tak – stąd to ostrzeżenie. Jakaś część mnie, malutka, przez chwilę miała ochotę pochylić głowę i spróbować kropelkę, tylko dlatego, że było to zabronione. Nie, Eleanor, nakazałam sobie. Zapanuj nad buntowniczymi skłonnościami. Zostań przy herbacie, kawie i wódce.

Miałam obawy co do umycia rąk tym żelem. Może źle wpłynie na moją egzemę? W końcu jednak go użyłam. Higiena jest ważna – Boże broń, żebyśmy miała stać się przyczyną infekcji. Sala była duża, z rzędami łóżek pod ścianami. Wszyscy pacjenci wyglądali tak samo: łysi, bezzębni starzy mężczyźni, którzy albo drzemali, albo patrzyli przed siebie pustym wzrokiem, z zapadniętymi policzkami. Dostrzegłam Sammy'ego na samym końcu szeregu łóżek po lewej stronie,

ale tylko dlatego, że był gruby. Pozostali wyglądali jak szkielety obciągnięte poszarzałą skórą. Usiadłam przy nim na winylowym, łatwym do czyszczenia krześle. Nigdzie w pobliżu nie było Raymonda.

Sammy miał zamknięte oczy, ale najwyraźniej nie był nieprzytomny. Leżałby na innej sali, podłączony do różnych urządzeń, no nie? Byłam ciekawa, dlaczego Raymond kłamał. Pierś Sammy'ego regularnie wznosiła się i opadała, z czego wynikało, że starszy pan śpi. Zrezygnowałam z czytania mu, bo nie chciałam go budzić, i położyłam plik gazet razem z „Playboyem” na szafce przy łóżku. Otworzyłam ją, żeby schować do środka torby z zakupami. Znajdował się tam tylko portfel i komplet kluczy. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie zajrzeć do portfela i nie sprawdzić, czy zawiera jakieś informacje o właścicielu; już miałam po niego sięgnąć, gdy usłyszałam za sobą chrząknięcie, zaflegmione, a więc wskazujące na palacza.

- Eleanor. Przyjechałaś - powiedział Raymond. Przysunął sobie krzesło po drugiej stronie łóżka.

Popatrzyłam na niego.

- Dlaczego kłamałaś, Raymondzie? Sammy wcale nie jest nieprzytomny. Tylko śpi. To zupełnie co innego.

Raymond się zaśmiał.

- Tak, rzeczywiście, to wspaniała nowina. Obudził się parę godzin temu. Wygląda na to, że doznał poważnego wstrząsu mózgu i złamał biodro. Nastawili je dzisiaj... śpi po znieczuleniu, ale mówią, że dojdzie do siebie. - Pokiwał głową i nagle wstał. - Powinniśmy zostawić go w spokoju - oznajmił.

Prawdę mówiąc, chciałam już wyjść ze szpitala. Było tam zbyt gorąco, zbyt znajomo – koce, chemiczne i organiczne zapachy, twarde metalowe ramy łóżek i plastikowe krzesła. Ręce piekły mnie od żelu, który przeniknął w rany na skórze. Skierowaliśmy się razem do windy i zjechaliśmy nią w milczeniu. Na parterze drzwi się rozsunęły i poczułam, że nogi same niosą mnie w stronę wyjścia z budynku.

Był to jeden z tych pięknych wieczorów w środku lata – godzina ósma, a na dworze wciąż ciepło i jasno. Ściemnić się miało dopiero przed jedenastą. Raymond zdjął kurtkę, spod której ukazał się kolejny śmieszny T-shirt, tym razem żółty, z dwoma białymi kogutkami na przodzie. „Los Pollos Hermanos” – głosił napis. Absurdalne. Spojrzał na zegarek.

– Muszę kupić jakieś żarcie na wynos i wpaść do kumpla, Andy'ego. Kilku z nas zbiera się u niego w sobotnie wieczory. Odpalamy PlayStation i wypijamy kilka piw.

– Cudownie – skomentowałam.

– A ty? – zapytał.

Oczywiście, wracałam do domu, żeby pooglądać telewizję albo przeczytać książkę. Co innego miałam robić?

– Jadę do siebie – odpowiedziałam. – Później na BBC4 ma być film o waranach z Komodo.

Ponownie zerknął na zegarek, a potem spojrzął na bezkresne błękitne niebo. Na chwilę zapadła cisza, w pobliżu odezwał się kos; zaśpiewał tak efektownie, że wręcz graniczyło to z kiczem. Oboje słuchaliśmy go, a kiedy uśmiechnęłam się do Raymonda, odpowiedział tym samym.

– Słuchaj, to zbyt przyjemny wieczór, żebyś siedziała sama

w domu. Nie masz ochoty na szybkie piwo? Muszę lecieć za godzinkę, zanim zamkną sklepy alkoholowe, ale do tego czasu...

Ta propozycja wymagała dogłębnego namysłu. Od wielu lat nie byłam w lokalu publicznym, a Raymonda trudno było uznać za ciekawe towarzystwo. Szybko jednak doszłam do wniosku, że to może się okazać pożyteczne z dwóch powodów. Po pierwsze, byłoby to przydatne doświadczenie, bo gdyby wszystko poszło dobrze, Johnnie Lomond pewnie chciałby zabrać mnie do takiego lokalu na którejś z randek, więc chyba powinnam zapoznać się wcześniej z topografią tego rodzaju miejsc i wymaganym w nich zachowaniem. Po drugie, Raymond był specjalistą od komputerów – przynajmniej powinien być – a ja potrzebowałam kogoś takiego. Porada informatyka może okazać się kosztowna, gdybym chciała zasięgnąć jej oficjalnymi kanałami, a teraz mogłam ją uzyskać od niego, za darmo. Wziąwszy wszystko pod uwagę, należało przyjąć propozycję Raymonda, który zapatrzył się w dal. Zauważyłam, że w czasie, gdy się namyślałam, wypalił papierosa prawie do połowy.

- Dobrze, pójdę z tobą do pubu na jednego – powiedziałam, kiwając głową.

- Super – skwitował.

Zatrzymaliśmy się przed pubem, który znajdował się pięć minut drogi od szpitala, przy głównej ulicy. Jeden ze stolików na dworze był wolny. Metalowy blat pokrywały plamy, a nogi sprawiały wrażenie niestabilnych, ale Raymond wyglądał na zachwyconego.

- Miejsce na zewnątrz! - zawołał. Rzucił się na krzesło i powiesił kurtkę na oparciu. - No to idę do baru - oświadczył.
- Co dla ciebie, Eleanor?

Poczułam ściskanie w żołądku. Po pierwsze, siedząc na dworze, nie zobaczę, jak wygląda wnętrze lokalu publicznego i co się w nim dzieje. Po drugie, nie wiedziałam, co zamówić. Co normalni ludzie piją w takich miejscach? Postanowiłam przejąć kontrolę nad sytuacją.

- Raymondzie, ja pójdę do baru. Nalegam. Co mam dla ciebie wziąć? - Próbował protestować, ale wykazałam stanowczość i w końcu ustąpił, choć nie był zadowolony. Nie miałam pojęcia, dlaczego robi z tego taką aferę.

- No dobrze, wobec tego poproszę dużego guinnessa. Ale wołałbym, żebyś pozwoliła mi pójść po drinki.

Położyłam na stole obie ręce i nachyliłam się do przodu, zbliżając twarz do Raymonda.

- Ja kupię drinki. To dla mnie ważne, z powodów, których wołałabym nie zdradzać.

Wzruszył ramionami, a potem kiwnął głową, a ja ruszyłam do drzwi.

W środku było bardzo ciemno i głośno - z wielkich głośników dobiegała pulsująca muzyka nieznanego mi gatunku. Nie widziałam żadnego tłoku, a nawet byłam przy barze jedyną klientką. Gości obsługiwali młody mężczyzna i młoda kobieta; to znaczy, nie tyle obsługiwali, ile byli pogrążeni w ożywionej rozmowie; ona chichotała jak dzierlatka, a jej tlenione włosy fruwały wokół głowy; on żartobliwie walił ją w ramię i śmiał się donośnie. Co za maniery! Ludzkie zwyczaje godowe są,

gdy się patrzy z boku, niewiarygodnie nużące. W świecie zwierząt od czasu do czasu przynajmniej obserwuje się pokaz upierzenia albo przejaw wyjątkowej gwałtowności. Machanie włosami i bicie na niby to zupełnie nie to samo.

Znudziłam się, więc zapukałam mocno trzy razy w drewniany blat, jak do drzwi. Oboje spojrzeli na mnie. Poprosiłam o dużego guinnessa, którego chłopak zaczął nalewać z beczki.

- Coś jeszcze? - rzucił.

Wciąż byłam niezdecydowana. Uznałam, że do jego obowiązków należy pomaganie klientom w takiej sytuacji.

- A co by pan polecił? - zapytałam.

Uniósł głowę znad ciemnego płynu spływającego do kufla.

- E?

- Zapytałam, co by mi pan mógł polecić. Przeważnie nie pijam w lokalach.

Zerknął w prawo i w lewo, jakby się spodziewał, że ktoś tam stoi. Nastąpiła długa chwila milczenia.

- No... - odezwał się wreszcie. - No to... Cydr jest bardzo popularny. Z lodem? Świetny napój na lato.

- Aha - odparłam - dziękuję. W takim razie, skoro pan poleca, poproszę cydr.

Otworzył brązową butelkę i postawił na barze. Potem wrzucił do wysokiej szklanki kostki lodu i umieścił ją obok butelki.

- Co to jest? - zapytałam.

- Cydr.

- A po co ta pusta szklanka?

- Na cydr - wyjaśnił.

- Ja mam przelać napój z butelki do szklanki? - zapytałam ze zdziwieniem. - Czy nie na tym polega pańska praca?

Popatrzył na mnie, powoli nalał brązowego płynu do szklanki z lodem, a potem odstawił butelkę, a właściwie walnął nią o blat.

- Osiem siedemdziesiąt - rzucił nieprzyjemnym tonem.

Wręczyłam mu banknot pięciofuntowy i cztery monety funtowe, a potem odebrałam resztę i starannie włożyłam do portmonetki.

- Czy znajdzie się tu przypadkiem taca? - zapytałam.

Rzucił mi brudną, klejącą się tacę i patrzył, jak stawiam na niej szklanki, a potem się odwrócił. W tak zwanym sektorze usług można zauważyć rażący brak dobrych manier!

Raymond podziękował mi za piwo i pociągnął głęboki łyk. Cydr był całkiem smaczny, co nieco złagodziło moją opinię o młodym barmanie. Owszem, jego stosunek do klienta pozostawiał wiele do życzenia, ale przynajmniej wiedział, co zarekomendować. Raymond z własnej inicjatywy zaczął opowiadać o swojej matce, o tym, że zamierza ją nazajutrz odwiedzić i że robi to co niedziela. Była wdową i nie czuła się najlepiej. Miała koty, dużo kotów, więc pomagał jej przy nich. Rozwodził się nad tym i rozwodził. Przerwałam mu.

- Raymondzie - zaczęłam - mogę cię o coś zapytać?

Łyknął piwa.

- Jasna sprawa.

- Gdybym chciała nabyć telefon typu smart, jaki model byś polecił? Próbuję porównać zalety iPhonów w stosunku do

urządzeń z systemem android i byłabym wdzięczna za opinię fachowca w kwestii kosztów.

Sprawiał wrażenie, że jest nieco zaskoczony moim pytaniem, co było dziwne, zważywszy, że pracował w dziale informatycznym i w związku z tym często musiał odpowiadać na podobne pytania.

- Dobra, więc... - Pokręcił głową, trochę w psim stylu, jakby otrząsał się z jakichś myśli. - ...To zależy od wielu czynników. - Obszernie je wyłożył, nie dochodząc do żadnych pożytecznych konkluzji, a potem spojrzał na zegarek. - Cholera! Pora na mnie... muszę jeszcze kupić po drodze browar, a już prawie dziesiąta. - Dopił piwo, wstał i włożył kurtkę, choć wcale nie było zimno.

- Dotrzesz sama do domu, Eleanor? - zapytał.

- Tak - odparłam. - Przejdę się... jest taki piękny wieczór i wciąż jasno.

- No dobrze, wobec tego do zobaczenia w poniedziałek - powiedział. - Miłej niedzieli! - Odwrócił się, żeby odejść.

- Poczekaj! - zawołałam.

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Co takiego, Eleanor?

- Chodzi o guinnessa, Raymondzie. Trzy funty pięćdziesiąt. - Popatrzył na mnie. - W porządku - rzekłam. - Nie ma pośpiechu. Możesz oddać mi w poniedziałek, jeśli wolisz.

Odliczył cztery funty w monetach i położył je na stole.

- Reszta dla ciebie - powiedział i odszedł.

Co za rozrzutność! Schowałam pieniądze do portmonetki i dopiłam cydr. Ośmielona sfermentowanym sokiem

jabłkowym, postanowiłam wrócić do domu okrężną drogą.
Tak. Czemu nie? Przyszła pora wybrać się na rekonesans.

8

Nie ma, rzecz jasna, czegoś takiego jak piekło, ale gdyby było, to tłem muzycznym dla krzyków, dźgania widłami i straszliwych jęków dusz potępionych musiałaby być powtarzająca się w kółko składanka melodii musicalowych, zaczerpniętych z annałów teatrów muzycznych. Na pewno bez przerwy wystawiano by tam, na scenie w ognistej otchłani, dzieła zebrane Lloyda Webera i Tima Rice'a, a złożona z grzeszników publiczność musiałaby je oglądać - i słuchać - aż po wieczność. W obsadzie występowałiby najgorsi z nich, pedofile i zbrodniczy dyktatorzy.

Jeśli nie liczyć wspaniałej twórczości niejakiego pana Lomonda, musiałam dopiero znaleźć gatunek muzyczny, który lubię; przeważnie to słyszalna fizyka, fale i naładowane energią cząsteczki, a ja jak większość zdrowych ludzi nie przejawiam zainteresowania tą dziedziną nauki. Dlatego wydało mi się dziwne, że nucę melodię z *Olivera!* W myśli opatrzyłam tytuł wykrzyknikiem, który po raz pierwszy wydał mi się stosowny. „Kto kupi ten cudowny wieczór?” No właśnie, kto?

Jedni z rodziców zastępczych mieli kolekcję musicali na wideo, których musieliśmy słuchać w weekendy *en famille*, więc siłą rzeczy, choćbym nie chciała, jestem obeznana z dziełami Barta, Rodgersa, Hammersteina *et al.* Mając świadomość, że znajduję się „tu, na ulicy, przy której mieszka”, czułam się dziwnie, jakby rozdygotana i przejęta, na skraju

euforii. Niemal rozumiałam tego błazna we fraku z *My Fair Lady*, który czuł potrzebę wykrzyczenia czegoś podobnego po oknem Audrey Hepburn.

Łatwo było się dowiedzieć, gdzie mieszka mój muzyk. Zamieścił na Twitterze zdjęcie uroczego zachodu słońca:

@johnnieLrocks

Widok z mojego okna: farciarz ze mnie, co?

#latowmieście #szczęściarz

Na zdjęciu było widać dachy, drzewa i niebo, ale w rogu dało się zauważyć pub, na samym końcu ulicy, z wyraźnie czytelnym szyldem. W kilka sekund znalazłam jego adres.

Przy ulicy, jak przy większości w tej części miasta, wznosiły się czynszówki. Wszystkie miały pozamykane bramy i domofon z nazwiskami lokatorów. To była ta ulica. Od której strony miałam zacząć? Od tej z parzystymi numerami, postanowiłam. Wyglądał mi raczej na prawego niż lewego. Miałam zagadkę do rozwiązania. Podczas akcji nuciłam sobie; nie pamiętałam, kiedy ostatni raz tak się czułam – lekka, bystra, szybka. Pewnie, że to jest właśnie szczęście.

Fascynujące było widzieć różne nazwiska na przyciskach domofonu, w dodatku rozmaicie napisane. Jedne nagryzmołone długopisem na niedbale przyklejonych karteczkach samoprzylepnych. Inne wystukane na komputerze, wydrukowane i przyklepione trzema warstwami taśmy klejącej. Kilka przycisków w ogóle było bez nazwisk, a na niektórych karteczki tak spłowiały, że stały się nieczytelne. Miałam nadzieję, że w jego przypadku będzie

inaczej, ale na wszelki wypadek zapisywałam te adresy w notesie. Gdybym nie znalazła jego nazwiska wśród tych czytelnych, musiałabym zacząć od nowa, szukając wśród niepodpisanych przycisków.

Och, ale jak mogłam w niego wątpić? W połowie ulicy, pod najbardziej parzystym numerem z parzystych, widniało: „W. Pan J. Lomond”. Stałam pod domofonem, przyglądając się pismu. Nazwisko było napisane starannie, ale artystycznie, klasycznym czarnym atramentem na grubym białym papierze. A więc to on.

Wydawało się mało prawdopodobne, żeby ktoś taki jak on, popularny przystojny mężczyzna, mający u stóp cały świat, był w domu w sobotni wieczór, dlatego aby sprawdzić, jakie to uczucie, czubkiem palca wskazującego lekko dotknęłam przycisku. Rozległ się brzęczyk i po chwili dobiegł mnie męski głos. Byłam trochę zaskoczona, mówiąc łagodnie.

- Halo? - powtórzył.

Głos głęboki, wyraźny, opanowany. Miód i dym, aksamit i srebro. Szybko przebiegłam wzrokiem po nazwiskach lokatorów i wybrałam jedno, na chybił trafił.

- Pizza dla... MacFaddenów? - zapytałam.

Usłyszałam, jak westchnął.

- Mieszkają na ostatnim piętrze - oznajmił i się rozłączył.

Drzwi przy wtórze brzęczenia kliknęły. Nie zastanawiając się, weszłam.

Mój muzyk mieszkał na parterze, po prawej stronie. Nad dzwonkiem znajdowała się dyskretna mosiężna tabliczka z nazwiskiem. Zatrzymałam się przy drzwiach i wyteżyłam

słuch. Ze środka nie dochodziły żadne dźwięki, słyszałam jedynie stłumione odgłosy ulicy. Piętro wyżej grzmiał telewizor. Wyjęłam notes i wyrwałam czystą kartkę. Przyłożyłam ją do tabliczki, wydobyłam ołówek i zaczęłam smarować nim po kartce. Po chwili miałam doskonałe faksymile tabliczki, które starannie włożyłam do torby, między strony notesu. Drzwi do budynku były otwarte, a drzwi do jego mieszkania, typowo wiktoriańskie, z mahoniem i matowego trawionego szkła, znajdowały się kusząco blisko.

Stałam tak blisko nich, jak tylko się odważyłam. Nie słyszałam zza nich nic, żadnego ruchu. Niemal widziałam zarys regału na książki, obrazu. Kulturalny człowiek. Ile mieliśmy wspólnego!

Stężałam. Usłyszałam coś: delikatne palce na wibrującej stali i rozchodzący się w powietrzu drążący akord, mglisty, mleczny, niczym światło starej, bardzo starej gwiazdy. Głos: ciepły i łagodny, z tych, co rzucają czar, zaklinają węże, kształtują bieg snów. Mogłam tylko nachylić się ku niemu i zbliżyć jeszcze bardziej. Przytknęłam ucho do szkła. Pisał piosenkę, pracował nad wszystkim - słowami, melodią, emocjami. To rzadki przywilej móc przysłuchiwać się tworzeniu! Śpiewał z natury, mój piękny Orfeusz. Ten jego głos. Ten głos!

Odchyliłam głowę do tyłu i przymknęłam oczy. Wyobraziłam sobie niebo. Granatowoczarne, miękkie i gęste jak futro. Za przestworem nocy, w jej aksamitnych głębinach, widniało rozproszone światło, wystarczająco mocne, aby rozjaśnić ciemności. Ukazały się wzory, oko, cudownie olśnione,

wydobywało zwoje muszli ślimaka i roztrzaskane perły, bogów, potwory i planety. Stojąc nieruchomo, jednocześnie się obracaliśmy i podczas tego wirowania zataczaliśmy coraz szersze kręgi wokół słońca, i och, ten oszałamiający pęd...

Muzyka umilkła i zobaczyłam za szybą nagły zamazany ruch. Cofnęłam się i z sercem walącym jak młotem szybko ruszyłam po schodach na górę. Nic. Przystanąłam na półpiętrze i odczekałam chwilę. Nadal nic.

Zeszłam na palcach z powrotem i znowu zbliżyłam się do drzwi jego mieszkania. Ponownie zabrzmiała muzyka, ale nie chciałam mu więcej przeszkadzać. W końcu przyszłam tylko po to, żeby zobaczyć, gdzie mieszka... w patrzeniu nie ma nic złego. Misja wypełniona.

Była to czysta rozrzutność, ale znalazłszy się na ulicy, zatrzymałam przejeżdżającą taksówkę. Wieczór był długi, ale zdecydowanie przeszedł już w noc i nie chciałam dłużej przebywać sama na dworze. W ciemności dzieją się złe rzeczy. Obliczyłam, że kurs do domu będzie mnie kosztował około sześciu funtów, ale nie miałam wyboru. Zapięłam pas i zamknęłam szklaną zasłonę odgradzającą mnie od kierowcy. Nie chciało mi się słuchać jego opinii na temat piłki nożnej, rady miejskiej czy czegokolwiek innego. Miałam tylko jedno w głowie. Czy, mówiąc dokładniej, jednego.

Po godzinie albo dwóch dotarło do mnie, że tak łatwo nie zasnę. Włączyłam światło i obejrzałam swoje koszule nocne. Mam dwie, na zmianę, gdy jedna idzie do prania. Są identyczne, obie długie do kostek, pod samą szyję, uszyte z bawełny. Są w kolorze cytrynowym. Ten odcień przypomina

mi landrynki, które wprawdzie nie pojawiały się w moim wczesnym dzieciństwie, ale stanowiły tęskne marzenie. Kiedy byłam mała, mama jako przekąskę wkładała mi do ust oliwkę nadziewaną papryczką albo od czasu do czasu tłuste anchois z żółto-czerwonej puszki w kształcie trumny. Zawsze podkreślała, że wyrefinowane podniebienia wolą wytrawne smaki i że tanie słodycze są dla biednych, którym rujną zęby. Ona sama miała bardzo ostre, bielutkie zęby.

Jedynymi słodyczami do przyjęcia są, jak twierdziła, prawdziwe belgijskie trufle (Neuhaus, *nom de dieu*; tylko turyści kupują te ohydne czekoladowe muszelki) albo okazałe daktyle Medjool z suków w Tunisie, z których ani jednych, ani drugich raczej nie można było dostać w miejscowym supermarkecie. Był taki czas... niedługo przed... wypadkiem... kiedy robiła zakupy tylko w Fortnum's, i przypominam sobie, że wtedy regularnie korespondowała z Fauchonem na temat niedoskonałości ich *confiture de cerises*. Pamiętam ładne czerwone znaczki na listach z Paryża: *Liberté, Egalité, Fraternité*. Nie było to raczej motto mamy.

Złożyłam poduszkę na pół, żeby podeprzeć się na niej, siedząc. Sen nie nadchodził, a ja potrzebowałam czegoś na uspokojenie. Sięgnęłam w szparę między materacem a ścianą i znalazłam swoją starą wierną towarzyszkę w sfatygowanej wysłużonej okładce. *Jane Eyre*. Mogłam otworzyć tę powieść na dowolnej stronie i od razu wiedziałam, który to moment historii, potrafiłam niemal przywołać następne zdanie. Była to stara edycja, z penguinowskiej serii klasyki, z portretem panny Brontë na okładce. Znajdujący się w środku ekslibris

głosił: „Szkółka niedziela parafii św. Eustachego, w nagrodę dla Eleanor Oliphant za stuprocentową obecność, 1998”. Miałam za sobą bardzo ekumeniczne wychowanie, ponieważ przebywałam pod opieką presbiterian, anglikanów, katolików, metodystów i kwakrów, a także kilku oryginałów, którzy nie rozpoznaliby Boga nawet wtedy, gdyby wskazał na nich przewodzącym prąd palcem Michała Anioła. Poddawałam się wszelkim próbom edukacji duchowej tak samo niechętnie. Szkółka niedzielna albo jej odpowiedniki pozwalały mi jedynie wyjść z domu, w którym aktualnie mieszkałam, a czasami oferowały kanapki czy rzadziej – znośne towarzystwo.

Otworzyłam książkę na chybił trafił. Padło na kluczową scenę, tę, w której Jane poznaje pana Rochestera; spada on ze spłoszonego przez nią w lesie konia. Jest tam też Pilot, piękny pies myśliwski o smutnych oczach. Jeśli ta powieść ma jakąś wadę, to tę, że za mało poświęcono w niej miejsca Pilotowi. W literaturze nigdy dość o psach.

Jane Eyre. Dziwne dziecko, trudne do pokochania. Samotne, pozbawione rodzeństwa. Tyle się wycierpiała, i to w tak młodym wieku – wskutek śmierci bliskich, braku miłości. Ale w końcu to pan Rochester ulega poparzeniu. Wiem, jakie to uczucie. Znam je.

W mrocznej godzinie nocy wszystko wydaje się straszniejsze; ze zdziwieniem usłyszałam, że ptaki wciąż śpiewają, choć brzmiało to gniewnie. Biedactwa pewnie ledwie spały latem, kiedy słońce świeciło do późna. W całkowitym mroku czy półmroku, pamiętam, pamiętam. Nieśpiące w ciemnościach, dwa małe bojące się królicze

serca, oddech jak nóż. Pamiętam, pamiętam... Zamknęłam oczy. Powieki to tak naprawdę tylko cielesne kurtyny. Oczy są wciąż włączone, wciąż patrzą; kiedy je zamykasz, zamiast świata widzisz cienką, poznaczoną żyłkami powiekę, jej wewnętrzną stronę. Nie jest to pokrzepiająca myśl. Gdybym się nad tym dłużej zastanawiała, pewnie nabrałabym ochoty, żeby wyłupić sobie gałki oczne i przestać patrzeć, przestać cały czas widzieć to wszystko. Bo tego, czego byłam świadkiem, nie można nie widzieć. Tego, co zrobiłam, nie da się odwrócić.

Pomyśl o czymś przyjemnym – mówili jedni z moich rodziców zastępczych, kiedy w nocy nie mogłam zasnąć albo gdy budziłam się zlnana potem, szlochając, krzycząc. Banalna rada, ale czasami skuteczna. Zaczęłam więc myśleć o psie Pilocie.

Chyba zasnęłam – to niemożliwe, żebym nie zdrzemnęła się ani na chwilę – ale nie miałam takiego wrażenia. Niedziele to okropne dni. Staram się spać jak najdłużej, żeby zabić czas (dawna więzienna sztuczka – dzięki za podpowiedź, mamó), ale w letnie poranki to bywa trudne. Kiedy tuż po dziesiątej zadzwonił telefon, byłam na nogach już od kilku godzin. Wyszorowałam łazienkę i zmyłam podłogę w kuchni, wyniosłam odpadki do recyklingu i ustawiłam wszystkie puszki w kredensie, żeby stały etykietami do przodu w porządku alfabetycznym. Wypastowałam dwie pary butów. Przeczytałam gazetę i rozwiązałam wszystkie krzyżówki oraz łamigłówki.

Odchrząknęłam, zanim się odezwałam; uświadomiłam sobie, że od prawie dwunastu godzin, od czasu, kiedy podałam taksówkarzowi adres, nie wypowiedziałam słowa. Jak na mnie

to nie najgorzej - w weekendy zwykle nie odzywam się od chwili, kiedy w piątkowy wieczór podaję kierowcy przystanek docelowy, aż do momentu, gdy witam się z kolegami w pracy w poniedziałek rano.

- Eleanor? - To był oczywiście Raymond.

- Tak, to ona - odparłam szorstko. A kogo się spodziewała, na litość boską? Zakaszła, obrzydliwy palacz.

- No tak, słusznie. Chciałem ci tylko powiedzieć, że jutro jadę odwiedzić Sammy'ego... Może chciałabyś pojechać ze mną?

- Po co?

Zamilkł na chwilę - dziwne. To nie było trudne pytanie.

- No, bo... zadzwoniłem do szpitala i powiedziano mi, że ma się znacznie lepiej... Odzyskał świadomość... i został przeniesiony na salę ogólną. Pomyślałem... pomyślałem, że byłoby miło, gdyby nas poznał, na wypadek gdyby miał jakieś pytania o to, co mu się przydarzyło.

Nie myślałam zbyt szybko i nie zdążyłam zastanowić się nad konsekwencjami. Zanim więc zdążyłam się zreflektować, umówiliśmy się nazajutrz po południu w szpitalu. Odłożyłam telefon i spojrzałam na zegar w salonie nad kominkiem (kupiłam go w sklepie Czerwonego Krzyża: jaskrawoniebieski, z postaciami z *Power Rangers*; zawsze wydawało mi się, że przydaje salonowi zawadiackiej *joie de vivre*). Do rendez-vous miałam kilka godzin.

Postanowiłam przygotować się powoli i puściwszy wodę pod prysznicem, ostrożnie spojrzałam na siebie w lustrze. Czy mogłabym kiedykolwiek zostać muzą piosenkarza? -

zastanowiłam się. I kim jest właściwie muza? Byłam, oczywiście, obeznana z tradycją klasyczną, ale we współczesnym świecie muzą mogła być praktycznie każda atrakcyjna kobieta, z którą chciał się przespać artysta.

Pomyślałam o tych wszystkich malowidłach; zmysłowe panny leżące w ponętnych pozach, zabiedzone baleriny o wielkich przejrzystych oczach, piękne topielice w przylegających do ciała białych sukniach, otoczone unoszącymi się na wodzie kwiatami. Nie byłam ani zmysłowa, ani zabiedzona, miałam normalne wymiary i normalne rysy twarzy (przynajmniej z jednej strony). Czy mężczyźni patrzą do lustra i stwierdzają, że brak im urody? Kiedy rozkładają czasopismo albo oglądają film, czy widzą tylko niezwykle przystojnych chłopaków i czują się gorsi, niepewni, bo nie są tak młodzi, tak urodziwi? Czy czytają artykuły prasowe, wyśmiewające tych samych przystojnych młodzieńców, gdy ci nabiorą ciała albo włożą coś, w czym źle wyglądają?

Były to, naturalnie, pytania retoryczne.

Ponownie spojrzałam na siebie. Byłam zdrowa i miałam silne ciało. Do tego sprawny umysł i głos, choć może niemelodyjny; zatrucie dymem wtedy, przed laty, nieodwracalnie wpłynęło na moje struny głosowe. Miałam włosy, uszy, oczy i usta. Byłam kobietą, samicą rodzaju ludzkiego, ni mniej, ni więcej.

Nawet ta przerażająca jak u cyrkowego dziwoląga strona mojej twarzy - oszpecona połowa - była lepsza niż alternatywa, czyli śmierć w ogniu. Nie spłonęłam na popiół. Wyłoniłam się z płomieni niczym feniks. Przesunęłam palcami po bliźnie, pieszcząc jej kontury. Nie spłonęłam, mamó -

pomyślałam. Przeszłam przez ogień i przeżyłam.

W moim sercu też są blizny, równie grube, równie szpecące jak te na twarzy. Wiem, że są. Mam jednak nadzieję, że pozostała tam jakaś niezmieniona tkanka, miejsce, gdzie może pojawić się i rozlać miłość. Mam taką nadzieję.

9

Raymond czekał przed wejściem do szpitala. Zobaczyłam, że się pochylił, aby przypalić papierosa kobiecie na wózku inwalidzkim – wyjechała na dwór z podłączoną kroplówką, aby psuć sobie zdrowie w tym samym czasie, w którym za pieniądze podatników próbowano je ratować. Raymond gawędził z nią, gdy paliła, i sam puszczał dymka. Powiedział coś, a ona zaskrzeczała jak wiedźma i ten jej śmiech przeszedł w długi atak kaszlu. Podeszłam ostrożnie, bojąc się, że spowije mnie trujący obłok dymu. Raymond zauważył, że się zbliżam, zgasił papierosa i zrobił krok w moją stronę. Zauważyłam, że ma na sobie dżinsy, które w nieładny sposób wisiały mu na tyłku; kiedy się odwrócił, ujrzałam fragment jego bielizny – w upiornym kolorze monarszej purpury – oraz białą piegowatą skórę, która skojarzyła mi się z żyrafą.

- Cześć, Eleanor – powiedział. Potarł ręce o dżinsy na udach. – Jak się masz?

Ku mojemu przerażeniu, zrobił ruch, jakby chciał mnie objąć. Cofnęłam się, ale zdążyłam jeszcze poczuć zapach dymu papierosowego i inną woń, nieprzyjemnie chemiczną i ostrą. Podejrzewałam, że to jakaś tania męska woda kolońska.

- Dzień dobry, Raymondzie – odparłam. – Wejdziemy do środka?

Pojechaliśmy windą do sali numer siedem. Raymond nużąco rozwlekłe zrelacjonował mi wydarzenia poprzedniego

wieczoru; on i jego przyjaciele najwyraźniej „zabalowali do późna”, cokolwiek to znaczyło, grając w Grand Theft Auto, a potem w pokera. Nie bardzo wiedziałam, po co mi to mówi. Bo nie pytałam, to pewne. Wreszcie skończył i spytał, jak spędziłam wieczór.

- Zbierałam pewne informacje - rzuciłam ogólnikowo, bo nie chciałam skalać tego przeżycia, opowiadając o nim Raymondowi. - Sala numer siedem! - Zmieniłam temat. Łatwo było odwrócić jego uwagę, jak w przypadku dziecka lub zwierzęcia domowego.

Przed wejściem na salę zdezynfekowaliśmy ręce. Bezpieczeństwo przede wszystkim, choć moja biedna podrażniona skóra ledwie doszła do siebie po poprzednim eksperymencie higienicznym.

Sammy leżał na ostatnim łóżku, pod oknem, i czytał „Sunday Post”. Kiedy się zbliżyliśmy, łypnął na nas znad okularów; nie było to zbyt życzliwe spojrzenie. Raymond chrząknął.

- Dzień dobry, panie Thom - zaczął. - Jestem Raymond, a to Eleanor. - Skinęłam głową starszemu panu. Raymond tymczasem mówił dalej: - To my... eee... znaleźliśmy pana, kiedy pan zasnął, a ja pojechałem z panem karetką do szpitala. Postanowiliśmy przyjść dzisiaj, żeby się przedstawić i sprawdzić, jak się pan czuje.

Pochyliłam się i wyciągnęłam rękę. Sammy przyjrzał się jej.

- Co? - zapytał. - Kim jesteście, bo nie bardzo zrozumiałem? - Sprawiał wrażenie zdezorientowanego i nie mówił napastliwie. Raymond zaczął wyjaśniać od początku, ale Sammy podniósł dłoń, aby go uciszyć. Zważywszy na to, że był

w pasiastej piżamie i miał potargane, sterczące na wszystkie strony włosy jak u pisklęcia gołębia, wykazywał zaskakującą asertywność.

- Chwileczkę - powiedział. Pochylił się w stronę szafki nocnej i coś z niej wyjął. Odruchowo zrobiłam krok w tył - kto wie, co stamtąd wyciągnął? Wetknął to coś do ucha i pogmerał przy tym. Rozległ się piszczący odgłos, który po chwili ucichł. Wtedy mężczyzna się uśmiechnął.

- No - rzekł. - Tak już lepiej. Teraz to zupełnie co innego, no nie? Więc skąd jesteście... z kościoła, tak? Czy może znowu próbujecie mi wypożyczyć telewizor? Nie potrzebuję telewizora, synu... już mówiłem. Nie będę płacić ciężkiej forsy, żeby tu leżeć i oglądać całe to gówno! Grubasy tańczące na balu, dorośli mężczyźni piekący ciasta, na miłość boską!

Raymond chrząknął ponownie i powtórzył swój wstęp, a ja się pochyliłam i uścisnęłam Sammy'emu rękę. Natychmiast zmienił wyraz twarzy i uśmiechnął się do nas promiennie.

- Ach, więc to wasza dwójka! Pytałem pielęgniarek, komu zawdzięczam życie... „Kto mnie tu przywiózł?“, „Jak się tu znalazłem?“ ...ale nic mi nie potrafiły powiedzieć. Proszę, usiądźcie tu przy mnie i opowiedzcie mi o sobie. Nie potrafię wyrazić, jaki jestem wam wdzięczny za to, co dla mnie zrobiliście, naprawdę. - Pokiwał głową i spoważniał. - Ostatnio słyszy się, że wszystko schodzi na psy, że co drugi człowiek to pedofil albo oszust, a to nieprawda. Zapomina się, że na świecie jest pełno zwykłych przyzwoitych ludzi, takich ja wy, dobrych samarytan, którzy zatrzymają się i pomogą bliźniemu w potrzebie. Tylko poczekajcie, aż przedstawię was

swojej rodzinie! Będą zachwyceni!

Opadł na poduszki, zmęczony wysiłkiem, jakiego wymagał ten monolog. Raymond przysunął mi plastikowe krzesło i wziął drugie dla siebie.

- Jak się pan teraz czuje, panie Thom? - zapytał starszego pana. - Dobrze pan spał w nocy?

- Mów mi Sammy, synu... po co te ceregiele. Czuję się dobrze, dziękuję; zaraz stanę na nogi. Ale pan z żoną uratowaliście mi życie, nie ma dwóch zdań.

Raymond ze skrępowaniem poruszył się na krześle.

- Panie Thom... - odezwałam się.

Uniósł brwi, a potem, patrząc na mnie, poruszył nimi znacząco.

- Sammy - poprawiłam się, a wtedy skinął głową. - Obawiam się, że muszę sprostować nieścisłości - oznajmiłam. - Po pierwsze, bynajmniej nie uratowaliśmy panu życia. Zasługę tę należy przypisać pogotowiu ratunkowemu, którego personel, choć nieco obcesowy, zrobił wszystko, co trzeba, żeby wioząc pana tutaj, ustabilizować stan pańskiego zdrowia. Ekipa medyczna w szpitalu, wraz z anestezjologiem i chirurgiem ortopedą, który zoperował panu biodro, a także innymi fachowcami, którzy opiekowali się panem po zabiegu... to oni pana ocalili. Raymond i ja tylko wezwaliśmy pomoc i dotrzyaliśmy panu towarzystwa, dopóki nie zajęła się panem nasza służba zdrowia.

- Tak, niech Bóg ją błogosławi - włączył się Raymond, niegrzecznie wchodząc mi w słowo. Rzuciłam mu jedno ze swoich najsurowszych spojrzeń.

- Co więcej - podjęłam - chciałam bezzwłocznie wyjaśnić, że Raymond i ja jesteśmy jedynie kolegami z pracy. Z całą pewnością nie małżeństwem. - Popatrzyłam na Sammy'ego surowo, aby się upewnić, że zrozumiał. Sammy spojrzął na Raymonda. Raymond spojrzął na niego. Zapadła nieco krępująca cisza, przynajmniej w moim odczuciu. Raymond wyprostował się na krześle.

- Więc... eee... gdzie pan mieszka, Sammy? Dokąd pan szedł, kiedy zdarzył się panu ten wypadek? - zapytał.

Sammy uśmiechnął się do niego.

- Jestem stąd, synu... tu się urodziłem i wychowałem - odparł. - W piątek zawsze robię zakupy. Tamtego ranka czułem się trochę dziwnie, ale uznałem, że to z powodu dusznicy. Nie spodziewałem się, że tu wyląduję!

Z dużej torby na podbrzuszu wyjął paczkę toffi i poczęstował nas nimi. Raymond wziął cukierka; ja podziękowałam. Myśl o plastycznej masie, ogrzanej do temperatury ciała na kroczu mężczyzny (choćby i obleczonym w piżamę oraz nakrytym kocem) była dla mnie odrażająca.

Zarówno Sammy, jak i Raymond należeli do głośnych przeżuwaczy. Gdy ciamkali i mlaskali, spojrzałam na swoje dłonie i zauważyłam, że wyglądają na obtarte, niemal poparzone; byłam jednak zadowolona, że żel antybakteryjny zabił drobnoustroje, czające się wszędzie w szpitalu. I pewnie na mnie samej.

- A wy dwoje... mieliście daleko? - zagadnął Sammy. - To znaczy, każde z was, oddzielnie - dodał pośpiesznie, patrząc na mnie.

- Ja mieszkam na South Side - odpowiedział Raymond - a Eleanor... na West Endzie, zgadza się? - Kiwnęłam głową, bo nie chciałam bardziej konkretnie zdradzać miejsca zamieszkania.

Sammy zapytał, gdzie pracujemy, więc zadowolając się rolą obserwatorki, pozwoliłam, by Raymond udzielił odpowiedzi. Sammy wydawał się bezbronny, jak przeważnie ludzie pokazujący się publicznie w piżamach, ale był młodszy, niż pierwotnie myślałam - nie miał więcej niż siedemdziesiąt lat - i jego cechą charakterystyczną były wyjątkowo ciemnoniebieskie oczy.

- Nie znam się zupełnie na projektowaniu graficznym - zauważył. - To chyba bardzo trudne. W swoim czasie byłem listonoszem. Potem przeszedłem na emeryturę; daje się z niej wyżyć, jeśli człowiek oszczędza. Teraz wszystko jest inaczej... cieszę się, że już nie pracuję. Tyle się ostatnio zmieniło. W moich czasach służby publiczne były rzetelne...

Raymond pokiwał głową.

- To prawda - zgodził się. - Pamiętacie, kiedyś dostawało się pocztę rano, przed wyjściem z domu, a potem także w porze lunchu. Teraz przychodzi dobrze po południu, jeśli w ogóle...

Muszę przyznać, że ta rozmowa o poczcie trochę mnie znużyła.

- Jak długo jeszcze pan tu będzie, Sammy? - zagadnęłam. - Pytam, bo ryzyko infekcji pooperacyjnej znacznie wzrasta u pacjentów, którzy przebywają dłużej w szpitalu... niezbyt jelitowo-żołądkowy, *Staphylococcus aureus*, *Clostridium difficile*...

Raymond znowu mi przerwał:

- Uhm, założę się, że jedzenie także nie jest najlepsze, co, Sammy?

Ten się zaśmiał.

- Nie mylisz się, synu - odparł. - Żebyś widział, co podali nam dziś na lunch. To chyba miała być duszona baranina... a wyglądała jak karma dla psów. I podobnie pachniała.

Raymond się uśmiechnął.

- Przynieść panu coś, Sammy? Moglibyśmy skoczyć na dół do sklepu albo wpaść w tygodniu i przywieźć panu to, czego by pan potrzebował.

Raymond spojrzał na mnie, czekając na potwierdzenie, więc kiwnęłam głową. Nie miałam powodu, aby się sprzeciwić. To było nawet miłe - pomyśleć, że mogłabym pomóc starszemu człowiekowi, cierpiącemu z powodu niewłaściwego systemu żywieniowego. Zaczęłam się zastanawiać, co mu przynieść, jakie jedzenie dałoby się przetransportować bez szczególnych problemów. Byłam ciekawa, czy Sammy'emu smakowałaby pasta z pesto na zimno; mogłabym któregoś wieczoru przyrządzić podwójną porcję i następnego dnia przywieźć mu resztki w plastikowym pojemniku. Nie miałam wprawdzie takiego pojemnika, bo do tej pory nie odczuwałam potrzeby posiadania go, ale mogłam udać się do sklepu i kupić. Wydawało się, że coś takiego jest w zakresie możliwości kobiety w moim wieku i sytuacji życiowej. Jakież to ekscytujące!

- Ach, synu, to bardzo miłe z twojej strony - odparł Sammy, podkopując moje poczucie przydatności - ale naprawdę nie

trzeba. Codziennie odwiedza mnie rodzina, nawet po dwa razy. - Powiedział to z wyraźną dumą. - Nie daję rady zjeść tego, co mi tu znoszą. W końcu większość rozdaję. - Władczym gestem wskazał pozostałych mężczyzn na sali.

- Kto należy do pańskiej rodziny? - zapytałam, nieco zaskoczona tą informacją. - Sądziłam, że jest pan samotny i bezdzietny, jak my.

Raymond znowu zmieszany zaczął wiercić się na krześle.

- Jestem wdowcem, Eleanor - wyjaśnił Sammy. - Jean umarła pięć lat temu... na raka. Szybko się zabrała. - Urwał i wyprostował się na poduszkach. - Mam dwóch synów i córkę. Najstarszy jest Keith, żonaty, z dwójką maluchów. To łobuziaki, ci chłopcy - powiedział z uśmiechem. - Drugi syn ma na imię Gary... Gary i Michelle... nie są małżeństwem, ale mieszkają razem. Tak to ostatnio bywa. I Laura, najmłodsza... och, ta Laura. Dwukrotnie rozwiedziona, w wieku trzydziestu pięciu lat, uwierzycie? Ma własny skromny interes, ładny dom i samochód... tylko nie może znaleźć sobie porządnego faceta. A jeśli już znajdzie, długo z nim nie jest.

Zaciekawiło mnie to.

- Radziłabym córce, żeby się nie martwiła - powiedziałam z przekonaniem. - Z mojego doświadczenia wynika, że ten jedyny pojawia się w najmniej spodziewanym momencie. Los stawia go na twojej drodze, a przeznaczenie już czuwa, żebyście się zeszli.

Raymond wydał dziwny dźwięk, coś między kasznięciem a parsknięciem.

Sammy uśmiechnął się do mnie sympatycznie.

- Naprawdę? Cóż, będziesz mogła sama jej to powiedzieć - oznajmił. - Wkrótce wszyscy tu będą.

Obok właśnie przechodziła pielęgniarka, która najwyraźniej usłyszała jego ostatnie słowa. Miała dużą nadwagę i chodziła w całkiem ładnych plastikowych chodakach, do których włożyła skarpetki w czarne i żółte paski - jej stopy wyglądały jak duże tłuste osy. Postanowiłam zapytać ją przed wyjściem, gdzie kupiła jedno i drugie.

- Przy jednym łóżku może być maksimum troje odwiedzających - poinformowała - i obawiam się, że dziś będziemy tego surowo przestrzegać. - Nie wyglądała na strachliwą.

Raymond wstał.

- Pójdziemy już, żeby zrobić miejsce dla rodziny - powiedział. Ja także się podniosłam; pomyślałam, że tak wypada.

- Nie ma pośpiechu, nie ma pośpiechu - odezwał się Sammy.

- Mamy przyjść w tygodniu? - zapytałam. - Przynieść panu jakieś czasopismo?

- Eleanor, tak jak powiedziałem... uratowaliście mi życie i teraz jesteśmy rodziną. Przychodźcie, kiedy chcecie. Sprawicie mi wielką przyjemność - odparł. Miał łzy w oczach, wyglądało to jak bławatki w słonej wodzie. Ponownie wyciągnęłam rękę, a on, zamiast uścisnąć, ujął ją w obie dłonie. Były duże i ciepłe, jak łapy zwierzęcia, tak że moje wydawały się w nich małe i kruche. Palce miał długie i sękaty, a wierzchy rąk pokryte szarymi włoskami, które biegły aż pod rękawy piżamy.

- Posłuchaj, Eleanor. - Popatrzył mi w oczy i mocno uściśnął moje dłonie. - Jeszcze raz dziękuję. Dziękuję, że mi pomogłaś i przywiozłaś moje zakupy. - Stwierdziłam, że nie mam ochoty zabrać rąk z jego ciepłego silnego uścisku. Raymond kaszlnął; była to niewątpliwie reakcja jego płuc na niedobór substancji rakotwórczych w ciągu ostatniej półgodziny.

Przełknęłam ślinę, bo nagle nie byłam w stanie się odezwać.

- Więc przyjadę w tygodniu, z wiktuałami - odparłam w końcu. - Obiecuję.

Sammy skinął głową.

- Niech się pan trzyma - powiedział Raymond, kładąc mięsistą rękę na ramieniu starszego pana. - Do zobaczenia niebawem, tak?

Sammy pomachał nam na pożegnanie, gdy wychodziliśmy z sali; wciąż machał z uśmiechem, kiedy kierując się do windy, skręcaliśmy za róg.

Żadne z nas się nie odezwało, dopóki nie wyszliśmy ze szpitala. - Przemiły gość, no nie? - zagadnął Raymond.

Potwierdziłam, starając się zapamiętać tamto wrażenie, gdy staruszek trzymał mnie za rękę, i serdeczny wyraz jego oczu. Ku swojej wielkiej konsternacji, poczułam, że do oczu napływają mi łzy, więc odwróciłam się, żeby je wytrzeć, zanim spłyną po policzkach. Raymond, zwykle kiepski obserwator, zauważył to, co wytrąciło mnie z równowagi.

- Co dzisiaj robisz, Eleanor? - zapytał łagodnie.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła czwarta.

- Chyba wrócę do domu, może trochę poczytam - odpowiedziałam. - Później ma być program radiowy, w którym

słuchacze nadsyłają teksty, jakie rozbawiły ich w ciągu tygodnia. To bywa nadzwyczaj śmieszne.

Myślałam także o tym, żeby dokupić wódki, małą butelkę. Chciałam zaznać tego krótkiego dojmującego uczucia, które pojawiała się zawsze, kiedy ją piłam - smutnego, palącego - a potem już nic nie czuć. Zauważyłam też datę na gazecie u Sammy'ego i przypomniałam sobie, że tego dnia są moje urodziny. Niestety, zapomniałam zapytać pielęgniarkę, gdzie kupiła te skarpetki - mogłam sprawić sobie takie w prezencie. Postanowiłam zamiast tego kupić frezje. Zawsze lubiłam ich delikatny zapach i subtelne kolory - mają dyskretny urok, w przeciwieństwie do krzykliwych słoneczników i banalnych czerwonych róż.

Raymond patrzył na mnie.

- A ja jadę do mamy - oznajmił.

Kiwnęłam głową i przygotowując się do powrotu, wydmuchałam nos w chusteczkę i zapięłam bezrękawnik.

- Posłuchaj... miałabyś ochotę pojechać ze mną? - zapytał w chwili, gdy odwracałam się ku bramie.

W żadnym razie - pomyślałam natychmiast.

- Jeżdżę do niej prawie co niedziela - ciągnął. - Rzadko wychodzi z domu... na pewno chętnie zobaczyłaby nową twarz.

- Nawet taką jak moja? - spytałam. Nie mogłam sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek z przyjemnością patrzył na kogoś takiego jak ja, pierwszy czy tysiąc pierwszy raz. Raymond zignorował moją odpowiedź i zaczął grzebać w kieszeni.

Gdy zapalał papierosa, zastanowiłam się nad jego

propozycją. Mogłam kupić wódkę i urodzinowe kwiaty później, w drodze powrotnej do domu, a chętnie zobaczyłabym, jak mieszka ktoś inny. Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miałam taką okazję. Przed paroma laty byłam w przedpokoju u sąsiadów z dołu; oddawałam paczkę, którą dla nich odebrałam. Ostro pachniało tam cebulą, a w kącie stała brzydka standardowa lampa. Kilka lat wcześniej jedna z recepcjonistek urządziła u siebie przyjęcie i zaprosiła wszystkie koleżanki z pracy. Miała piękne mieszkanie, stare, z witrażami, mahoniowym drewnem i ozdobnymi gzymsami. „Przyjęcie” okazało się jednak tylko pretekstem, żeby spróbować wcisnąć nam rozmaite erotyczne zabawki. Było to żenujące przedstawienie; siedemnaście pijanych kobiet, porównujących przerażająco duże wibratory. Wyszłam po dziesięciu minutach, wypiwszy kieliszek ciepłego pinot grigio i odparłszy niesłychanie impertynenckie pytanie ze strony kuzynki gospodyni na temat mojego życia prywatnego.

Oczywiście, nieobca jest mi koncepcja bachanaliów i dionizyjskich uczt, ale uważam za dziwaczne, żeby kobiety w ramach „rozrywki” spędzały razem wieczór na picciu i kupowaniu takich artykułów. Seksualna więź między kochankami powinna być rzeczą intymną, świętą. Nie powinna stanowić tematu rozmowy z obcymi nad jadalną bielizną. Kiedy ja i mój muzyk zechcemy po raz pierwszy spędzić noc razem, unia naszych ciał będzie odzwierciedlać zjednoczenie dusz i umysłów. Jego odmienność, cień ciemnych włosów pod pachami, wystające obojczyki. Woń krwi w zgięciu łokcia. Ciepło i miękkość jego ust, gdy weźmie mnie w objęcia...

- Więc, Eleanor? Hej? Właśnie mówiłem... że musimy złapać autobus, jeśli jedziesz ze mną.

Zeszłam z obłoków na ziemię, do niemiłej rzeczywistości i krępej postaci Raymonda, w nieświeżej bluzie z kapturem i brudnych sportowych butach. Może jego matka okaże się inteligentną i uroczą rozmówczynią - pomyślałam. Wątpiłam w to, biorąc pod uwagę jej progeniturę, ale nigdy nie wiadomo.

- Dobrze, Raymondzie. Pojadę z tobą do twojej matki - odparłam.

10

Naturalnie Raymond nie posiadał samochodu. Miał już dobrze po trzydziestce, ale było w nim coś młodzieńczego, nie w pełni ukształtowanego. Wrażenie to potęgował jego sposób ubierania się. Musiałabym go zobaczyć w normalnym skórzanym obuwiu; cały czas chodził w butach sportowych i wyglądało na to, że ma je we wszystkich kolorach i fasonach. Zauważyłam, że ludzie, którzy na co dzień noszą sportowe buty, przeważnie nie uprawiają sportu.

Sport to dla mnie zagadka. W szkole podstawowej raz do roku organizowano dzień kultury fizycznej, kiedy to mniej uzdolnieni umysłowo uczniowie mogli triumfować, zdobywając nagrody za najszybsze skoki w worku albo przebiegnięcie od punktu A do punktu B prędzej niż reszta kolegów. Z jakąż lubością nazajutrz paradowali ze znaczkami na marynarkach! Jakby srebrny medal w wyścigu z jajkiem na łyżce rekompensował nieznamość interpunkcji.

Wychowanie fizyczne w szkole średniej było wręcz nie do pojęcia. Musieliśmy wkładać specjalne stroje i bez końca biegać wokół boiska, od czasu do czasu dostając w rękę metalową pałeczkę, którą należało przekazać następnej osobie. Jeśli nie biegaliśmy, to skakaliśmy, do piaskownicy albo przez kozła. Trzeba to było robić w specjalny sposób; nie dało się po prostu podbiec i skoczyć, należało najpierw wykonać jakieś dziwaczne hop-siup, a potem pokonać kozła. Pytałam dlaczego, ale żaden z nauczycieli wuefu (z których większość,

jak zauważyłam, z trudem odczytywała godzinę na zegarku) nie potrafił udzielić mi odpowiedzi. Narzucanie wszystkich tych aktywności młodym ludziom, którzy zupełnie się nimi nie interesowali, wydawało się doprawdy niezrozumiałe i jestem pewna, że skutecznie zniechęciło większość z nas do wszelkiej fizycznej aktywności na resztę życia. Na szczęście, z natury jestem gibka i szczupła, a poza tym lubię chodzić, więc zawsze byłam w stosunkowo dobrej kondycji. Mama, odkąd pamiętam, żywiła szczególną pogardę dla otyłych („Zachłanne, leniwe prosię” – syczała, gdy któryś z nich mijał nas na ulicy) i być może do pewnego stopnia przejęłam to od niej.

Raymond nie był otyły, ale trochę ciastowaty i rozlazły. Nie wyglądało na to, żeby miał wyrobioną muskulaturę, i podejrzewałam, że regularnie używał tylko mięśni przedramion. Sposobem ubierania się nie uwypuklał ewentualnych atutów swojej sylwetki, nosił bowiem szerokie dżinsy, a do nich workowate T-shirty z infantylnymi napisami i obrazkami. Ubierał się raczej jak chłopak niż mężczyzna. Niespecjalnie dbał też o higienę i przeważnie chodził nieogolony – nie nosił brody jako takiej, ale kilkudniowy zarost, który jedynie podkreślał niechlujny wygląd. Włosy, myszowate, koloru brudny blond, miał krótko obcięte i tyle – nie poświęcał im zbyt wiele uwagi, może jedynie przecierał brudnym ręcznikiem po myciu. Ogólnie sprawiał wrażenie człowieka, który jakkolwiek nie był pełnym włóczęgą, z pewnością spędził noc w jakimś norze albo u kogoś obcego na podłodze.

- To nasz autobus – powiedział, trącając mnie niegrzecznie.

Miałam przygotowany bilet okresowy, ale on, co typowe, takowego nie posiadał; zamiast pomyśleć wcześniej, wolał przepłacać. Jak się okazało, nie miał nawet drobnych na opłatę za przejazd, więc musiałam pożyczyć mu funta. Zamierzałam odebrać pożyczkę następnego dnia w pracy.

Jazda trwała ze dwadzieścia minut i w tym czasie wyłożyłam mu zalety biletu okresowego, informując, gdzie może go nabyć i jak wiele kursów należy odbyć, żeby wyjść na swoje, a potem nawet podróżować za darmo. Nie wydawał się tym szczególnie zainteresowany, a kiedy skończyłam, nawet mi nie podziękował. Jak już zauważyłam, nie należał do szczególnie wdzięcznych rozmówców.

Przeszliśmy przez małe osiedle sześciennych białych domów; były ich cztery typy, które tworzyły przewidywalny układ. Na podejździe każdego stał nowiutki samochód i widniały ślady obecności dzieci – rowerki ze stabilizatorami, kosze do koszykówki na ścianach garażu – ale ich samych nie było widać ani słychać. Ulice wzięły nazwy od znanych poetów: Wordsworth Lane, Shelley Close, Keats Rise, niewątpliwie wybrane przez dział marketingu firmy deweloperskiej. To wszystko byli twórcy, których znałaby osoba aspirująca do takiego miejsca zamieszkania, poeci piszący o urnach, kwiatkach i wędrujących obłokach. Sądząc z moich dotychczasowych przeżyć, ja pewnie skończyłabym przy Dante Lane albo Poe Crescent.

Znałam takie dzielnice; kiedy przebywałam pod opieką rodzin zastępczych, mieszkałam w niemal identycznych domach przy identycznych uliczkach. Nie było tu emerytów,

przyjaciół wynajmujących wspólnie mieszkania ani osób samotnych, z wyjątkiem przejściowych rozwodników. Na podjazdach stały po dwa samochody – idealnie. Rodziny sprowadzały się i wyprowadzały, dlatego panowała tam atmosfera tymczasowości i cała okolica przypominała scenę teatralną z pospiesznie ustawioną dekoracją, którą można w każdej chwili zmienić. Wzdrygnęłam się, odsuwając od siebie wspomnienia.

Matka Raymonda mieszkała w schludnym szeregowcu za nowszymi domami, a konkretnie w jednym z bliźniaków o elewacji z drobnych kamyczków. Było to budownictwo kwaterunkowe; ulice nazwano na cześć nieznanym lokalnych działaczy politycznych. Ci lokatorzy, którzy wykupili swoje domy, mieli plastikowe, podwójnie oszklone drzwi frontowe albo dobudowane małe ganki. Rodzinny dom Raymonda pozostał jednak niezmienny.

Raymond minął wejście od frontu i obszedł budynek. Na podwórku znajdowała się szopa z firankami w oknach i kwadratowy zielony trawnik ze słupkami do suszenia prania. Łopotało ono na sznurach, przypięte klamerkami z wojskową precyzją – szereg zwykłej białej pościeli, ręczniki i rządki przerażająco porozciąganej bielizny osobistej. Był tam też ogródek warzywny z tropikalnie bujnym rabarbarem i schludnymi grządkami marchwi, porów i kapusty. Zachwyciłam się symetrią i precyzją, z jakimi je utworzono.

Raymond bez pukania pchnął tylne drzwi i wołając: „Cześć”, wszedł do małej kuchni. Smakowicie pachniało w niej zupą, ciepłą i aromatyczną; woń ta dochodziła zapewne z dużego

garnka, który stał na płycie. Podłoga i wszystkie powierzchnie były nieskazitelnie czyste i wiedziałam, że gdyby otworzyć szafkę czy kredens, wszystko w środku spoczywałoby w idealnym porządku. Wystrój był prosty i funkcjonalny, choć tu i ówdzie pojawiało się trochę kiczu – wielki kalendarz ze słodkim zdjęciem dwóch kociąt w koszyku czy worek z materiału do przechowywania reklamówek, uszyty w kształcie starej lalki, wiszący na gałce u drzwi. Na suszarce stały pojedyncza filiżanka, szklanka i talerz.

Wkroczyłam za Raymondem do małego korytarza, a następnie do salonu, który także okazał się nieskazitelnie czysty. Pachniało w nim pastą do mebli. Na parapecie stał wazon z chryzantemami, a za drzwiczkami witryny o przydymionych szybach widać było – niczym święte relikwie – mnóstwo oprawionych w ramki zdjęć i różnych bibelotów. Starsza kobieta siedząca w fotelu sięgnęła po pilota, żeby przyciszyć dźwięk wielkiego telewizora. Nadawano akurat program, w którym ludzie przynoszą stare rzeczy do wyceny i gdy się okazuje, że mają one jakąś wartość, udają, że są do nich zbyt przywiązani, aby je sprzedać. Na kanapie leżały trzy koty; dwa popatrzyły na nas, a trzeci tylko łypnął jednym okiem i zasnął znowu, nie zaszczycając nas dalszą uwagą.

- Raymondzie, synku! Wejź, wejź! – zawołała starsza pani, pochylając się w stronę kanapy, żeby zgonić z niej zwierzęta.

- Przeprowadziłem koleżankę z pracy, mam nadzieję, że to nie kłopot? – odezwał się. Podszedł do niej i pocałował ją w policzek. Zrobiłam krok do przodu i wyciągnęłam rękę.

- Eleanor Oliphant, miło mi panią poznać – powiedziałam.

Ujęła ją w obie dłonie, tak jak wcześniej Sammy.

- Cudownie, że przyszałaś - odparła. - Zawsze się cieszę, gdy mogę poznać przyjaciół Raymonda. Usiądziesz, prawda? I na pewno napijesz się herbaty. Co do niej? - Chciała wstać; zauważyłam, że przy fotelu stoi balkonik na kółkach.

- Nie wstawaj, mamo, ja się tym zajmę - powiedział Raymond. - Pyszna herbata dla wszystkich?

- Byłoby wspaniale, synku - odrzekła. - Są też ciastka... markizy w polewie czekoladowej... twoje ulubione.

Raymond wyszedł do kuchni, a ja usiadłam na kanapie po prawej stronie jego matki.

- Dobry chłopak, ten mój Raymond - zauważyła z dumą. Nie bardzo wiedziałam, co na to odpowiedzieć, więc postanowiłam tylko skinąć krótko głową. - Więc pracujecie razem - ciągnęła. - Ty też zajmujesz się komputerami? Mój Boże, dziewczyny w tych czasach umieją wszystko, prawda?

Była schludna jak cały jej dom. Miała bluzkę spiętą pod szyją perłową broszką i obszyte kozuszkami kapcie w kolorze wina, które wyglądały na ciepłe i miękkie. Musiała mieć z siedemdziesiątkę, a kiedy wymieniałyśmy uścisk dłoni, zauważyłam, że jej knykcie były spuchnięte do rozmiarów agrestu.

- Pracuję w księgowości, pani Gibbons - wyjaśniłam. Opowiedziałam jej pokrótce o swojej pracy, a ona sprawiała wrażenie zafascynowanej; kiwała głową i co jakiś czas mówiła: „Naprawdę?” lub: „Ojej, jakie to ciekawe”. Kiedy skończyłam monolog, wyczerpawszy do cna i tak ograniczony potencjał konwersacyjny, jaki stanowi rachunkowość,

uśmiechnęła się miło.

- Więc jesteś stąd, Eleanor? - zagadnęła łagodnie.

Zwykle nie znoszę takich pytań, ale nie miałam wątpliwości, że jej zainteresowanie jest szczere, pozbawione wścibstwa, więc powiedziałam, gdzie mieszkam, nie zdradzając, gdzie dokładnie. Nigdy nie powinno się podawać swojego adresu obcym.

- Nie masz jednak miejscowego akcentu? - zauważyła w formie pytania.

- Wczesne dzieciństwo spędziłam na południu Anglii - odparłam. - Do Szkocji przeniosłam się w wieku dziesięciu lat.

- Ach, to wszystko wyjaśnia - skwitowała i tym się zadowoliła.

Zauważyłam, że większość Szkotów nie wnika, co dokładnie znaczy „południe”, i mogę tylko domniemywać, że to określenie zawiera w ich odczuciu angielskość, zawody wioślarskie i meloniki, jakby Liverpool i Kornwalia były takimi samymi miejscami, zamieszkiwanymi przez takich samych ludzi. Natomiast jeśli chodzi o nich, twierdzą, że każdy rejon ich krainy jest odmienny i wyjątkowy. Nie bardzo rozumiem dlaczego.

Raymond wrócił z zastawą do herbaty i paczką markiz na kolorowej plastikowej tacy.

- Synku! - wykrzyknęła jego matka. - Mogłeś nalać mleka do dzbanka, na litość boską! Przecież mamy gościa.

- To tylko Eleanor, mamó - odparł, po czym spojrzał na mnie.
- Nie przeszkadza ci to, prawda?

- Wcale - odpowiedziałam. - Ja także zawsze nalewam

mleka wprost z kartonu. To takie samo naczynie jak każde inne, pewnie nawet bardziej higieniczne niż nieprzykryty dzbanek, tak mi się przynajmniej wydaje.

Poczęstowałam się markizą. Raymond już jedną z nich chrupał. We dwoje z matką zaczęli gawędzić o jakichś drobnych sprawach, więc wygodniej usadowiłam się na kanapie. Żadne z nich nie miało zbyt silnego głosu, więc wsłuchałam się w głośnie tykanie stojącego na kominku kareciaka. Było mi ciepło, ale nie za bardzo, w sam raz. Jeden z kotów, leżący przed kominkiem, przeciągnął się na całą długość, a potem zasnął znowu. Obok zegara stało zdjęcie, wyblakłe ze starości. Przedstawiało mężczyznę, pewnie ojca Raymonda, który uśmiechał się szeroko do aparatu, wznosząc toast szampanem w wysokim smukłym kieliszku.

- To tata Raymonda - wyjaśniła starsza pani, gdy zauważyła moje spojrzenie. Uśmiechnęła się. - Zrobiono je w dniu, w którym Raymond dostał wyniki egzaminów. - Spojrzała na syna z widoczną dumą. - Nasz Raymond jako pierwszy w rodzinie poszedł na studia - wytłumaczyła. - Jego ojciec bardzo się cieszył. Żałuję tylko, że nie mógł być na uroczystości wręczenia dyplomów. To był dzień, prawda, synku?

Ten z uśmiechem kiwnął głową.

- Niedługo po tym, jak zacząłem studiować, ojciec miał zawał serca - wyjaśnił mi.

- Nie nacieszył się emeryturą - dodała jego matka. - Często tak bywa. - Oboje na chwilę zamilkli.

- Czym się zajmował? - zagadnęłam. Nie interesowało mnie

to, ale uznałam, że wypada spytać.

- Był inżynierem gazownikiem - odpowiedział Raymond.

Jego matka potwierdziła.

- Przez całe życie ciężko pracował - kontynuowała - i nigdy niczego nam nie brakowało, prawda, Raymondzie? Co roku wyjeżdżaliśmy na urlop, mieliśmy mały porządny samochód. Ale przynajmniej dożył ślubu naszej Denise...

Musiałam mieć zdziwioną minę.

- Mojej siostry - wyjaśnił Raymond.

- Och, na miłość boską, Raymondzie. Pewnie nie mówisz o niczym innym jak tylko o piłce nożnej i komputerach, a ona już nie może tego słuchać. Ci chłopcy, prawda, Eleanor? - Pokręciła głową, patrząc na mnie wesoło.

To było naprawdę dziwne. Jak, u licha, można nie wspomnieć, że ma się siostrę? Ale pewnie dla Raymonda jej istnienie było po prostu czymś oczywistym, całkiem zwyczajną stałą w życiu, niewartą nawet wzmianki. Jako jedynaczka nie mogłam sobie tego wyobrazić. Świat Oliphantów zamieszkiwałyśmy tylko mama i ja.

Jego matka tymczasem mówiła dalej:

- Denise miała jedenaście lat, gdy pojawił się Raymond... mała niespodzianka i błogosławieństwo!

Spojrzała na niego z taką miłością, że musiałam odwrócić wzrok. Ale przynajmniej już wiem, jak wygląda miłość - pomyślałam. To zawsze coś. Nikt nigdy nie patrzył tak na mnie, jednak w przyszłości już potrafiłabym rozpoznać takie spojrzenie.

- Synku, wyjmij album. Pokażemy Eleanor zdjęcia z tamtych

pierwszych wakacji w Alicante, latem przed twoim pójściem do podstawówki. Utknął w drzwiach obrotowych na lotnisku – dodała sotto voce, konfidencyjnie nachylając się ku mnie.

Zaśmiałam się głośno na widok przerażonej miny Raymonda.

– Mamo, Eleanor zanudzi się na śmierć, oglądające te stare fotografie – odparł.

Zarumienił się w sposób, który wielu ludzi uznałoby pewnie za ujmujący. Już chciałam zaproponować, powiedzieć, że z przyjemnością je obejrzę, ale wyglądał tak żałośnie, że nie mogłam mu tego zrobić. Akurat głośno zaburczało mi w brzuchu. Od lunchu, na który zjadłam grzanekę ze spaghetti, przekąsiłam tylko jedną markizę. Matka Raymonda kaszlnęła uprzejmie.

– Zostaniesz na kolacji, prawda, Eleanor? To nic wyszukanego, ale będzie nam bardzo miło.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziło wpół do szóstej – dziwna pora na jedzenie, ale byłam głodna; pomyślałam, że jeszcze zdążę w drodze powrotnej wstąpić do Tesco.

– Z wielką przyjemnością, pani Gibbons – odpowiedziałam.

Usiedliśmy przy małym stole w kuchni. Zupa była pyszna; starsza pani ugotowała ją na golonce, którą potem pokroiła i dodała do wywaru, razem z warzywami z ogródka. Do tego był chleb z masłem i ser, a na koniec herbata i ciasto z kremem. Przez cały czas pani Gibbons raczyła nas opowieściami o różnych dziwactwach i dolegliwościach swoich sąsiadów, a także relacjonowała ostatnie wydarzenia z życia członków licznej rodziny, które wydawały się zajmować Raymonda równie mało jak mnie, sądząc z wyrazu jego

twarży. Często czule przekomarzał się z matką, a ona odpowiadała udawaną irytacją, delikatnie uderzając go w ramię albo ganiąc za brak manier. Ja zaś się najadłam i było mi tak ciepło i wygodnie, jak nigdy wcześniej.

W końcu gospodyni wstała ciężko i sięgnęła po laskę. Jak dowiedziałam się od Raymonda, gdy poszła do łazienki na piętrze, miała artretyzm, szczególnie dokuczliwy w kolanach i biodrach. Dom nie był przystosowany dla niepełnosprawnej osoby, ale nie chciała się wyprowadzić, bo mieszkała tu przez całe swoje dorosłe życie i wychowała tutaj dzieci.

- A teraz - powiedziała po powrocie - umyję te kilka naczyń, a potem usadowimy się w salonie i pooglądamy telewizję. - Raymond od razu zerwał się na nogi.

- Usiądź, mamó, i pozwól, że ja to zrobię... to zajmie chwilę. Eleanor mi pomoże, prawda?

Wstałam i zaczęłam zbierać naczynia. Pani Gibbons gwałtownie protestowała, ale w końcu powoli i niezgrabnie usiadła z powrotem na krześle, cicho wzdychając z bólu.

Raymond zmywał, a ja wycierałam. Tak zaproponował - widocznie zauważył moje zaczerwienione, obolałe ręce, choć nie robił z tego wielkiej afery. Tylko odsunął mnie od zlewu i rzucił mi ścierkę - zabawną, z terierem szkockim w kraciastej muszce.

Ścierka była miękka i puszysta - jakby prana wiele razy - starannie wyprasowana i złożona w kwadrat. Zanim odstawiłam wytarte talerze na stół, żeby Raymond je schował, przyjrzałam się im uważnie. Były stare, ale dobrej jakości, w kwitnące różyczki, ze złożonym wytartym rantem. Pani

Gibbons zauważyła moje spojrzenie. Jej zmysł obserwacji z całą pewnością nie szwankował.

- To moja zastawa ślubna - wyjaśniła. - Wyobraź sobie... wciąż służy, choć ma już prawie pięćdziesiąt lat!

- Mówisz o sobie czy o niej? - zapytał Raymond, a ona cmoknęła i wesoło pokręciła głową.

Zapadła niekrępująca cisza.

- Powiedz, Eleanor, spotykasz się z kimś? - zagadnęła starsza pani.

Jakie to nużące.

- Teraz nie - odparłam. - Ale mam kogoś na oku. To tylko kwestia czasu. - Od strony zlewu dobiegł rumor, gdy Raymond upuścił chochlę na suszarkę.

- Raymondzie! - zganiła go matka. - Ale z ciebie niezgraba!

Oczywiście, śledziłam poczynania swojego muzyka w sieci, ale ostatnio mało się udzielał. Zamieścił kilka zdjęć z posiłków, w których brał udział, parę tweetów i nieciekawych wpisów na Facebooku dotyczących muzyki innych. Nie przeszkadzało mi to. To rzeczywiście była tylko kwestia czasu. Nie bardzo się znałam na romansach, ale jedno wiedziałam na pewno: idealna chwila, abyśmy się spotkali i zakochali w sobie, przyjdzie najmniej oczekiwanie, w najbardziej urzekających okolicznościach. Gdyby jednak nie nastąpiło to w najbliższym czasie, zamierzałam wziąć sprawy w swoje ręce.

- A twoja rodzina? - zapytała starsza pani. - Mieszka gdzieś niedaleko? Masz braci albo siostry?

- Nie, niestety - odparłam. - Chciałabym mieć rodzeństwo, z którym bym się wychowywała. - Zastanawiałam się nad tym.

- Bardzo żałuję, że to mnie w życiu ominęło. -
Wypowiedziałam te słowa mimowolnie. Nigdy wcześniej niczego takiego nie mówiłam i nawet nie byłam świadoma tej myśli, aż do tej chwili. Samą mnie to zdziwiło. „A czyja to wina?” - szepnął mi do ucha głos, zimny i ostry. Zły. Mamy. Zamknęłam oczy, starając się odsunąć od siebie myśl o niej.

Pani Gibbons jakby wyczuła mój dyskomfort.

- Och, ale na pewno utrzymujesz bliskie stosunki z rodzicami, prawda? Założę się, że jako jedynaczka jesteś dla nich całym światem.

Spojrzałam na swoje buty. Dlaczego je włożyłam? Nie mogłam sobie przypomnieć. Miały praktyczne zapięcia na rzepy i były czarne, tak że pasowały do wszystkiego. Wygodne, bo płaskie, mocno ujmowały kostkę. Jednak wyglądały paskudnie - uświadomiłam sobie nagle.

- Nie bądź taka ciekawska, mamó - włączył się Raymond, wycierając ręce w ścierkę. - Jesteś jak śledczy!

Myślałam, że to ją rozgniewa, ale gorzej - poczuła się do winy.

- Och, Eleanor, przepraszam, moja droga, nie chciałam sprawić ci przykrości. Proszę, nie płacz. Bardzo przepraszam.

Płakałam. Szlochałam! Od lat nie pozwoliłam sobie na podobny wybuch. Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się rozkleiłam; to było po rozstaniu z Declanem. Ale nawet wtedy nie był to wyraz emocji - płakałam z bólu, bo kiedy w końcu zażądałam, żeby się wyprowadził, złamał mi rękę i dwa żebra. Nie powinno było do tego dojść - żebym szlochała u matki kolegi w kuchni! Co by powiedziała na to

moja mama? Opanowałam się w końcu.

- Proszę nie przepraszać, pani Gibbons - powiedziałałam łamiącym się głosem, a potem zupełnie się rozsypałam, jak małe dziecko. Ocierając łzy ścierką do naczyń, usiłowałam złapać oddech.

Starsza pani dosłownie załamała ręce i sama była bliska płaczu. Raymond objął ją ramieniem.

- Nie przejmuj się, mamó. Nie chciałaś nic złego i ona o tym wie... prawda, Eleanor?

- Tak, oczywiście! - wykrzyknęłam pod wpływem impulsu. Pochyliłam się i ujęłam ją za rękę. - Pani pytania były całkiem uzasadnione i stosowne. W przeciwieństwie do mojej reakcji. Nie umiem jej wytłumaczyć. Proszę przyjąć moje przeprosiny, jeśli przeze mnie poczuła się pani niezręcznie.

Wyraźnie jej ulżyło.

- Dzięki Bogu - odrzekła. - Nie spodziewałam się, że ktoś dzisiaj będzie płakał w mojej kuchni!

- Tak? Zwykle twoje zdolności kulinarne doprowadzają mnie do łez, mamó - zauważył Raymond, a ona zaśmiała się cicho.

Odchrząknęłam.

- Pani pytania wytrąciły mnie z równowagi, pani Gibbons - odezwałam się. - Nie znałam swojego ojca i nic o nim nie wiem, nie znam nawet jego imienia. A mama obecnie... powiedzmy, że jest hors de combat. - Spojrzeli na mnie, nie rozumiejąc - najwyraźniej nie przebywałam wśród frankofonów. - Nie widuję się z nią... jest... poza zasięgiem - wyjaśniłam. - Komunikujemy się raz w tygodniu, ale...

- Naturalnie... każdego by to przygnębiało, kochanie -

odparła, kiwając głową ze współczuciem. – Wszyscy co jakiś czas potrzebują matki, niezależnie od wieku.

– Wręcz przeciwnie – odpowiedziałam – dla mnie kontakt z nią raz w tygodniu to aż za dużo. Mama i ja... my... ojej, to skomplikowane...

Pani Gibbons pokiwała ze zrozumieniem głową, chcąc, abym mówiła dalej. Ja jednak wiedziałam, że pora skończyć. Ulicą przejechała furgonetka z lodami, wygrywając *Yankee Doodle* kilka bolesnych tonów niżej, niż należało. Przypomniałam sobie słowa tej piosenki, o piórze na czapce i makaronie; powróciły do mnie z jakichś kompletnie nieużywanych zakamarków pamięci.

Raymond niby radośnie klasnął w dłonie.

– My tu gadu-gadu, a czas płynie. Mamo... idź do salonu i usiądź sobie wygodnie... zaraz zaczyna się twój ulubiony program. Eleanor, mogłabyś mi pomóc i zdjąć ze sznura pranie?

Byłam chętna do pomocy, żeby tylko uciec od rozmowy o mamie. Pani Gibbons nie radziła sobie z obowiązkami domowymi – Raymond zabrał się do wymiany piasku w kocich kuwetach i wynoszenia śmieci, więc mnie z tym praniem i tak się upiekło.

Na dworze świeciło blade przedwieczne słońce. Po prawej i lewej stronie ciągnęły się ogródki przydomowe. Postawiłam kosz na ziemi i powiesiłam na sznurze worek z klamerkami (na którym ktoś pochyłym pismem wyhaftował pomocnie „klamerki”). Pranie był suche i pachniało latem. Doszły do mnie synkopowane odgłosy odbijanej o ścianę piłki nożnej,

podśpiewywanej przez dziewczynki piosenki i uderzeń skakanki o chodnik. Odległa melodia wygrywana przez furgonetkę z lodami była już ledwie słyszalna. Trzasnęły jakieś drzwi frontowe i męski głos z wściekłością skrzyczał psa – w każdym razie miałam nadzieję, że chodziło o zwierzę. Rozległ się świergot ptaka, kontrpunkt dla dobiegających przez otwarte okno dźwięków z telewizora. Wszystko to tchnęło takim spokojem, zwyczajnością. Dzieciństwo Raymonda było zupełnie inne od mojego – normalna rodzina, rodzice i siostra, pośród innych normalnych rodzin. I teraz jego życie także wygląda inaczej – spędzał tu każdą niedzielę.

Pomogłam mu zmienić pościel w łóżku matki na czystą, tę, którą przyniosłam z dworu. Sypialnia starszej pani była urządzona na różowo i pachniało w niej talkiem. Czysta i bez wyrazu, przypominała może nie pokój w hotelu, ale w pensjonacie ze śniadaniem. Z wyjątkiem sterty książek w wydaniu kieszonkowym i paczki miętówek na szafce nocnej nie było w nim żadnych przedmiotów osobistych, nic, co świadczyłoby o osobowości właścicielki. Uderzyła mnie myśl, że ona naprawdę nie miała osobowości, w najlepszym znaczeniu tego określenia; była kochającą matką, poczciwą kobietą, o której nikt by nie powiedział: „To była wariatka, ta Betty!”, „Nigdy nie wpadniesz na to, co zrobiła Betty!” albo: „Po badaniach psychologicznych odmówiono Betty zwolnienia za kaucją, ponieważ stanowi poważne zagrożenie dla otoczenia”. Była po prostu miłą panią, która wychowała dzieci i teraz żyła sobie spokojnie z kotami, uprawiając warzywa. Tak mało i aż tak wiele.

- Czy siostra pomaga ci przy matce, Raymondzie? - zagadnęłam. Zmagał się z kołdrą, więc wzięłam ją od niego. Do takich rzeczy trzeba mieć dryg. Raymond go nie miał. Zaczął oblekać poduszki w powłoczki (kwieciste, z falbankami).

- Nie bardzo - odparł, skupiony na swoim zajęciu. - Ma dwoje dzieci, i to dość niesfornych. Mark pracuje na morzu, więc Denise czasami przez całe tygodnie jest samotną matką. To niełatwe. Mówi, że się poprawi, kiedy dzieciaki pójdą do szkoły.

- Aha. A ty... dobrze się czujesz jako wujek?

Wujek Raymond; jakoś nie pasował mi do tej roli.

Wzruszył ramionami.

- Tak, to fajne smarkacze. Szczerze mówiąc, niewiele mam do roboty. Daję im trochę forsy na Boże Narodzenie i urodziny, kilka razy w miesiącu zabieram ich do parku. I po wszystkim.

Nigdy nie będę ciocią. Może i dobrze.

- Upiękło ci się dziś z tym albumem fotograficznym - zauważył. - Następnym razem matka nie odpuści, będziesz musiała obejrzeć zdjęcia wnuków, przekonasz się.

Czynił mnóstwo założeń, pomyślałam, ale pominęłam to milczeniem. Zerknęłam na zegarek, zaskoczona, że jest już po ósmej.

- Muszę iść, Raymondzie - powiedziałam.

- Jeśli poczekaś jeszcze godzinę, skończę, co mam do zrobienia, i pojedziemy razem, co ty na to? - zapytał.

Naturalnie odmówiłam.

Zeszłam do salonu i podziękowałam pani Gibbons za „herbatę”. Ona z kolei wylewnie podziękowała mi za wizytę i pomoc w pracach domowych.

- Było mi naprawdę miło, Eleanor - ciągnęła. - Od miesiący nie wychodziłam dalej niż do ogrodu... te moje kolana... więc to dla mnie wielka przyjemność poznać nową osobę, i to w dodatku taką sympatyczną. Bardzo nam pomogłaś... dziękuję, bardzo ci dziękuję.

Uśmiechnęłam się do niej. Dwa razy jednego dnia usłyszałam podziękowania i życzliwe słowa! Nigdy bym nie przypuszczała, że drobne uczynki mogą spotkać się z taką autentyczną wdzięcznością. Poczułam w środku ciepło - takie, jakie daje płomyk świecy.

- Przychodź, kiedy masz ochotę, Eleanor... ja nie ruszam się z domu. Nie musisz przyjeżdżać z nim. - Wymierzyła palec mniej więcej w kierunku Raymonda. - Możesz sama. Już wiesz, gdzie mieszkam. Zawsze jesteś mile widziana.

Pochyliłam się pod wpływem impulsu i przytknęłam policzek (nie ten z blizną, ten normalny) do jej policzka. Nie był to pocałunek ani uścisk, ale coś na tyle czułego, na ile mogłam się zdobyć.

- Na razie! - zawołała. - Bezpiecznej drogi do domu!

Raymond odprowadził mnie na koniec ulicy i pokazał, gdzie znajduje się przystanek. Powiedział, że będę musiała trochę poczekać na autobus, bo jest niedziela. Wzruszyłam ramionami; nawykłam do czekania i życie nauczyło mnie cierpliwości.

- To do zobaczenia jutro, Eleanor - rzucił na koniec.

Wyjęłam bilet okresowy i pokazałam mu.

- Nielimitowane przejazdy! - powiedziałam.

Kiwnął głową i uśmiechnął się lekko. Jakimś cudem nadjechał autobus. Poniosłam rękę i wsiadłam. Żeby uniknąć skrępowania związanego z machaniem, patrzyłam przed siebie, gdy ruszał.

Ależ to był dzień. Czułam się wykończona, ale w mojej głowie coś się krystalizowało. Nowe znajomości, nowe doświadczenia... wzajemny kontakt. Było to przytłaczające, ale ku mojemu zaskoczeniu, wcale nie takie nieprzyjemne. Poradziłam sobie zadziwiająco dobrze, pomyślałam. Poznałam ludzi, dałam się im poznać, ja i oni bez problemów spędziliśmy czas w swoim towarzystwie. Jeśli coś z tego wynikało, to jedno: byłam prawie gotowa wyjawic swoje uczucia muzykowi. Pora naszego doniosłego pierwszego spotkania była coraz bliżej.

11

Nie widziałam się z Raymondem ani w poniedziałek, ani we wtorek. Nie myślałam o nim, chociaż od czasu do czasu przypominałam sobie Sammy'ego i panią Gibbons. Mogłam, oczywiście, odwiedzić jedno z nich albo oboje bez Raymonda. Każde z nich powiedziało mi to w niedzielę. Ale czy nie byłoby lepiej mieć go przy boku? Tak mi się wydawało, wcale nie dlatego, że zawsze mógł zapełnić chwile ciszy jakąś banalną, bezmyślną uwagą czy niepotrzebnym pytaniem. Tymczasem udałam się do salonu telefonii komórkowej z najmniej krzykliwym szyldem, położonego w pobliżu biura, i korzystając z nader podejrzanych rad znudzonego sprzedawcy, w końcu zakupiłam za rozsądną cenę telefon wraz z „pakietem” umożliwiającym mi dzwonienie, korzystanie z internetu i różne inne rzeczy, które w większości zupełnie mnie nie interesowały. Sprzedawca wspomniał także o aplikacjach i grach; zapytałam o krzyżówki, ale byłam rozczarowana odpowiedzią. Zamiast uzupełniać dane na fakturze pana Leonarda, właśnie zapoznawałam się z instrukcją obsługi nowego nabytku, gdy mimowolnie zaczęłam przysłuchiwać się toczącej się wokół rozmowie; była głośna. Dotyczyła, kto by się spodziewał, naszego dorocznego bożonarodzeniowego lunchu.

- Tak, ale tam mają program rozrywkowy! I przyjmują mnóstwo innych większych grup, więc moglibyśmy poznać nowych ludzi, pośmiać się - mówiła Bernadette.

Program rozrywkowy! Byłam ciekawa, czy to obejmuje występ zespołu muzycznego, a jeśli tak, to czy może j e g o? Czyżby wczesny cud gwiazdkowy? Znowu ingerencja przeznaczenia? Zanim zdążyłam zapytać, włączył się Billy.

- Chcesz po prostu poobściskować się pod jemiółą z jakimś pijanym facetem z Allied Carpets - zauważył. - Nie wybulę sześćdziesięciu funciaków za suchego pieczonego indyka i obciachową popołudniową dyskotekę, żebyś mogła szukać młodych talentów!

Bernadette zachichotała i uderzyła go w ramię.

- Wcale nie o to chodzi - zaprotestowała. - Po prostu sądzę, że będzie lepsza zabawa, jeśli zbierze się więcej ludzi, to wszystko...

Janey spojrzała na pozostałych przebiegle, sądząc, że tego nie widzę. Zauważyłam, że zerknęła na moje blizny, jak zwykle.

- Zapytajmy naszego Harry'ego Pottera - powiedziała wcale nie tak cicho i zwróciła się do mnie: - Eleanor! Hej, Eleanor! Jesteś obyta, no nie? Jak myślisz: gdzie powinniśmy zorganizować tego roku gwiazdkowy lunch?

Spojrzałam znacząco na kalendarz ścienny, w tym miesiącu przedstawiający zieloną ciężarówkę naczepową.

- Jest środek lata - zauważyłam. - Nie mogę powiedzieć, że bym się nad tym zastanawiała.

- Tak, ale - ciągnęła - powinniśmy już dokonać rezerwacji, bo potem wszystkie fajne knajpy będą zajęte i zostaną same najgorsze.

- Jest mi to całkowicie obojętne - odparłam. - I tak nigdzie

się nie wybieram. – Potarłam pękniętą skórę między palcami; goiła się, ale był to boleśnie powolny proces.

– No tak – skwitowała – nigdy się nie wybierasz. Zapomniałam. Prezentów także nie robisz. Powinniśmy cię nazywać Eleanor Grinch. – Wszyscy zarechotali.

– Nie wiem, do jakiego zjawiska popkultury się odnosisz – odparłam. – Żeby była jasność: jestem ateistką i nie podniecają mnie zakupy, więc ten zimowy festiwal prezentowy, zwany inaczej Bożym Narodzeniem, mało mnie interesuje.

Wróciłam do pracy, licząc, że pójdą za moim przykładem. Byli jak dzieci, ciągle coś odwracało ich uwagę; potrafili z upodobaniem całymi godzinami rozmawiać o niczym i plotkować o kimś, kogo nie znali.

– Wygląda na to, że ktoś miał w przeszłości przykre doświadczenia ze Świętym Mikołajem – rzucił Billy, ale na szczęście zadzwonił telefon.

Uśmiechnęłam się smutno. Nawet nie potrafiłby sobie wyobrazić tych przeszłych doświadczeń.

Było to połączenie wewnętrzne; Raymond pytał, czy nie pojechałabym z nim wieczorem w odwiedziny do Sammy'ego. Środa. Pomyślałam, że ominie mnie cotygodniowa rozmowa z mamą. Pierwszy raz, od tylu lat. Ale co mogła mi zrobić? W końcu nic takiego by się nie stało, a Sammy potrzebował pożywnej wałówki. Zgodziłam się.

Umówiliśmy się o wpół do szóstej. Nalegałam, żebyśmy spotkali się przed pocztą, bo bałam się reakcji kolegów, gdyby zauważyli, że wychodzimy razem. Był przyjemny wieczór, więc postanowiliśmy pójść piechotą do szpitala, oddalonego

zaledwie o dwadzieścia minut spacerem. Raymond z całą pewnością potrzebował ruchu.

- Jak ci minął dzień, Eleanor? - zapytał. Zapalił papierosa, gdy szliśmy.

Zmieniłam strony, żeby mieć trujące substancje po zawietrznej.

- Dobrze, dziękuję. Na lunch zjadłam kanapkę z serem i piklami oraz chipsy, i popiłam koktajlem mlecznym z mango.

Wydmuchnął dym kącikiem ust i parsknął śmiechem.

- Coś jeszcze się zdarzyło? Czy jedynym wydarzeniem dnia była ta kanapka?

Zastanowiłam się.

- W pokoju wywiązała się długa dyskusja na temat bożonarodzeniowego lunchu i miejsca, w którym należy go zorganizować - odpowiedziałam. - Wygląda na to, że zawężono wybór do TGI Fridays, bo „tam jest zgrywnie”... - tu wykonałam palcami gest naśladujący cudzysłowy, który podpatrzyłam u Janey i postanowiłam zachować na późniejszą okazję; myślę, że wyszedł mi doskonale - albo w ostateczności do Bombay Bistro Christmas Buffet.

- Nie ma to jak biryani z jagnięciną na Wigilię, co? - zauważył Raymond. Zgasił papierosa i rzucił niedopałek na chodnik.

Doszliśmy do szpitala i Raymond, jak zwykle źle zorganizowany, wstąpił do sklepu na parterze, podczas gdy ja czekałam na zewnątrz. Nie ma usprawiedliwienia dla złej organizacji. Ja poszłam do Marks & Spencer, zanim się spotkaliśmy; kupiłam tam kilka wybranych artykułów, między

innymi pestki dyni. Przypuszczałam, że Sammy potrzebuje cynku. Raymond wyłonił się ze sklepu, machając reklamówką. W windzie zajrzał do środka i pokazał mi, co kupił.

- Haribo, „The Evening Times”, duże opakowanie chrupek ze śmietaną i szczypiorkiem. Czego więcej można chcieć? - zapytał. Wyglądał na bardzo dumnego z siebie. Nie raczyłam odpowiedzieć.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem na salę; Sammy miał gości. Zauważył nas i skinął ręką, dając nam znak, żebyśmy weszli. Rozejrzałam się, ale nie zauważyłam w pobliżu surowej pielęgniarki w pasiastych skarpetkach. Sammy, spoczywający po królewsku na poduszkach, przemawiał do zebranych.

- Eleanor, Raymondzie... wspaniale was widzieć! - zwrócił się do nas. - Chodźcie i poznajcie moją rodzinę! To Keith... dzieciaki zostały z mamą w domu... Gary i Michelle, i wreszcie... - wskazał blondynkę, która z niezwykłym skupieniem pisała esemesa - moja córka Laura.

Wszyscy wokół nas się uśmiechali i kiwali głowami, ściskali nam ręce i klepali Raymonda po plecach. Było to dość oszałamiające. Zamiast użyć żelu antybakteryjnego, włożyłam białe bawełniane rękawiczki - pomyślałam, że mogę je po powrocie do domu wygotować. To spowodowało pewne niezdecydowanie przy podawaniu rąk; dziwne - chyba bawełniana bariera między naszymi ciałami służy tylko wzajemnej korzyści?

- Wielkie dzięki, że pomogliście naszemu tacie - powiedział Keith, wycierając ręce o spodnie. - Cieszymy się, że nie był

sam, kiedy to się zdarzyło, i że ktoś się nim zajął.

- Hej - zaprotestował Sammy, dźgając go łokciem - nie jestem dzieciniałym niepełnosprawnym staruszkiem. Jakoś sobie radzę.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Jasne, że tak, tato. Chcę tylko powiedzieć, że czasami dobrze jest mieć wokół siebie życzliwych ludzi.

Sammy wzruszył ramionami, łaskawie przemilczając uwagę.

- Mam dobre wieści - zwrócił się do nas. Z zadowoleniem opadł na poduszki, podczas gdy ja i Raymond złożyliśmy torby z zakupami w nogach jego łóżka niczym mirrę i kadzidło. - W sobotę stąd wychodzę!

Raymond przybił z nim piątkę, choć początkowo starszy pan nie wiedział, dlaczego ten podsunął mu pod nos swoją pulchną łapę.

- Przez parę tygodni zostanie u mnie, dopóki nie nauczy się chodzić z balkonikiem - odezwała się Laura, która wreszcie oderwała wzrok od telefonu. - Urządzamy małe przyjęcie z tej okazji! Oczywiście, oboje jesteście zaproszeni - dodała trochę mniej entuzjastycznie.

Przyjrzała mi się. Nie przeszkadzało mi to. Właściwie wolę już jawne gapienie się niż ukradkowe spojrzenia - jeśli chodzi o nią, przyglądała mi się otwarcie, wręcz z fascynacją, ale bez zgrozy ani niesmaku. Odgarnęłam włosy z twarzy, żeby miała lepszy widok.

- W tę sobotę? - zapytałam.

- Och, Eleanor, tylko nie mów, że jesteś zajęta - włączył się Sammy. - Żadnych wymówek. Chcę widzieć was oboje.

I koniec.

- Czy my coś mówimy? - rzucił Raymond z uśmiechem.

Zastanowiłam się nad tym. Przyjęcie. Ostatnie, na jakim byłam - nie licząc tamtego straszego wesela - odbywało się z okazji trzynastych urodzin Judy Jackson. Była jazda na łyżwach i koktajle mleczne, co nie skończyło się dobrze. Ale z pewnością na przyjęciu z okazji powrotu do domu niepełnosprawnego starszego pana nikt się nie porzyga ani nie straci palca.

- Dziękuję za zaproszenie. Chętnie przyjdę - odparłam, skłaniając głowę.

- To moje wizytówki. - Laura podała mnie i Raymondowi po jednej. Były czarne i błyszczące, z wytłoczonym złotym liściem. Przeczytałam: „Laura Larston-Smith, specjalistka medycyny estetycznej, stylistka fryzur, konsultantka wizerunkowa”. Poniżej znajdował się telefon i adres.

- A więc w sobotę o siódmej, tak? Nic nie przynosicie, tylko przyjdźcie.

Starannie schowałam wizytówkę do portmonetki. Raymond wcisnął swoją do tylnej kieszeni spodni. Zauważyłam, że nie może oderwać wzroku od Laury; patrzył na nią zahipnotyzowany jak mangusta na węża. Ona była tego świadoma. Myślę, że przy swojej aparycji zdążyła się do takich spojrzeń przyzwyczać. Blond włosy i duży biust są takie banalne, takie oczywiste. Tego rodzaju kobiety zawsze przyciągają mężczyzn w typie Raymonda, nierozgarniętych przeciętniaków, którym brakuje rozumu i wyrafinowania, żeby dostrzec cokolwiek poza tlenionymi włosami i gruczołami

mlekowymi.

W końcu Raymond oderwał wzrok od dekoltu Laury i spojrzał najpierw na zegar ścienny, a potem – znacząco – na mnie.

- Musimy się już pożegnać – odezwałam się. – Do zobaczenia w sobotę. – Znowu nastąpiły krępujące ceremonie z pożegnaniami i uściskami rąk. Sammy w tym czasie przetrząsał torby, które przynieśliśmy. Wyjął paczkę ekologicznego jarmużu.

- A co to jest, do licha? – zapytał z niedowierzaniem.

- Cynk – szepnęłam do siebie. Zanim zdążyłam wspomnieć, że sałatkę z kalmarów należy zjeść w najbliższym czasie (w szpitalu panowała dość wysoka temperatura), poczułam, że Raymond wypycha mnie z sali.

12

Następnego dnia, gdy czekałam, aż zagotuje się woda w czajniku, zwróciłam uwagę na ulotkę, którą wrzucono do biurowego kosza na odpady do recyklingu, razem z plikiem folderów agencji turystycznych i wymiętych czasopism plotkarskich. Ulotka reklamowała znajdujący się w centrum dom towarowy - do którego dotąd nie chodziłam - przedstawiając ofertę promocyjną, między innymi na „rozkoszny manikiur deluxe”, w naprawdę atrakcyjnej, trzy razy niższej cenie niż zwykle. Na czym może polegać rozkosz deluxe w procesie kształtowania i lakierowania paznokcia? Przechodziło to moje pojęcie. Poczułam podniecenie. Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Przypomniałam sobie moją inspirowaną światem zwierząt listę zabiegów: czas zająć się pazurami.

Ostatnio, zaabsorbowana niefortunnym wypadkiem Sammy'ego i wydarzeniami, które z tego wyniknęły, nieco zaniedbałam plan pracy nad swoim wyglądem. Musiałam ponownie skupić się na celu, jakim było zdobycie muzyka. Na moment jednak pozwoliłam sobie ulec grzechowi dumy. Paznokcie mam mocne i błyszczące, w dodatku szybko rosną. Przypisuję to diecie, bogatej w niezbędne witaminy, składniki mineralne i kwasy tłuszczowe, których dostarczam organizmowi dzięki dobrze zaplanowanym posiłkom na lunch. Moje paznokcie to hołd złożony wybitnej kuchni brytyjskiej ulicy. Ponieważ nie jestem próżna, dotychczas, kiedy stawały

się zbyt długie, tylko je obcinałam, żeby wygodnie wprowadzać dane do komputera, a potem opilałam ostre brzegi, żeby nie zaciągały tkanin ani nieprzyjemnie nie drapały skóry podczas kąpieli. To zupełnie wystarczało. Ręce mam zawsze czyste – czyste paznokcie, tak jak czyste buty, to podstawa szacunku dla samego siebie. Może nie jestem stylowa ani modna, ale zawsze dbam o higienę; dzięki temu, zajmując na tym świecie swoje miejsce, nawet jeśli niezbyt eksponowane, mogę przynajmniej wysoko nosić głowę.

W przerwie lunchowej wybrałam się na miasto; żeby zaoszczędzić czas, kanapkę zjadłam w drodze. Po chwili refleksji uznałam, że mogłam wybrać inną, mniej wonną: jajko z rzeżuchą chyba nie było najlepszym wyborem, jeśli podróżowało się zatłoczoną i rozpaloną komunikacją miejską; pewnie dlatego obie, kanapka i ja, przyciągałyśmy niechętnie spojrzenia współpasażerów. Nie znoszę jeść w miejscach publicznych, więc ośmiominutowa jazda nie należała do przyjemnych dla nikogo z obecnych.

Salon paznokci znajdował się na końcu Pasażu Piękności, oświetlonej żyrandolami hali z mnóstwem luster, pełnej zapachów i dźwięków. Poczułam się jak schwyte zwierzę – wół opasowy albo wściekły pies – i wyobraziłam sobie chaos, jaki bym spowodowała, wierzgając wściekle, gdyby zapędzono mnie tu wbrew woli. Mocno ścisnęłam ulotkę zwiniętą w kieszeni bezrękawnika.

Jak się okazało, Paznokcie Et Cetera – byłam ciekawa, do czego jeszcze, oprócz paznokci, odnosił się ten łaciński termin – składały się z dwóch znudzonych dziewczynek w białych

tunikach, baru z czterema stołkami i stojaka z lakierami we wszystkich odcieniach, od bezbarwnego po smoliście czarny. Podeszłam ostrożnie.

- Witamy wpaznokcie etcetera czym mogę służyć - wyrecytowała niższa dziewczynka. Chwilę zajęło mi przetłumaczenie sobie tego, co powiedziała.

- Dzień dobry - odparłam powoli, z przesadną modulacją, żeby dać jej pojęcie, jak należy mówić w celu efektywnego komunikowania się. Ona i jej towarzyszka gapiły się na mnie z przerażeniem i jednocześnie... cóż, głównie z przerażeniem. Uśmiechnęłam się uspokajająco, a przynajmniej tak mi się wydawało. Były w końcu takie młode - może miały tu jakieś praktyki zawodowe i czekały na powrót nauczycielki.

- Poproszę o rozkoszny manikiur deluxe - powiedziałam tak wyraźnie, jak tylko mogłam.

Nastąpiła przeciągła chwila ciszy, podczas której nic się nie działo. Niższa z dziewczyn w końcu ocknęła się z letargu.

- Proszę usiąść! - powiedziała, wskazując najbliższy stółek. Jej towarzyszka pozostała w transie. Ta niższa (Casey, jak wynikało z plakietki) przez chwilę krzątała się z roztargnieniem i wreszcie, postawiwszy na blacie nerkę z pełną mydlin gorącą wodą, zajęła miejsce na stołku naprzeciwko mnie. Przyciągnęła stojak z lakierami.

- Jaki kolor pani sobie życzy? - zapytała. Mój wzrok spoczął na jaskrawozielonym, barwy toksycznej amazońskiej żaby, z tych malutkich, śmiertelnie niebezpiecznych. Podałam go jej. Skinęła głową. Nie żuła gumy, ale jej zachowanie przywodziło na myśl kogoś, kto ją żuje.

Wyciągnęłam ręce i włożyłam czubki wszystkich dziesięciu palców do ciepłej wody. Staralam się nie zanurzać ich głębiej, żeby oszczędzić skórze kontaktu z nieznanym detergentem, który mógłby pogorszyć moją egzemę. Gdy tak siedziałam, czując się zresztą dość głupio, dziewczyna pogrzebała w znajdującej się obok szufladzie i wróciła z zestawem narzędzi ze stali nierdzewnej, starannie rozłożonych na tacy. Jej katatoniczna towarzyszka wreszcie ożyła i gawędziła z koleżanką z innego działu; nie potrafiłam zidentyfikować tematu, który jednak skłaniał je obie do przewracania oczami i wzruszania ramionami.

Casey uznała, że pora wyjąć moje ręce z wody. Położyła je na złożonym ręczniku i starannie osuszyła każdy paznokiec z osobna. Byłam ciekawa, dlaczego po prostu nie poprosiła, żebym sama wyjęła ręce z wody, i nie podała mi ręcznika, żebym sama je wytarła, bo przecież jak na razie byłam pełnosprawna i miałam władzę we wszystkich kończynach. Może to właśnie oznaczała „rozkosz” w nazwie zabiegu – że klient dosłownie nie musiał ruszyć palcem.

Wreszcie Casey zabrała się do pracy; zaczęła odsuwać moje skórki i wycinać je tam, gdzie było trzeba. Zagaiłam lekką rozmowę, świadoma, że to przyjęte w takich okolicznościach.

- Długo tu pracujesz? - zapytałam.

- Dwa lata - odpowiedziała ku mojemu zaskoczeniu. Wyglądała co najwyżej na czternastolatkę, a z tego, co mi wiadomo, zatrudnianie nieletnich jest w tym kraju nielegalne.

- I zawsze chciałaś być.... - zaczęłam, szukając odpowiedniego słowa... - manikiurzystką?

- Stylistką paznokci - poprawiła mnie. Była skupiona na swojej pracy i mówiąc, nie patrzyła na mnie, co bardzo mi odpowiadało. Gdy ktoś używa ostrych narzędzi, kontakt wzrokowy z drugą osobą jest co najmniej niewskazany.

- Chciałam albo pracować ze zwierzętami, albo stylizować paznokcie - ciągnęła. Przystąpiła do masażu moich dłoni. Zapewne była to kolejna rozkosz deluxe, choć uznałam ów zabieg za dość bezsensowny i niepotrzebny, a poza tym niepokoiła mnie możliwość reakcji alergicznej. Dziewczyna miała małe dłonie, prawie tak jak ja (niestety są wyjątkowo małe, jak łapki dinozaura). Wolałabym, żeby masowały je męskie ręce: większe, silniejsze, mocniejsze. Bardziej owłosione.

- Więc - mówiła dalej - ponieważ nie mogłam się zdecydować, zwierzęta czy paznokcie, zapytałam mamę, co powinnam wybrać, a ona odpowiedziała, że paznokcie. - Wzięła pilniczek i zaczęła opiłowywać mi paznokcieć po paznokciu. Dziwnie przebiegała ta czynność; zdecydowanie łatwiej wykonywało się ją samemu.

- Czy twoja matka jest ekonomistką? A może zajmuje się doradztwem w wyborze zawodu? - zapytałam. Casey popatrzyła na mnie. - Bo jeśli nie, nie sądzę, żeby jej rada opierała się na ostatnich danych dotyczących przewidywanych zarobków czy też popytu na rynku pracy - wyjaśniłam, poważnie zaniepokojona jej perspektywami zawodowymi.

- Jest agentką w biurze podróży - wyjaśniła Casey stanowczo, jakby to rozstrzygało sprawę.

Porzuciłam ten temat; to nie była w końcu moja sprawa,

a dziewczyna sprawiała wrażenie zadowolonej ze swojej pracy. Gdy nakładała na moje paznokcie kolejne warstwy kolejnych lakierów, przyszło mi na myśl, że mogłaby połączyć obie pasje, zostając psią manikiurzystką. Wolałam jednak zachować ten pomysł dla siebie. Czasami, gdy próbuje się radzić drugiemu, prowadzi to do nieporozumień, często bardzo nieprzyjemnych.

Tymczasem Casey wsadziła moje dłonie do małego urządzenia, które okazało się suszarką do paznokci, i kilka minut później rozkoszny manikiur deluxe był skończony. *Summa summarum* cały zabieg nie spełnił moich oczekiwań.

Podawała mi cenę usługi – prawdę mówiąc, niebotyczną.

- Mam ulotkę! – wykrzyknęłam.

Kiwnęła głową i nawet o nią nie prosząc, zmniejszyła o trzydzieści procent cenę, która nadal przyprawiała o zawrót głowy. Sięgnęłam do torebki. Wtedy dziewczyna zawołała ze zgrozą:

- Nie!

Zastygłam więc w bezruchu.

- Rozmaże pani lakier – wyjaśniła. Pochyliła się do przodu. - Może ja wyjmę portfel z torebki?

Zaniepokoiłam się, czy to nie jakiś podstęp, mający na celu pozbawienie mnie jeszcze większej ilości ciężko zarobionych pieniędzy, więc gdy wkładała rękę do mojej torebki, obserwowałam jej poczynania jak sokół. Za późno przypomniałam sobie o resztkach kanapki z jajkiem, którą schowałam na później – wyjmując portmonetkę, dziewczyna demonstracyjnie udała, że zbiera jej się na wymioty. Uznałam

to za grubą przesadę – owszem, woń, która się rozeszła, miała w sobie coś siarkowego, ale po co ta pantomima? Wciąż nie spuszczałam wzroku z jej palców (niepomalowanych), gdy wyjmowała odpowiednie banknoty i tym razem bardzo ostrożnie chowała portmonetkę z powrotem do torebki.

Wstałam, gotowa do wyjścia. Tymczasem wróciła jej koleżanka, która obrzuciła spojrzeniem moje palce z jaskrawozielonymi paznokciami.

- Ładne – zauważyła. Jednak ton jej głosu i mowa ciała świadczyły wyraźnie, że temat nie budzi jej wielkiego zainteresowania. Casey trochę się ożywiła. – Chciałaby pani otrzymać kartę lojalnościową? – zapytała. – Pięć zabiegów, a szósty gratis!

- Nie, dziękuję – odparłam. – Nie zamierzam więcej chodzić na manikiur. Mogę zrobić go sobie sama w domu, za darmo. – Zostawiłam je z otwartymi ustami i wróciłam do normalnego świata; po drodze, przechodząc obok stoisk perfumeryjnych, ominęłam szerokim łukiem naganiaczy i wciskaczy próbek. Pragnęłam znaleźć się na dworze, w naturalnym świetle i na świeżym powietrzu. Złocone progi Pasażu Piękności stanowczo nie były moim środowiskiem; jak kura, której jajko zjadłam w mojej kanapce, należałam do stworzeń z wolnego wybiegu.

Po powrocie do domu otworzyłam szafę. Co włożyć na przyjęcie? Miałam dwie pary czarnych spodni i pięć białych bluzek – cóż, kiedyś były białe; nosiłam je do pracy. Miałam także parę wygodnych dżinsów, dwie bawełniane koszulki i dwa swetry, w których chodziłam podczas weekendów. No,

i jeszcze strój na specjalnie okazje. Kupiłam go przed kilkoma laty na przyjęcie weselne Loretty i od tamtego czasu włożyłam parę razy, między innymi na wizytę w Muzeum Narodowym Szkocji. Wystawa świeżo odkrytego skarbu rzymskiego okazała się nadzwyczajna; sama podróż do Edynburga – już znacznie mniej.

Pociąg w środku przypominał raczej autobus niż orient expres, zwłaszcza jeśli chodzi o wysłużone obicia w maskujących plamy kolorach i szare plastikowe elementy wyposażenia. Najgorszy, jeśli nie liczyć współpasażerów – wielkie nieba, ależ ci ludzie współcześnie podróżują, jedzą i piją w miejscach publicznych bez żadnych ograniczeń ani hamulców – okazał się nieustający hałas płynący z głośników. Miało się wrażenie, że mityczny konduktor ma bez przerwy coś do powiedzenia, głosząc takie mądrości, jak: „Duże przedmioty należy umieszczać na półkach nad głowami” czy „Pasażerowie są proszeni o jak najszybsze zgłaszanie bezpieczeństwa przedmiotów pracownikom pociągu”. Zastanawiałam się, do kogo są kierowane te perełki, może do jakichś kosmitów albo pasterza jaków z Ułan Bator, którzy przemierzył stepy, przepłynął Morze Północne i znalazł się w pociągu relacji Glasgow- Edynburg, nie mając żadnych wcześniejszych doświadczeń w podróżowaniu koleją?

Strój na specjalne okazje był już nieco *démodé*, jak zauważyłam. W limonkowym nie wyglądałam zbyt korzystnie – sprawdzał się na koszulach nocnych, noszonych w zaciszu sypialni, ale nie nadawał się na eleganckie okazje. Doszłam do wniosku, że muszę nazajutrz udać się na zakupy i sprawić

sobie coś nowego, co mogłabym potem włożyć do restauracji czy teatru na randce ze swoim ukochanym, żeby wydatek nie poszedł na marne. Zadowolona z tej decyzji, przyrządziłam sobie jak zwykle *pasta con pesto* i wysłuchałam kolejnego odcinka *The Archers*. Przedstawiał on zawiłą historię z udziałem bardzo nieprzekonującego mleczarza z Glasgow i nie bardzo przypadł mi do gustu. Umyłam się i ułożyłam wygodnie z książką o ananasach. Była zaskakująco ciekawa. Lubię czytać książki z różnych dziedzin, między innymi po to, żeby poszerzać słownictwo z myślą o rozwiązywaniu krzyżówek. Wtedy nagle ciszę brutalnie przerwała ona.

- Cześć? - powiedziałam z pewną ostrożnością.

- O, tak po prostu „cześć”, co? „Cześć”... to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Gdzie byłaś wczoraj wieczorem, moja pani? Hm? - Znowu grała pod publiczność.

- Mama - powiedziałam. - Jak się masz? - Usiłowałam opanować zdenerwowanie.

- Nieważne. Gdzie się podziewałaś?

- Przepraszam, mamó - odparłam. Starłam się mówić spokojnie. - Byłam... z przyjacielem, z wizytą u innego przyjaciela w szpitalu.

- Och, Eleanor - jęknęła głosem, który ociekał jadem - przecież ty nie masz przyjaciół, kochanie. Mów, gdzie byłaś, tylko tym razem chcę usłyszeć prawdę. Robiłaś coś nieładnego? No, powiedz mamie, bądź grzeczną dziewczynką.

- Naprawdę, mamó, byłam z Raymondem... - Po drugiej stronie usłyszałam prychnięcie. - ...W odwiedzinach u tego miłego starszego pana, który leży w szpitalu. Przewrócił się

na ulicy, pomogliśmy mu i teraz...

- Zamknij tę kłamliwą japę! - Aż się wzdrygnęłam. Upuściłam książkę i ją podniosłam. - Wiesz, jak kończą kłamcy, no nie, Eleanor? Chyba pamiętasz? - Jej głos znowu był słodki jak miód. - Chcę znać prawdę, choćby była najgorsza. Ty ze wszystkich ludzi powinnaś to dobrze wiedzieć.

- Szkoda, że mi nie wierzysz, ale mówię prawdę. Raymond i ja pojechaliśmy do szpitala, żeby odwiedzić starszego pana, któremu pomogliśmy. To prawda, przysięgam.

- Taaak? - zapytała przeciągle. - To po prostu wspaniałe, czyż nie? Nie masz czasu porozmawiać z własną matką, bo środowe wieczory spędzasz w odwiedzinach u jakiegoś obcego niedołęznego dziada? Urocze.

- Proszę, mamó, nie kłóćmy się. Jak się czujesz? Miałaś przyjemny dzień?

- Nie chcę mówić o sobie, Eleanor. Wiesz, co u mnie. Chcę porozmawiać o tobie. Jak twoje przedsięwzięcie? Masz jakieś nowiny dla mamy?

Mogłam się spodziewać, że będzie pamiętała. Ile miałam jej mówić? Pewnie wszystko.

- Poszłam tam, gdzie on mieszka - wyznałam. Usłyszałam pstryknięcie zapalniczki, a potem przeciągły wdech. Niemal czułam dym jej papierosa marki Sobranie.

- Oooh, to ciekawe - orzekła. Znowu się zaciągnęła i wydmuchała powietrze z westchnieniem. - Kim on jest?

- To muzyk, mamó. - Nie chciałam na razie zdradzać jego nazwiska - nazywanie rzeczy po imieniu ma moc, a ja nie

byłam jeszcze gotowa podzielić się tym z nią, usłyszeć te rozkoszny sylaby wypluwane z jej ust. - Jest przystojny, inteligentny i... cóż, myślę, że to idealny mężczyzna dla mnie, naprawdę. Zrozumiałam to, gdy tylko go zobaczyłam.

- To wszystko brzmi cudownie, kochanie. I poszłaś sprawdzić, gdzie on mieszka, tak? Powiedz, co tam znalazłaś?

Skrzywiłam się.

- To znaczy... właściwie... nie weszłam do środka. - Wiedziałam, że to nie będzie takie łatwe. Ona lubiła robić złe rzeczy, ja nie. I już. Mówiłam dalej szybko, licząc, że dzięki temu uniknę nieuniknionej krytyki. - Chciałam tylko się rozejrzeć, sprawdzić, czy mieszka w odpowiednim miejscu... - Jąkałam się z pośpiechu.

Westchnęła.

- Jak zamierzasz się tego dowiedzieć, nie wchodząc do środka? Zawsze byłaś przesadnie ostrożna i bojaźliwa, kochanie - odparła wyraźnie znudzona.

Spojrzałam na dłonie. Paznokcie z odpryskującym zielonym lakierem wydawały się w tym świetle zbyt jaskrawe.

- Musisz wziąć się w garść, Eleanor - dodała. - Wiesz, co mam na myśli?

- Chyba tak - szepnęłam.

- Mówię ci tylko, żebyś wzięła sprawy w swoje ręce. - Znowu westchnęła. - W życiu trzeba działać, kochanie. Jeśli chcesz coś osiągnąć, dąż do tego... jeśli czegoś pragniesz, weź to sobie. Jeśli pragniesz coś zakończyć, zakończ. I żyj dalej z konsekwencjami.

Zaczęła mówić cicho, tak cicho, że ledwie ją słyszałam.

Wiedziałam z doświadczenia, że nie wróży to nic dobrego.

- Ten mężczyzna... - mamrotała. - Z tego, co mówisz, ma pewien potencjał, ale jak większość ludzi pewnie będzie słaby. A to znaczy, że ty musisz być silna, Eleanor. Siła zwycięża słabość... tak to jest w życiu, no nie?

- Może - odparłam ponuro, krzywiąc się.

Wiedziałam, że zachowuję się jak dziecko, ale mama zawsze wyzwała we mnie to, co najgorsze. Mój piosenkarz był bardzo przystojny i bardzo zdolny. Gdy tylko na niego spojrzałam, zrozumiałam, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Los miał zadbać, żebyśmy byli razem. Nie musiałam przedsięwziąć... żadnych kroków, może postarać się jedynie, żeby nasze ścieżki znowu się przecięły... byłam pewna, że kiedy już się spotkamy, wszystko potoczy się samo. Przypuszczałam, że mamie nie spodoba się takie podejście, jednak byłam do tego więcej niż przyzwyczajona. Słyszałam, jak wdycha, a potem wydycha powietrze, i wyczułam w eterze groźbę.

- Nie zbaczaj z tematu, Eleanor... nie ignoruj mamy, dobrze? Och, wydaje ci się, że zrobiłaś się taka bystra, masz pracę i nowych przyjaciół. Ale ty bystra nie jesteś. Sprawiasz innym zawód. Nie można ci zaufać. Nawalasz. O tak, znam cię dobrze. I wiem, co z tobą będzie. Posłuchaj, przeszłość się nie kończy. Przeszłość to coś żywego. Te twoje uroczę blizny... pochodzą z przeszłości, czyż nie? A jednak wciąż są na twojej buzi. Czy nadal doskwierają?

Pokręciłam głową, ale nic nie powiedziałam.

- O tak... wiem, że tak. Pamiętaj, skąd się wzięły. Warto było? Dla niej? Och, na drugim policzku masz jeszcze miejsce

na następne, prawda? Nadstaw ten policzek mamie, Eleanor,
bądź dobrą dziewczynką.

A potem zapadła cisza.

13

W piątek, jadąc autobusem do pracy, poczułam się dziwnie spokojna. Po rozmowie z mamą nie piłam wódki, ale tylko dlatego, że nie miałam ani odrobiny, a nie chciałam wychodzić do sklepu po zmroku. Zawsze sama, zawsze w ciemności. Więc zaparzyłam sobie herbaty i czytałam książkę, rozpraszana, gdy odwracałam kartki, kolorem swoich paznokci. Na pewien czas miałam dość owoców tropikalnych i potrzebowałam czegoś na temat spraw sercowych. *Rozważna i romantyczna*. To jedna z moich ulubionych książek, z całą pewnością należy do pierwszej piątki. Uwielbiam opowieść o Eleonorze i Mariannie. Wszystko kończy się szczęśliwie, co jest mało realistyczne, ale – muszę przyznać – satysfakcjonujące z punktu widzenia narracji i rozumiem, dlaczego Jane Austen trzymała się konwencji. Ponadto, co ciekawe, mimo rozległych upodobań literackich nie natknęłam się w beletrystyce na zbyt wiele bohaterek o imieniu Eleanor, nawet uwzględniając różnice w pisowni. Może dlatego je otrzymałam.

Przeczytawszy kilka dobrze znanych rozdziałów, poszłam do łóżka, ale nawet nie zmrużyłam oka. Brak snu najwyraźniej jednak nie miał żadnych strasznych skutków: kiedy autobus pokonywał poranne korki, czułam się przytomna i sprawna umysłowo. Być może należałam do tych osób, jak nieżyjąca baronowa Thatcher, którzy po prostu nie muszą dużo spać. Wzięłam bezpłatną gazetę (zawsze leżą porzucone na fotelach

autobusowych) i zaczęłam ją przeglądać. Jakaś opalona na brąz kobieta, o której nigdy nie słyszałam, wyszła po raz ósmy za mąż; żyjąca w niewoli panda najwyraźniej „wchłoneła” własny płód, przerywając w ten sposób ciążę – na chwilę przeniosłam spojrzenie za okno, usiłując bezskutecznie zrozumieć system rozrodczy pand; i – na stronie dziesiątej – znaleziono dowody regularnego i powszechnego wykorzystywania seksualnego dzieci, chłopców i dziewczynek, w sieci domów dziecka. Wiadomości zamieszczono w takiej właśnie kolejności.

Pokręciłam głową i już miałam odłożyć gazetę, kiedy mój wzrok padł na niewielki anons. „Klub The Cuttings” – głosił nagłówek; obok znajdowało się logo japońskiego pociągu rozwijającego prędkość ponad dwustu kilometrów na godzinę. Zwróciłam na nie uwagę, ponieważ rozwiązanie hasła dwanaście poziomo w krzyżówce z poprzedniego dnia brzmiało „shinkansen”; takie drobne zbiegi okoliczności urozmaicają życie! Przeczytałam tekst, w którym zapowiadano najbliższe wydarzenia w klubie. W programie na piątek – tego dnia wieczorem – między dwoma artystami widniał on.

Zobaczyłam nazwę zespołu – zupełnie mi nieznanego – i mniejszą czcionką nazwisko mojego muzyka! Opuściłam gazetę i podniosłam ją ponownie. Nikt tego nie zauważył. Wydarłam ogłoszenie, złożyłam je starannie i schowałam do kieszonki w torbie. Oto okazja, na którą czekałam. Zapisana w gwiazdach i ukazana mi przez los. W tym autobusie, tego poranka... na ten wieczór.

Po przyjeździe do biura sprawdziłam w internecie, co to za miejsce. Wyglądało na to, że mój muzyk rzeczywiście miał tam wystąpić o ósmej. Musiałam po pracy kupić sobie strój na sobotnie przyjęcie - a teraz jeszcze na koncert - więc nie pozostawało mi wiele czasu. Sądząc z informacji na stronie internetowej, The Cuttings zaliczało się do miejsc, w którym człowiek mógł czuć się komfortowo, tylko będąc modnie ubrany. Jak w takim razie miałam zdążyć tam na ósmą, wyszykowana i gotowa? Gotowa na spotkanie z nim? Czy to nie było za szybko? Może powinnam poczekać na inną okazję i odpowiednio się przygotować? Gdzieś przeczytałam, że ma się tylko jedną okazję, żeby zrobić pierwsze wrażenie - wtedy zlekceważyłam ten banał, ale może zawiera ziarno prawdy. Jeśli mój muzyk i ja mieliśmy być parą, nasze pierwsze spotkanie musiało być pamiętne.

Kiwając głową, podjęłam decyzję. Zaraz po pracy pójdę na zakupy, sprawię sobie nowe ubranie i włożę je na koncert. Och, Eleanor, to chyba nie może być takie proste, no nie? Wiedziałam z doświadczenia, że w życiu nic nie przebiega łatwo, więc usiłowałam przewidzieć wszelkie potencjalne problemy i wymyślić sposoby ich rozwiązania. Co zrobię z ubraniami, w którym byłam? Odpowiedź nie przedstawiała trudności: miałam dostatecznie dużą torbę, żeby się w niej zmieściło. A co z kolacją? Nie należę do kobiet, które dobrze funkcjonują z pustym żołądkiem, i byłoby krępujące, gdybym zemdlą u jego stóp z innych powodów niż nadmiar emocji. Hm, może zdążyłabym kupić po pracy coś do jedzenia i przyjechać do The Cuttings za piętnaście ósma? Tak, chyba

tak. Dzięki temu zdążyłabym zająć miejsce z przodu, dające możliwie najlepszy widok. Mnie na niego, a jemu na mnie, oczywiście. I wszystkie problemy rozwiązane!

Nie mogłam oprzeć się pokusie, aby sprawdzić, czy był tak samo podekscytowany perspektywą wieczoru jak ja. Ach, dzięki ci, Twitterze:

@johnnieLrocks

Próba dźwięku: ok. Fryzura: ok. Przywleczenie dziś wieczorem wasze tłuste tyłki do The Cuttings, wały.

#następedużewydarzenie #przystojnydrań

Jaka zwięzłość wypowiedzi. Musiałam, co prawda, wygooglować słowo „wały” i muszę przyznać, że rezultat nieco mnie przeraził. Ale co ja wiem o gwiazdach rocka? Mój ukochany posługiwał się nieznanym mi żargonem, którego w odpowiednim czasie na pewno mnie nauczy. Czy ta nauka może zacząć się już tego wieczoru? Nie mieściło mi się w głowie, że za kilka godzin znajdę się w pobliżu mojego muzyka. Ach, to pełne podniecenia wyczekiwanie!

W torbie miałam list do niego, którego jeszcze nie zdążyłam wysłać. Kolejny znak, że los mi sprzyjał. W tym tygodniu bikiem (cóż to za tani cud techniki!) przepisałam dla niego wiersz, jeden z moich ulubionych. Starannie wybrałam kartkę: pustą w środku, z ilustracją na wierzchu przedstawiającą uroczego zajaca – długie uszy, silne tylne skoki i zadziwiająco asertywna mordka. Patrzył w niebo, na księżyc i gwiazdy, z trudną do określenia miną.

Kartki pocztowe są nadzwyczaj drogie, biorąc pod uwagę,

że to tylko kawałki zadrukowanego kartonu. Dołącza się do nich kopertę, ale mimo wszystko. Przy najniższej płacy trzeba by pracować prawie pół godziny, by zarobić na taką kartkę i zwykły znaczek. To było dla mnie objawienie; nigdy nie wysłałam do nikogo kartki. A teraz, gdy miałam się z nim zobaczyć, nie musiałam przyklejać znaczka! Mogłam przekazać mu ją osobiście.

Piękny wiersz Emily Dickinson, zatytułowany *Szalone - Dzikie Noce!*, łączy dwa elementy, które ogromnie lubię: interpunkcję i motyw znalezienia bratniej duszy po długich poszukiwaniach.

Przeczytałam go jeszcze raz, polizałam brzeg koperty i starannie ją zakleiałam - warstwa kleju była cudownie gorzka - a potem najładniej, jak umiałam, wypisałam z przodu jego nazwisko. Niepewnie włożyłam kartkę z powrotem do torby. Czy ten wieczór był aby odpowiedni na poezję? To moje wahanie było dziwne; w końcu kartka została kupiona, pieniądze wydane. Zaczęłam się jednak zastanawiać, czy nie lepiej poczekać z wynoszeniem tego na poziom epistolarny i najpierw zobaczyć, co wydarzy się na koncercie. Po co działać pochopnie.

Czas do piątej dłużył mi się w nieskończoność. Pojechałam do centrum metrem, żeby było szybciej, i weszłam do najbliższego domu towarowego, tego, w którym kupiłam laptopa. Było dwadzieścia po piątej i do zamknięcia pozostała niespełna godzina. Dział z odzieżą dla kobiet znajdował się na pierwszym piętrze (od kiedy „odzież dla pań” stała się „odzieżą dla kobiet”? zaczęłam się zastanawiać), a ponieważ

nie mogłam znaleźć schodów, pojechałam windą. Sklep był tak duży, że postanowiłam poprosić o pomoc. Pierwsza ekspedientka, którą wypatrzyłam, wyglądała na matronę, która raczej nie udzieliłaby mi porady w kwestiach mody. Druga mogła mieć od kilkunastu do dwudziestu kilku lat, więc była z kolei na to zbyt niedojrzała. Dopiero trzecia, jak w bajce o Złotowłosej i trzech niedźwiedziach, była w sam raz - mniej więcej w moim wieku, zadbana, sprawiająca wrażenie rozsądnej. Podeszłam do niej ostrożnie.

- Przepraszam, czy mogę prosić o pomoc? - zagadnęłam.

Przestała składać swetry i odwróciła się do mnie z nieszczerym uśmiechem.

- Wybieram się na koncert w modnym miejscu i chciałam zapytać, czy pomogłaby mi pani wyszukać odpowiednie ubranie.

Uśmiechnęła się szerzej i tym razem wyglądało to na niewymuszoną reakcję.

- Tak, oferujemy doradztwo stylistyczne w zakresie zakupów - odpowiedziała. - Mogę panią zapisać, jeśli pani sobie życzy.

- Och, nie - odparłam. - To ma być na dziś wieczór. Potrzebuję czegoś już teraz.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

- Dokąd pani się wybiera?

- Do The Cuttings - wyjaśniłam z dumą.

Wysunęła dolną wargę i powoli skinęła głową, tylko raz.

- Jaki rozmiar pani nosi, dwunastkę? - Potwierdziłam; byłam pod wrażeniem, że potrafi ocenić to jednym rzutem oka.

Zerknęła na zegarek. - Proszę za mną - poleciła.

Wyglądało na to, że w tym jednym domu towarowym znajdowało się wiele sklepów. Ekspedientka zaprowadziła mnie do najmniej obiecującego outletu.

- Dobrze... - powiedziała bez dłuższego zastanowienia - może to... - para śmiesznie wąskich czarnych dżinsów - a do tego to - czarny top, podobny do T-shirta, ale ze sztucznego jedwabiu, z dziurą na plecach.

- Jest pani pewna? Myślałam raczej o ładnej sukience albo spódnicy i bluzce.

Ponownie obrzuciła mnie spojrzeniem od góry do dołu.

- Niech mi pani zaufa - skwitowała.

Przymierzalnia była mała, śmierdziało w niej niemytymi nogami i odświeżaczem powietrza. Dżinsy wydawały się za małe, ale cudownym sposobem rozciągnęły się na mnie i zdołałam je zapiąć. Top był dość luźny i sięgał wysoko pod szyję. Przynajmniej nie czułam się rozebrana, choć nie widziałam rozcięcia na plecach. Wyglądałam tak samo jak wszyscy inni. I chyba taki był zamysł. Pozostałam w tym stroju, tylko oderwałam metki i położyłam je na podłodze, potem złożyłam stare ubrania i schowałam je do torby. Następnie pozbierałam metki, żeby ekspedientka mogła zeskanować kody kreskowe przy kasie.

Stała przed przymierzalnią, kiedy wyszłam.

- I co? - zapytała. - Dobrze to wygląda, prawda?

- Biorę - odparłam i wręczyłam jej metki.

Zapomniałam jednak o znajdujących się na ubraniach zabezpieczeniach przed kradzieżą i nieźle się

nagimnastykowałyśmy, żeby je zdjąć. Musiałam wejść za kontuar i uklęknąć, żeby mogła usunąć oba urządzeniem magnetycznym, przytwierdzonym do kasy. Uśmiełyśmy się przy tym. Chyba nigdy wcześniej nie śmiałam się w sklepie. Kiedy już zapłaciłam, starając się nie myśleć o tym, ile wydałam, ekspedientka wyszła za kontuaru.

- Pozwoli pani, że coś powiem? Chodzi o... buty.

Spojrzałam w dół. Miałam na nogach zwykłe buty do pracy, czarne, z zapięciem na rzepy.

- Jak pani na imię? - zapytała.

Speszyłam się. Co to ma wspólnego z butami? Ona jednak czekała na odpowiedź.

- Eleanor - powiedziała z niechęcią, zastanowiwszy się, czy nie podać fałszywego imienia albo pseudonimu literackiego. Nazwiska nie zamierzałam zdradzać.

- Rzecz w tym, Eleanor, że do obcisłych dzinsów potrzebujesz botków za kostkę - wyjaśniła z taką powagą jak lekarz w szpitalu, wydający orzeczenie. - Może pójdziemy do działu z obuwem i zobaczymy, co tam mają?

Zawahałam się.

- Nie jestem na prowizji ani nic takiego - dodała cicho. - Tylko... myślę, że odpowiednie buty stanowiłyby wykończenie całości.

- Dodatki czynią kobietę atrakcyjną? - zapytałam. Nie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Pokazała mi botki, które rozbawiły mnie do łez, takie były wysokie i wąskie. W końcu znalazłyśmy inne, również stylowe, ale na tyle wygodne, że mogłam w nich chodzić, nie ryzykując

urazu kręgosłupa, a więc spełniające wymogi. Sześćdziesiąt pięć funtów! Wielkie nieba, pomyślałam, ponownie wręczając jej kartę kredytową. Niektórzy muszą za tyle przeżyć cały tydzień.

Włożyłam swoje czarne buty do torby. Zauważyłam, że ekspedientka ją także obrzuciła krytycznym spojrzeniem, po czym przeniosła wzrok na dział z torebkami.

- O nie, obawiam się, że to niemożliwe - zastrzegłam. - Na razie wyczerpałam swoje środki.

- No dobrze - powiedziała. - Po prostu zostaw ją w szatni.

Nie miałam pojęcia, o co jej chodziło, a skrzydlaty rydwan czasu pędził szybko.

- Bardzo dziękuję ci za pomoc, Claire - odparłam, pochylając się, żeby przeczytać jej imię na plakietce. - Była nieoceniona.

- Nie ma za co, Eleanor - odpowiedziała. - Jeszcze jedno. Za dziesięć minut zamykamy, ale jeśli się pospieszysz, możesz na dole skorzystać z bezpłatnego makijażu... dział urody znajduje się na parterze przy wyjściu. Idź do Bobbi Brown i powiedz, że przysłała cię Claire.

Odeszła do kasy, niewątpliwie zasilonej przez moje niemałe wydatki.

Na dole spytałam o panią Brown i kobieta przy stoisku z kosmetykami zachichotała.

- Ktoś tu ma nierówno pod sufitem - rzuciła do nikogo w szczególności.

Było tam tyle luster, że zaczęłam się zastanawiać, czy to nie zachęca ludzi, by mówili do siebie.

- Proszę tu usiąść, kochaniutka - powiedziała, wskazując absurdalnie wysoki stółek.

Wdrapałam się na niego, choć moje nowe buty mi w tym nie pomagały i na pewno nie prezentowałam się godnie. Usiadłam na dłoniach, żeby je ukryć - zaczerwieniona popękana skóra wręcz płonęła w ostrym górnym świetle, w którym widać było najdrobniejszą skazę, wszystkie ranki.

Odgarnęła mi włosy z twarzy.

- Dobrze - powiedziała, przyglądając mi się zbyt blisko. - Wie pani, nawet nie będzie problemu. Bobbi ma świetne korektory, które stapiają się ze skórą. Nie da się tego usunąć, ale da się zamaskować.

Byłam ciekawa, czy zawsze mówi o sobie „ona”.

- Chodzi pani o moją twarz? - zapytałam.

- Nie, głuptasie, o bliznę. Twarz ma pani śliczną. I bardzo dobrą, czystą cerę. A teraz proszę patrzeć. - Miała na biodrach pas z narzędziami, jak stolarz albo hydraulik, i malując mnie, wysuwała język z kącika ust. - Do zamknięcia sklepu mamy tylko dziesięć minut - oznajmiła - więc skupię się na zamaskowaniu niedoskonałości i podkreśleniu oczu. Lubi pani przydymiony makijaż oka?

- Nie lubię niczego, co ma związek z dymem - odparłam, a ona, o dziwo, zaśmiała się znowu. Dziwna kobieta.

- Zobacz pani... - Odchyliła moją głowę do tyłu, prosząc raz po raz, żebym patrzyła w górę, w dół, w bok... było przy tym dużo dotykania, wieloma różnymi akcesoriami, a ona znajdowała się tak blisko, że czułam miętowy zapach jej gumy do żucia, nie całkiem maskujący woń kawy, którą wypijała

wcześniej. Rozległ się dzwonek i zakłęła. Przez głośniki ogłoszono, że sklep zaraz zostanie zamknięty.

- Obawiam się, że nie mamy więcej czasu - oświadczyła. Cofnęła się, żeby obejrzeć swoje dzieło. Podała mi lusterko. Nie poznałam samej siebie. Blizna była ledwie widoczna, a oczy - obwiedzione na czarno. Przypomniał mi się program o lemurach, który niedawno widziałam. Usta miałam pomalowane w kolorze maków.

- I co pani o tym sądzi? - zapytała.

- Wyglądam jak mały madagaskarski ssak z rzędu naczelnych albo północnoamerykański szop pracz - odparłam.
- Uroczo!

Zaczęła się tak śmiać, że musiała skrzyżować nogi. Potem pomogła mi zejść ze stołka i odprowadziła do drzwi.

- Mam obowiązek zachęcić panią do zakupu produktów i pędzli - powiedziała. - Gdyby była pani zainteresowana, proszę przyjść jutro i spytać o Irene!

Kiwnęłam głową i pomachałam jej na pożegnanie. Kimkolwiek była Irene, prędzej kupiłabym od niej czysty pluton niż kosmetyki.

14

Mój muzyk musiał w tej chwili przeżywać burzę emocji. Nieśmiały, skromny, trzymający się na uboczu człowiek; taki, który z powodu swojego talentu występuje na scenie, dzieląc się nim ze światem, nie dlatego, że tak chce, ale po prostu dlatego, że musi, ma taką potrzebę. Śpiewa w taki sposób jak ptak; jego muzyka jest czymś słodkim, naturalnym, co przychodzi niczym deszcz, niczym blask słońca, czymś, co zwyczajnie jest. Myślałam o tym, jedząc prowizoryczną kolację. Po raz pierwszy w dorosłym życiu znalazłam się w restauracji typu fast food, wielkim, gwarnym miejscu za rogiem klubu, w którym miał wystąpić mój muzyk. Nie rozumiem, dlaczego ludzie tak chętnie stoją w kolejce, żeby kupić przetworzone jedzenie, które następnie zanoszą do stolika i spożywają prosto z papieru. Potem, mimo że za to zapłacili, sami muszą po sobie posprzątać. Bardzo dziwne.

Po niedługim zastanowieniu zdecydowałam się na kostkę nieokreślonej białej ryby, obtoczonej w bułce tartej, usmażonej w głębokim tłuszczu i umieszczonej między połówkami zbyt słodkiej bułki, razem z plastrem topionego żółtego sera, zwiędłym liściem sałaty i jakimś słonym i cierpkim białym mazidłem, które przywodziło na myśl coś obscenicznego. Mimo wysiłków mamy nie jestem epikurejką; jednak to chyba uniwersalna zasada kulinarna, że ryba i ser do siebie nie pasują? Ktoś naprawdę powinien powiedzieć o tym panu McDonalldowi. Z wyboru deserów nic mnie nie

skusiło, więc zamiast tego wzięłam kawę, która okazała się gorzka i ledwie ciepła. Oczywiście, byłabym się nią oblała, gdybym w porę nie przeczytała wydrukowanego na papierowym kubku ostrzeżenia, że gorące płyny są niebezpieczne. Ledwie uszłaś z życiem, Eleanor! - powiedziałam do siebie, śmiejąc się cicho. Zaczęłam podejrzewać, że pan McDonald jest bardzo głupim człowiekiem, choć, sądząc z nieustająco długiej kolejki, bardzo bogatym.

Spojrzałam na zegarek, wzięłam torbę i założyłam bezrękawnik. Pozostawiłam resztki posiłku na stole - po co jadać poza domem, jeśli trzeba po sobie sprzątać? Można równie dobrze zjeść we własnej kuchni.

Nadszedł czas.

Słabym punktem mojego planu, istną hamartią, okazało się to, że nie było już biletów na koncert. Mężczyzna w kasie wręcz mnie wyśmiał.

- Zostały wyprzedane parę dni temu - poinformował.

Wyjaśniłam, powoli i cierpliwie, że chcę tylko obejrzeć pierwszą połowę, występ grupy supportowej, i zapytałam, czy nie wpuściliby na salę jeszcze jednej osoby, ale dowiedziałam się, że to niemożliwe - z powodu przepisów przeciwpożarowych. Po raz drugi w ciągu zaledwie paru dni poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Kasjer zaśmiał się znowu.

- Nie płacz, kotku - powiedział. - Oni naprawdę nie są tego warci. - Pochylił się konfidencjonalnie. - Po południu pomagałem wokaliście przenieść sprzęt z samochodu. To

duppek, tyle ci powiem. Powinnaś wybić go sobie z głowy. Dobrze ci radzę.

Kiwnęłam głową, zastanawiając się, o którym wokaliście mówi, i przesunęłam się w stronę baru, żeby zebrać myśli. Nie ulegało wątpliwości, że bez biletu mnie nie wpuszczą. A bilet był nie do zdobycia. Zamówiłam cydr, przypominając sobie, że będę musiała nalać go sobie sama. Barman mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt i miał dziwnie wielkie dziury w płatkach uszu; tkwiły w nich czarne plastikowe kółka. Nie wiem dlaczego, ale skojarzyło mi się to zasłonką od prysznic.

Pokrzepiona myślą o domu, zebrałam się na odwagę i przyjrzałam się tatuazom mężczyzny, które przechodziły z szyi na ramiona. Kolory były piękne, a wzory skomplikowane. Jakie to wspaniałe móc czytać z czyjejś skóry, poznawać historię jego życia zapisaną na piersi, ramionach, miękkim karku. Barman miał wytatuowane róże, klucz wiolinowy, twarz kobiety... tyle szczegółów, tak mało wolnego miejsca na skórze. Uśmiechnął się, widząc moje spojrzenie.

- Ty też masz?

Pokręciłam przecząco głową i uśmiechając się, pospiesznie ruszyłam z cydrem do stolika. W głowie rozbrzmiewało mi echem jego pytanie. Dlaczego nie miałam żadnych tatuaży? Nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby je sobie zrobić. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej podobał mi się ten pomysł. Może zrobić sobie tatuaz na twarzy, coś złożonego, zawilego, żeby uwzględniało bliznę, czyniąc z niej element wzoru? Albo, jeszcze lepiej, w jakimś intymnym miejscu. To do mnie przemówiło. Po wewnętrznej stronie uda, w zgięciu

kolana, może na podeszwie stopy.

Dopiłam cydr, barman przyszedł zabrać szklanekę.

- Jeszcze raz to samo?

- Nie, dziękuję - odparłam. - Mogę pana o coś zapytać? - Przystałam odłupywać resztki lakieru z paznokci. - Właściwie o dwie rzeczy. Po pierwsze, czy to boli, a po drugie, ile kosztuje? - Pokiwał głową, jakby moje pytania go nie zaskoczyły.

- Boli jak cholera, nie będę kłamał - odpowiedział. - Jeśli chodzi o cenę, to zależy, co sobie zażyczysz... Jest duża różnica między słowem „mama” na bicepsie, a wielkim tygrysem na plecach, kapujesz.

Skinęłam głową; to było zrozumiałe.

- Tu w okolicy znajdziesz wielu speców - podjął, wyraźnie się zapalając. - Jeśli chcesz zrobić sobie tatuaż, idź do Barry'ego, na Thornton Street. Barry jest dobry.

- Bardzo dziękuję - odrzekłam. Nie spodziewałam się, że tak potoczy się wieczór, ale życie czasami potrafi zaskakiwać.

Po wyjściu na dwór uświadomiłam sobie, że nie ma sensu tam czekać. Mój muzyk na pewno wybierał się po koncercie na jakieś wspaniałe przyjęcie w olśniewającym, tętniącym życiem miejscu, żeby świętować. Znałam tylko dwa lokale: McDonalda i niemiły pub, w którym byłam z Raymondem; raczej mało prawdopodobne, żeby ta impreza odbywała się w którymś z nich.

Daj spokój, Eleanor, powiedziałam sobie. Widocznie spotkanie tego wieczoru nie jest nam pisane. Kartka na razie pozostanie w mojej torbie. Rozczarowana, pocieszyłam się

myślą, że gdy w końcu dojdzie do spotkania, będzie idealnie; nie takie tam improwizowane ad hoc w jakimś klubie muzycznym. Do tego czasu przyzwyczaję się do nowych butów i będę potrafiła normalnie w nich chodzić. Zmęczyły mnie już spojrzenia, jakie przyciągał mój niepewny krok.

@johnnieLrocks

Zastanawiam się, czy moja muzyka nie jest zbyt trudna dla niektórych, co? Nie chodźcie na koncerty, jeśli nie umiecie się poznać na nowych dźwiękach.

#nieporozumienie #nagaprawda

@johnnieLrocks

To zdarza się wszystkim wielkim na początku drogi.

#Dylan #Springsteen #gramkoncert

15

W końcu wróciłam do domu taksówką. Gdy tylko weszłam, przypomniałam sobie, że nie mam wódki. Ale po prostu położyłam się do łóżka.

Następnego ranka obudziłam się wcześniej i ponieważ poprzedniego dnia nie zrobiłam zakupów, próbując bez powodzenia spotkać się z muzykiem, postanowiłam udać się po nie do miejscowego sklepu. Włożyłam do koszyka karton mleka, paczkę bułek i puszkę makaronu w sosie pomidorowym – zwykle kupuję ten w kształcie liter, ale tym razem pod wpływem impulsu wybrałam kółeczka. Trzeba być otwartym, chociaż wiem, że jeden i drugi smakuje tak samo. Nie jestem głupia.

Właścicielem sklepu był przemiły Banglijczyk z ciekawym znamieniem. Po tych wszystkich latach byliśmy już oczywiście w serdecznych stosunkach. Postawiłam zakupy na ladzie i zlustrowałam znajdujące się za nim półki, a ona nabił poszczególne artykuły na kasę. Z uśmiechem podał sumę.

– Dziękuję – powiedziałam i wskazałam regał za nim. – Mogę jeszcze prosić dwie litrowe butelki wódki Glen's?

Natychmiast uniósł wysoko brwi i spoważniał.

– Obawiam się, że nie mogę sprzedać pani alkoholu, pani Oliphant – oznajmił ani trochę niezmiyszany.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Panie Dewan, bardzo mi pan pochlebia, choć jestem zaniepokojona stanem pańskiego wzroku – odparłam. –

Właśnie skończyłam trzydzieści lat. – Poczułam zadowolenie. Bobbi Brown powiedziała, że mam dobrą cerę, a teraz pan Dewan wziął mnie za nastolatkę!

– Jest dopiero dziesięć po dziewiątej – wyjaśnił krótko. Za mną utworzyła się już mała kolejka.

– Wiem, która jest godzina – odrzekłam. – Mogę zauważyć, że to nie pańska sprawa, co klienci spożywają na śniadanie?

Odpowiedział tak cicho, że musiałam się nachylić, aby usłyszeć.

– Sprzedaż alkoholu przed dziesiątą jest prawnie zakazana, pani Oliphant. – Mógłbym stracić pozwolenie na handel.

– Naprawdę? – zapytałam zafascynowana. – Nie miałam pojęcia! Obawiam się, że moja wiedza z zakresu prawa handlowego jest co najmniej niepełna.

Popatrzył na mnie.

– To będzie razem pięć funtów czterdzieści dziewięć – powtórzył i wziął ode mnie banknot dziesięciofuntowy, cały czas patrząc pod nogi. Wyczułam, że w naszych dotychczasowych stosunkach nastąpiła zmiana, i zachodziłam w głowę, co jest jej powodem. Nawet nie powiedział mi „do widzenia”.

Ku mojej irytacji, oznaczało to, że będę musiała jeszcze raz wyjść z domu, aby zaopatrzyć się w wódkę. Dlaczego nie mogłam kupić jej tak, jak kupowałam, powiedzmy, mleko – czyli w każdym otwartym sklepie? Śmieszne. Chyba chodziło o to, aby chronić alkoholików przed nimi samymi przynajmniej w ciągu kilku godzin dziennie, choć z racjonalnego punktu widzenia nie ma to sensu. Gdybym była chemicznie

i psychicznie uzależniona od alkoholu, dbałabym o to, by zawsze mieć jego zapas pod ręką, kupowałabym go więcej i przechowywała na czarną godzinę. To prawo było nielogiczne; naprawdę jaka jest różnica między kupowaniem wódki dziesięć po dziewiątej a dziesięć po dziesiątej rano?

Dla mnie wódka to po prostu produkt, który należy mieć w domu, jak bochenek chleba czy paczka herbaty. Jej główną zaletą jest to, że pomaga mi zasnąć. Czasami, gdy nadchodzi noc, leżę w ciemności i nie mogę powstrzymać natłoku wspomnień, strachu i poczucia presji, ale głównie strachu. W takich chwilach słyszę w głowie syczący głos mamy i drugi, cichszy, załęczniony, bliższy mojego ucha, tak bliski, że niemal czuję jej gorący, pełen paniki oddech, poruszający włoski, które przenoszą dźwięk, tak bliski, że nawet nie musi szeptać. Ten nikły, załamujący się głosik, który powtarza błagalnie: „Eleanor, proszę, pomóż mi, Eleanor...”. W takie noce potrzebuję wódki, bo inaczej sama też bym się załamała.

Postanowiłam pójść do dużego supermarketu, oddalonego o dwadzieścia minut drogi. Uznałam, że zajmie mi to mniej czasu, niż gdybym wróciła do domu i wyszła znowu. Ponieważ torba ciążyła mi na ramieniu, postawiłam ją na ziemi i rozłożyłam składaną ramę, tkwiącą w jednej z wewnętrznych kieszeni. Zmontowałam ją et voilà! Torba na kółkach. Wprawdzie wydawały nieharmonijny, terkoczący odgłos, ale rekompensowała to łatwość, z jaką można było transportować cięższe rzeczy.

Wspomniany supermarket oferował szeroki asortyment towarów – nie tylko jedzenie i picie, ale także tostery, swetry,

frisbee i powieści. To nie było Tesco Metro, to było Tesco Extra - krótko mówiąc, jedno z moich ulubionych miejsc na świecie.

16

Tesco! Jasne światła, czytelne etykiety, trzecia sztuka w cenie dwóch, kup jedną, a dostaniesz dwie, wszystko po pięć funtów. Wzięłam wózek, bo lubię je pchać. Postawiłam torbę na miejscu dla dzieci, przez co musiałam zza niej wyglądać, ale dzięki temu zabawa była jeszcze większa. Jednak nie udało się od razu po wódkę; przejechałam wszystkimi alejkami po kolei, zaczynając na górze, w dziale z artykułami elektrycznymi, a kończąc na dole, gdzie obejrzałam niespiesznie tampony, nawóz pod pomidory oraz kuskus z warzywami, nasionami słonecznika i przyprawami.

Grawitowałam w kierunku sklepowej piekarni, gdy nagle, przy rumianych porannych bułkach, zatrzymałam się jak wryta, ledwie wierząc własnym oczom. Mój muzyk! Jakie to szczęście, że mieszkam w małym mieście, w którym ścieżki życiowe poszczególnych ludzi tak łatwo mogą się przeciąć. Ach, ale kto powiedział, że to przypadek – pomyślałam. Jak zauważyłam poprzednio, knowania losu często przekraczają ludzkie pojęcie, a być może działają tu jeszcze większe siły, kierując nas wzajemnie ku sobie w najmniej prawdopodobnych okolicznościach. Prowadzona wyrokami przeznaczenia, tego ranka poczułam się jak bohaterka Thomasa Hardy'ego (choć w duszy gorąco błagałam los, żeby nie aranżował naszych przyszłych spotkań w pobliżu eksplodujących owiec).

Nie odrywając od niego oczu, schowałam się za stojącą na wózku torbę, a potem z wolna ku niemu ruszyłam. Podeszłam

na tyle blisko, na ile tylko się odważyłam. Mimo że błądy i zmęczony, wciąż był bardzo przystojny, choć w niedbały, swobodny sposób. Wrzucił do koszyka bochenek pokrojonego białego pieczywa i zaczął sunąć w stronę działu mięsnego. Znowu znalazłam się w niekorzystnej sytuacji. Fizycznie nie byłam gotowa się przedstawić; o tej porze w weekend nie prezentowałam się zbyt dobrze, no i nie miałam na sobie nowych rzeczy. Nie obmyślałam też gambitu na otwarcie i nie wzięłam ze sobą kartki z wierszem. Nauczka na przyszłość: muszę być gotowa o każdej porze dnia i nocy.

Uznałam, że lepiej za nim nie iść – mimo trawiącej mnie ciekawości, co jeszcze nabędzie – bo obawiałam się, że mój megawózek może zbyt rzucić się w oczy. Zamiast tego udałam się wprost do działu alkoholowego i wzięłam trzy duże butelki wódki. Zamierzałam kupić dwie, marki Glen's, ale skusiła mnie nader korzystna oferta Smirnoffa. Och, panie Tesco, czasami po prostu nie mogę się oprzeć pańskim promocjom.

Dopisało mi szczęście i kiedy zjawiłam się przy kasach, mój muzyk stał w kolejce do jednej z nich. Za nim była tylko jedna osoba, więc ustawiłam się za nią, traktując ją jako dogodny bufor. Co za starannie dobrane zakupy! Jajka, bekon, sok pomarańczowy („z kawałkami” – tylko czego, byłam ciekawa) i opakowanie nurofenu. Powstrzymałam się niemal siłą, aby nie nachylić się do niego i nie wytłumaczyć mu, że marnuje pieniądze – wybrany przez niego markowy niesterydowy środek przeciwzapalny to tak naprawdę ibuprofen w dawce dwustu miligramów, dostępny na wyprzedzi za jedną czwartą

ceny tamtego. Jednak na temat naszej pierwszej rozmowy musiałam wymyślić coś bardziej wyrafinowanego, bardziej pamiętnego.

Wyjął cudownie wysłużony skórzany portfel i zapłacił kartą kredytową, choć jak zauważyłam, suma wyniosła mniej niż osiem funtów. Podejrzewałam, że niczym członek rodziny królewskiej jest zbyt ważny, aby nosić przy sobie gotówkę. Gdy rozmawiał z kasjerką – kobietą w średnim wieku, o dziwo, najwyraźniej całkiem obojętną na oczywiste uroki stojącego przed nią mężczyzny – uświadomiłam sobie, że mam jeszcze jedną możliwość nawiązania znajomości. Tym razem nie mogłam oprzeć się pokusie. Wyjęłam nowy telefon, weszłam na swoje świeżo założone konto na Twitterze, a następnie odczekałam, żeby zapłacił i wyszedł ze sklepu. Potem wystukałam szybko wiadomość i ją wysłałam.

@eloliph

*Karta klubowa Tesco to nie tylko piękna rzecz, ale i nieprzemijająca radość. Powinieneś o nią wystąpić.
Zatroskana Przyjaciółka XX*

@johnnieLrocks

Tesco: przestańcie wciskać nachalnie swoją szpiegowską kartę lojalnościową. Nie żyjemy w państwie policyjnym.

#skacowany #dajciemispokój #pokonajsystem

Naturalnie, wiedziałam już, że mieszkamy niedaleko siebie, ale nie przyszło mi do głowy, że nasze drogi mogą się tak niespodziewanie przeciąć. To miejsce czasami przypomina wieś, a nie miasto. A więc łączyła nas miłość do Tesco. Byłam ciekawa, co jeszcze mamy wspólnego. Może przykładowo chodzimy na tę samą pocztę albo obsługuje nas ten sam aptekarz? Ponownie sobie uświadomiłam, że powinnam stale być przygotowana na spotkanie, wyglądać najlepiej, jak tylko mogę, i mieć coś stosownego do powiedzenia. Doszłam do wniosku, że będzie mi potrzebny więcej niż jeden strój.

Przyjęcie z okazji powrotu Sammy'ego do domu miało się odbyć o siódmej i Raymond zaproponował, żebyśmy spotkali się wcześniej niedaleko miejsca, gdzie mieszkała Laura. Początkowo pomyślałam, że to jak na niego zaskakująca troskliwość, ale potem dotarło do mnie, że po prostu nie chce przyjść sam. Niektórzy ludzie, słabi ludzie, boją się być sami. Nie rozumieją, że jest w tym coś wyzwalającego; kiedy zdasz sobie sprawę, że nikogo nie potrzebujesz, zaczynasz liczyć tylko na siebie. O to właśnie chodzi: żeby radzić sobie samemu. Bo nie możesz ochronić innych, choćbyś bardzo się starał. Mimo wszelkich wysiłków ponosisz porażkę, a wtedy świat ci się wali i zostają z niego tylko gruzy.

Mimo to czasami się zastanawiałam, jak by to było kogoś mieć - powiedzmy, kuzynkę, siostrę albo brata - do kogo w razie potrzeby można zadzwonić albo po prostu spędzić

z nim czas. Kogoś, kto cię zna, komu na tobie zależy, kto życzy ci jak najlepiej. Roślina doniczkowa, choćby ładna i zdrowa, niestety, nie spełnia tego zadania. Ale nie było się nawet nad czym zastanawiać. Nie miałam nikogo takiego i kropka, rozważania „co by było, gdyby...” to strata czasu. W końcu na nic lepszego sobie nie zasłużyłam. I naprawdę, naprawdę było mi dobrze. Czy nie żyłam na tym świecie i nie szłam właśnie na przyjęcie? Odświętnie ubrana, w oczekiwaniu na znajomego? Popatrzcie, mamy sobotni wieczór i nadchodzi Eleanor Oliphant! Pozwoliłam sobie na nieznaczny uśmiech.

W końcu jednak, czekając na Raymonda przez dwadzieścia minut, straciłam humor. Moim zdaniem spóźnianie się jest wyjątkowo niegrzeczne; to wyraz braku szacunku, jednoznaczna sugestia, że uważasz swój czas za cenniejszy niż czas drugiej osoby. W końcu, kwadrans po siódmej, kiedy już miałam iść, Raymond wygramolił się z taksówki.

- Cześć, Eleanor! - zawołał, cały radosny. Dzierżył pobrzękującą reklamówkę i bukiet tanich goździków. Laura wyraźnie powiedziała, żebyśmy nic nie przynosili. Dlaczego zignorował uprzejmą prośbę?

- Raymondzie, zostaliśmy zaproszeni na siódmą - zauważyłam. - Umówiliśmy się na szóstą pięćdziesiąt i teraz, z powodu twojej opieszałości, niewybaczalnie się spóźnimy. To bardzo niegrzeczne wobec gospodyni! - Nie mogłam na niego patrzeć. On jednak, nie wiadomo dlaczego, tylko się zaśmiał.

- Wyluzuj, Eleanor! - rzucił.

No, naprawdę. Wyluzuj!

- Nikt nie przychodzi na przyjęcie o czasie. To bardziej

niegrzeczne, niż spóźnić się piętnaście minut, wierz mi. - Zlustrował mnie od góry do dołu. - Ładnie wyglądasz - zauważył. - Inaczej...

Uznałam to za nieudolną próbę zmiany tematu.

- Idziemy? - zapytałam krótko.

Ruszył obok mnie, jak zwykle zapalając papierosa.

- Eleanor - odezwał się po chwili - nie denerwuj się, naprawę nie ma powodu. Kiedy ktoś zaprasza gości na siódmą, spodziewa się ich najwcześniej wpół do ósmej. Na pewno będziemy tam pierwsi!

Byłam zbita z tropu.

- Ale dlaczego? - zapytałam. - Dlaczego podaje się godzinę, mając na myśli inną? I skąd ludzie mają wiedzieć, że tak jest?

Raymond zgasił papierosa i wrzucił go do rynsztoka. Przechylił głowę z namysłem.

- Gdy się nad tym zastanawiam, nie mam pojęcia - odparł. - Tak jest i już. - Myślał dalej. - No, bo kiedy zapraszasz ludzi na ósmą, to zawsze jest koszmar, gdy któryś... któryś przychodzi punkt ósma. Jesteś w prozku, nie zdążyłaś posprzątać, wynieść śmieci i tak dalej. To wręcz jakby złośliwość, kiedy ktoś zjawia się punktualnie albo... nie daj Boże... wcześniej.

- Kompletnie nie mam pojęcia, o czym mówisz - powiedziałam. - Jeśli zapraszam gości na ósmą, to o ósmej jestem gotowa, żeby ich przyjąć. Trzeba umieć gospodarować czasem.

Raymond wzruszył ramionami. Nie zadał sobie trudu, żeby ubrać się elegancko; jak zwykle miał na sobie sportowe buty

(tym razem zielone) i T-shirt. Ten z kolei głosił: „Carcetti na burmistrza!”. Niepojęte. Narzucił na siebie dżinsową kurtkę, jaśniejszą niż spodnie. Nie sądziłam, że z denimu można stworzyć garnitur, ale okazało się, że tak.

Laura mieszkała na końcu ślepej uliczki, wokół której wznosiły się nowoczesne domy. Na podjeździe stało kilka samochodów. Kiedy podeszliśmy do drzwi frontowych, zauważyłam czerwone geranium w skrzynkach. Te kwiaty budzą we mnie niepokój; ten ich intensywny, lepki zapach, kiedy się o nie otrzesz, słonawy, warzywny, przeciwieństwo kwiatowego.

Raymond zadzwonił – rozległy się pierwsze dźwięki III symfonii Beethovena. W progu stanął malutki chłopiec, z buzią usmarowaną – miejmy nadzieję – czekoladą, który popatrzył na nas uważnie. Odpowiedziałam podobnym spojrzeniem. Raymond zrobił krok do przodu.

- Wszystko w porządku, mały? – zapytał. – Przyszliśmy w odwiedziny do twojego dziadka.

Chłopiec wciąż się na nas gapił, wyraźnie bez entuzjazmu.

- Mam nowe buty – oznajmił bez związku. W tym momencie stanęła za nim Laura.

- Ciociu Lauro – odezwał się do niej, nie odwracając głowy i wyraźnie nieprzejęty – następni goście.

- Widzę, Tyler – odparła. – Idź do środka i znajdź brata. Może razem nadmuchacie nam kolejne balony? – Kiwnął głową i odbiegł w głąb domu, bębniąc drobnymi stopami po schodach. – Wejdźcie – powiedziała Laura, uśmiechając się Raymonda. – Tata się ucieszy, że przyszliście. – Mnie nie

zaszczyciła uśmiechem, tak jak to bywa w przypadku większości ludzi, z którymi mam do czynienia.

Raymond starannie wytarł nogi o wycieraczkę. Poszłam za jego przykładem. Niedoczekanie, żebym kiedyś skorzystała z jego rady w kwestiach towarzyskich.

Wręczył Laurze kwiaty i pobrządkującą torbę, a ona okazała wyraźne zadowolenie. Uświadomiłam sobie, że mimo tego, co mówiła w szpitalu, także powinnam była coś przynieść. Zamierzałam się wytłumaczyć, że chciałam po prostu uszanować jej życzenie, ale zanim zdążyłam się odezwać, Raymond wypalił:

- To ode mnie i Eleanor.

Laura zajrzała do torby - miałam gorącą nadzieję, że nie znajdzie tam miśków Haribo ani kruchych ciastek - i podziękowała nam obojgu. Przyjęłam to skinieniem głowy.

Zaprowadziła nas do salonu, gdzie siedzieli Sammy i jego rodzina. Z głośników wieży płynęła banalna muzyka, a na niskim stoliku stały miseczki z nijakimi przekąskami. Laura miała na sobie sukienkę, w której wyglądała jak owinięta czarnymi bandażami, i buty na kilkucentymetrowych platformach. Jej blond włosy były - żeby użyć właściwych określeń - długie i grube, spływały na ramiona błyszczącymi lokami. Nawet Bobbi Brown uznałaby jej mocny makijaż za *de trop*. Raymond lekko uchylił usta, na tyle, że można by przez nie wrzucić list, i wyglądał na nieco oszołomionego. Laura natomiast sprawiała wrażenie całkowicie obojętnej na jego zachowanie.

- Raymond! Eleanor! - wykrzyknął Sammy, machając do nas

z wielkiego przepastnego aksamitnego fotela. – Lauro, podaj im coś do picia, dobrze? My popijamy prosecco – zwrócił się do nas konfidencjonalnie.

– Ty już nie, tato – odezwał się jego starszy syn. – Bierzesz środki przeciwbólowe.

– Och, daj spokój, synu... raz się żyje! – odparł Sammy pogodnie. – Można skończyć gorzej, prawda, Eleanor?

Skinęłam głową. Miał absolutną rację. Kto miał to wiedzieć lepiej ode mnie.

Pojawiła się Laura, niosąc dwa wysokie kieliszki z musującym płynem o barwie moczu – ku swojemu zaskoczeniu, wypłam go na trzy łyki. Był wytrawny, biszkoptowy – pyszny. Ciekawiło mnie, czy jest drogi i czy mógłby zastąpić wódkę jako mój ulubiony trunek. Laura, czujna, od razu mi dołąła.

– Jesteś jak ja... piję tylko bąbelki – zauważyła z uznaniem.

Rozejrzałam się wokół.

– Masz bardzo piękny dom – pochwaliłam.

Pokiwała głową.

– Urządzenie go zajęło mi kilka lat, ale teraz jestem zadowolona – wyjaśniła.

Uderzyło mnie, że wszystko było takie dobrane, czyste i lśniące. Zróżnicowane faktury – pióra i tłoczenia, aksamit, jedwab – i barwy kamieni szlachetnych.

– To jak gniazdo, w którym spocznie piękny ptak – ciągnęłam. – Kwezal herbowy albo orzeł cesarski.

Wyglądało na to, że nie bardzo wie, co odpowiedzieć. Chyba zwykle „dziękuję” by wystarczyło?

Po chwili milczenia, nie takiego niezręcznego z powodu bąbelkowego drinka, zapytała, czym się zajmuję, więc wyjaśniłam, co robię i jak poznałam Raymonda. Spojrzałyśmy na niego – przysiadł na poręczu fotela Sammy'ego i śmiał się z czegoś, co powiedział jeden z jej braci.

- Mogłaś trafić gorzej, no wiesz – odparła z ukradkowym uśmiechem. – Gdyby go porządnie ostrzyc i ubrać...

Dopiero po chwili zrozumiałam, co ma na myśli.

- Och, nie – powiedziałam – to nieporozumienie. Mam już kogoś. Jest przystojny, wyrafinowany i zdolny... To kulturalny, wykształcony mężczyzna.

Laura się uśmiechnęła.

- Szczęściara z ciebie! Jak go poznałaś?

- Hm, jeszcze nie poznałam – wytłumaczyłam. – Ale to tylko kwestia czasu.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaniosała się śmiechem, niskim, gardłowym, który nie pasował do takiej wiotkiej kobiecej istoty.

- Jesteś zabawna, Eleanor – orzekła. – Będiesz musiała kiedyś wpaść do mnie na drinka. A gdybyś zdecydowała się ściąć włosy, to tylko u mnie, dobra? Dam ci rabat po znajomości.

Zastanowiłam się nad tym. Ostatnio trochę zwolniłam, jeśli chodzi o wdrażanie planu ze zmianą wizerunku, bo doświadczenia z depilacją i manikiurem okazały się naprawdę traumatyczne. Ale pomyślałam, że powinnam go kontynuować. Do tej pory nie skupiałam się na włosach; nie obcinałam ich od trzynastego roku życia. Proste, brązowe, urosły mi do pasa –

włosy to włosy. Prawdę mówiąc, prawie nie zwracałam na nie uwagi. Wiedziałam jednak, że aby mój muzyk się we mnie zakochał, muszę się trochę postarać.

- Co za pomyślny zbieg okoliczności, Lauro - odparłam, sącząc dalej pyszne bąbelki; mój kieliszek jakby cudem napełniał się sam. - Właśnie zamierzałam coś z nimi zrobić. Czy miałabyś czas w przyszłym tygodniu, żeby zająć się zmianą mojej fryzury?

Wzięła telefon ze stolika i postukała w klawiaturę.

- Co powiesz na wtorek o trzeciej? - zapytała.

Przysługiwało nam dwadzieścia pięć dni urlopu rocznie, a ja wykorzystałam dopiero trzy - jeden na dojście do siebie po bolesnym leczeniu kanałowym, jeden na copółroczną wizytę opieki społecznej i jeden, po przedłużonym weekendzie, na dokończenie szczególnie sążnistego, ale fascynującego dzieła z historii starożytnego Rzymu.

- Doskonale - odparłam.

Potem oddaliła się w stronę kuchni, skąd wyszła ponownie, z tacą cuchnących ciepłych przekąsek, którą puściła w obieg. W pokoju zrobiło się tłoczno i bardzo głośno. Stałam przez kilka minut, oglądając różne bibeloty i inne cacka, które Laura ze smakiem porozstawiała po domu. Później, bardziej z nudów niż konieczności, udałam się do łazienki, malutkiego pomieszczenia pod schodami, które okazało się także ciepłe i lśniące, nieskazitelnie białe i pachnące figami, co wydało mi się niemożliwe; jednak w końcu uświadomiłam sobie, że źródłem tego zapachu jest zapalona świeca w szklanym pojemniku, stojąca na półce pod lustrem. Świece w łazience!

Zaczełam podejrzewać, że Laura jest sybarytką.

Wreszcie weszłam do pomieszczenia na końcu korytarza, w którym, jak się domyślałam, mieściła się kuchnia. Tam także było pełno ludzi, ale zauważyłam czarne marmurowe blaty, błyszczące kremowe szafki i mnóstwo chromu. Ten dom... był taki lśniący. Ona także cała lśniła, jej skóra, włosy, buty, zęby. Wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale ja sama byłam matowa, przyćmiona, nijaka.

Czując potrzebę ucieczki od hałasu i gorąca, otworzyłam tylne drzwi i wyszłam na patio. Ogród był mały i ubogi we florę, większość jego powierzchni zajmowały betonowe płyty albo śliskie deski. Zapadał zmierzch, ale niebo wydawało się tu ograniczone i poczułam się uwięziona, bo z trzech stron wznosiło się wysokie ogrodzenie. Odetchnęłam głęboko, licząc, że wciągnę w płuca rześkie wieczorne powietrze. Jednak moje nozdrza zostały zaatakowane przez substancje smoliste, nikotyne i inne toksyny.

- Przyjemny wieczór, co? - zagadnął Raymond. Wy szedł z cienia, dla odmiany paląc papierosa.

Kiwnęłam głową na potwierdzenie.

- Wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza - ciągnął bez cienia ironii. - Nie powinienem pić niczego z bąbelkami, od razu ścina mnie z nóg.

Uświadomiłam sobie, że ja także jestem trochę zawiana.

- Chyba już na mnie pora - powiedziałam, czując lekki zawrót głowy. Było to jednak przyjemne.

- Chodź, usiądźmy jeszcze na chwilę - zaproponował i poprowadził mnie w stronę pary drewnianych foteli. Chętnie

usiadłam, bo czasami w nowych butach trudno mi było zachować równowagę. Raymond zapalił następnego papierosa – kopcił jak komin.

- Miła rodzina, no nie? – zapytał.

- Laura mnie ostrzyże – wypaliłam. Nie miałam pojęcia, po co to zrobiłam.

- Naprawdę? – Uśmiechnął się.

- Ona ci się podoba – rzuciłam, kiwając mądrze głową.

W końcu byłam światową kobietą.

Zaśmiał się.

- Jest olśniewająca, Eleanor, ale nie w moim typie. – Jego papieros żarzył się w półmroku.

- A jaki jest twój typ? – zagadnęłam, odnotowując ze zdziwieniem, że naprawdę byłam ciekawa.

- Sam nie wiem. Ktoś mniej... odstawiony. Ktoś... poczekaj chwilę.

Odszedł, podczas gdy ja chętnie posiedziałam chwilę sama, i po chwili wrócił z butelką wina oraz dwoma ozdobnymi papierowymi kubkami, przedstawiającymi kukielkowe gryzonie na deskorolkach.

- *Rastamysz* – przeczytałam głośno i powoli. – Co to jest, u licha?

- Daj – polecił i nalał nam obojgu... po kubku. Stuknęliśmy się nimi. Bezdźwięcznie. – Myślałem, że znalazłem kogoś dla siebie – wyznał, patrząc na tył ogrodu. – Ale nam nie wyszło.

- Dlaczego? – zapytałam, choć przychodziło mi do głowy wiele powodów, dla których ktoś mógł nie chcieć być z Raymondem.

- Nie wiem do końca. Chciałbym wiedzieć... byłoby mi łatwiej...

Pokiwałam głową - uznałam, że tak będzie stosownie.

- Helen mówiła, że to nie przeze mnie, tylko przez nią. - Zaśmiał się, ale nie było w tym wesołości. - Nie mogę uwierzyć, że wyjechała z takim oklepanym tekstem. Można by pomyśleć, że po trzech latach... powinna wiedzieć, co jej pasuje, a co nie. Nie wiem, co się takiego zmieniło. Bo ja się nie zmieniłem... tak mi się przynajmniej wydaje...

- Ludzie bywają czasami... nieprzeniknieni - powiedziałam, potykając się lekko na tym słowie. - Często nie rozumiem, dlaczego coś robią albo mówią.

Kiwnął głową.

- Mieliśmy śliczne mieszkanie, jeździliśmy na świetne wakacje. Chciałem... chciałem ją poprosić, żeby za mnie wyszła. Rany... - Wbił wzrok w płyty chodnikowe, a ja daremnie próbowałam wyobrazić go sobie w garniturze, meloniku i fularze, nie mówiąc już o kilcie. - Nie jest źle - odezwał się po chwili. - Bywa śmiesznie, gdy mieszka się z kolegami, no i mam nową pracę. Da się żyć. Tyle że... sam nie wiem. Powiedziała, że jestem za dobry. I co mam z tym zrobić? Zostać... zostać draniem? Miałem ją bić czy zdradzać?

Zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę nie mówi do mnie; to było jak w sztuce teatralnej, kiedy bohater monologuje do nikogo w szczególności. Znałam jednak odpowiedź na jego pytanie.

- Nie, Raymondzie - odparłam. - Nie mógłbyś zrobić ani jednego, ani drugiego. - Dopiliśmy wino i dolałam sobie więcej.

- Przez parę lat mieszkałam z mężczyzną o imieniu Declan. Bił mnie w nerki, po twarzy... łącznie złamał mi dwanaście kości. Znikał na kilka dni, a potem wracał do domu i opowiadał mi o kobietach, z którymi był. To była moja wina, wyłącznie moja wina. Wiem jednak, że nie powinien był tego robić. To jedno wiem.

Raymond popatrzył na mnie.

- O rany, Eleanor. Kiedy to było?

- Kilka lat temu. Jeszcze studiowałam. Któregoś dnia zobaczył mnie w ogrodzie botanicznym, podszedł i zagadnął. Wiem z perspektywy czasu, że to brzmi śmiesznie. Pod koniec tygodnia wprowadził się do mnie.

- On także był na studiach? - zapytał.

- Nie, mówił, że czytanie książek to strata czasu, nudziarstwo. I nie pracował. Nie mógł znaleźć pracy, która by mu odpowiadała, tak twierdził. Niełatwo znaleźć pracę, która człowiekowi odpowiada, no nie?

Raymond spoglądał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

- Declan chciał mi pomóc stać się lepszą - ciągnęłam.

Zapalił kolejnego papierosa.

- Jak to się skończyło? - spytał. Już na mnie nie patrzył; wydmuchiwał dym powoli, jak zupełnie niegroźny smok.

- Kazał mi powiedzieć, że się przewróciłam, ale mi nie uwierzyli. - Pociągnęłam kolejny duży łyk wina. - Przyszła do mnie taka miła pielęgniarka i powiedziała, że ktoś, kto kocha naprawdę, nie krzywdzi, a jeśli krzywdzi, to należy od niego odejść. Wszystko, co mówiła, miało sens. Powinnam była sama do tego dojść. Po powrocie do domu poprosiłam, żeby się

wyprowadził, a ponieważ nie chciał, zgodnie z jej radą zadzwoniłam na policję. I tyle. Och, i jeszcze zmieniałam zamki w drzwiach.

Raymond nic nie powiedział, tylko ze skupieniem spoglądał na swoje buty. Unikając mojego wzroku, wyciągnął rękę i poklepał mnie niepewnie po ramieniu, jak klepie się konia albo psa (jeśli ktoś boi się koni albo psów). Przez dłuższy czas tylko kręcił głową, jakby nie był w stanie znaleźć odpowiedzi. Nieważne; nie potrzebowałam tego. To wszystko przeszło już do historii. Było mi dobrze samej. Eleanor Oliphant, jedyna ocalała – to ja.

- Jadę do domu, Raymondzie – oznajmiłam, wstając szybko.
- Wrócę taksówką.

- Dobry pomysł – rzucił i dopił swoje wino. Wyjął telefon. - Ale nie będziesz jej łapać, chodząc sama ulicami, nie o tej porze. Zamówię ci... popatrz, mam aplikację! - Zadowolony podsunął mi swoją komórkę.

- Na co mam patrzeć? – zapytałam, spoglądając na wyświetlacz.

Zignorował mnie i przeczytał wiadomość.

- Przyjedzie za pięć minut.

Czekał ze mną w holu, dopóki taksówka nie przejechała, potem odprowadził mnie do niej i otworzył mi drzwi. Zauważyłam, że kiedy wsiadałam na tylne siedzenie, zerknął na kierowcę, kobietę w średnim wieku, która sprawiała wrażenie zmęczonej i znudzonej.

- Ty też jedziesz? – zapytałam, zastanawiając się, dlaczego stoi na chodniku.

Spojrzał na zegarek, zmierzwił włosy i kilka razy przeniósł spojrzenie z domu na taksówkę.

- Nie - odparł. - Jeszcze się tu trochę pokręcę. Zobaczą, co się będzie działo.

Odwróciłam się i patrzyłam na niego, gdy taksówka odjeżdżała. Zachwiał się, idąc ścieżką w stronę domu. W drzwiach stanęła Laura, z dwoma kieliszkami w dłoniach. Podała mu jeden z nich.

18

W następnym tygodniu Raymond przysłał mi pocztą elektroniczną wiadomość – dziwnie było zobaczyć jego nazwisko w służbowej skrzynce odbiorczej. Tak jak podejrzewałam, był ledwie piśmienny.

Hej, E., mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porzo. Chciałbym Cię o coś prosić. Keith, syn Sammy'ego, zaprosił mnie w tę sobotę na swoją czterdziestkę (zasiedziałem się wtedy, był spory ubaw). Nie poszłabyś ze mną jako osoba towarzysząca? To ma być w klubie golfowym, będzie bufet, co Ty na to? Jeśli nie, to nie ma sprawy – tylko daj znać. R.

Bufet. W klubie golfowym. Bóg daje i Bóg odbiera. Dwa przyjęcia w jednym miesiącu! Nie trafiło mi się tyle w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Wystukałam więc odpowiedź:

Drogi Raymondzie!

Będę zachwycona, mogąc Ci towarzyszyć na tym przyjęciu.

Z poważaniem

Eleanor Oliphant

Po chwili odebrałam wiadomość: :).

Komunikacja w dwudziestym pierwszym wieku. Obawiam się, że nasz naród popada w analfabetyzm.

Tego dnia w związku z umówioną wizytą u fryzjera wzięłam wolne popołudnie, ale lunch zjadłam jak zwykle

w pomieszczeniu socjalnym, z krzyżówką; składał się z kanapki z tuńczykiem, chipsów o smaku słono-octowym oraz soku pomarańczowego – „z kawałkami”. W swoim czasie będę musiała podziękować muzykowi za to, że zapoznał mnie z tą przyjemnością, jakiej dostarczają kawałki owoców w napoju. Po smakowitym posiłku, z nieznacznym triumfalnym uśmiechem na myśl, że moi koledzy muszą tkwić za biurkami przez resztę popołudnia, pojechałam autobusem do śródmieścia.

Heliotrope znajdował się w przy małej uliczce w samym centrum, na parterze wiktoriańskiej kamienicy z piaskowca. Nie było to z całą pewnością miejsce, do którego bym chodziła – głośna muzyka, agresywnie modny personel i o wiele za dużo luster. Wyobrażałam sobie, że do takich przybytków chadzał ostrzyć się mój muzyk, i dzięki temu poczułam się trochę lepiej. Może któregoś dnia zasiądziemy obok siebie w tych czarnych skórzanych fotelach, trzymając się za ręce pod suszarkami.

Czekając, żeby recepcjonistka skończyła rozmowę telefoniczną, odsunęłam się od wielkiego wazonu białych i różowych lilii, który stał na kontuarze. Ich zapach zaczął drapać mnie w gardle, jak futro czy pióra. Zebrało mi się na mdłości; to nie jest dla ludzi.

Zapomniałam już, jakie głośne są salony fryzjerskie: nieustający szum suszarek i bezmyślna gadanina. Posadzono mnie pod oknem i ubrano w czarną nylonową pelerynę, która, co zauważyłam z przerażeniem, była już usiana krótkimi ścinkami włosów poprzedniego klienta. Szybko je

strzepnęłam.

Zjawiała się Laura, równie olśniewająca jak zawsze, i zaprowadziła mnie na fotel przed straszonym szeregiem luster.

- Dobrze się bawiłaś w sobotę? - zapytała, regulując wysokość stołka, dopóki nie usadowiła się za mną na tym samym poziomie. Nie patrzyła na mnie bezpośrednio, ale w lustro, zwracając się do mojego odbicia; mimowolnie zaczęłam robić tak samo. Było to dziwnie odprężające.

- Tak - odpowiedziałam. - To był wspaniały wieczór.

- Tata mieszka teraz w pokoju gościnnym i już działa mi na nerwy - zauważyła z uśmiechem. - A jeszcze będzie u mnie dwa tygodnie. Nie wiem, jak to wytrzymam.

Pokiwałam głową.

- Wiem z doświadczenia, że rodzice potrafią być uciążliwi - odparłam. Wymieniłyśmy współczujące uśmiechy.

- Dobra, co robimy? - zapytała. Zdjęła gumkę z mojego warkocza i go rozplotła. Popatrzyłam na swoje odbicie. Moje włosy były myszowatego koloru, rozdzielone pośrodku, proste i niezbyt grube. Zwyczajne ludzkie włosy, rosnące na głowie.

- Coś innego - odpowiedziałam. - Co byś radziła?

- Jesteś odważna, Eleanor? - zapytała.

To było dobre pytanie. Jestem odważna. Odważna i dzielna Eleanor Oliphant.

- Rób, co chcesz - rzuciłam.

Przyjęła to z wielkim zadowoleniem.

- Kolor też?

Zastanowiłam się nad tym.

- Czy będzie to naturalny ludzki odcień? Chyba nie chciałabym różowego, niebieskiego i tak dalej.

- Zrobiłabym ci lekko wystopniowanego boba do ramion, z karmelowo-miodowymi pasemkami i długą zamaszystą grzywką - powiedziała. - Co ty na to?

- Brzmi jak żargon, którego nie rozumiem - odparłam.

Roześmiała się, patrząc na moje odbicie, a potem zamilkła, może dlatego, że ja się nie śmiałam.

- Zaufaj mi, Eleanor - dodała z powagą. - Będzie pięknie.

- „Piękny” to nie jest słowo, które kojarzy się z moim wyglądem - orzekłam sceptycznie.

Poklepała mnie po ramieniu.

- Poczekaj tylko - powiedziała łagodnie. - Miley! - wrzasnęła tak głośno, że niemal spadłam z fotela. - Chodź, zrobisz mi farbę!

Szybkim krokiem podeszła niska, przysadzista dziewczyna o kiepskiej cerze i ślicznych oczach. Laura podała jej zalecenia, łącznie z procentami i numerami, które równie dobrze mogły odnosić się do prochu strzelniczego.

- Herbaty? Kawy? Coś do czytania? - zagadnęła mnie po chwili.

Ledwie mogłam w to uwierzyć, kiedy pięć minut później popijałam cappuccino i przeglądałam ostatni numer „OK!”. Tylko popatrzcie na mnie! - pomyślałam.

- Gotowa? - zapytała Laura. Ciepłą i miękką dłonią musnęła mnie po karku, zebrała moje włosy i skręciła je. Powolny szcęk nożyczek, który się rozległ, przypominał odgłos rozżarzonych węgielków w ogniu; dźwięczny i groźny. Jeszcze

chwila i było po wszystkim. Laura uniosła moje ścięte włosy niczym triumfująca Dalila.

- Ostrzygę cię jak trzeba, gdy skończymy farbowanie - wyjaśniła. - Na razie musimy oczyścić pole. - Ponieważ siedziałam nieruchomo, nie czułam się inaczej niż wcześniej. Laura rzuciła włosy na podłogę, gdzie leżały jak martwe zwierzę. Chudy chłopak, który wyglądał, jakby wolał robić wszystko inne, zgarnął je szczotką na szufelkę. Przyglądałam mu się w lustrze, jak dalej zamiatał salon. Co się działo później z tymi wszystkimi włosami? Zrobiło mi się trochę niedobrze na myśl o dziennym czy też tygodniowym ich zapasie w wielkim worku, jego zapachu i miękkim elastycznym wypełnieniu.

Laura zbliżyła się z wózkiem na kółkach i zmieniając miski, zaczęła nakładać znajdujące się w nich gęste mazie na wybrane pasma moich włosów. Za każdym razem zawijała pomalowane włosy w kwadraty folii aluminiowej. Była to fascynująca procedura. Po półgodzinie zostawiła mnie z głową w folii i zaczerwienioną twarzą, a po chwili wróciła z gorącą lampą na stelażu, którą ustawiła obok.

- Dwadzieścia minut i będzie gotowe - oznajmiła.

Przyniosła mi następne czasopisma, ale nie było już tak przyjemnie - szybko zmęczyły mnie plotki o celebrytach, a wyglądało na to, że w salonie, ku mojemu rozczarowaniu, nie mieli „Świata Konsumenta” ani „BBC Historia”. Wciąż wracał do mnie pewien obraz, choć starałam się go ignorować. Mnie samej głaszczącej kogoś po włosach? Tak. Kogoś mniejszego, siedzącego na fotelu, podczas gdy ja stałam z tyłu i starając się robić to delikatnie, chesałam splątane kosmyki. Nie lubiła

szarpania i ciągnięcia. Właśnie tego rodzaju myśli – niejasne, niepokojące – potrafiła odpędzić wódka, ale niestety zaproponowano mi tylko herbatę albo kawę. Zastanawiałam się, dlaczego w salonach fryzjerskich nie podają czegoś mocniejszego. Zmiana fryzury może być przecież stresująca, a w takim hałaśliwym, jasnym otoczeniu trudno się odprężyć. To na pewno skłaniałoby klientów do dawania większych napiwków. Za napitek napiwki – pomyślałam i zaśmiałam się pod nosem.

Kiedy rozległ się dzwonek przy lampie, podeszła dziewczyna od mieszania farb i zaprowadziła mnie do „umywalni”, którą okazała się zwykła umywalka. Zdjęła folię z moich włosów, spłukała je ciepłą wodą, a następnie umyła szamponem. Miała mocne zręczne dłonie i znowu pomyślałam z podziwem o ludziach, którzy świadczyli innym tak intymne usługi. Odkąd pamiętam, nikt nie mył mi włosów. Przypuszczam, że kiedyś, kiedy byłam małym dzieckiem, robiła to mama, ale trudno mi było wyobrazić ją sobie w trakcie takiej delikatnej czynności.

Po zmyciu szamponu dziewczyna wykonała mi „masaż głowy shiatsu”. Nigdy wcześniej nie zaznałam takiej rozkoszy. Masowała ze stanowczą delikatnością i precyzją; poczułam, że jeżą mi się włoski na przedramionach, a po plecach przebiega dreszcz. Skończyło się to dziewięć godzin wcześniej, niżbym chciała.

- Ma pani liczne napięcia na skórze głowy – zauważyła z powagą, zmywając resztki odżywki do włosów.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc tylko się uśmiechnęłam, co sprawdza się w różnych sytuacjach (chyba

że chodzi o śmierć albo chorobę – to już wiem).

Gdy znowu usiadłam w fotelu z przeczesanymi, skróconymi i ufarbowanymi włosami, wróciła Laura, trzymając w dłoni ostre nożyczki.

– Kiedy włosy są mokre, nie widać prawdziwego koloru – wyjaśniła. – Musisz jeszcze poczekać!

Strzyżenie trwało zaledwie dziesięć minut. Podziwiałam jej zręczność i pewność, z jaką operowała nożyczkami. Suszenie zajęło znacznie więcej czasu i wymagało pracowitego manewrowania szczotką. Czytałam pismo, decydując się – za jej radą – nie patrzeć, dopóki nie skończy. Wreszcie suszarka została wyłączona, poszły w użycie jakieś preparaty, po sprawdzeniu długości i kątów tu i tam jeszcze coś skorygowano. Usłyszałam, że Laura wzdycha z zadowoleniem.

– Spójrz, Eleanor! – powiedziała.

Uniosłam wzrok znad artykułu w „Marie Claire” na temat okaleczeń kobiecych genitaliów. W lustrze ujrzałam znacznie młodszą kobietę, pewną siebie, o lśniących włosach, które opadały na ramiona, z ukośną grzywką, przecinającą policzek z blizną. Czy to ja? Odwróciłam głowę w prawo, a potem w lewo. Spojrzałam w lustro, które Laura trzymała za mną, żebym mogła zobaczyć tył, gładki i lśniący. Przełknęłam ślinę.

– Sprawiaś, że lśnię, Lauro – odezwałam się. Starłam się nad tym zapanować, ale po jednej stronie nosa spłynęła mi pojedyncza łza. Otarłam ją wierzchem dłoni, zanim zwilżyła końcówki mojej nowej fryzury. – Dziękuję ci za to.

19

Bob wezwał mnie do siebie. Przyjrzał mi się, kiedy weszłam do jego gabinetu. Byłam ciekawa, co jest tego powodem.

- Twoje włosy! - powiedział w końcu, jakby zgadł odpowiedź.

Niełatwo było mi je rano ułożyć, ale wyszło całkiem nieźle. Uniosłam ręce, aby ich dotknąć.

- Coś z nimi nie tak? - zapytałam.

- Nie, zupełnie nic. Wyglądają... wyglądają bardzo ładnie - odparł z uśmiechem, kiwając głową.

Zapadło niezręczne milczenie. Nigdy nie komentował mojego wyglądu i oboje nie byliśmy do tego przyzwyczajeni.

- Obcięłam je - wyjaśniłam - co widać.

Potwierdził.

- Usiądź, Eleanor. - Rozejrzałam się. Stwierdzenie, że w gabinecie Boba panował nieporządek, zdecydowanie nie oddawało panującego tam chaosu. Zdjęłam plik folderów z krzesła, które stało naprzeciwko biurka, i położyłam na podłodze. Bob pochylił się do przodu. Od czasu, gdy go poznałam, bardzo się postarzał; niemal całkiem wyłysiał i znacznie przybrał na wadze. Wyglądał teraz jak swawolne dziecko. - Pracujesz tu już długi czas, Eleanor - zaczął. Skinęłam głową; miał rację. - Wiesz, że Loretta idzie na dłuższy urlop - Zaprzeczyłam. Nie interesują mnie plotki z codziennego życia biura. Chyba że chodzi o plotki na temat pewnego muzyka, rzecz jasna.

- Nie mogę powiedzieć, że jestem zdziwiona - odparłam. - Zawsze wątpiłam w jej znajomość podatku od wartości dodanej... - Wzruszyłam ramionami. - Więc może to i dobrze.

- Jej mąż ma raka jądra, Eleanor - wyjaśnił. - I ona chce poświęcić się opiece.

Zastanowiłam się nad tym.

- To musi być trudne dla nich obojga - zauważyłam. - Ale jeśli rak jąder zostanie wykryty we wczesnym stadium, szanse na przeżycie i wyzdrowienie są całkiem duże. W przypadku mężczyzny, jeżeli nieszczęśliwie dopadnie go nowotwór, ten jest chyba jeszcze najlepszy.

Bob bawił się jednym ze swoich wyszukanych czarnych długopisów.

- Dlatego - podjął - na co najmniej kilka najbliższych miesięcy będę potrzebował nowej kierowniczkę biura. - Skinęłam głową. - Byłabyś zainteresowana, Eleanor? To by oznaczało więcej pieniędzy, ale i większą odpowiedzialność. Myślę jednak, że jesteś już na to gotowa.

Rozważyłam jego propozycję.

- Ile więcej pieniędzy? - zapytałam. Napisał sumę na karteczce samoprzylepnej, oderwał ją i podał mi. Z wrażenia aż wciągnęłam powietrze. - Oprócz mojej aktualnej pensji?

Przed oczami stanęła mi wizja jeżdżenia do pracy taksówkami zamiast autobusem, robienia zakupów w Tesco Finest i picia wódki w masywnych matowych butelkach.

- Nie, Eleanor. Tyle wyniosłaby twoja nowa pensja.

- Aha - rzuciłam.

W takim razie musiałam starannie rozważyć stosunek

ryzyka do wynagrodzenia. Czy podwyżka dostatecznie zrekompensuje większą ilość zmundnej pracy administracyjnej, której by ode mnie wymagano, rozszerzony zakres odpowiedzialności za sprawne funkcjonowanie biura i, co gorsza, znaczne zintensyfikowanie kontaktów z kolegami?

- Mogę prosić o kilka dni na zastanowienie, Bob? - zapytałam.

- Jasne, Eleanor. Spodziewałem się tego.

Spojrzałam na swoje dłonie.

- Jesteś dobrą pracownicą - odezwał się. - Ile to już... osiem lat?

- Dziewięć - poprawiłam go.

- Dziewięć lat i ani jednego dnia na zwolnieniu lekarskim, niewykorzystany do końca urlop. To się nazywa oddanie. Niełatwo o nie w dzisiejszych czasach.

- To nie oddanie - sprostowałam. - Po prostu jestem okazem zdrowia i nie mam z kim jeździć na urlop.

Odwrócił wzrok, więc wstałam, gotowa do wyjścia.

Bob jednak chrząknął.

- Jest jeszcze jedno, Eleanor. Ponieważ Loretta będzie zajęta przekazywaniem swoich obowiązków... miałbym do ciebie prośbę.

- Jaką? - zapytałam.

- Chodzi o bożonarodzeniowy lunch... Mogłabyś go w tym roku zorganizować? Loretta nie będzie miała czasu, a już kilka osób przyszło do mnie, biadoląc, że jeśli nie zarezerwujemy gdzieś miejsc...

- Skończą w Wetherspoons - dopowiedziałam, kiwając

głową. – Tak, słyszałam. Jeśli sobie życzysz, chętnie się tego podejmę. Czy mam *carte blanche* w kwestii wyboru miejsca, menu i tematu przewodniego?

Bob pokiwał głową, znowu skupiony na czymś w komputerze.

– Jasne – odparł. – Firma wyklada po dychu na łebka... Od was zależy, gdzie chcecie pójść i ile dopłacić.

– Dziękuję ci, Bob – powiedziałam. – Nie zawiedziesz się na mnie.

On już jednak nie słuchał, zajęty tym, co miał na ekranie. W głowie mi szumiało. Dwie ważne decyzje do podjęcia. Kolejne przyjęcie w perspektywie. I przystojny, utalentowany Johnnie Lomond, *chanteur extraordinaire* i potencjalny partner życiowy na horyzoncie. Życie potrafi zaskakiwać.

Usiadłam znowu przed komputerem i przez jakiś czas patrzyłam tępo w ekran. Było mi trochę niedobrze na myśl o dylematach, przed którymi stanęłam, i choć zbliżała się pora lunchu, nie miałam ochoty na „kanapkę dnia”. Dobrze by było z kimś o tym wszystkim porozmawiać – dotarło do mnie. Znałam to z przeszłości. Rozmowa pomaga; pozwala zobaczyć problemy z pewnej perspektywy. Ludzie wciąż mi to powtarzali. „Porozmawiaj z kimś”, „Chcesz o tym pogadać?”, „Powiedz, jak się czujesz”, „Chciałabyś podzielić się czymś z grupą, Eleanor?”, „Nie musisz nic mówić, ale może ci zaszkodzić, jeśli nie wspomnisz o czymś, co później wypłynie w sądzie”, „Pani Oliphant, może pani opowiedzieć własnymi słowami, co pani pamięta z wydarzeń, które miały miejsce tamtego wieczoru?”.

Poczułam, że po plecach spływa mi strumyczek potu, a w piersi trzepocze się coś jak schwytyany ptak. Komputer wydał irytujący dźwięk, informując o nadejściu poczty elektronicznej. Kliknęłam w nią bez namysłu. Jak ja nie znoszę u siebie tych odruchów Pawłowa!

Cześć, E., jesteście umówieni na sobotę? Spotkamy się na stacji o ósmej? R.

Dołączył obrazek: zdjęcie znanego polityka obok mordy psa, który wyglądał jak on. Parsknęłam śmiechem – podobieństwo było uderzające. Poniżej napisał: *Środowoporanne LOL*, cokolwiek to miało znaczyć.

Pod wpływem impulsu odpisałam:

Dzień dobry, Raymondzie. Ministerialno-psi obrazek był bardzo zabawny. Czy nie poszedłbyś ze mną na lunch o 12.30? Z poważaniem, Eleanor

Przez piętnaście minut nie było odpowiedzi i już zaczęłam żałować swojej impulsywnej decyzji. Nigdy do tej pory nie proponowałam nikomu wspólnego lunchu. Jak zwykle sprawdziłam w internecie, czy mój muzyk nie wstawił jakichś postów – niestety, na Facebooku, Twitterze ani Instagramie nie było nic nowego. Kiedy tak milkł, czułam się zaniepokojona. To mogło znaczyć, że albo jest przygnębiony, albo szczęśliwy. Nowa dziewczyna?

Mdliło mnie i właśnie myślałam, że tego dnia zamiast „kanapki dnia” zjem na lunch małe opakowanie orzeszków ziemnych z wasabi i wypiję do tego koktajl z antyoksydantami,

gdy przyszła wiadomość.

Sorki - musiałem załatwić klienta. Powiedziałem mu, żeby wyłączył komputer i włączył go z powrotem. LOL. Z lunchem OK. Za 5 min. na dole? R.

Odpowiedziałam:

Doskonale. Dziękuję.

W swojej śmiałości się nie podpisałam, bo przecież wiedział, że to ode mnie.

Raymond się spóźnił, przyszedł nie za pięć, ale za osiem minut, postanowiłam jednak tym razem tego nie komentować. Zaproponował, żebyśmy poszli do kawiarni za rogiem, którą lubił.

Nie było to miejsce, do którego poszłabym w normalnych okolicznościach; trochę zbyt artystyczne i nędzne, z niepasującymi do siebie meblami i nadmiarem poduszek oraz kap. Jakie jest prawdopodobieństwo, że są regularnie prane? - pomyślałam. W najlepszym razie nikt. Wzdrygnęłam się na myśl o tych wszystkich mikrobach; panujące w kawiarni ciepło i pierze albo gąbka stanowiły doskonałą wylęgarnię dla roztoczy, a może nawet wszy. Usiadłam przy stole ze zwykłymi drewnianymi krzesłami, bez żadnej tapicerki.

Raymond najwyraźniej znał kelnera, który przynosząc kartę dań, zwrócił się do niego po imieniu. Obsługa tutaj była w podobnym typie co on: nieuczesana, źle ubrana, i to niezależnie od płci.

- Zazwyczaj falafel jest dobry - zarekomendował Raymond.
- Albo zupa. - Wskazał na tablicę z daniami dnia.

- „Krem z kalafiora z kminem rzymskim” - przeczytałam na głos. - O, nie. Raczej nie.

Po rozmowie z Bobem wciąż miałam sensacje gastryczne, więc zamówiłam tylko kawę z mlekiem i bułkę z serem. To, co wziął Raymond, pachniało obrzydliwie, jak podgrzane wymiociny. Jadł głośno, z otwartymi ustami, tak że musiałam odwrócić wzrok. Dzięki temu łatwiej mi było poruszyć temat propozycji Boba i zadania, które mi powierzył.

- Mogę cię o coś zapytać, Raymondzie? - zaczęłam. Siorbnął colę i kiwnął głową. Znowu odwróciłam wzrok. Kelner, który nas obsługiwał, stał za ladą i podrygiwał w rytm muzyki. Była wrzaskliwa: za dużo gitary, a za mało melodii. To dźwięki szaleństwa - pomyślałam - muzyka, jaką słyszą w głowach wariaci tuż przed obcięciem lisom łbów i wrzuceniem ich sąsiadom do ogródka. - Zaproponowano mi awans, na stanowisko kierowniczkki biura - powiedziałam. - Myślisz, że powinnam go przyjąć?

Przestał mlaskać i pociągnął kolejny głośny łyk coli.

- To świetnie, Eleanor - odparł z uśmiechem. - Co cię powstrzymuje?

Skubnęłam kawałeczek bułki - okazała się zadziwiająco dobra, znacznie lepsza od tych, które można kupić w Tesco. Nigdy nie sądziłam, że o czymkolwiek tak pomyślę.

- Hm - podjęłam - z jednej strony, dostanę większą pensję. Nie jakąś wielką, ale zawsze... wystarczającą, żebym mogła sobie pozwolić na droższe rzeczy. Z drugiej strony, pociągnie

to za sobą więcej pracy i zwiększenie odpowiedzialności. A nasz personel to przeważnie obiboki i kretyni, Raymondzie. Kierowanie nimi i ich pracą nie będzie łatwe, zapewniam cię.

Parsknął śmiechem, a potem kaszlnął – wyglądało na to, że cola wpadła mu nie w tę dziurkę.

- Rozumiem – odrzekł. - Dylemat sprowadza się do tego, czy ekstraforsa zrekompensuje ekstrawysilek, tak?

- Właśnie, bardzo dobrze to ująłeś.

Przerwał i znowu pociamkał.

- A jaki masz plan gry, Eleanor? – zapytał.

Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi, i chyba odczytał to z mojej twarzy.

- Pytam o to, czy zamierzasz zostać na dłużej w administracji biura? Jeśli tak, to byłoby korzystne... nowe stanowisko i wynagrodzenie. Gdy zdecydujesz się podjąć następny krok, będziesz na znacznie lepszej pozycji.

- Co to znaczy „następny krok”? – chciałam wiedzieć. Ten człowiek nie potrafił wyrażać się jasno.

- Kiedy będziesz starać się o nową posadę, w innej firmie – wyjaśnił, machając łyżką. Skuliłam się, przestraszona, że mogą dosięgnąć mnie jakieś drobinki śliny. - Bo chyba nie chcesz pracować w By Design do końca życia, no nie? - ciągnął. - Ile masz lat... dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem?

- Skończyłam trzydzieści, Raymondzie - odpowiedziałam dziwnie zadowolona.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Ale nie zamierzasz spędzić reszty życia w rachunkowości u Boba, co?

Wzruszyłam ramionami; naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Chyba tak - odparłam. - Co innego miałabym robić?

- Eleanor! - wykrzyknął, z jakiegoś powodu zszokowany. - Jesteś bystra, sumienna, dobrze... bardzo dobrze zorganizowana - wyliczył. - Mogłabyś zajmować się różnymi rzeczami.

- Tak uważasz? - zapytałam z powątpiewaniem.

- Jasne! - Energicznie pokiwał głową. - Znasz się dobrze na rachunkowości, prawda? Umiesz się wysławić. Znasz jakieś języki obce?

Potwierdziłam.

- Łacinę, i to naprawdę nieźle.

Ściągnął swoje małe usta.

- Hm - mruknął. Przywołał gestem kelnera, który podszedł i posprzątał nasz stół. Potem przyniósł dwie kawy i niezamawiane przez nas czekoladowe trufle na talerzyku.

- Smacznego, ludziska! - powiedział, stawiając je przed nami zamaszyście.

Pokręciłam głową, nie wierząc, że ktoś mógł powiedzieć coś takiego.

Raymond wrócił do tematu.

- Wszędzie chętnie zatrudnią doświadczonego kierownika biura, Eleanor - powiedział. - Nie tylko w branży graficznej... ale w gabinecie lekarskim, firmie informatycznej... w wielu miejscach! - Wsadził trufkę do ust. - Chcesz zostać w Glasgow? Mogłabyś się przenieść do Edynburga, do Londynu... Cały świat stoi przed tobą otworem, no nie?

- Tak? - To też nie przyszło mi nigdy do głowy: żeby przeprowadzić się do innego miasta, mieszkać gdzieś indziej. Bath, ze swoimi wspaniałymi zabytkami rzymskimi, York, Londyn... było tego dla mnie trochę za dużo. - Wygląda na to, że w życiu jest wiele możliwości, których nie brałam pod uwagę, Raymondzie. Nie sądziłam, że mam na coś wpływ. To brzmi śmiesznie, wiem - podsumowałam.

Spoważniał i pochylił się do przodu.

- Nie jest ci łatwo, wiem, Eleanor. Nie masz rodzeństwa, wychowywałaś się bez ojca, a z matką masz, jak mówiłaś... trudne relacje?

Skinęłam głową.

- Spotykasz się z kimś? - zapytał.

- Owszem - potwierdziłam.

Zrobił wyczekującą minę; wyglądało, jakby chciał usłyszeć więcej szczegółów. Z westchnieniem pokręciłam głową. Odezwałam się tak powoli i wyraźnie, jak tylko potrafiłam.

- W tej chwili jestem na spotkaniu z tobą, Raymondzie.

Wybuchnął śmiechem.

- Wiesz dobrze, co mam na myśli. - Wszystko jednak wskazywało na to, że nie wiedziałam.

- Czy masz chłopaka? - wyjaśnił cierpliwie.

Zawahałam się.

- Uhm. No... jest ktoś taki. Ale nie, chyba odpowiedź na twoje pytanie brzmi „nie”, przynajmniej na razie.

- Więc musisz radzić sobie sama - kontynuował. Nie było to pytanie, ale stwierdzenie faktu. - Nie powinnaś sobie wyrzucać, że nie masz planu kariery zawodowej na następne

dziesięć lat.

- A ty masz taki plan? - zapytałam. Wydawało się to wielce nieprawdopodobne.

- Nie - zaprzeczył, uśmiechając się. - A ktoś ma? To znaczy, ktoś normalny?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie jestem pewna, czy znam jakichś normalnych ludzi - odrzekłam.

- Nie biorę tego do siebie, Eleanor - odpowiedział wesoło.

Zreflektowałam się po chwili.

- W żadnym razie nie chciałam cię obrazić, Raymondzie - powiedziałam czym prędzej. - Przepraszam.

- Daj spokój. - Gestem poprosił o rachunek. - To ile masz czasu na podjęcie decyzji w związku z tą propozycją? Myślę, że powinnaś ją przyjąć, bo warto - poradził. - Nic nie tracisz, no nie? A poza tym jestem pewien, że będziesz świetną kierowniczką.

Przyjrzałam mu się, czekając na dalszy ciąg albo jakąś kąśliwą uwagę, ale ku mojemu zdziwieniu, nic takiego nie nastąpiło. Wyjął portfel i uregulował rachunek. Zaprotestowałam gwałtownie, ale stanowczo odmówił przyjęcia ode mnie pieniędzy za to, co zjadłam.

- Wzięłaś tylko kawę i bułkę - oznajmił. - Będziesz mogła mi się zrewanżować, kiedy dostaniesz pierwszą wypłatę jako kierowniczka biura! - Uśmiechnął się.

Podziękowałam. Nikt dotychczas nie postawił mi lunchu. Było bardzo przyjemne, że ktoś zapłacił za mnie z własnej woli, nie oczekując nic w zamian.

Kiedy wróciliśmy do pracy, właśnie mijała godzina przeznaczona na lunch, więc pożegnaliśmy się szybko i wróciliśmy za biurka. Był to pierwszy dzień od dziewięciu lat, kiedy jadłam lunch w czyimś towarzystwie i nie rozwiązałam krzyżówki. Pomyślałam, że może zrobię to wieczorem. A może po prostu wyrzucę gazetę. Jak uświadomił mi Raymond, świat oferował mnóstwo możliwości. Zajrzałam do poczty elektronicznej i napisałam wiadomość:

Drogi R., bardzo Ci dziękuję za lunch. Wszystkiego dobrego, E.

Uznałam, że to ma jakiś sens – skracanie imion do pierwszej litery. W końcu wiadomo, kto do kogo pisze. Raymond szybko odpowiedział:

Nie ma za co, powodzenia z decyzją. Do zobaczenia w sobotę! R.

Miałam wrażenie, że życie ostatnio toczy się bardzo szybko, stwarzając mnóstwo perspektyw. Tego popołudnia ani razu nie pomyślałam o moim muzyku. Zalogowałam się do komputera i zaczęłam szukać odpowiednich miejsc na bożonarodzeniowy lunch. To będzie wydarzenie – postanowiłam sobie. Zupełnie inne niż dotychczasowe gwiazdkowe lunche. Należy skończyć ze sztaampą i z dotychczasowymi zwyczajami. Zamierzałam zorganizować coś nowego, coś, co zaskoczy i zachwyci kolegów. Wiedziałam, że to nie będzie łatwe. Jednego byłam pewna: dziesięć funtów na łebka, które wykladał Bob, musi wystarczyć, nikt nie będzie nic dopłacać. Wciąż niechętnie

myślałam o wszelkich kosztach finansowych, które musiałam ponosić, żeby w ostatni piątek przed dwudziestym piątym grudnia bawić się okropnie w okropnym miejscu z okropnymi ludźmi.

Ale przecież to nie może być takie trudne. Raymond dodał mi otuchy. Jeśli potrafiłam wyrecytować fragmenty *Eneidy*, zrobić makro w Excelu, spędzić samotnie ostatnich dziewięć urodzin, Gwiazdek i sylwestrów, to na pewno byłam w stanie zorganizować udany świąteczny lunch dla trzydziestu osób za dziesięć funtów *per capita*.

20

Sobotnie przedpołudnie upłynęło mi w wirze prac domowych. Zaczęłam wkładać gumowe rękawice, żeby chronić dłonie, i okazało się, że choć szpetne, pomagają. Brzydota nie miała znaczenia - przecież nikt mnie nie widział.

Sprzątając ze stołu, zauważyłam, że poprzedniego wieczoru nie skonsumowałam całego przydziału wódki; pozostała większa część półlitrowej butelki smirnoffa. Pamiętając o swoim faux pas na przyjęciu u Laury, wsadziłam wódkę do reklamówki Tesco, aby wieczorem zabrać ją do Keitha. Zastanowiłam się, co jeszcze powinnam wziąć. Kwiaty wydawały się nie najlepszym pomysłem; to w końcu symbol miłości. Zajrzałam do lodówki i wrzuciłam do torby paczkę żółtego sera w plasterkach. Wszyscy mężczyźni lubią ser.

Przyjechałam na stację metra, najbliższą miejsca imprezy, pięć minut przed czasem. *Mirabile dictu*, Raymond już był! Pomachał do mnie, a ja odmachałam. Ruszyliśmy w stronę klubu golfowego. Raymond szedł szybko i zaczęłam się martwić, że nie zdołam dotrzymać mu kroku w nowych botkach. Zauważyłam jednak, że spojrzał na mnie, a potem zwolnił, abym mogła nadążyć. Zdałam sobie sprawę, że takie drobne gesty - to, że jego matka bez pytania po kolacji zaparzyła mi herbaty, pamiętając, iż nie słodzę, że Laura położyła dwa ciastka na spodku, gdy przyniosła mi kawę do salonu - tyle znaczą. Byłam ciekawa, jak to jest wykonywać je dla innych. Już nie pamiętałam. Robiłam takie rzeczy

w przeszłości, starałam się być miłą, okazywać troskę, wiedziałam, że tak, ale to było dawno. Staralam się i zawiodłam, a później wszystko przepadło. Jednak sama byłam sobie winna.

Na przedmieściach panowała cisza; nie było kamienic ani bloków mieszkalnych, które by zasłaniały widok na odległe wzgórze. Światło stało się miękkie, delikatne – lato dobiegało końca i wieczór wydawał się kruchy, ulotny. Szliśmy w milczeniu, takim, które nie ciąży.

Było mi wręcz żal, kiedy dotarliśmy do przysadzistego białego budynku klubu. Zapadał już zmrok i na niebie, różowym jak kwiaty migdałowca, z pasmami złota, było widać zarówno słońce, jak i księżyc. Ptaki śpiewały dziarsko przed nadejściem nocy, zataczając nad zielenią szerokie pijackie pętle. W powietrzu pachniało trawą z nutą kwiatów oraz ziemi, a słodkie tchnienie dnia owiewało nam włosy i skórę. Miałam ochotę spytać Raymonda, czy nie moglibyśmy iść dalej, przez łagodne wzgórze, dopóki ptaki w gniazdach nie zamilkną i przyświecać nam będą tylko gwiazdy. Wydawało mi się nawet, że sam może to zaproponować.

Drzwi do klubu nagle się otworzyły i wypadło przez nie troje dzieci, śmiejąc się na cały głos; jedno z nich trzymało plastikowy miecz.

- No to jesteśmy - odezwał się cicho Raymond.

Było to dziwne miejsce na przyjęcie. Na korytarzach wisiały tablice ogłoszeniowe z niezrozumiałymi zawiadomieniami dotyczącymi tee-time'ów i pól golfowych. Na drewnianym panelu przy końcu holu widniała długa lista złożonych złotymi

literami nazwisk z datami, poczynając od 1924 roku, a kończąc na obecnym i osobie niejakiego doktora Terry'ego Berry'ego, jakkolwiek nieprawdopodobnie by to brzmiało. Wystrój stanowiło niespójne połączenie stylu typowego dla instytucji (który dobrze znam) i przestarzałego domowego – brzydkie wzorzyste zasłony, trudne do zdarcia podłogi i zakurzone sztuczne kwiaty.

Kiedy weszliśmy do głównej sali, uderzyła nas głośna muzyka; stał tam sprzęt grający, a na parkiecie tłoczyli się tancerze, w wieku od pięciu do osiemdziesięciu lat. Wszystko to było nierównomiernie oświetlone przez wąż kolorowe światła. Tancerze w rytm muzyki naśladowali jazdę konną. Spojrzałam na Raymonda błagalnie.

– O rany! – jęknął. – Muszę się napić.

Z wdzięcznością podążyłam za nim do baru. Ceny były krzepiąco niskie, więc szybko wypłam swój cydr, uspokojona myślą, że wzięłam ze sobą wystarczająco dużo pieniędzy, aby stać mnie było na kilka następnych, choć ten wbrew moim protestom postawił mi Raymond. Znaleźliśmy stolik na tyle daleko od źródła hałasu, na ile tylko się dało.

– Rodzinne imprezy – skwitował Raymond, kręcąc głową. – Wystarczająco okropne, kiedy to własna rodzina. A gdy cudza...

Rozejrzałam się wokół. Nigdy wcześniej nie byłam na takim spotkaniu towarzyskim i przede wszystkim uderzyła mnie rozbieżność w doborze gości, jeśli chodzi o wiek, klasę społeczną, gusty.

– Przyjaciół możesz sobie wybrać... – rzucił Raymond,

wznosząc toast szklanką piwa.

- ...ale rodziny się nie wybiera! - odparłam, zadowolona, że umiem dokończyć znane powiedzenie. To było łatwe hasło krzyżówkowe, nie kalambur, ale zawsze.

- Wygląda tak samo jak pięćdziesiątka mojego ojca, sześćdziesiątka mamy, ślub siostry - zauważył Raymond. - Gówniany didżej, dzieciaki na cukrowym haju, krewni, którzy nie widzieli się od lat i nadrabiają zaległości, udając, że się lubią. Założę się, o co chcesz, że będzie bufet z pasztecikami i pod koniec bójka na parkingu.

Byłam zaintrygowana.

- To musi być zabawne, no nie? - zapytałam. - Spotkanie z dawno niewidzianą rodziną? Wszyscy ci ludzie, uradowani na twój widok, ciekawi, co u ciebie?

Przyjrzał mi się uważnie.

- Wiesz, co, Eleanor? Tak, rzeczywiście. Maruda ze mnie... przepraszam. - Dopił swoje piwo. - Jeszcze raz to samo? - Kiwnęłam głową, a potem się zreflektowałam.

- Nie, teraz moja kolej - odparłam. - Napijesz się tego samego jeszcze raz?

Uśmiechnął się.

- Byłoby super. Dzięki, Eleanor.

Wzięłam torebkę i skierowałam się do baru. Po drodze zauważyłam Sammy'ego - siedział w fotelu, otoczony jak zwykle przyjaciółmi i członkami rodziny. Podeszłam do niego.

- Eleanor, moja droga! - wykrzyknął. - Jak się masz? Wspaniałe przyjęcie, prawda?

Potwierdziłam.

- Nie mogę uwierzyć, że mój syn kończy czterdzieści lat. Wydaje się, że to było wczoraj, kiedy po raz pierwszy poszedł do szkoły. Powinnaś zobaczyć go na zdjęciu z tamtego czasu... nie ma przedniego zęba, łobuziak! A spójrz na niego teraz.

Wskazał na drugą stronę sali, gdzie Keith i jego żona stali objęci i śmiali się z czegoś, co mówił jakiś starszy mężczyzna.

- Tylko tego pragniesz dla swoich dzieci: żeby były szczęśliwe. Żałuję, że nie ma tu z nami mojej Jean i że tego nie widzi...

Zastanowiłam się nad tym. Naprawdę tylko tego ludzie pragną dla swoich dzieci? Żeby były szczęśliwe? Brzmiało prawdopodobnie. Zapytałam Sammy'ego, czy przynieść mu coś do picia, choć na moje niewprawne oko był już lekko zawiany.

- Nie trzeba - odparł. - To wszystko dla mnie!

Wskazał na stół przed sobą, gdzie stały szklaneczki z bursztynowym płynem. Na razie opuściłam go więc i poszłam do baru.

Kolejka była duża, ale napawałam się atmosferą. Co za ulga - didżej zrobił sobie przerwę; widziałam go w kącie, popijał coś z puszki i z ponurą miną rozmawiał przez telefon komórkowy. Słysząc było gwar, męskie i kobiece głosy, śmiechy. Dzieci jakby przybyło, grawitowały jedno do drugiego, tworząc rozbawione i rozdokazywane bandy. Rodzice byli zajęci zabawą, więc mogły biegać, skakać i gonić się bez nadzoru. Uśmiechnęłam się do nich, trochę im zazdroszcząc.

Wszyscy zebrani wydawali się brać tyle rzeczy za

oczywiste: że będą zapraszani na spotkania towarzyskie, że będą mieli przyjaciół i bliskich do rozmowy, że pokochają kogoś i ktoś ich pokocha, może założą własną rodzinę. Jak ja będę obchodzić swoje czterdzieste urodziny? - pomyślałam. Miałam nadzieję, że znajdą się ludzie, z którymi będę mogła uczcić tę okazję, gdy przyjdzie czas. Może muzyk, światło mojego nowego życia? Jedno było jednak pewne: za nic w świecie nie urządzę przyjęcia w klubie golfowym.

Kiedy wróciłam do stolika, nikogo przy nim nie było. Postawiłam na blacie piwo dla Raymonda. Pomyślałam, że znalazł kogoś ciekawszego do rozmowy. Siedziałam, popijając cydr, i patrzyłam na tańczących - didżej wrócił za konsolę i wybrał ze srebrnego pudełka z płytami najbardziej kakofoniczny utwór, o mężczyźnie po północy. Dałam się ponieść wyobraźni. Zauważyłam, że to bardzo efektywny sposób spędzania czasu; wybierasz osobę i zaczynasz sobie wyobrażać różne miłe sceny z jej udziałem w jakichś sytuacjach. We śnie na jawie wszystko może się zdarzyć, dosłownie wszystko.

Poczułam czyjąś rękę na ramieniu i podskoczyłam.

- Przepraszam - powiedział Raymond. - Poszedłem do toalety i w drodze powrotnej zagadałem się z kimś.

Poczułam gorąco w miejscu, gdzie spoczywała jego dłoń; trwało to tylko chwilę, ale zostawiła ciepły ślad, niemal widzialny. Ludzka ręka ma idealną wielkość i idealną temperaturę, żeby dotykać innej osoby - uzmysłowiłam sobie. Przez lata ścisnęłam wiele rąk - ostatnio częściej - ale nigdy w życiu nie byłam dotykana.

Oczywiście, Declan i ja współżyliśmy regularnie, gdy tylko miał na to ochotę, ale tak naprawdę mnie nie dotykał. Chciał, żebym ja go dotykała, powiedział mi, jak, gdzie i kiedy, i to robiłam. Nie miałam w tej kwestii wyboru, ale pamiętam, że czułam się wtedy kimś innym, jakby to nie była moja ręka, nie moje ciało. Chodziło mi tylko o to, żeby było już po wszystkim. Miałam trzydzieści lat i nigdy nie trzymałam się z nikim za rękę. Nikt nigdy nie rozcierał mi ramion, nie gładził mnie po twarzy. Kiedy byłam smutna albo zmęczona, wyobrażałam sobie, że spoczywam w ramionach mężczyzny; wyobrażałam sobie ich ciepło i uścisk.

- Eleanor? - Raymond przywołał mnie do rzeczywistości.

- Przepraszam, zamyśliłam się - odparłam, sącząc cydr.

- Wygląda na to, że wszyscy się dobrze bawią - zauważył, wskazując salę. Pokiwałam głową. - Rozmawiałem z drugim synem Sammy'ego, Garym, i jego dziewczyną - ciągnął. - Są zabawni.

Rozejrzałam się ponownie. Jak by to było, chodzić w przyszłości na takie przyjęcia pod ramię z muzykiem? Dbałby o to, żeby mi było wygodnie, tańczyłby ze mną, gdybym chciała (mało prawdopodobne), przedstawiałby mnie innym. A potem, pod koniec wieczoru, wymykalibyśmy się razem do domu, żeby osiąść w gnieździe jak turkaweczki.

- Chyba jesteśmy tu jedynymi osobami, które nie są parą - powiedziałam, przyjrzawszy się innym gościom.

Skrzywił się.

- O tak... posłuchaj, dzięki, że ze mną przyszedłeś. Ktoś, kto idzie na taką imprezę sam, ma przerąbane, no nie?

- Tak? - odparłam z ciekawością. - Nie mam doświadczenia. Spojrzył na mnie uważnie.

- Zawsze byłaś sama, co? - zapytał. - W zeszłym tygodniu wspomniałaś o tym facecie... - Zauważyłam, że szuka odpowiednich słów. - Tym, z którym chodziłaś na uniwerku?

- Tak, byłam z Declanem przez parę lat - wyjaśniłam. - Wiesz, jak to się skończyło. - Cydr, więcej cydru. - Człowiek przyzwyczaja się do bycia samemu - ciągnęłam. - To znacznie lepsze niż bicie czy gwałty.

Raymond zakrztusił się piwem i przez chwilę dochodził do siebie. Wreszcie odezwał się z wielką delikatnością:

- Zdajesz sobie sprawę, Eleanor, że na tym świat się nie kończy, prawda? Nie wszyscy faceci są tacy jak Declan.

- Wiem! - zawołałam wesoło. - Poznałam jednego z nich.

Oczami wyobraźni ujrzałam swojego muzyka, jak przynosi mi frezje, całuje mnie w szyję. Raymond z jakiegoś powodu wydał się zmieszany.

- Skoczę do baru - oznajmił. - Pijesz dalej cydr?

Poczułam się dziwnie poruszona.

- Poproszę wódkę z colą - powiedziałam, wiedząc z doświadczenia, że wódka zaradzi na moje bolączki. Patrzyłam za Raymondem, jak odchodził. Gdyby tylko się wyprostował, no i ogolił! Mógłby kupić sobie kilka przyzwoitych koszul i odpowiednie buty, przeczytać książkę albo dwie, zamiast grać na komputerze. Bo jak inaczej mógł liczyć, że znajdzie sobie miłą dziewczynę?

Do stolika podszedł Keith i podziękował mi za to, że przyszłam. Dałam mu prezent urodzinowy, który autentycznie

go zaskoczył. Obejrzał każdą rzecz z dziwną miną; trudno było mi ją rozszyfrować, ale szybko wyeliminowałam „znużenie” i „obojętność”. Ogarnęła mnie fala szczęścia; to było miłe uczucie ofiarować komuś prezent, wyjątkowy, przemyślany prezent, którego nie dostałby od nikogo innego. Keith odstawił reklamówkę na najbliższy stolik.

- Chciałabyś... chciałabyś zatańczyć, Eleanor?

Serce zabiło mi mocniej. Tańczyć! Czy to możliwe?

- Nie wiem, czy umiem - odpowiedziałam.

Keith się zaśmiał i pociągnął mnie za rękę.

- Chodź - rzucił. - Poradzisz sobie.

Gdy tylko znaleźliśmy się na parkiecie, muzyka się zmieniła. Keith jęknął.

- Przepraszam - odezwał się - ale to nie dla mnie. Przeczekam ten kawałek. Przywilej jubilata! Niektórzy zeszli z parkietu, a inni skupili się razem i zajęli miejsca. Muzyka, głównie oparta na instrumentach dętych, miała szybki rytm. Przywołała mnie Michelle, dziewczyna Gary'ego, a następnie wciągnęła w krąg kobiet, mniej więcej w tym samym wieku, które uśmiechały się do mnie i sprawiały wrażenie bardzo zadowolonych. Przyłączyłam się do czegoś, co wyglądało jak podrygiwanie w miejscu. Jedni poruszali rękami, jakby biegli, inni wskazywali na coś, czego nie było; wyglądało na to, że należy się poruszać tak, jak się komu podoba, byle z rytmem muzyki, ośmioma akcentami, szczęśliwie wybijanymi na bębnie. Potem rytm się zmienił i wszyscy zaczęli wykonywać takie same ruchy, wyrzucając ramiona w górę i kreśląc w powietrzu figury. Nauczyłam się tego po chwili i byłam

w stanie ich naśladować. Podrygiwanie w miejscu, wspólne wyrzucanie rąk w górę i gesty; podrygiwanie w miejscu, wspólne wyrzucanie rąk w górę i gesty. Taniec był łatwy!

Zauważyłam, że nie myślę o niczym, trochę jak pod wpływem wódki, a jednak inaczej, bo byłam wśród ludzi i śpiewałam. YMCA! YMCA! Ręce nad głowę i kreślenie liter w powietrzu – świetny pomysł! Skąd mogłam wiedzieć, że taniec jest taki logiczny?

W trakcie podrygiwań zaczęłam się zastanawiać, dlaczego zespół śpiewa, jak z tego wynikało, akurat o Związku Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej; jednak na podstawie swojego bardzo ograniczonego kontaktu z muzyką rozrywkową wiedziałam przecież, że ludzie śpiewają o parasolkach, wszczynaniu pożarów i powieściach Emily Brontë; czemu więc nie mieliby śpiewać o organizacji religijnej, zrzeszającej przedstawicieli jednej płci?

Piosenka się skończyła i zaczęła następna; ta nowa nie była już taka zabawna, wymagała jedynie podrygiwania w miejscu bez wspólnego wyrzucania rąk w górę ani żadnych gestów. Mimo to pozostałam na parkiecie, z tą samą grupą kobiet, mając poczucie, że jestem w centrum wydarzeń. Zaczynałam rozumieć, dlaczego ludzie uważają taniec za coś przyjemnego, chociaż nie byłam pewna, czy chciałabym tak spędzić cały wieczór. Niebawem ktoś klepnął mnie w ramię, więc się odwróciłam, przypuszczając, że zobaczę Raymonda, i już uśmiechając się na myśl, że opowiem mu o tańcu z wyrzucaniem ramion. Ale to nie był on.

Za mną stał mężczyzna pod czterdziestkę, którego nie

miałam okazji poznać. Uśmiechnął się i uniósł brwi, jakby pytająco, a potem po prostu zaczął przede mną podrygiwać. Odwróciłam się z powrotem do grupy rozbawionych kobiet, ale one już zamknęły kółko - beze mnie. Mężczyzna, niski, o czerwonej twarzy i tak ziemistej cerze, jakby nigdy w życiu nie jadł jabłka, dalej podrygiwał z zapałem, choć cokolwiek nierytmicznie. Nie bardzo wiedząc, jak zareagować, wróciłam do tańca. On pochylił się i powiedział coś, co naturalnie zagłuszyła głośna muzyka.

- Słucham?! - wykrzyknęłam.

- Zapytałem - wrzasnął, znacznie głośniejszym głosem niż poprzednio - skąd znasz Keitha!

Co za dziwaczne pytanie do osoby nieznajomej.

- Pomogłam jego ojcu, kiedy miał wypadek! - odparłam. Musiałam powtórzyć, zanim zrozumiał; może miał jakieś kłopoty ze słuchem. Kiedy wreszcie dotarło do niego, co powiedziałam, był wyraźnie zaintrygowany. Rzucił się ku mnie, jakby z pożądaniem.

- Jesteś pielęgniarką?! - zapytał.

- Nie! - wyjaśniłam. - Pracuję w księgowości!

Wyglądał na trochę zdezorientowanego i jakby zabrakło mu słów, więc gdy tak podrygiwaliśmy, spojrzałam w sufit, żeby zniechęcić go do dalszej konwersacji; to było nie lada wyzwanie tańczyć i mówić jednocześnie.

Kiedy piosenka się skończyła, miałam dość tańca jak na razie i czułam silne pragnienie.

- Przynieść ci coś do picia?! - wrzasnął mężczyzna, przekrzykując kolejny utwór. Zastanawiałam się, dlaczego

didżej nie pomyślał o wprowadzeniu pięciominutowych przerw między kolejnymi nagraniami, żeby goście mogli pójść do baru albo toalety. Pomyślałam, że może powinnam później podsunąć mu ten pomysł.

- Nie, dziękuję! - odpowiedziałam. - Nie chcę przyjąć od pana drinka, bo musiałabym zrewanżować się tym samym, a obawiam się, że nie mam ochoty spędzić z panem czasu, którego by to wymagało!

- E? - Przytknął rękę do ucha. Najwyraźniej cierpiał na szum uszny albo jakieś inne upośledzenie słuchu. Odwołałam się więc do gestykulacji: pokręciłam odmownie głową, pomachałam palcem i wypowiedziałam ruchem warg: NIE. Odwróciłam się i zanim podjąłby dalszą rozmowę, ruszyłam na poszukiwanie toalety.

Trudno ją było znaleźć, bo mieściła się w głębi korytarza, a widziałam tylko znaki z napisem: „Panie”. To, jak się w końcu okazało, oznaczało toaletę. Dlaczego ludzie nie nazywają rzeczy po imieniu? To mylące. Była kolejka, więc ustawiłam się za bardzo pijaną kobietą, w dodatku ubraną niestosownie do wieku. Mam wrażenie, że top bez ramiączek przystoi osobom poniżej dwudziestego piątego roku życia, jeśli w ogóle komukolwiek.

Cienki błyszczący żakiet nie zakrywał wielkiego pomarszczonego brzucha kobiety. Jej makijaż, subtelny, gdyby miała wystąpić na scenie Royal Albert Hall, zaczął już spływać. Z jakiegoś powodu potrafiłam wyobrazić ją sobie szlochającą nad ranem na schodach. Zaskoczyłam samą siebie tym spostrzeżeniem, ale w jej postawie było coś niezdrowego,

co podsuwało taką myśl.

- Ile życia się traci w kolejce do kibla? - zapytała konwersacyjnym tonem. - Zawsze jest ich za mało, no nie?

Nie odpowiedziałam, ponieważ próbowałam obliczyć ten czas, ale to jej wyraźnie nie przeszkadzało.

- Mężczyźni mają lepiej, prawda? - ciągnęła gniewnie. - Do męskiego kibla nigdy nie ma kolejki. Czasami mnie kusi, żeby do niego wejść i kucnąć nad pisuarem. Cha! - zawołała. - Już wyobrażam sobie ich miny! - Zaśmiała się; był to przeciągły śmiech palacza, który przeszedł w kaszel.

- Ale w męskich toaletach musi być bardzo niehigienicznie - zauważyłam. - Mężczyźni nie dbają o czystość i tak dalej.

- Nie - potwierdziła z goryczą w głosie - po prostu wchodzi, sikają gdziekolwiek, a potem się ulatniają, żeby ktoś inny po nich posprzątał. - Chwiejąc się na nogach, popatrzyła w dal; najwyraźniej miała na myśli konkretnego osobnika.

- Właściwie jest mi ich żal - dodałam. Popatrzyła na mnie, więc pospiesznie wyjaśniłam: - Proszę sobie wyobrazić, że musiałyby pani oddawać mocz w szeregu innych mężczyzn, obcych, znajomych, nawet przyjaciół. To musi być okropne. Jakie by to było dziwne, gdybyśmy my, dotarłszy na początek kolejki, miały odsłaniać przed sobą nawzajem swoje genitalia!

Beknęła cicho i zaczęła otwarcie gapić się na moje blizny. Odwróciłam głowę.

- Jesteś trochę szurnięta, co? - zapytała, zupełnie bez agresji, ale lekko bełkocząc. Nie pierwszy raz słyszałam to pytanie.

- Tak - odparłam - chyba tak.

Pokiwała głową, jakbym potwierdziła obawy, które miała od dawna. Później już nie odzywałyśmy się do siebie.

Po powrocie na salę zauważyłam, że nastrój się zmienił. Poszłam do baru, gdzie kupiłam sobie cydr i wódkę z colą, a także, po chwili zastanowienia, piwo dla Raymonda. Niełatwo było to wszystko zanieść do naszego stolika, ale udało mi się bez ulania ani kropli. Po tych całych podrygiwaniach i staniu w kolejce chętnie usiadłam i na dwa łyki wypięłam wódkę – taniec wywołuje pragnienie. Na krześle wciąż wisiała dzinsowa marynarka Raymonda, ale po nim nie było śladu. Pomyślałam, że wyszedł zapalić. Miałam mu tyle do opowiedzenia, o tańcu, kobiecie z kolejki, i już nie mogłam się doczekać, kiedy to zrobię.

Muzyka znowu się zmieniła i stała jeszcze wolniejsza. Wiele osób zeszło z parkietu, a ci, którzy zostali, połączyli się w pary. Był to dziwny widok, jakby obserwowało się jakieś zwierzęta, może małpy albo ptaki. Kobiety zarzucały mężczyznom ręce na szyje, a oni obejmowali je w pasie. Razem kiwali się z boku na bok, szurając nogami; patrzyli sobie w oczy albo opierali głowy na ramionach partnera.

Stanowiło to najwyraźniej jakiś rytuał godowy. Ale czy nie byłoby przyjemnie – tak kiwać się w rytm wolnej muzyki, przytulonym do kogoś wspaniałego? Spojrzałam na nich wszystkich ponownie, różnego wzrostu i różnych sylwetek, w rozmaitych permutacjach. I zobaczyłam pośrodku Raymonda, tańczącego z Laurą. Mówił jej coś do ucha, z tak bliska, że musiał czuć zapach jej perfum. Ona się śmiała.

Piwo, które przyniosłam, i tak by się zmarnowało. Wypięłam

je, całe pół litra, gorzkie i cierpkie. Wstałam i włożyłam bezrękawnik. Postanowiłam, że pójdę jeszcze w miejsce dla pań, a potem wrócę metrem do miasta. Przyjęcie najwyraźniej dobiegało końca.

21

Poniedziałek, poniedziałek. Coś było nie tak; poprzedniego dnia nie odpoczęłam, nie mogłam się na niczym skoncentrować. Czułam się wytrącona z równowagi. Gdyby mój nastrój był hasłem w krzyżówce, odpowiedź brzmiałaby „podminowana”. Staralam się dociec przyczyny, ale nie umiałam. W końcu po południu pojechałam do centrum (za darmo - dzięki biletowi okresowemu) i poszłam do Bobbi Brown. Pani Brown znowu była nieobecna na stanowisku - obawiałam się o jej etykę pracy - więc umalowała mnie inna osoba, prawie tak samo jak poprzednio. Przy okazji kupiłam liczne produkty i akcesoria umożliwiające odtworzenie tego efektu w domu.

Całkowity koszt zakupów wyniósł horrendalną sumę, ale byłam w takim dziwnym humorze, że to mnie nie powstrzymało. Chodziłam w makijażu do końca dnia, a tego ranka odtworzyłam go starannie, z całkiem udanym skutkiem. Tamta pani pokazała mi, jak użyć korektora, żeby zamaskować blizny. „Przydymione oczy” wyszły mi trochę nierówno, ale jak twierdziła, taka już uroda tej techniki - nie musi być precyzyjna.

Zapomniałam, że jestem umalowana, dopóki nie weszłam do biura - Billy gwizdnął, a właściwie zawył jak wilk, więc reszta się odwróciła, żeby popatrzeć.

- Nowa fryzura, szminka na ustach - zauważył, trącąc mnie łokciem. Cofnęłam się. - Ktoś coś planuje, czy się mylę?

Otoczyły mnie koleżanki. Miałam na sobie także nowe ubranie. „Ładnie wyglądasz, Eleanor!”, „Dobrze ci w czarnym!”, „Świetne buty, gdzie je kupiłaś?”. Przyjrzałam się im, wypatrując krzywych uśmiezków, czekając na cios. Ale nic takiego nie nastąpiło.

- A przy okazji, gdzie się ostrzygłaś? - zapytała Janey. - Bardzo twarzowa fryzura.

- W Heliotrope, w centrum - odpowiedziałam. - U Laury. To moja przyjaciółka - wyjaśniłam dumnie. Janey była pod wrażeniem.

- Może i ja się do niej wybiorę - podjęła. - Moja fryzjerka przenosi się na północ, więc szukam nowej. Czy twoja przyjaciółka czesze na śluby?

Pogrzebałam w torebce.

- To jej wizytówka - oznajmiłam. - Może do niej zadzwonisz?

Janey uśmiechnęła się do mnie promiennie. Czy to możliwe? Odwzajemniłam się tym samym - jeśli nie wiesz, jak się zachować, uśmiech, pamiętaj - i usiadłam za biurkiem.

Więc na tym to polegało - udana integracja społeczna? Było takie proste? Muśnij usta szminką, idź do fryzjera i zmieniaj ciuchy, które nosisz? Ktoś powinien napisać na ten temat książkę, a przynajmniej broszurę, i puścić w obieg. Tego dnia cieszyłam się większym zainteresowaniem (w pozytywnym sensie, bez złośliwości) niż w ciągu kilku ostatnich lat. Uśmiechnęłam się do siebie zadowolona, że przeniknęłam tajemnicę, przynajmniej częściowo. Tymczasem przyszła wiadomość elektroniczna:

Ulotniłaś się w sobotę bez pożegnania – wszystko OK? R.

Odpisałam:

Tak, dziękuję Ci. Po prostu miałam dość tańca i innych ludzi. E.

Odpowiedział natychmiast:

Lunch? Tam gdzie zwykle o 12.30? R.

Ku swojemu zaskoczeniu, uświadomiłam sobie, że chętnie zjem lunch z Raymondem i że jego propozycja sprawiła mi przyjemność. „Tam gdzie zwykle!”. Mieliśmy swoje stałe miejsce! Zebrałam się na odwagę i zaciskając zęby, wystukałam jednym palcem:

Dozo na miejscu. E.

Opadłam na oparcie fotela, czując lekki zawrót głowy. Taka uproszczona komunikacja była szybsza, nie ulegało wątpliwości, ale nie aż tak bardzo. Zaoszczędziła mi konieczności napisania całych siedmiu liter. Jednak przyświecało mi nowe credo: Próbuje nowych rzeczy. Spróbowałam i nie powiem, żeby mi się szczególnie podobało. „LOL” mogę sobie darować. Nie byłam stworzona do analfabetyzmu; po prostu nie przychodził mi naturalnie. Chociaż dobrze jest próbować nowych rzeczy i mieć otwarty umysł, należy być sobą, to równie ważne. Przeczytałam o tym w czasopiśmie u fryzjera.

Raymond był już na miejscu, kiedy przyszedłam; gawędził

z innym brodatym młodym mężczyzną, niemal identycznym z tym, który obsługiwał nas ostatnim razem. Zamówiłam, jak poprzednio, kawę z mlekiem i bułeczkę z serem, na co Raymond się uśmiechnął.

- Lubisz chodzić utartymi szlakami, co, Eleanor?

Wzruszyłam ramionami.

- A przy okazji, ładnie wyglądasz - zauważył. - Podobają mi się twoja... - Wskazał ogólnie moją twarz.

Skinęłam głową.

- Z jakiegoś powodu ludzie wolą, gdy jestem umalowana - odparłam.

Uniósł brwi i nic nie odpowiedział, najwyraźniej także tego nie rozumiejąc.

Brodacz przyniósł nam jedzenie i Raymond zaczął je pochłaniać.

- Więc dobrze się bawiłaś w sobotę? - zapytał.

Wolałabym, żeby to zrobił między kęsami, a nie ku mojemu przerażeniu - w trakcie.

- Tak, dziękuję - odpowiedziałam. - Pierwszy raz miałam okazję potańczyć i całkiem mi się to podobało. - Dosłownie zmiatał widelcem jedzenie z talerza. Ta czynność i towarzyszące jej odgłosy wydawały się wręcz industrialne w swojej mechanice. - A ty dobrze się bawiłeś? - zagadnęłam.

- Uhm - odrzekł. - Było fajnie, no nie? - Nie używał noża, trzymał widelec w prawej ręce jak dziecko albo Amerykanin. Uśmiechnął się.

Chciałam spytać, czy on i Laura tańczyli jeszcze tego wieczoru i czy odprowadził ją do domu, ale darowałam sobie.

To nie była w końcu moja sprawa, a wścibskie pytania świadczą o złych manierach.

- Więc... podjęłaś już decyzję w związku z awansem? Przyjmiesz go?

Oczywiście, w ostatnich dniach, w wolnych chwilach, zastanawiałam się nad tym. Szukałam znaków, wskazówek - żadne jednak się nie pojawiły, oprócz tego, że w piątek dwanaście poziomo brzmiało: „krok do góry”. Uznałam to za zachętę.

- Tak - potwierdziłam.

Uśmiechnął się, odłożył widelec i podniósł rękę. Zrozumiałam, że mam przytknąć do niej swoją w geście, który, jak już wiedziałam, oznaczał „przybij piątkę”.

- Świetnie - skomentował i wrócił do jedzenia. - Gratulacje.

Poczułam przebłysk szczęścia, jak zapalenie zapalki. Nie pamiętałam, żeby kiedykolwiek ktoś mi czegoś gratulował. A to było naprawdę bardzo przyjemne.

- A jak się ma twoja matka, Raymondzie? - zapytałam, nacieszywszy się chwilą i ostatnim kęsem bułki. Odpowiedział, wspominając przy okazji, że o mnie pytała. Poczułam się trochę zaniepokojona, widząc w tym przejaw matczynej dociekliwości, ale uspokoił mnie.

- Ona naprawdę cię polubiła. Prosiła, abym ci powiedział, że możesz wpaść, kiedy zechcesz - wyjaśnił. - Doskwiera jej samotność.

Kiwnęłam głową. Znałam to. Raymond przeprosił mnie na chwilę i poczłapał do łazienki, a ja, czekając na jego powrót, rozejrzałam się po lokalu. Sąsiedni stolik zajmowały dwie

kobiety, każda z ubranym na kolorowo dzieckiem. Dzieci siedziały w fotelikach samochodowych, jedno spało, a drugie wpatrywało się z rozmarzeniem w snop światła słonecznego na ścianie. Z tyłu zasyczał ekspres do kawy i na buzi dziecka pojawił się strach. Jakby w zwolnionym tempie maluch ułożył różowe usteczka do pocałunku, a potem otworzył je i zaczął zawodzić, i to całkiem głośno. Matka spojrzała na niego i upewniwszy się, że mimo płaczu nic mu nie jest, wróciła do rozmowy. Zawodzenie stało się jeszcze głośniejsze. Przypuszczam, że na skutek przemian ewolucyjnych płacz dziecka musiał osiągnąć takie natężenie dźwięku, aby dorosły osobnik nie mógł go zignorować.

Brzdąc próbował się podnieść, zacisnął rączki w pięści, a jego buzia czerwieniała coraz bardziej. Zamknęłam oczy, daremnie starając się nie zwracać uwagi na hałas. Proszę, przestań płakać, proszę, przestań. Nie wiem, dlaczego tak lamentujesz. Co mam zrobić, żebyś przestał? Coś ci dolega? Jesteś chory? Głodny? Nie wiem, co począć. Proszę, tylko nie płacz. Nie ma nic do jedzenia. Mama niedługo wróci. Gdzie ona jest? Kiedy podniosłam kubek z kawą, ręka mi się trzęsła, więc patrząc w blat, odetchnęłam najwolniej, jak się dało.

Płacz ustał. Uniosłam głowę i zobaczyłam, że dziecko spoczywa bezpiecznie w ramionach matki, która całuje je po buzi. Wypuściłam powietrze z płuc. Serce mi się ścisnęło.

Wrócił Raymond. Uregulowałam rachunek, ponieważ ostatnio on płacił; zaczęłam chwytac zasadę tych wzajemnych zobowiązań. Uparł się jednak, że zostawi napiwek. Pięć funtów! Jedyne, co ten kelner zrobił, to przyniósł nam jedzenie

do stolika, za co płacił mu już właściciel lokalu. Raymond był rozrzutny i niefrasobliwy – nic dziwnego, że nie mógł sobie pozwolić na porządne buty ani żelazko.

Powoli ruszyliśmy z powrotem do pracy i zaczął opowiadać mi szczegółowo o jakimś problemie informatycznym, którym miał się zająć po południu; nic z tego jednak nie rozumiałam (i szczególnie się nie starałam). Na korytarzu odwrócił się w stronę schodów prowadzących na piętro, gdzie znajdował się jego pokój.

– To do zobaczenia, tak? – rzucił. – Uważaj na siebie.

Brzmiało to tak, jakby mówił poważnie: że wkrótce znowu się zobaczymy i że mam na siebie uważać. Zrobiło mi się ciepło w środku; było to błogie uczucie, takie jakie powoduje gorąca herbata w chłodny ranek.

– Ty też uważaj na siebie, Raymondzie – odpowiedziałam również poważnie.

Tego wieczoru zamierzałam się zrelaksować z kubkiem zupy z torebki, słuchając bardzo ciekawej audycji radiowej o sytuacji politycznej w Ameryce Południowej; wcześniej jednak jak zwykle sprawdziłam, co u Johnniego Lomonda. Zamieścił zdawkowego tweeta o bohaterze jakiegoś programu telewizyjnego i wstawił na Facebooku zdjęcie pary butów, które chciał kupić. Spokojny dzień, uznałam. To, że mama odezwała się w poniedziałek, stanowiło przykrą niespodziankę.

– Eleanor, kochanie. Zwykle rozmawiamy w inny dzień tygodnia, wiem, ale myślałam o tobie. Chciałam tylko zapytać, co u ciebie. Rozumiesz, o co chodzi.

Milczałam, zaskoczona nieprzewidzianym zakłóceniem tak miło zapowiadającego się wieczoru.

- No? - przynagliła mnie. - Czekam, kochanie...

Odchrząknęłam.

- Ja... eee... u mnie wszystko dobrze, mam. Myślałaś... o mnie? - To było noś nowego.

- Uhm. Mam dwie sprawy. Po pierwsze, czy chcesz, żebym ci pomogła w twoim przedsięwzięciu? Mam tu, gdzie jestem, niewielkie możliwości, ale... czy ja wiem... mogłabym pociągnąć za sznurki. Załatwić sobie krótkie zwolnienie i na coś ci się przydać. Wiem, że to wydaje się nierealne, ale nigdy nie wiadomo... Da się przenosić góry i tak dalej.

- Nie, mam, o nie, nie, nie - wykrztusiłam. Usłyszałam, że bierze głęboki wdech, więc zaczęłam mówić składniej. - Chodzi o to, że... - Po drugiej stronie rozległ się syk, świadczący, że wypuszcza powietrze z płuc. - To bardzo miło z twojej strony, ale muszę odmówić.

- Dlaczego, jeśli wolno spytać? - zapytała z lekką urazą.

- No, bo... naprawdę wydaje się, że mam wszystko pod kontrolą - odparłam. - Będzie dla ciebie lepiej... jeśli pozostaniesz z boku. Na tym etapie nie możesz mi pomóc.

- Kochanie... skoro tak uważasz. Ale jestem bardzo skuteczna, wiesz? A ty, szczerze mówiąc, bywasz czasami straszną kretynką.

Westchnęłam najciszej, jak potrafiłam.

- A co więcej - ciągnęła - zaczynam się niecierpliwić. Sprawa z tym mężczyzną powinna posuwać się naprzód. Musisz działać, kochanie. - Zaczęła się nieco uspokajać.

- Tak, mamó. Oczywiście, masz absolutną rację. - To prawda, że od czasu, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam mojego muzyka, zainteresowanie nim i, co za tym idzie, postępy w sprawie zeszły na drugi plan wobec wydarzeń ostatnich kilku tygodni. Tyle się działo - Raymond, nowe stanowisko, Sammy i jego rodzina... Ale miała rację. - Postaram się przyspieszyć bieg spraw - obiecałam. To ją udobruchało, przynajmniej miałam taką nadzieję, bo zaczęła się żegnać. - Och, poczekaj, mamó... chwileczkę. Wspomniałaś o dwóch sprawach... O czym jeszcze chciałaś ze mną porozmawiać?

- A tak - powiedziała i usłyszałam, że lekceważąco wydmuchuje kącikiem ust dym z papierosa. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że jesteś bezużytecznym zlepkiem ludzkiej tkanki. To wszystko. Pa, kochanie! - zakończyła wesoło jak skowronek.

Cisza.

@johnnieLrocks

Najnowsza wiadomość! Odchodzę z Pilgrim Pioneers. Bez urazy. Szacun dla tych gości.

#niezależnyartysta #narodzinygwiazdy (1/2)

@johnnieLrocks

Zmierzam jako solista w zupełnie innym, bardziej wyrazistym kierunku muzycznym. Wkrótce więcej. Nara!

#ikonoklasta (2/2)

22

Mama odezwała się znowu w środę, jak zwykle; przerwa między naszymi rozmowami była zbyt krótka.

- Hej! - rzuciła. - To znowu ja! Masz jakieś wieści dla mamusi?

Z braku innych, bardziej smakowitych nowin powiedziałam jej o przyjęciu urodzinowym Keitha.

- Zrobiłaś się ostatnio zwierzęciem towarzyskim, co, Eleanor? - zauważyła nieprzyjemnie słodkim głosem.

Nie zareagowałam; tak zwykle jest najbezpieczniej.

- Jak się ubrałaś? Założę się, że wyglądałaś żałośnie. Na miłość boską, tylko mi nie mów, że próbowałaś tańczyć, ty, moja córka! - Po moim milczeniu domyśliła się odpowiedzi. - O rany - jęknęła. - Taniec jest dla pięknych ludzi, Eleanor. Gdy wyobrażę sobie ciebie, ruszającą się jak hipopotam... - Zaczęła się śmiać długo i głośno. - Och, dziękuję, naprawdę ci dziękuję, kochanie. Dzięki tobie świetnie się ubawiłam tego wieczoru. - Zaśmiała się znowu. - Tańcząca Eleanor!

- A co u ciebie, mamó? - zapytałam spokojnie.

- Dobrze, kochanie, całkiem dobrze. Dziś wieczór z chili, to zawsze przysmak. Później będziemy oglądać film. Te środowe atrakcje. - Mówiła pogodnym, dziarskim głosem - z nutą szaleństwa, którą dobrze znałam.

- Dostałam awans, mamó - wyznałam, nie mogąc powściągnąć dumy.

Prychnęła.

- Awans! Co za niesamowite osiągnięcie, kochanie. Co to oznacza? Dodatkowe pięć funtów miesięcznie? - Nie odpowiedziałam. - Ale to dla ciebie dobrze, kochanie - ciągnęła z protekcjonalną słodyczą. - Naprawdę. Nieźle się spisałaś. - Wbiłam wzrok w podłogę, czując, że do oczu napływają mi łzy.

Odezwała się do kogoś innego; było to niemal warczenie:

- Nie, do jasnej cholery, nie ma mowy! Powiedziałam *Seks w wielkim mieście 2!* Tak i już! Myślałam, że zagłosowaliśmy. Co?! Znowu? Niech to szlag... - Ponownie zwróciła się do mnie: - Moi współrezydenci postanowili kolejny raz obejrzeć *Skazanych na Shawshank*, masz pojęcie? To już dwudziesta środa z rzędu... Posłuchaj... Niech cię nie odwiodą od twojego przedsięwzięcia te wszystkie bzdury z awansem i przyjęciem urodzinowym. Masz zadanie do wykonania i musisz się na nim skupić. Odważnym szczęście sprzyja, sama wiesz. Pomyśl, że mogłabyś dać mi porządnego przystojnego zięcia, Eleanor. Wreszcie jakaś normalność, nie sądzisz? W końcu byłaby z nas normalna rodzina.

Roześmiała się, a ja z nią - ta wizja była zbyt dziwaczna, żeby się nad nią zastanawiać.

- Los pokarał mnie córkami - zauważyła ponuro - a zawsze chciałam mieć syna. Ostatecznie mógłby być zięć... odpowiedni zięć. No wiesz, dobrze wychowany, taktowny, uważny. On ma wszystkie te cechy, prawda? Ten obiekt twoich zabiegów? Jest dobrze ubrany? Elokwentny? Zawsze starałam ci się wpoić, jak ważny jest wygląd i umiejętność wysławiania się.

- Wydaje się bardzo sympatyczny, mamó - odparłam. - Odpowiedni. Jest przystojny i zdolny, odnosi sukcesy. Wspaniały! - Dałam się ponieść. Oczywiście, prawie nic o Johnnie Lomondzie nie wiedziałam, więc upiększyłam te nieliczne informacje, które udało mi się znaleźć. Było to całkiem zabawne.

W jej głosie zabrzmiało lekceważenie, a nawet pogrożka. Groźba.

- O rany, jestem już znudzona. Znudzona tą rozmową i czekaniem, żebyś zrealizowała swoje przedsięwzięcie. Śnij dalej, Eleanor. Na litość boską, daj sobie spokój z wszelkim działaniem. O nie, Boże broń. Nic więcej nie rób. Siedź w swoim pustym mieszkanku z założonymi rękami i oglądaj samotnie telewizję, jak co wieczór.

Usłyszałam, że krzyczy:

- Już idę! Tylko nie zaczynajcie beze mnie! - Pstryknięcie zapalniczki, głęboki oddech. - Muszę lecieć, Eleanor. Trzymaj się!

Cisza w eterze.

Usiadłam i zaczęłam samotnie oglądać telewizję, jak co wieczór.

Przypuszczam, że jednym z powodów, dla których wszyscy jesteśmy w stanie egzystować w wyznaczonym nam czasie na tym padole łez, jest nadzieja na zmianę, choćby odległą. Nigdy nie sądziłam, nawet w najśmielszych marzeniach, że znajdę pracę, która byłaby czymś więcej niż tylko ośmiogodzinnym znojem. Wciąż więc dziwiłam się niepomierne, patrząc w tygodniu na zegarek i stwierdzając, że czas płynie mi tak

szybko. Stanowisko kierowniczkę biura obejmowało wiele nowych zadań, których musiałam się nauczyć. Żadne z nich nie przekraczało ludzkich zdolności, ale niektóre były dość złożone i byłam zaskoczona, jak chętnie mój umysł podchodzi do wyzwań, przed którymi stawał. Koledzy nie byli zachwyceni, dowiedziawszy się, że będą mi podlegać, ale przynajmniej jak do tej pory nie było z ich strony żadnych oznak buntu czy niesubordynacji. Jak zwykle trzymałam się z boku i pozwalałam im wykonywać swoją pracę (albo to, co uchodziło za pracę, bo nigdy nie robili wiele i tylko rozgrzebywali te nieliczne sprawy, które rozpoczynali). Jak na razie panowało *status quo* i żadne z nich nie było bardziej nieefektywne niż wcześniej, zanim objęłam stanowisko kierowniczkę.

Nowa funkcja oznaczała częstszy kontakt z Bobem i odkryłam, że jest on całkiem ciekawym interlokutorem. Dzielił się ze mną arkanami prowadzenia firmy na co dzień i był cudownie niedyskretny, jeśli chodzi o klientów. Ci, jak wkrótce się przekonałam, potrafili być bardzo wymagający; wciąż jednak miałam z nimi niewiele do czynienia, co bardzo mi odpowiadało.

Z tego, co się zorientowałam, generalnie nie umieli określić swoich wymagań, więc zdesperowani graficy, tworząc projekt, opierali się na nielicznych wskazówkach, które zdołali od nich uzyskać. Po wielu godzinach pracy z udziałem całego zespołu był on przedstawiany klientowi do zatwierdzenia. I wówczas ten mówił: „Nie. Zupełnie nie o to mi chodziło”.

Powtarzało się to kilka razy, zanim klient wreszcie wyraził

zadowolenie z końcowego rezultatu. Bob twierdził, że prawie zawsze zatwierdzona ostatecznie wersja projektu była wręcz identyczna z pierwszą, odrzuconą jako całkiem nieodpowiednia. Nic więc dziwnego, że stale zaopatrywał grafików w piwo, wino i czekoladę, a ci chętnie się nimi raczyli.

Zaczęłam także planować bożonarodzeniowy lunch. Miałam na razie niesprecyzowane pomysły, ale jak nasi klienci wiedziałam, czego nie chcę. Żadnych sieciowych restauracji ani hoteli, żadnego indyka ani Świętego Mikołaja; żadnego miejsca, które ogłaszało na swojej stronie internetowej: „rozrywkowa oferta dla korporacji” czy „przyjęcia integracyjne”. Znalezienie właściwej knajpki i zaplanowanie idealnego posiłku wymagało czasu, ale miałam jeszcze kilka miesięcy.

Raymond i ja nadal chodziliśmy razem na lunch, mniej więcej raz w tygodniu, zawsze innego dnia. To mnie irytowało, ale on był człowiekiem wyjątkowo opornym na rutynę (czym nie powinnam być zdziwiona). Któregoś razu przysłał mi e-mail niespełna dwadzieścia cztery godziny po naszym ostatnim spotkaniu, czyli już następnego dnia, proponując wspólny lunch. Ledwie byłam w stanie uwierzyć, że ktoś może czerpać przyjemność z mojego towarzystwa, a przynajmniej tolerować je w czasie krótkiego lunchu, ale żeby chciał się ze mną spotkać drugi raz w tym tygodniu, to już nie mieściło mi się w głowie.

Drogi R., z przyjemnością znowu pójdę z Tobą na lunch, ale trochę się niepokoję ze względu na to, że dopiero co się

widzieliśmy. Czy wszystko w porządku? Serdeczne pozdrowienia, E.

Odpisał:

Muszę Ci coś powiedzieć. Do zobaczenia o 12.30. R.

Tak nawykliśmy do naszych wspólnych lunchów, że nie podałam nawet miejsca, gdzie mamy się spotkać.

Kiedy przyszedłam do lokalu, nie było go jeszcze, więc wzięłam leżącą na sąsiednim krześle gazetę. O dziwo, polubiłam tę skromną knajpkę; obsługa, odstręczająca z wyglądu, była jednak bardzo uprzejma i sympatyczna, i teraz kelnerzy pytali mnie: „To co zwykle?”, po czym przynosili kawę i bułkę z serem. To z mojej strony próżne i powierzchowne, wiem, ale czułam się jak bohaterka amerykańskiej komedii sytuacyjnej, będąc tam „stałym bywalcem” i dostając „to co zwykle”. Wyobrażałam sobie, że następnym etapem będzie swobodna, dowcipna wymiana zdań, ale niestety do tego było jeszcze daleko. Jeden z kelnerów – Mikey – przyniósł mi szklanę wody.

– To co zwykle, czy czekasz na Raymonda? – zapytał.

Odpowiedziałam, że spodziewam się go lada chwila, więc Mikey zaczął wycierać sąsiedni stół.

– Jak leci? – zagadnął.

– W porządku – odparłam. – Wygląda na to, że zbliża się koniec lata. – To właśnie sobie myślałam, gdy idąc tutaj, poczułam na twarzy słabe promienie słońca i zobaczyłam pierwsze czerwono-żółte liście na drzewach.

Mikey pokiwał głową.

- Odchodzę stąd z końcem miesiąca - poinformował.

- Ojej! Jaka szkoda. - Mikey był miły i delikatny, zawsze sam przynosił trufle do kawy i nie doliczał ich do rachunku. - Znalazłeś nową pracę gdzieś indziej? - zapytałam.

- Nie. - Przysiadł na krześle obok. - Z Hazel znowu jest źle.

- Hazel, jak wiedziałam, była jego dziewczyną; mieszkali razem ze swoim biszonym kędzierzawym i małą córeczką, Lois.

- Bardzo przykro mi to słyszeć, Mikey. - Pokiwałam głową.

- Sądził, że pozbyli się go ostatnim razem, ale nie, dał przerzuty na węzły chłonne i wątrobę. Chcę, no wiesz...

- Chcesz spędzić z nią czas, który jej pozostał, i z Lois, zamiast obsługiwać obce kobiety - dokończyłam, a on się zaśmiał.

- Mniej więcej - odrzekł. Zebrałam się na odwagę i położyłam mu dłoń na ramieniu. Chciałam coś jeszcze powiedzieć, ale nic stosownego nie przychodziło mi do głowy, więc tylko milczałam i patrzyłam na niego, licząc, że wyczuje, co pragnę wyrazić: że strasznie mu współczuję i że bardzo podziwiam go za to, jak opiekuje się Hazel i Lois, jak się o nie troszczy, że wiem, może lepiej od innych, co to jest strata i jak musi mu być ciężko. To, że bardzo się kogoś kocha, nie zawsze wystarcza. Samą miłością nie zapewni mu się bezpieczeństwa... - Dziękuję, Eleanor - odparł łagodnie.

Podziękował mi!

Przyszedł Raymond i opadł na swoje krzesło.

- Wszystko w porządku, stary? - rzucił do Mikeya. - Jak się

ma Hazel?

- Może być, Raymondzie, może być. Zaraz przyniosę kartę.
Gdy się oddalił, pochyliłam się do przodu.

- Wiesz już o Hazel? - zapytałam. Potwierdził. - Fatalnie, prawda? Dziewczyna dobiega dopiero trzydziestki, a mała Lois nie ma jeszcze dwóch lat.

Pokiwał głową. Oboje zamilkliśmy - nie było nic więcej do powiedzenia na ten temat. Kiedy złożyliśmy zamówienie, Raymond chrząknął.

- Muszę ci coś powiedzieć, Eleanor. Następna zła wiadomość.

Wyprostowałam się na krześle i przygotowując się na nowinę, spojrzałam w sufit.

- Słucham. - Niewiele było takich rzeczy w życiu, których nie potrafiłabym sobie wyobrazić - ani stawić im czoła. Nic nie mogło być gorsze od tego, co już mnie spotkało - to nie przerośnia, ale stwierdzenie faktu. Przypuszczam, że to w pewnym sensie źródło siły.

- Chodzi o Sammy'ego - zaczął.

Tego się nie spodziewałam.

- Umarł w zeszły weekend. Rozległy zawał serca. Przynajmniej nie trwało to długo.

Kiwnęłam głową. Byłam jednocześnie zaskoczona i nie.

- Co się takiego stało? - chciałam wiedzieć.

Raymond zabrał się do jedzenia, relacjonując mi szczegóły między poszczególnymi kęsami - i w trakcie przeżuwania. Nie wiem, co takiego mogłoby odebrać temu człowiekowi apetyt.

- Był u Laury - opowiadał. - Oglądał telewizję i już. Żadnej

zapowiedzi, nic.

- Czy była wtedy w domu? - zapytałam. Proszę, Boże, chociaż to mogło zostać jej oszczędzone. Życ z tym później, z poczuciem winy, bólem i zgrozą... Nie życzylabym tego nikomu. Chętnie wzięłabym na siebie jej brzemię, gdybym tylko mogła. Niosłam już swoje, tak ciężkie, że nowe na pewno nie sprawiłoby wielkiej różnicy.

- Była na górze, szykowała się do wyjścia - odpowiedział. - Przeżyła szok, kiedy zeszła i znalazła go na kanapie.

Więc to nie była jej wina. Nie mogła go uratować, nawet gdyby próbowała. W porządku więc - jeśli śmierć może być w porządku.

Rozważyłam sytuację.

- Więc był sam w chwili śmierci - zauważyłam. - Czy policja podejrzewa udział osób trzecich?

Raymond zakrztusił się swoim burgerem z halloumi, więc podałam mu szklanekę wody.

- Na litość boską, Eleanor! - wykrzyknął.

- Przepraszam - odparłam - po prostu przyszło mi to do głowy.

- Czasami lepiej nie mówić na głos tego, co przychodzi ci do głowy, nie sądzisz? - zauważył cicho, nie patrząc na mnie.

Poczułam się okropnie. Było mi przykro z powodu Sammy'ego i jego rodziny, z powodu Raymonda, z powodu kelnera, jego dziewczyny i ich biednego małego dziecka. Te wszystkie śmierci, cierpienia, spotykające miłych ludzi, dobrych ludzi, którzy w niczym nie zawinili, i nic nie można było na to poradzić... Napłynęły mi do oczu łzy, ale im bardziej

staralam się je powstrzymać, tym było ich więcej. Dławiło mnie w gardle, paliło jak ogień, nie, proszę, tylko nie ogień...

Raymond usiadł na krześle obok i otoczył mnie ramieniem. Odezwał się cichym, łagodnym głosem:

- Proszę, Eleanor, tylko nie płacz. Przepraszam... nie chciałem na ciebie krzyczeć, naprawdę... proszę, Eleanor...

Dziwna rzecz - nigdy bym nie przypuszczała, że pomaga, gdy ktoś cię obejmuje, przytula. Dlaczego? Czy to coś zwierzęcego, potrzeba łączności fizycznej z osobnikiem tego samego gatunku? Raymond był taki ciepły i duży. Czułam zapach jego dezodorantu, środka, którego używał do prania - i lekką woń papierosów. Zapach Raymonda. Pochyliłam się lekko w jego stronę.

W końcu udało mi się zapanować nad emocjami i powstrzymać krępujące łzy. Gdy pociągałam nosem, Raymond wrócił za stół, pogmerał w kieszeni kurtki i podał mi paczkę chusteczek higienicznych. Uśmiechnęłam się do niego, wzięłam jedną i wydmuchałam nos. Miałam świadomość, że trąbiąc, wydaję niezbyt elegancki odgłos, ale co mogłam zrobić?

- Przepraszam - powiedziałam.

Posłał mi słaby uśmiech.

- Rozumiem - odparł. - To naprawdę trudne, no nie?

Przez chwilę trawiłam to wszystko, czego się dowiedziałam.

- Jak się ma Laura? A Keith i Gary?

- Są w rozsypce, jak można się spodziewać.

- Chcę pójść na pogrzeb - oznajmiłam stanowczo.

- Ja też - odparł. Siorbnął colę. - Był z niego fajny staruszek,

prawda?

Uśmiechnęłam się, usiłując przewyciężyć dławienie w gardle.

- Miły człowiek - odrzekłam. - To było widać do razu, nawet gdy leżał nieprzytomny na chodniku.

Raymond potwierdził skinieniem głowy. Wyciągnął rękę nad stołem i uścisnął moją dłoń.

- Przynajmniej po wypadku spędził kilka tygodni z rodziną, no nie? Dobrych tygodni... tamto małe przyjęcie, urodziny Keitha. Pobył z tymi, których kochał.

Zgodziłam się z nim.

- Mogę cię o coś spytać, Raymondzie? - zagadnęłam.

Spojrzał na mnie uważnie.

- Jakie zwyczaje obowiązują na pogrzebie? Czy żałobnicy muszą ubrać się na czarno i czy kapelusze są *de rigueur*?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia... Ubierz się, jak chcesz. Sammy nie był z tych, co przywiązują wagę do takich rzeczy, nie sądzisz?

Zastanowiłam się nad tym.

- Na wszelki wypadek ubiorę się na czarno - oświadczyłam.

- Ale kapelusz sobie daruję.

- Ja też - odparł Raymond i nawet się roześmialiśmy. Śmialiśmy się dłużej, niż wart był ten cienki dowcip, dlatego że dobrze nam to robiło.

W drodze powrotnej do pracy nie rozmawialiśmy. Szliśmy w stronę słońca, więc wystawiłam do niego twarz. Raymond szurał nogami w lekkim dywanie z liści, a jego czerwone sportowe buty przeświecały przez warstwę brązów. Po

chodniku przed nami przebiegła susami szara wiewiórka i niemal czuło się w powietrzu zapach jesieni, jabłek i wełny. Po wejściu do budynku nie odezwaliśmy się do siebie. Raymond ujął moje dłonie i uścisnął, tylko przez chwilę. Poszedł na górę, a ja skręciłam za róg, do swojego pokoju.

Czułam się jak świeżo złożone jajko, płynne w środku i tak kruche, że mógł je zgnieść najlżejszy nacisk. Kiedy usiadłam za biurkiem, czekał już na mnie e-mail.

Dozo w piątek. R x.

Czy należało odpowiedzieć? Uznałam, że tak, więc odpisałam:

X

23

Zaczęłam chwytać, jak to jest z tymi zakupami. Wróciłam do domu towarowego i zasięgnąwszy rady innej ekspedientki, kupiłam czarną sukienkę, czarne rajstopy i czarne buty. Była to moja pierwsza sukienka od dzieciństwa i dziwnie się czułam, pokazując nogi. Sprzedawczyni znowu usiłowała mnie namówić na horrendalnie wysokie obcasy – dlaczego tak strasznie im zależy, żeby okaleczyć damską klientelę? Zaczęłam się zastanawiać, czy szewcy i kręgarze nie nawiązali jakiegoś szatańskiego porozumienia. Po chwili refleksji doszłam jednak do wniosku, że miała rację, twierdząc, iż do obcistej sukienki nie pasują ani moje nowe botki (za mało eleganckie), ani buty na rzepy (okazało się, ku mojemu zaskoczeniu, że nie pasują prawie do niczego; a myślałam, że są urzeczywistnieniem słowa „uniwersalność”).

Osiągnęliśmy kompromis, wybierając w końcu buty na obcasach o niedorzecznej nazwie „kaczuszki”, które, wbrew temu, co można by sądzić, nie miały nic wspólnego z drobiem. Chodziło się na nich łatwo, a były „kobiece”. Tylko kto o tym decyduje i na jakiej podstawie? I czy to było takie ważne? Postanowiłam sprawdzić tę kwestię w kontekście tożsamości i polityki płciowej. Ktoś musiał napisać na ten temat jakąś książkę – jak o wszystkim.

Podczas tej wyprawy kupiłam nawet torebkę, bo uznałam, że moja wielka torba nie nadaje się na pogrzeb. Miała bardzo żywy wzór i czułam, że będzie zbytnio zwracać uwagę przy

grobie. Poza tym kółka mogły za bardzo skrzypieć.

Torebka, na którą się zdecydowałam, była niepraktyczna, o wiele za mała, żeby nosić w niej coś takiego jak książka w twardej oprawie czy butelka Glen's. Po powrocie do domu obejrzałam ją, głaszcząc błyszczącą skórę i jedwabistą podszewkę. Miała długi złoty łańcuszek na ramię, który pozwalał swobodnie poruszać rękami.

Za kolejną horrendalną sumę nabyłam także czarny wełniany płaszcz, jednorzędowy, dopasowany, do kolan. Był prosty i ciepły, co do mnie przemówiło. Patrząc na zakupione rzeczy - które rozłożyłam na łóżku w celu lepszego obejrzenia - załagodziłam swoje poczucie winy z powodu wydatku, stwierdzając, że będę mogła je nosić wielokrotnie, razem albo osobno. Stałam się posiadaczką tak zwanej „garderoby kapsułowej”, z elementami nadającymi się na większość imprez towarzyskich, na które uczęszczałabym z moim muzykiem. Miałam świadomość, że dobrze będę się w nich czuła przy jego ramieniu. Może przedstawienie baletowe? Premiera nowej sztuki? Wiedziałam, że ten mężczyzna otworzy przede mną nowe światy. Przynajmniej miałam odpowiednie buty, żeby tam wkroczyć.

W ciągu ostatnich kilku tygodni wydałam więcej niż zazwyczaj w ciągu roku. Wyglądało na to, że życie towarzyskie jest bardzo kosztowne - przejazdy, ubrania, drinki, lunche, prezenty. Czasami wychodziło się na swoje - na przykład z drinkami - ale jak się coraz częściej przekonywałam, *summa summarum* ponosiło się finansową stratę. Miałam pewne oszczędności, jednak wynosiły one

zaledwie wysokość miesięcznej pensji, a Bob nie płacił dużo. Teraz zrozumiałam, że udało mi się aż tyle uzbierać, bo nie miałam wcześniej wydatków na jakiegokolwiek interakcje społeczne.

Mama lubiła żyć nad stan, ale potem... wszystko się zmieniło. Nauczyłam się, że o pieniądze należy się martwić i że nie można nimi szastać. Trzeba o nie prosić, a potem starannie je liczyć. Nigdy nie zapomniałam - nie pozwalano mi zapomnieć - że ktoś płacił za moje ubrania, jedzenie, nawet ogrzewanie pokoju, w którym spałam. Rodzice zastępczy otrzymywali na mnie zasiłek i zawsze miałam świadomość, że nie powinni wydać na moje potrzeby więcej, niż wynosiła ta suma. A już na pewno nie ma moje zachcianki.

„Zasiłek” to nie jest ładne ani przyjemne słowo. Teraz, oczywiście, zarabiałam własne pieniądze, ale musiałam rozważnie nimi gospodarować. Oszczędzanie to umiejętność, w dodatku bardzo użyteczna - w końcu, gdyby skończyły mi się pieniądze, gdybym wpadła w długi, nie byłoby nikogo, ani jednej osoby, do której mogłabym się zwrócić o pomoc. Zostałabym bez środków do życia. Nie mam anonimowego dobroczyńcy, który opłaciłby za mnie czynsz, żadnych krewnych, rodziny ani przyjaciół, którzy pożyczyliby mi pieniądze na nowy odkurzacz, gdyby stary się zepsuł, albo na opłatę za gaz, i czekaliby na ich zwrot do mojej następnej pensji. Nie wolno mi było o tym zapominać.

Nie mogłam jednak pójść na pogrzeb Sammy'ego w nieodpowiednim stroju. Czarna sukienka, jak zapewniła mnie ekspedientka, była elegancka, ale dało się ją „stonować”.

W płaszczu mogłam chodzić przez całą zimę. Mój bezrękawnik z latami się zamortyzował, ale oczywiście, zamierzałam go zatrzymać, bo mógł się jeszcze przydać. Starannie powiesiłam w szafie wszystkie zakupione rzeczy. Byłam gotowa. Wyprowadźcie zwłoki.

Piątek był słoneczny, choć kto mógł wiedzieć, czy pogoda się nie zmieni. Wzięłam prysznic i starannie się ubrałam. Od wielu lat nie nosiłam rajstop, wolałam pod spodnie podkolanówki, ale pamiętałam, że należy je zrolować przed włożeniem i nie naciągać. Staralam się zachować ostrożność, bo były cienkie i delikatne; istniała groźba, że rozerwie się je paznokciami. Czułam się w nich ściśnięta, jakbym znalazła się w skórze kogoś innego.

Nogi miałam w czerni, a włosy w kolorze blond. Wydłużyłam i przyciemniłam tuszem rzęsy, obsypałam różem policzki i pociągnęłam usta szminką w ciemnoczerwonym kolorze, który rzadko występuje w naturze. Powinnam więc mniej przypominać kobietę rodzaju ludzkiego niż wcześniej, a tymczasem efekt był bardziej do przyjęcia, bardziej stosowny niż kiedykolwiek do tej pory, gdy pokazywałam się światu. To mnie zaskoczyło. Chyba mogłam nawet posunąć się dalej - nadać cerze blasku środkiem samoopalającym, spryskać się pochodzącymi z laboratorium chemikaliami, które wydestylowano z roślin i narządów zwierząt. Nie zrobiłam tego. Wzięłam nową torebkę i zamknęłam za sobą drzwi.

Na wszelki wypadek, ze względów bezpieczeństwa, poprosiłam Raymonda, żeby przyjechał po mnie w pewne

miejsce przy większej ulicy niedaleko mojego mieszkania - nie chciałam podawać swojego adresu - i o uzgodnionej porze przed budynkiem zatrzymał się niepozorny samochód. Kierowca zerknął szybko we wsteczne lustro, gdy wsiadałam na tylne siedzenie obok Raymonda. Zajął mi to chwilę, bo byłam w sukience i nie chciałam pokazać nóg wyżej, niż nakazywała przyzwoitość.

Wszystko trwało tak długo. Wcześniej tylko się kąpałam, przeczesywałam włosy grzebieniem i wciągałam dżinsy. Bycie kobietą pochłaniało mnóstwo czasu i wymagało wcześniejszego planowania. Nie wyobrażałam sobie, jak można by dotrzeć do źródeł Nilu albo wspiąć się po drabinie, żeby naprawić usterkę akceleratora części, będąc w butach na kaczuszkach i w cienkich rajstopach.

Trudno było ocenić, jak prezentował się Raymond, ale z tego, co widziałam, miał na sobie wyprasowaną białą koszulę, czarny krawat i czarne spodnie. Nie widziałam jego stóp, więc modliłam się w duchu, żeby nie miał na nich sportowego obuwia, choćby i czarnego.

- Ładnie wyglądasz - powiedział.

Kiwnęłam głową, nieco skrępowana w nowej sukience, i ponownie mu się przyjrzałam. Nie zgolił swojej dziwnej bródki, ale ją przystrzygł i miał porządnie uczesane włosy. Taksówka ruszyła i włączyła się do powolnego porannego ruchu ulicznego. Z radia płynął jakiś bełkot. Nie patrzyliśmy więcej na siebie i nie rozmawialiśmy. Nie było specjalnie o czym.

Dom pogrzebowy znajdował się na przedmieściach,

w ohydny topornym budynku z białego betonu. Cementarz był zadbane, w sterylnym komunalnym stylu, ale o dziwo, z mnóstwem pięknych kwitnących róż. Wokół rosły stare drzewa, co bardzo mi się podobało. Pomyślałam o ich korzeniach, pełnych życia, wijących się pod ziemią. Zajechaliśmy na wielki parking, prawie już pełny, choć dochodziło zaledwie wpół do dziesiątej. Miejsce to leżało na uboczu i nie można było się do niego dostać komunikacją publiczną, co przeczyło zdrowemu rozsądkowi. Powinien tam jeździć pociąg albo autobus, bo przecież każdy z nas musiał się znaleźć w tym czy innym momencie na cmentarzu.

Raymond zapłacił taksówkarzowi i przez chwilę rozglądaliśmy się wokół.

- Gotowa? - zapytał.

Potwierdziłam. Zobaczyliśmy innych żałobników, którzy nadciągali z różnych części parkingu jak czarne żuki. Powoli ruszyliśmy ścieżką, bo niespieszno nam było opuścić zieleń, róże i słońce, żeby wejść do budynku. Przed wejściem stał długi karawan; spojrzeliśmy na obłożoną wieńcami trumnę. Była to drewniana skrzynka, w której spoczywało ciało Sammy'ego. Zastanowiłam się, w co jest ubrany. Miałam nadzieję, że w miły czerwony sweter; ciepły i emanujący jego zapachem.

Usiedliśmy po lewej stronie, w jednej z przednich ławek. Sala była już prawie pełna i niczym ciche brzęczenie owadów rozbrzmiewał w niej gwar stłumionych rozmów, jakiego nie słyszałam nigdy w żadnym innym miejscu ani okolicznościach.

Wzięłam jedną z broszur, które leżały na ławkach. Głosiła:

„Samuel McMurray Thom (1940-2017)”. W środku widniał program uroczystości z listą czytań i hymnów. Nagle ogarnęło mnie pragnienie, aby było już po wszystkim i żebym nie musiała tu być i tego przeżywać.

Raymond i ja milczeliśmy. Wnętrze budynku prezentowało się znacznie milej, niż można było sądzić z zewnątrz, sala miała drewniane podpory i sklepiony sufit. Cała lewa ściana, przy której siedzieliśmy, była przeszklona, więc widzieliśmy rozległe trawniki, a za nimi stare wielkie drzewa. Cieszyłam się z tego. Pomyślałam, że w takim miejscu powinna być obecna przyroda, żywa, nie w postaci ciętych kwiatów. Świeciło słońce i drzewa rzucały cienie, choć szelest liści na wietrze zwiastował już jesień. Odwróciłam się i zobaczyłam, że sala całkiem się już zapełniła, zebrało się w niej ze sto osób albo i więcej. Szmer głosów prawie zagłuszał monotonną muzykę organową, płynącą z głośników.

Nagle atmosfera się zmieniła i zapanowała cisza. Dwaj synowie Sammy'ego i czterej inni mężczyźni, których twarze znałam z przyjęcia, wnieśli trumnę i umieścili ją delikatnie na podeście z pasem transmisyjnym, za którym znajdowały się czerwone aksamitne zasłony. Usiłowałam sobie przypomnieć, z czym mi się ten pas kojarzy, i wreszcie sobie uzmysłowiłam: z ruchomą taśmą w Tesco, na którą wykłada się zakupy przy kasie. Pochyliłam się, żeby powiedzieć o tym Raymondowi, ale on wyjął z kieszeni marynarki torebkę miętówek i zanim zdążyłam się odezwać, podsunął mi ją. Poczęstowałam się cukierkiem i włożyłam go do ust.

W naszej ławce chcieli usiąść inni, więc musieliśmy

przesunąć się jak kraby, żeby zrobić im miejsce. Znalazłam się w bardzo niewielkiej odległości od pana Raymonda Gibbonsa. Zauważyłam, że tego dnia wyjątkowo ładnie pachnie; miętówkami, oczywiście, ale także mydłem i czymś, co przypominało drewno, jak cedr. Nie zapalił jeszcze ani jednego papierosa. Chyba nawet on uznał palenie przed domem pogrzebowym za niestosowne.

Pojawiła się reszta rodziny. Usiedli wraz z synami Sammy'ego w pierwszej ławce; Laura była sama i wyglądała niezwykle szykownie. Ciemne okulary! W pomieszczeniu! Zdumiewające. Wreszcie wszedł pogodnie wyglądający duchowny. Mężczyzna siedzący przy keyboardzie w rogu sali zaczął grać, a my wstaliśmy. Słowa hymnu widniały w broszurze, ale stwierdziłam, że pamiętam je z dzieciństwa. Wspólny śpiew brzmiał marnie, bardziej przypominał atonalne mamrotanie, a nieprzyjemny głos duchownego wybijał się zbyt mocno, zapewne za sprawą wpiętego w klapę mikrofonu. Pomyślałam, że powinien wyłączyć go podczas hymnów – nie musiał jeszcze wzmacniać swojego miauczenia. Raymond, ku mojemu niepomiernemu zdumieniu, śpiewał miłym, lekkim tenorem, i to wcale nieźle, w przeciwieństwie do większości. Kiedy ludzie zaczęli wstydzić się śpiewać publicznie? Wtedy, kiedy przestali chodzić do kościoła? Jednak w telewizji pełno było konkursów dla piosenkarzy i programów typu *talent show*, w których nie wstydziły się brać udziału różne beztalencia. Może ludzi interesują tylko występy solowe.

To przecież był jawny brak szacunku – przyjść na czyjś pogrzeb i mamrotać podczas hymnów, które, choć smutne,

zostały specjalnie wybrane na cześć zmarłego. Zaczęłam śpiewać głośniej. Raymond i ja udzielaliśmy się bardziej niż cztery ławki razem wzięte i byłam z tego zadowolona. Hymn był ogromnie smutny i zwłaszcza takiej ateistce jak ja nie dawał żadnej nadziei ani pocieszenia, ale mimo wszystko; mieliśmy obowiązek zaśpiewać go najlepiej, jak potrafimy, i to z dumą, ze względu na pamięć o Sammym. Kiedy pieśń się skończyła, usiadłam z radością, że oboje z Raymondem okazaliśmy mu należny szacunek. Kilka osób odwróciło się, żeby na nas spojrzeć, pewnie doceniając nasz wkład wokalny.

Duchowny zaczął mówić o życiu Sammy'ego; z ciekawością słuchałam, że wychował się on w małej wiosce, na farmie owczej, na północnym wschodzie kraju. Po ukończeniu szkoły wstąpił do floty handlowej, ale wkrótce, zmęczony życiem na morzu, przyjechał do Glasgow w nowym garniturze, z dziesięcioma funtami w kieszeni, nie zamierzając wracać do rolnictwa. Jean poznał w Woolworths, gdzie poszedł kupić igłę i nici. Duchowny, wyraźnie z siebie zadowolony, oświadczył, że później wiedli razem szczęśliwe życie. Potem wygłosił krótki religijny komentarz - zwyczajowe teksty - i wreszcie jak kasjer w Tesco wprawił w ruch pas, na którym spoczywała trumna, po czym Sammy zniknął za kotarą.

Na koniec, wesół jak szczygieł, z przyklejonym do twarzy uśmiechem, jakby to była najlepsza część całej tej przygnębiającej uroczystości, ogłosił, że zaśpiewamy ostatni hymn. Raymond i ja podjęliśmy ten wysiłek, ale nie da się śpiewać, płacząc - gdy ma się ściśnięte gardło i nie można wydobyć głosu. Raymond wydmuchał nos i podał mi paczkę

chusteczek, z której z wdzięcznością skorzystałam.

Rodzinie, oznajmił duchowny, będzie miło, jeśli dołączymy do niej później w hotelu Hawthorn House na mały poczęstunek. Zebrani zaczęli wychodzić, ściskając sobie dłonie i mamrocząc uprzejmości. Poszłam za ich przykładem. Przy wyjściu stał koszyk na datki dla British Heart Foundation, o które proszono zamiast kwiatów dla zmarłego, i zauważyłam, że Raymond wrzucił banknot dwudziestofuntowy. Ja wrzuciłam trzy funty w monetach. Byłam zdania, że to aż nadto. Badania nad nowymi lekami i skuteczną terapią chorób serca kosztują miliony funtów. Trzy funty czy trzysta – to nie wpłynie na znalezienie czy nieznanie skutecznego środka.

Przysiadłam na niskim murku za domem pogrzebowym i zwróciłam twarz do słońca. Poczułam się całkowicie wyczerpana. Po chwili Raymond zajął miejsce obok mnie i usłyszałam pstryknięcie zapalniczki. Nie miałam siły się odsunąć, nawet gdy wydmuchał duży obłok dymu.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Skinęłam głową.

- A ty?

Wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie przepadam za pogrzebami - wyznał. Odwrócił wzrok. - Przypominają mi o ojcu. Minęło już wiele lat, ale wciąż jest ciężko, rozumiesz?

Kiwnęłam głową. Czas tylko trochę zaciera ból po stracie. Nie wymazuje go.

- Strasznie nie mam ochoty iść do hotelu Hawthorn House na małą przekąskę - powiedziałam. - Chcę przestać myśleć

o śmierci. Wolałabym wrócić do domu, przebrać się w normalne ubranie i pooglądać telewizję.

Zgasił papierosa i zakopał niedopałek w rabacie kwiatowej za nami.

- Nikt nie ma specjalnej ochoty, Eleanor - odezwał się łagodnie. - Ale tak trzeba. Ze względu na rodzinę. - Chyba zrobiłam smutną minę, bo dodał cierpliwie, z wyrozumiałością: - Nie musisz zostać długo. Tylko się pokażesz; wypijesz filiżankę herbaty, zjesz pasztecika. Wiesz, jak to jest.

- Może przynajmniej będą dobre, z kruchego ciasta i z dużą zawartością mięsa - odparłam, raczej wyrażając nadzieję, niż tego oczekując, i założyłam torebkę na ramię.

Hotel Hawthorn House znajdował się niedaleko domu pogrzebowego, można tam było dojść na piechotę. Recepcjonistka za kontuarem się uśmiechnęła; trudno było nie zauważyć, że miała tylko jeden przedni ząb, a pozostałe w kolorze musztardy Colman's English. Nie do mnie należy ocena wyglądu innych ludzi, ale naprawdę czy ze wszystkich pracowników to ona najlepiej nadawała się do recepcji? Niemniej, ukazując szczerbę we współczującym uśmiechu, skierowała nas do Sali Jeżynowej.

Zjawiliśmy się wśród ostatnich gości, ponieważ większość z nich pokonała samochodem krótki dystans do hotelu. W domu pogrzebowym stale odbywały się uroczystości, więc przypuszczalnie trzeba było zwolnić miejsca na parkingu. Nie jestem pewna, czy chciałabym być skremowana. Chyba wolałabym, żeby nakarmiono mną zwierzęta w zoo. To byłoby ekologiczne, a więksi mięsożercy mieliby smaczną przekąskę.

Ciekawe, czy można sobie czegoś takiego zażyczyć. Postanowiłam napisać w tej sprawie do WWF.

Podeszłam do Keitha i złożyłam mu wyrazy współczucia, a potem odszukałam Gary'ego i zrobiłam to samo. Obaj, co zrozumiałe, wyglądali na wytrąconych z równowagi. Trzeba dużo czasu, żeby pogodzić się ze stratą bliskiej osoby, jeśli w ogóle to się uda. Mnie po tych wszystkich latach jeszcze się nie udało. Wnuki Sammy'ego siedziały cicho w kącie, pewnie przestraszone posępną atmosferą. Musiałam jeszcze złożyć kondolencje Laurze, ale nie mogłam jej znaleźć. Zwykle nie było to trudne. Tego dnia oprócz wielkich ciemnych okularów miała na sobie niebotycznie wysokie szpilki i krótką czarną sukienkę z głębokim dekoltem. Włosy upięła na czubku głowy w kunsztowny kok, przypominający klatkę dla ptaków, który dodawał jej jeszcze kilka centymetrów wzrostu.

Ponieważ nigdzie nie widziałam ani jej, ani obiecanych przekąsek, udałam się na poszukiwanie toalety. Byłam gotowa się założyć, że przy umywalkach znajdę zakurzony koszyk z brzoskwiniowym potpourri, i miałam rację. W drodze powrotnej zauważyłam charakterystyczny obcas wyzierający zza podpiętej zasłony. Za nią znajdowała się wnęka okienna z ławką, na której siedziała Laura - w objęciach mężczyzny. Jak się okazało, był to Raymond, choć tulili się tak mocno, że dopiero po chwili zobaczyłam jego twarz i zyskałam pewność. Miał czarne buty, jak zauważyłam. Więc przynajmniej posiadał jedną parę.

Wróciłam na salę; żadne z nich mnie nie widziało, byli zbyt zajęci. Znałam to aż za dobrze; ja, stojąca samotnie,

zapatrzona w dal. Ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Wszystko było w całkowitym porządku. Po pożarze, w każdej nowej szkole, tak bardzo się starałam, ale było we mnie coś, co sprawiało, że nigdzie nie pasowałam. Wyglądało na to, że w sferze towarzyskiej nie ma skrojonego na moją miarę miejsca.

Nie umiałam udawać i na tym polegał problem. Po tym, co zdarzyło się podczas pożaru, uważałam, że tylko szczerść wobec świata ma jakiś sens. Nie miałam dosłownie nic do stracenia. Ale dzięki uważnej obserwacji z boku doszłam do wniosku, że aby odnieść sukces towarzyski, często należy trochę udawać. Osoby cieszące się popularnością muszą śmiać się z czegoś, co nie wydaje im się szczególnie zabawne, robić coś, na co nie mają szczególnej ochoty, z ludźmi, których towarzystwo nieszczególnie lubią. Ale to nie ja. Przed laty postanowiłam, że jeśli z tego powodu będę szła przez życie sama, to trudno, będę sama. Tak jest bezpieczniej. Cierpienie to cena, jaką płacimy za miłość, mówią. To zbyt wysoka cena.

Wystawiono bufet - rzeczywiście, były tam paszteciki, a także kanapki. Obsługa nalewała nijakiej herbaty i kawy z gorzko pachnących termosów do białych kawiarnianych filiżanek. To nie dla mnie, uznałam. Zdecydowanie nie byłam w nastroju do picia gorących napojów, o nie. Byłam w nastroju do picia zimnej wódki.

We wszystkich hotelach są bary, prawda? Nie byłam bywalczynią tego rodzaju przybytków, ale wiedziałam, że sypialnie i bary to ich *raison d'être*. Ponownie odbyłam rozmowę z upośledzoną pod względem uzębienia

repcjonistką, która skierowała mnie w głąb innego korytarza. Na jego końcu znajdował się bar bardzo oryginalnie obdarzony nazwą Hawthorn Lounge. Stałam w progu i rozejrzałam się po wnętrzu. Było tam pusto, automaty do gry błyskały kolorami tylko dla własnej rozrywki. Weszłam do środka. Sama. Sama samiutka.

Barman oglądał telewizję i z roztargnieniem polerował szklanki.

- *Domy pod młotek* - powiedział, odwracając się do mnie.

Pomyślałam ze zdziwieniem, że jest nawet dość atrakcyjny, a potem zgałam samą siebie za tę myśl. Do tej pory wydawało mi się, że to niemożliwe, aby w hotelu Hawthorn House w piątek, w porze lunchu, pracowali jacyś piękni, sztykowni ludzie. Repcjonistka wprawdzie była potwierdzeniem tej tezy, ale naprawdę powinnam się wstydzić podobnych uprzedzeń - skąd je, do licha, wzięłam? (Cichy głosił w mojej głowie podpowiedział: „Od mamy”).

Barman uśmiechnął się, ukazując rząd równych białych zębów i przejrzyste niebieskie oczy.

- Stare nudziarstwo - powiedział głosem, który mógłby zedrzyć farbę ze ścian i jeszcze je zeszlifować. „Widzisz, mówiłam ci!” - szepnęła mama.

- Tak? - zapytałam. - Niestety, zwykle nie ma mnie w domu o tej porze i nie oglądam tego programu.

- Może pani pooglądać tutaj - zaproponował, wzruszając ramionami.

- Naprawdę?

- A dlaczego nie? - odparł. - Co innego tu robić? - Wskazał

pustą salę.

Przysiadłam na stołku barowym - zawsze chciałam sprawdzić, jak się na nim siedzi - i zamówiłam wódkę z colą. Powoli przyrządził drinka, bez pytania dodał lodu i cytryny, a potem pchnął ku mnie szklanekę.

- Pogrzeb, tak? -- zagaił.

Zastanawiałam się, skąd wie, i uzmysłowiłam sobie, że jestem ubrana na czarno i że mój makijaż trochę się rozmazał, a poza tym nie było innego powodu, żebym znalazła się w tym miejscu o tej porze dnia. Kiwnęłam głową. Dalsza wymiana zdań była zbędna, więc skierowaliśmy wzrok w stronę telewizora, żeby zobaczyć, jak Iain i Dorothy poradzą sobie z szeregowcem z lat siedemdziesiątych, który kupili na aukcji za dziewięćdziesiąt pięć tysięcy funtów, zamierzając wyremontować łazienkę, zainstalować nową kuchnię i „przebić się” z salonu do jadalni. „Pozostało jeszcze - powiedział lektor - pomalować drzwi wejściowe na... ten piękny odcień zieleni”.

- *Green Door* - podchwycił barman i chwilę później, co za niespodzianka, zabrzmiała właśnie ta piosenka. Oboje się zaśmialiśmy, a on, nie pytając, podsunął mi kolejną wódkę z colą.

Potem zaczęliśmy oglądać *Kobiety na luzie*, talk-show, którego także nie znałam. Piłam już czwartą wódkę i wciąż myślałam o pogrzebie, ale już bez bólu - to jakby czuć kamyk w bucie, ale w trakcie siedzenia, nie chodzenia.

Pomyślałam, że chyba powinnam jednak przekąsić pasztecik z mięsem, a przynajmniej schować kilka do torebki na później,

gdy sobie przypomniałam, że mam nową torebkę, malutką, do której zmieściłyby się najwyżej dwa. Cmoknęłam z niezadowoleniem i pokręciłam głową.

- Co się stało? - zapytał barman. Nie przedstawiliśmy się sobie; nie wydawało się to konieczne. Pochyliłam się na stołku i jak bohaterowie filmów zapatrzyłam się w szklankę.

- Och, nic takiego - odparłam niedbale. - Chyba powinnam coś zjeść.

Barman, który z czasem stał się mniej przystojny, wziął moją szklankę, nalał do niej wódki, a potem coli i mi podał.

- Nie ma pośpiechu, co? - zagadnął. - Może zostaniesz tu jeszcze i dotrzymasz mi towarzystwa?

Rozejrzałam się wokół - w barze nadal było pusto.

- Dobrze by ci zrobiła chwila relaksu, no nie? - ciągnął, stukając palcem w moją szklankę i nachylając się ku mnie. Dostrzegłam rozszerzone pory z boku jego nosa, niektóre z czarnymi punkcikami.

- Może - przytaknęłam. - Czasami rzeczywiście potrzebuję chwili relaksu po wódce z colą.

Uśmiechnął się drapieżnie.

- Wprawiają cię w dobry nastrój, co?

Próbowałam pytająco unieść brwi, ale uniosłam tylko jedną. Za dużo wypiałam, bo czułam za duży ból, który można było zagłuszyć, tylko topiąc go w wódce. Proste.

- Co masz na myśli? - zapytałam. Zauważyłam, że trochę niewyraźnie wymawiam spółgłoski.

- Pogrzeby - wyjaśnił. Zbliżył się do mnie tak, że nasze twarze niemal się stykały. Zalaatywało od niego cebulą. - Nie

masz co robić sobie wyrzutów - mówił dalej. - Cała ta śmierć... czy później nie masz ochoty na...

- Eleanor! - Poczułam na ramieniu czyjąś rękę, więc bardzo powoli odwróciłam się na stołku.

- O, witaj, Raymondzie! - zawołałam. - To jest... właściwie nie wiem. Przepraszam, jak się pan nazywa, panie...?

Barman z prędkością światła przemieścił się na drugi koniec kontuaru i wrócił do polerowania kieliszków i oglądania telewizji. Raymond rzucił mu spojrzenie, które w najlepszym razie można by określić jako nieprzyjazne, i położył na blacie dwadzieścia funtów w banknocie.

- Poczekaj - rzuciłam, biorąc torebkę. - Mam tu trochę pieniędzy...

- Chodź. - Bezceremonialnie ściągnął mnie ze stołka. - Później to załatwimy.

Podreptałam za nim na swoich kaczuszkach.

- Raymondzie - zaczęłam, pociągając go za rękaw. - Postanowiłam jednak... nie robić sobie tatuażu.

Spojrzał ze zdziwieniem i dotarło do mnie, że od czasu rozmowy z barmanem w The Cuttings nie wspominałam, że biorę to pod uwagę. Posadził mnie we wnęce okiennej - nie tej, w której go widziałam - i zostawił. Rozejrzałam się, ciekawa, która może być godzina i czy już pochowali Sammy'ego - czy może zatrzymywali wszystkie zwłoki do końca dnia, żeby ogień się dobrze rozpałił. Tymczasem wrócił Raymond; w jednej ręce nioś filizankę herbaty, a w drugiej talerz z pasztecikami.

- Wypij i zjedz to - polecił. - I nie ruszaj się stąd, dopóki po

ciebie nie przyjdę.

Stwierdziłam, że jestem głodna jak wilk. Obok przechodzili inni żałobnicy, ale żaden nie zauważył mnie w mojej kryjówce. Podobało mi się to. Ławka była wygodna, a korytarz ciepły i czułam się jak orzesznica w przytulnej norce. Potem się zorientowałam, że Raymond wrócił i potrząsa mną delikatnie, ale stanowczo.

- Obudź się, Eleanor - mówił. - Już wpół do piątej. Pora wracać.

Zabrał mnie taksówką do siebie. Mieszkał w południowej części miasta, w rejonie, którego nie znałam zbyt dobrze i przeważnie nie miałam powodu odwiedzać. Jego współlokatorów nie było, co przyjął z ulgą, potykając się lekko, gdy wchodziliśmy do przedpokoju, i usiłując powstrzymać chichot. Raymond bardzo nieelegancko zaprowadził mnie do salonu, w którym dominował wielki telewizor. Przed nim leżały, jak przypuszczałam, różne konsole do gry. Jeśli nie liczyć tego komputerowego detrytusku, w pokoju panował zaskakujący porządek.

- To nie wygląda na mieszkanie facetów - zauważyłam ze zdziwieniem.

Parsknął śmiechem.

- Nie jesteśmy bydłem, Eleanor. Umiem posługiwać się odkurzaczem, a Desi ma fioła na punkcie czystości.

Kiwnęłam głową. Poczułam ulgę, wiedząc, że gdy usiądę, nic nie przywrze do mojej nowej sukienki ani rajstop.

- Herbaty? - zapytał.

- Przypuszczam, że nie masz wódki albo cydru? -

zagadnęłam. W odpowiedzi uniósł brwi. – Po tych pasztecikach i drzemce całkiem doszłam do siebie – zapewniłam go i rzeczywiście tak było. Czułam się lekko i rześko, nie pijana, tylko przyjemnie otepiała na przykre uczucia.

Roześmiał się.

– Chyba kieliszek czerwonia dobrze by mi zrobił – orzekł.

– Czerwonia?

– Czerwonego wina, Eleanor. Merlota... czy co tam Tesco miało w tym tygodniu w promocji.

– A, Tesco – powtórzyłam. – W takim razie... chętnie się do ciebie przyłączę. Ale tylko jeden kieliszek – zaznaczyłam. Nie chciałam, żeby wziął mnie za dypsomaniaczkę.

Przyniósł dwa kieliszki i butelkę z zakrętką.

– Myślałam, że wino się korkuje – zdziwiłam się.

Zignorował moją uwagę.

– Za Sammy'ego – powiedział i stuknęliśmy się kieliszkami, jak w telewizji. Wino smakowało ciepłym aksamitem i trochę przypaloną konfiturą.

– Ale tym razem powoli! – Pogroził mi palcem, chyba żartobliwe. – Żebyś nie spadła z kanapy!

Przyjęłam to z uśmiechem.

– Jak minęło ci popołudnie? – zapytałam po kolejnym pysznym łyku. Raymond też sobie nie żałował.

– Chcesz wiedzieć, co robiłem oprócz ratowania cię z objęć zboczeńca?

Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

– Och, było w porządku – odpowiedział na moje pytanie, kiedy stało się jasne, że nie bardzo wiem, co powiedzieć. – Jak

na taką uroczystość wszystko poszło dobrze. Dopiero jutro do nich dotrze, co się stało. Pogrzeb odwraca uwagę, trzeba załatwić formalności, podjąć głupie decyzje dotyczące bułeczek albo ciastek, wybrać hymny...

- Hymny były okropne! - skomentowałam.

- ...a potem przebrnąć przez sam pogrzeb, dopilnować wszystkiego, podziękować gościom i tak dalej... A przy okazji rodzina prosiła, aby przekazać ci wyrazy wdzięczności za przyście - dokończył. Właściwie, jak zauważyłam, pił wino sam - już dwa razy sobie dolał, podczas gdy ja pociągnęłam zaledwie parę łyków.

- Ale następne dni i tygodnie... Wtedy naprawdę jest trudno - podjął.

- Tak było z tobą? - zapytałam.

Skinął głową. Włączył kominek, jeden z tych gazowych, które mają sprawiać wrażenie prawdziwych, i oboje zapatrzyliśmy się w ogień. W naszych mózgach musi istnieć jakiś odziedziczony po przodkach mechanizm, który nakazuje nam patrzeć w płomienie, przyglądać się, jak tańczą i strzelają w górę, odstraszać złe duchy i groźne zwierzęta... Bo po to chyba jest ogień, prawda? Choć potrafi i inne rzeczy.

- Masz ochotę obejrzeć jakiś film, Eleanor? Na poprawę humoru?

Zastanowiłam się nad tym.

- Wspaniały pomysł - odrzekłam.

Wyszedł z pokoju i wrócił z następną butelką winą oraz dużą paczką czipsów.

- Megaopakowanie - rzucił. Nigdy takiego nie kupowałam,

z oczywistego powodu.

Rozerwał paczkę i rozłożył ją na stole przed kanapą, na której oboje siedzieliśmy, a potem znowu napełnił nam kieliszki. Kolejny raz wyszedł i przyniósł koc, który jak się domyśliłam, zdjął z łóżka – miły, z polaru, czerwony jak sweter Sammy'ego. Podał mi go. Zrzuciłam z nóg buty i ułożyłam się pod kocem, podczas gdy on pogmerał przy jakichś urządzeniach, które wyglądały na piloty. Wielki telewizor ożył i Raymond przerzucił kilka kanałów.

- Co powiesz na ten? - zapytał, wskazując na ekran i otulając się kocem. Na podświetlonym polu widniał tytuł: *Synowie pustyni*. Nie miałam pojęcia, o czym to jest, ale uzmysłowiłam sobie, że chętnie posiedzę z Raymondem w cieple i obejrzę nawet program o golfie.

- Doskonale - odparłam. Już miał wcisnąć „play”, kiedy go zatrzymałam. - Raymondzie - zaczęłam - czy nie powinieneś być teraz z Laurą? - Wyglądał na kompletnie zaskoczonego. - Widziałam was dzisiaj - dodałam. - I na przyjęciu urodzinowym Keitha, w klubie golfowym.

Zachował obojętny wyraz twarzy.

- Jest z rodziną i tak powinno być - odparł, wzruszając ramionami. Wyczułam, że nie chce o tym rozmawiać, więc tylko kiwnęłam głową. - Gotowa? - zapytał.

Film był czarno-biały i przedstawiał historię dwóch ludzi, grubego i bystrego oraz chudego i głupawego, którzy wstąpili do Legii Cudzoziemskiej. Zupełnie do siebie nie pasowali. W pewnym momencie Raymond tak się śmiał, że zalał winem koc. Ja niedługo później zadławiłam się czipsem i musiał

zatrzymać film, żeby walnąć mnie w plecy. Byłam bardzo zawiedziona, kiedy film się skończył i zobaczyłam, że zjedliśmy wszystkie chipsy i wypiliśmy prawie całe wino – chociaż Raymond miał w tym drugim znacznie większy udział niż ja; wyglądało na to, że wódka i cydr wchodzi mi znacznie łatwiej od wina.

Raymond chwiejnym krokiem udał się do kuchni i przyniósł dużą paczkę orzeszków ziemnych.

- Cholera – zaklął. – Jeszcze miska!

Wrócił z naczyniem, do którego usiłował przesywać orzeszki. Miał z tym jednak kłopoty i rozsypał większość na stół. Zachichotałam – to było równie zabawne, jak Flip i Flap – i po chwili śmialiśmy się już oboje. Raymond wyłączył telewizor i za pomocą jakiegoś innego tajemniczego urządzenia sterującego nastawił muzykę. Nie znałam jej, ale była przyjemna; subtelna i łatwa.

- Eleanor – zaczął Raymond, chrupiąc garść orzeszków. Z ust wypadały mu okruszki. – Mogę cię o coś spytać?

- Ależ oczywiście – odparłam. Miałam nadzieję, że przełknie, zanim będzie kontynuował.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Co się stało z twoją twarzą? Ale nie musisz... – Szybko pochylił się do przodu, dotykając przez koc mojego ramienia. – Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz. To tylko wścibstwo z mojej strony!

Uśmiechnęłam się i pociągnęłam łyk wina.

- Chętnie ci opowiem, Raymondzie – odrzekłam i ku swojemu zaskoczeniu zorientowałam się, że tak właśnie jest –

chciałam mu powiedzieć. Nie pytał wcale z wścibstwa, nudy ani jałowej ciekawości – czułam, że naprawdę go to interesuje. To da się wyczuć.

– Kiedy miałam dziesięć lat, w domu wybuchł pożar – wyjaśniłam.

– O rany! – wykrzyknął. – To musiało być straszne. – Zamilkł na dłuższą chwilę i niemal widziałam, jak w jego głowie rodzą się pytania, ulatują i zawisają w powietrzu.

– Instalacja elektryczna? Frytkownica?

– To było celowe działanie. – Nie chciałam wdawać się w szczegóły.

– Jasna cholera, Eleanor! – zawołał. – Podpalenie?

Napiłam się aksamitnego wina i nie odpowiedziałam.

– I co stało się później? – ciągnął.

– Hm, jak wspominałam, nie znałam swojego ojca. Po pożarze przeszłam pod opiekę państwa. Rodziny zastępcze, domy dziecka, znowu rodziny zastępcze... Przenosiłam się z miejsca na miejsce co jakieś półtora roku. Potem dostałam się na uniwersytet... miałam wtedy siedemnaście lat... i opieka społeczna przydzieliła mi mieszkanie. To, które obecnie zajmuję.

Miał taki smutny wyraz twarzy, że i mnie zrobiło się smutno.

– Raymondzie – odezwałam się – to nie jest wcale niezwykła historia. Mnóstwo ludzi tak się wychowywało, często nawet w gorszych okolicznościach. Takie jest życie.

– Ale to niesprawiedliwe – zauważył.

– Zawsze miałam gdzie spać, co jeść, w co się ubrać. Zawsze byłam pod opieką kogoś dorosłego. Miliony dzieci na

świecie nie mogą, niestety, powiedzieć tego o sobie. Kiedy się nad tym zastanowić, jestem szczęściarą.

Wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać – na pewno przez to wino. Podobno ludzie pod jego wpływem się rozklejają. Czułam, że w powietrzu jak duchy unoszą się niewypowiedziane pytania. Nie pytaj, nie pytaj, pomyślałam gorączkowo, w tej intencji krzyżując palce pod kocem.

– A twoja matka, Eleanor? Co się z nią stało? – Dopiliśmy wino najszybciej, jak mogłem.

– Wolałabym o niej nie mówić, jeśli nie masz nic przeciwko temu, Raymondzie.

Sprawił wrażenie zdziwionego i – co mnie nie zaskoczyło – trochę zawiedzionego. Ale trzeba mu przyznać, nie drążył tematu.

– Jak sobie życzysz. Możemy o tym porozmawiać, kiedy zechcesz, wiesz o tym, prawda?

Skinęłam głową; ze zdumieniem stwierdziłam, że rzeczywiście wiem.

– Mówię serio – dodał, pod wpływem wina bardziej przejęty niż zwykle. – Jesteśmy kumplami, no nie?

– Tak – odparłam z szerokim uśmiechem.

Mój pierwszy kumpel! Jasne, był kiepsko ubranym komputerowcem o nie najlepszych manierach, ale mimo wszystko! Długo mi zajęło zdobycie kumpla; miałam świadomość, że moi rówieśnicy mają zwykle co najmniej jednego albo dwóch. Jeśli chodzi mnie, ani nie zabiegałam o przyjaźń, ani jej nie unikałam; po prostu zawsze trudno mi było znaleźć podobnie myślące osoby. Po pożarze nie trafiłam

na nikogo, kto wypełniłby powstałą we mnie pustkę. A poza tym w dzieciństwie tak często się przeprowadzałam, że ciężko było utrzymać z kimś kontakt, nawet jeśli mi na tym zależało. Tyle rodzin zastępczych, te wszystkie nowe szkoły. Na uniwersytecie zakochałam się w filologii klasycznej i z radością oddałam studiom. Rezygnacja z kilku wieczorów w stowarzyszeniu studentów, żeby zdobyć dobre noty i pochwały z ust wykładowców, była uczciwą ceną. I naturalnie przez kilka lat był Declan. Nie lubił, żebym udzielała się towarzysko - z nim czy bez niego.

Po ukończeniu studiów od razu znalazłam pracę u Boba, gdzie, Bóg mi świadkiem, nie było nikogo, kto by myślał podobnie jak ja. A kiedy człowiek przyzwyczai się do samotności, staje się ona czymś normalnym. Tak na pewno było ze mną.

Dlaczego jednak Raymond chciał być moim przyjacielem? Może też był samotny. Może mi współczuł. A może - to niewiarygodne, ale chyba prawdopodobne - uznał, że jestem sympatyczna. Kto wie? Odwróciłam się w jego stronę, pragnąc dowiedzieć się tego, wyznać mu, jak się cieszę, że w końcu znalazłam kumpla, gdy zobaczyłam, że głowa opadła mu na pierś. Miał otwarte usta. Szybko jednak oprzytomniał.

- Nie spałem - zastrzegł się - tylko... na chwilę przymknąłem oczy. To był męczący dzień.

- O tak - potwierdziłam. I tak myślałam. Włożyłam buty i poprosiłam, żeby zamówił mi taksówkę. Z przerażeniem zobaczyłam, że dochodzi dziewiąta. Pełna niepokoju, wyjrzałam zza zasłony. Było już ciemno. Ale wiedziałam, że

taksówką bezpiecznie wrócić do domu. Taksówkarze byli sprawdzani przez policję, prawda?

Raymond odprowadził mnie przed dom i otworzył mi drzwi samochodu.

- Uważaj na siebie, Eleanor - powiedział. - Miłego weekendu. Zobaczymy się w poniedziałek, no nie?

- Tak, Raymondzie - odparłam. Machałam do niego, dopóki taksówka nie skręciła za róg.

24

@johnnieLrocks

Pożegnalny koncert *Pilgrim Pioneers!* Kończymy z przytupem, bez mazgajstwa. Wkrótce szczegóły.

#nieprzegap #koncertstulecia #orkanaugorze

Tym razem musiało pójść idealnie. Przeczytałam jego tweeta, a zaledwie kilka godzin później mój wzrok padł na niewielki plakat w oknie małego sklepu płytowego w pobliżu naszego biura. Widząc piękną twarz mojego muzyka, stanęłam jak wryta. Za dwa tygodnie. We wtorkowy wieczór. Znowu ręka losu, przesuwająca nas jak figury szachowe. Miałam w polu widzenia króla.

Pamiętając o swoim niedopatrzeniu z *The Cuttings*, zakonotowałam sobie nazwę klubu i zaraz po powrocie do domu zarezerwowałam przez internet dwa bilety, drugi na wypadek, gdybym zgubiła pierwszy. Może Raymond by ze mną poszedł; chociaż po namyśle uznałam, że to chyba nie najlepszy pomysł. Nie chciałam, żeby mi przeszkadzał. Kupno aż dwóch biletów okazało się jednak niekonieczne – dopiero po zakończeniu transakcji zauważyłam informację, że należy je odebrać osobiście w dniu koncertu. Nieważne.

Po kolacji i *The Archers* usiadłam z ołówkiem i podkładką do pisania, żeby sporządzić listę rzeczy do załatwienia przed koncertem. Najważniejsze po zarezerwowaniu biletów było przeprowadzenie rekonesansu w klubie, aby mieć pewność, że

wszystko pójdzie gładko i nie będzie żadnych nieprzyjemnych niespodzianek. Pomyślałam, że tu może się przydać Raymond. Moglibyśmy pójść razem na inny koncert, może już następnego dnia, co dałoby mi możliwość zbadania terenu, na którym miało nastąpić moje spotkanie z przeznaczeniem.

Sprawdziwszy, czy są jeszcze bilety na koncert, który miał się odbyć nazajutrz, napisałam e-mail:

Drogi Raymondzie, nie poszedłbyś ze mną jutro wieczorem do Rank Dan's? E.

Odpisał od razu:

A kto gra?

Jakie to ma znaczenie, do licha? Mógł sobie wygooglować, jeśli to było dla niego takie ważne. Odpowiedziałam jednak:

Agents of Insanity.

Minęło kilka minut.

Rety, Eleanor, nie wiedziałem, że kręcą cię takie rzeczy. To nie moja muza, ale pójdę z Tobą, od lat nie byłem na koncercie. Masz bilety?

Dlaczego to, dlaczego to, nie mógł pisać normalnie, po angielsku?

Mam. Do zobaczenia na miejscu o 19.00. E.

Pięć minut później odebrałam następującą wiadomość:

Super. To dozo.

Pod koniec tej e-mailowej korespondencji niemal się przyzwyczaiałam do takiego sposobu komunikowania się. To jednocześnie dobre i złe, że ludzie, jeśli muszą, uczą się tolerować prawie wszystko.

Następnego wieczoru Raymond jak zwykle się spóźnił. Wyglądał śmiesznie - włożył czarną bluzę z kapturem, a na to dżinsową kurtkę. Bluza miała z przodu trupią czaszkę.

- Pomyślałem, że odpowiednio się ubiorę - wyznał radośnie, stając przy mnie w drzwiach.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Weszliśmy do środka i odebrałam kupione przez internet bilety. Bar był kiepsko oświetlony i przypominał spelunkę. W egipskich ciemnościach siedzieli nieokrzesani, nieuczesani przedstawiciele obu płci, a z głośników płynęła niemożliwie głośna i niewyobrażalnie obrzydliwa muzyka.

Zeszliśmy po schodach do sali koncertowej. Była już prawie pełna. Kiedy przy wejściu czekałam na Raymonda, zauważyłam procesję cudacznie wyglądających młodych ludzi, którzy wchodzili do środka - okazało się, że zmierzali właśnie tu. Znaleźliśmy się w morzu czerni - czarne ubrania, czarne włosy, nastroszone, podgolone i dziwnie ułożone. Zarówno mężczyźni, jak kobiety byli umalowani na czarno, w sposób, którego nie pochwaliby Bobbi Brown. Wszędzie widniały kolce - były nimi ozdobione włosy, biżuteria, nawet plecaki. Prawie nikt nie miał butów na normalnych podszwach - wszyscy chodzili chwiejnie na grubych platformach. Cukierek albo psikus - pomyślałam. Raymond wrócił z baru, niosąc piwo

w plastikowym kubku dla siebie i coś jaśniejszego dla mnie; wcześniej nie zapytał, czego się napiję.

- Jabłecznik?! - zawołałam, przekrzykując hałas. - Raymondzie, przecież nie piję jabłecznika!

- A myślisz, że cydr to co, dziecińco? - odparł, delikatnie dźgając mnie łokciem.

Niechętnie skosztowałam łyk - napój nie był tak smaczny jak cydr, ale dał się wypić. Było za głośno, żeby rozmawiać, więc zlustrowałam salę. Scenę stanowił niewielki podest, wznoszący się z metr nad podłogą. Gdyby Johnnie Lomond stał z przodu pośrodku, dostrzegłby mnie bez trudu, nawet gdybym musiała stanąć nieco dalej w tłumie. Kupidynowi chyba czasami trzeba troszeczkę pomóc.

Nagle publiczność wydała zbiorowy zwierzęcy odgłos i rzuciła się do przodu. My zostaliśmy na swoich miejscach - muzycy wyszli na scenę i zaczęli grać. Przyłożyłam rękę do uszu, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszę. Bez żadnej przesady można to opisać jedynie jako kakofoniczny ryk piekła. Co było nie tak z tymi ludźmi? „Piosenkarz” na przemian wrzeszczał i wył.

Nie mogłam wytrzymać tego ani chwili dłużej; pobiegłam na górę i wypadłam na ulicę, dysząc i kręcąc głową jak pies, który próbuje uciec przed hałasem. Chwilę później dołączył do mnie Raymond.

- Co się stało, Eleanor? - zapytał z niepokojem. - Dobrze się czujesz?

Otarłam łzy z twarzy.

- To nie była muzyka, to było... och, sama nie wiem. Coś

straszego, Raymondzie! Coś straszego!

Wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak, że aż trząśł mu się brzuch (zresztą słusznych rozmiarów); w końcu zgiął się wpół, z trudem łapiąc oddech.

- Och, Eleanor - powiedział, oddychając chrapliwie. - Wiedziałem, że nie możesz być fanką grindcore'u! Co, do cholery, sobie myślałaś? - Znowu zaczął chichotać.

- Chciałam tylko zobaczyć ten klub, pójść na jakiś koncert - wyjaśniłam. - Że też istnieją takie dźwięki... to przechodzi ludzkie pojęcie.

Raymond już się uspokoił.

- Jak to mówią... wszystko jest dla ludzi, z wyjątkiem kazirodztwa i tańca ludowego. Może powinniśmy dodać do tej listy jeszcze muzykę heavymetalową.

Pokręciłam głową.

- Nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz... Nic z tego nie rozumiem - odparłam. Kilka razy odetchnęłam głęboko, aż doszłam do siebie. - Chodźmy do jakiegoś zajazdu czy baru albo innego miejsca publicznego, Raymondzie... tylko cichego... I pozwól, że postawię ci piwo w ramach rekompensaty za stracony wieczór.

- Och, nie jest wcale stracony - zaprzeczył, kręcąc głową. - Ta twoja mina! Dawno tak się nie ubawiłem!

Znowu zaniósł się śmiechem i ku mojemu zaskoczeniu, zaraził mnie nim. To rzeczywiście było zabawne, że wybrałam koncert akurat takiego zespołu. Zdałam sobie sprawę, że muszę jeszcze dużo nauczyć się o muzyce, aby w przyszłości porozumiewać się z moim muzykiem.

- Słyszałeś o Johnnie Lomondzie i The Pilgrim Pioneers? - zagadnęłam.

Pokręcił głową.

- Dlaczego pytasz?

Wyjęłam komórkę i weszłam na stronę Johnniego. Raymond przewinął ją, czytając tekst, a potem włożył słuchawki i posłuchał przez chwilę.

- To jakiś badziew - skwitował lekceważąco, oddając mi komórkę. I mówił to facet w bluzie z trupią czaszką!

- Tak?

- Gość ma modną bródkę, drogą gitarę, na której nie umie grać, i podrabiany amerykański akcent. Zgrywa faceta z Południa... z South Lanarkshire - ciągnął z uśmiechem, wydmuchując dym kącikiem ust.

Nie byłam na tyle obeznana z tematem, żeby zgodzić się z nim albo zaprotestować, więc milczałam. Tak czy owak, musiałam dowiedzieć się więcej o muzyce popularnej, a przypuszczałam, że Raymond, niezależnie od swoich dziwacznych opinii w tej dziedzinie, stanowił najlepsze źródło informacji.

- Więc znasz się na muzyce? - zagałam, gdy szliśmy do pubu - jak zapewnił mnie Raymond, cichego, przyzwoitego pubu dla starszych panów, cokolwiek to miało znaczyć.

- Tak, trochę - odrzekł.

- Cudownie! To, proszę, opowiedz mi o niej wszystko.

25

Nadszedł dzień, w którym miał odbyć się koncert. Wszystko było gotowe. Odpowiednio wyglądałam. Odpowiednio się czułam. Nie mogłam doczekać się wieczoru, a czas płynął tak wolno. Chciałam już działać. Wreszcie wygrać, zamiast wciąż przegrywać.

Mój muzyk. Miałam szczęście, zjawił się w samą porę. Los chciał, żeby Eleanor, począwszy od tego wieczoru wreszcie z kawałków poskładała się w jedną całość.

Jakież rozkoszne było to wyczekiwanie – aż bolesne. Nie wiedziałam, jak uśmierzyć ten ból – czułam intuicyjnie, że tu wódka nie pomoże. Musiałam cierpieć do naszego spotkania, taka już jest natura tego szczególnego błogiego brzemienia. Ale była to kwestia zaledwie kilku godzin. Wieczorem miałam poznać mężczyznę, którego miłość odmieni moje życie.

Byłam gotowa wstać z popiołów, aby się odrodzić.

Złe dni

26

Leżę naga na podłodze, patrząc na stół od spodu. Na jasnym niepolakierowanym drewnie widać wyblakłą pieczętkę z napisem „Made in Taiwan”. Na blacie leży kilka ważnych przedmiotów - nie widzę ich, ale czuję, że są tam nade mną. Ten okropny stół, niebieski blat z melaminy, rozchwiane nogi, lakier schodzący tu i tam z powodu niefrasobliwości użytkowników. W ilu kuchniach stał stół, zanim trafił do mnie?

Wyobrażam sobie ten ciąg szczęścia; zakupiwszy mebel w latach siedemdziesiątych, para ludzi siedzi przy nim, spożywając posiłki ugotowane na podstawie przepisów z nowiutkich książek kucharskich, je i pije z zastawy ślubnej jak prawdziwi dorośli. Po paru latach przeprowadzają się na przedmieścia; stół, za mały, by mogła zasiąść przy nim powiększająca się rodzina, zostaje oddany kuzynowi, który właśnie skończył studia i jak najtańszym kosztem mebluje pierwsze mieszkanie. Po kilku latach przenosi się on ze swoją dziewczyną gdzieś indziej i odnajmuje dawne lokum. Przez dziesięć następnych lat przy stole jadają kolejny najemcy, cała ich procesja, głównie młodzi ludzie, szczęśliwi i nieszczęśliwi, czasami samotni, czasami z przyjaciółmi, kochankami. Podają tu gotowe posiłki z fast foodów, żeby tylko coś przekąsić, albo wyrafinowane obiady z pięciu dań, by rozpalić czyjeś uczucia. W końcu kuzyn sprzedaje mieszkanie i pracownicy firmy porządkowej wynoszą stół. Potem marnieje on w jakimś magazynie, pająki osnuwają jedwabiem jego niemodne owalne

rogi, muchy składają jajeczka w chropawych szczelinach. Zostaje oddany na dobroczynność. I wreszcie trafia do mnie, niekochany, niechciany, nie do naprawienia. Ale jest.

Leżą na nim różne rzeczy. Środki przeciwbólowe (dwanaście opakowań po dwadzieścia cztery tabletki, kupionych na receptę i starannie zachomikowanych); nóż do chleba (prawie nieużywany, zęby rekina gotowe ugryźć); płyn do udrażniania rur („przeżera wszystko, nawet włosy i tłuszcz” - a także ciało i narządy wewnętrzne). Ten stół, stół, przy którym nigdy z nikim nie siedziałam i nie wypiałam butelki wina. Ta kuchnia, w której nigdy nie gotowałam dla nikogo oprócz siebie. Leżąc tu, na podłodze, jak zwłoki, czuję ostre okruszki wbijające mi się w plecy, ramiona, pośladki, uda, pięty. Jest zimno. Chciałabym być zwłokami. Ale już niedługo, niedługo.

W zasięgu wzroku mam puste butelki po wódce, po opróżnieniu rzucone na podłogę. Powinnam się wstydić, że ktoś znajdzie to miejsce w takim stanie, ale nie czuję wstydu. W końcu wyniosą moje ciało i przyjdzie ekipa sprzątająca. Mieszkanie zostanie ponownie wynajęte. Mam nadzieję, że nowi lokatorzy będą tu szczęśliwi, że zostawią dla następnych lokatorów jakieś ślady miłości na ścianach, podłodze, wokół okien. Ja nie zostawiłam po sobie nic. Nigdy mnie tu nie było.

Nie wiem, jak długo już tak leżę. Nie pamiętam, jak to się stało, że wylądowałam na podłodze kuchni ani dlaczego jestem naga. Sięgam po najbliższej leżącej butelkę, pełna obaw, ile w niej jeszcze znajdę, i natychmiast czując ulgę, bo jest dość ciężka. To jednak ostatnia. Kiedy ją ostatecznie opróżnię,

będę miała wybór: albo wstać, ubrać się i pójść po następne; albo się zabić. W końcu i tak się zabiję. To tylko kwestia ilości wypitej wódki. Pociągam duży łyk i czekam, aż ból ustąpi.

Budzę się znowu, w tym samym miejscu. Minęło dziesięć minut czy dziesięć godzin - nie mam pojęcia. Przybieram pozycję embrionalną. Jeśli nie mogę być zwłokami, to chciałabym być dzieckiem, skulonym w łonie jakiejś innej kobiety, czystym i upragnionym. Poruszam się, zwracam twarz ku podłodze i wymiotuję. Wymiociny są przezroczyste, z pasemkami czegoś żółtozielonego - alkohol i żółć. Od dawna nic nie jadłam.

Mam w sobie tyle płynów i substancji; leżąc, próbuję je policzyć. Woskowina. Żółta ropa w krostach. Krew, śluz, mocz, kał, kwasy żołądkowe, żółć, ślina, łzy. Jestem jak witryna u rzeźnika, podroby, duże i małe, różowe, szare, czerwone. Wszystko to wciśnięte między kości, zamknięte pod skórą, porośnięte włoskami. Skóra jest pełna skaz, usiana pieprzykami, piegami, pękniętymi naczynkami. I oczywiście, bliznami. Myślę o patologu, badającym te zwłoki, który zauważa każdy szczegół, waży każdy narząd. Inspekcja sanitarna, badanie mięsa. Ocena niedostateczna.

To niewiarygodne, że kiedykolwiek myślałam, że ktoś mógłby pokochać ten chodzący worek krwi i kości. Niepojęte. Przypominam sobie tamten wieczór - kiedy to było, przed trzema, czterema dniami? - i znowu wyciągam rękę po butelkę wódki. I znowu rzygam, na samo wspomnienie.

Dzień od początku źle się zapowiadał. Tamtego ranka uschła

Polly. Wiem, jak żałośnie to brzmi. Ta roślina była jednak moim jedynym żywym łącznikiem z dzieciństwem, jedyną stałą między życiem przed pożarem i po nim, jedyną rzeczą, oprócz mnie samej, która przetrwała. Myślałam, że jest niezniszczalna, sądziłam, że będzie żyła i żyła, że na miejsce spadających liści będą wyrastać nowe. W ostatnich tygodniach zapomniałam o obowiązkach, byłam zbyt zajęta szpitalami, pogrzebami i Facebookiem, żeby regularnie ją podlewać. Kolejne istnienie, o które nie umiałam się zatroszczyć. Nie nadawałam się do opieki nad nikim i niczym. Zbyt otępiała, żeby płakać, wrzuciłam roślinę do kosza, z doniczką, ziemią i tak dalej, i zobaczyłam, że przez te wszystkie lata trzymała się życia tylko za pośrednictwem delikatnych słabych korzonków.

Życie jest takie kruche. Oczywiście, wiedziałam o tym. Nikt nie mógł tego wiedzieć lepiej ode mnie. Zdaję sobie sprawę, jakie to śmieszne, jakie żałosne, ale czasami, w najmroczniejszych dniach, tylko świadomość, że roślina umrze, jeśli jej nie podleję, skłaniała mnie, by wstać z łóżka.

Mimo to tamtego dnia po powrocie z pracy wyniosłam śmieci, przebrałam się i przygotowałam do wyjścia na koncert. Poszłam sama. Zależało mi na tym, żebyśmy poznali się bez świadków, tylko ja i on, by nic nas nie rozpraszało, nie odciągało. Chciałam, żeby coś się stało, cokolwiek. Nie mogłam iść dalej przez życie, omijając je. I tamtego wieczoru się stało. Przede wszystkim uświadomiłam sobie, że mój muzyk nawet nie wie, że tam jestem. A skąd miałby, u licha, wiedzieć? Dlaczego sądziłam, że będzie wiedział? Czy byłam

głupia, oszukiwałam samą siebie, straciłam kontakt z rzeczywistością? Wybierajcie.

Co za żenada. Stałam na środku, śmiesznie wystrojona w nowe ciuchy, umalowana jak klaun, chwiejąc się na obcasach. Kiedy wszedł na scenę, byłam na tyle blisko, by widzieć, że zawiązał sznurowadła podwójnie i że na oczy opada mu kosmyk włosów. W dłoniach trzymał gitarę; miał starannie wymanikiurowane paznokcie. Padały na niego światła, podczas gdy ja znajdowałam się w ciemności. Sądziłam jednak, że mimo to mnie zobaczy. Jeśli tak miało być, a na pewno miało, zobaczy mnie, tak jak ja przez te wszystkie tygodnie widziałam jego. Stałam bez ruchu i patrzyłam. Zespół zaczął grać, a on otworzył usta, żeby zaśpiewać. Mogłam nawet dostrzec jego zęby, jasnoróżowe podniebienie. Pierwsza piosenka się skończyła i zaczęła druga. Mówił do publiczności, ale nie do mnie. Wciąż stałam i czekałam, przeczekałam następną piosenkę. I następną. Ale on nadal mnie nie widział. I stopniowo, gdy tak tkwiłam poza kręgiem światła, odporna na niedocierającą do mnie muzykę, w tłumie niemogącym się przebić przez warstwę samotności, która mnie otaczała, zaczęłam rozumieć. Zamrugałam powiekami, raz i drugi, jakbym chciała zobaczyć wyraźniej, i wreszcie do mnie dotarło.

Byłam trzydziestoletnią kobietą, zadurzoną jak nastolatka w mężczyźnie, którego nie znałam i nie miałam poznać. Wmówiłam sobie, że to ten jedyny, że pomoże mi stać się kimś normalnym, że naprawi to wszystko w moim życiu, co było nie tak. Że poradzi sobie z mamą, uciszy jej głos, szepczący mi do

ucha, że jestem beznadziejna, do niczego, nie dość dobra. Skąd ten pomysł?

Nigdy nie spodobałaby mu się taka kobieta jak ja. Obiektywnie był bardzo atrakcyjnym mężczyzną i mógł przebierać w potencjalnych partnerkach jak w ulęgałkach. Wybrałby równie atrakcyjną i w dodatku o kilka lat młodszą. Oczywiście, że tak. Stałam tam, w piwnicy, w czwartkowy wieczór sama, w otoczeniu obcych ludzi, słuchając muzyki, której nie lubiłam; zakochałam się w mężczyźnie, który nie wiedział o moim istnieniu i nigdy nie miał się o nim dowiedzieć. Uświadomiłam sobie, że nie słyhać już muzyki.

On tymczasem stał na scenie, wciskając pedały gitary i podczas strojenia mówiąc jakieś banały o trasie koncertowej. Kim był ten nieznajomy i dlaczego ze wszystkich mężczyzn w tym mieście, w tym kraju, na całym świecie, wybrałam na swojego zbawcę akurat jego? Przypomniała mi się notatka prasowa, którą czytałam poprzedniego dnia, o tym, że młodzi fani pewnego piosenkarza płakali pod jego domem, bo obciął włosy. Śmiałam się z tego, ale czyż nie byłam jak oni, nie zachowywałam się jak zakochana nastolatka, która pisze do swojego idola listy miłosne purpurowym atramentem i wycina jego imię na torbie szkolnej?

Nie znałam tego mężczyzny stojącego na scenie, nic o nim nie wiedziałam. To wszystko było czystą fantazją. Czy może być coś bardziej żałosnego? Czy tak postępuje dorosła kobieta? Uwierzyłam w smutną bajeczkę, sądząc, że wszystko zmienię, wymażę przeszłość, on i ja będziemy żyli szczęśliwie, a mama przestanie się nade mną pastwić. Byłam Eleanor, małą

żałosną Eleanor Oliphant, ze swoją żałosną pracą, wódką i samotnymi kolacjami, i miałam nią pozostać. Nikt i nic – a już na pewno nie ten muzyk, który podczas solówki zespołu oglądał w telefonie swoją fryzurę – nie mogło tego zmienić. Nie było dla mnie nadziei, sytuacji nie dało się naprawić. Mnie nie dało się naprawić. Nie można uciec przed przeszłością ani nie można jej cofnąć. Po tych wszystkich tygodniach złudzeń nagle dotarła do mnie brutalna naga prawda. Poczulałam jednocześnie rozpacz i mdłości, a potem dopadł mnie znajomy czarny nastrój.

Znowu zasnęłam. Kiedy się obudziłam, wreszcie z mojej głowy uleciały wszystkie myśli oprócz jednej: „Zimno mi, cała się trzęsę”. Przyszła pora decyzji. Na razie wybrałam wódkę.

Wstałam – tak powoli, jak przebiega ewolucja – zobaczyłam bałagan na podłodze i kiwnęłam głową; to był dobry znak. Może umrę, zanim będę musiała wybrać któryś ze środków na stole. Zdjęłam z haczyka ścierkę – „Pamiętkę z wału Hadriana”, jak głosił napis. Przystawiała centuriona i pieczęć SPQR. Moja ulubiona. Wytarłam nią twarz, a potem wylądowała na podłodze w kuchni.

Nie zwracałam sobie głowy bielizną, tylko wciągnęłam na siebie ciuchy z podłogi – te, które miałam na sobie w czwartkowy wieczór. Wsadziłam stopy w buty na rzepy i wyjęłam z szafy w przedpokoju swój stary bezrękawnik. Uświadomiłam sobie, że nie wiem, gdzie jest niedawno kupiony płaszcz. Torebkę jednak musiałam znaleźć. Przypomniałam sobie, że tamtego dnia wzięłam tę nową, czarną. Mieściły się w niej tylko portmonetka i klucze. Klucze

leżały na półce w przedpokoju, gdzie zawsze je kładłam. W końcu znalazłam w przedpokoju także torebkę, rzuconą w kąt obok dużej torby. W portmonetce nie było żadnych pieniędzy - nie pamiętałam, jak wróciłam do domu ani kiedy kupiłam wódkę, ale uznałam, że musiałam to zrobić w drodze z centrum. Na szczęście, w torebce były obie karty kredytowe. A także bilet na koncert. Rzuciłam go na podłogę.

Zeszłam do sklepu na rogu. Był zimny, pochmurny i szary dzień. Kiedy przekroczyłam próg, rozległ się dzwonek elektroniczny i pan Dewan uniósł wzrok. Zauważyłam, że mimowolnie wytrzeszczył oczy i lekko otworzył usta.

- Pani Oliphant? - zapytał cicho, ostrożnie.

- Poproszę trzy litrowe butelki Glen's - powiedziałam. Mój głos brzmiał dziwnie - był ochrypliwy i łamał się. Nie odzywałam się od dłuższego czasu, tylko wymiotowałam.

Pan Dewan postawił przede mną jedną butelkę, a potem jakby się zawahał.

- Trzy, pani Oliphant? - upewnił się. Kiwnęłam głową. Powoli postawił na ladzie jeszcze dwie butelki. Wszystkie stały w szeregu jak kręgle, które musiałam przewrócić, obalić.

- Coś jeszcze? - spytał.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie poprosić o bochenek chleba albo puszkę spaghetti, ale stwierdziłam, że w ogóle nie jestem głodna. Pokręciłam więc głową i podałam kartę kredytową. Ręka mi drżała i starałam się nad tym zapanować, ale bezskutecznie. Wystukałam PIN i w nieskończoność czekałam na wydrukowanie potwierdzenia.

Na ladzie obok kasy leżał plik wieczornych gazet i zobaczyłam, że jest piątek. Na ścianie wisiało lustro, które pan Dewan umieścił tam, żeby widzieć wszystkie zakątki sklepu. Ujrzałam swoje obicie. Cerę miałam białoszarą, w kolorze larwy, a włosy potargane. Oczy stanowiły ciemne dziury, puste, martwe. Odnotowałam to wszystko z całkowitą obojętnością. Nic nie mogło mieć dla mnie mniejszego znaczenia niż wygląd, zupełnie nic. Pan Dewan podał mi butelki w niebieskiej plastikowej torbie. Jej zapach, chemiczna woń polimerów, tylko wzmógł u mnie mdłości.

- Proszę na siebie uważać, pani Oliphant - powiedział, przechylając głowę na bok, bez uśmiechu.

- Do widzenia, panie Dewan - odparłam.

Do domu miałam dziesięć minut drogi, ale pokonanie jej zajęło mi tym razem pół godziny - ze względu na butelki w torbie i ołów w nogach. Na ulicach nie widziałam żywej duszy, nawet kota ani sroki. Światło było mętne, świat wydawał się w nim szaro-czarny, ten brak jakiegokolwiek koloru mnie dobił. Kopniakiem zamknęłam za sobą drzwi mieszkania i zrzuciłam z siebie ciuchy, zostawiając je w przedpokoju, tam, gdzie upadły. Zauważyłam, że śmierdzą - potem, rzygowinami i czymś nieświeżym, pewnie strawionym alkoholem. Zniosłam plastikową torbę do sypialni i wciągnęłam na siebie żółtą koszulę nocną. Weszłam pod kołdrę i sięgnęłam na oślep po butelkę.

Wypiłam wódkę ze skupieniem i determinacją mordercy, ale moje myśli nie dały się w niej utopić - jak odrażające wzdęte zwłoki, które w swojej bladej szpetocie wciąż unosiły się na

powierzchni. Była też, oczywiście, zgroza wywołana własną ślepotą: on, ja... co sobie wyobrażałam? I co gorsza, wstyd. Skuliłam się w łóżku. Kompromitacja. Zrobiłam z siebie idiotkę. Jestem żaloszna, jak zawsze mówiła mi mama. Wyrwał mi się jęk, zwierzęcy skowyt, który pochłonęła poduszka. Nie mogłam otworzyć oczu. Nie chciałam ujrzeć ani skrawka własnej skóry.

Myślałam, że tak łatwo rozwiążę swój problem, jakby to, co działo się przez te wszystkie lata, dało się naprawić. Wiedziałam przecież, że ludzie nie powinni żyć tak jak ja, w nieprzerwanym cyklu: praca, wódka i sen, w którym funkcjonowałam, który sobie narzuciłam, w milczeniu i samotności. Zmierzając donikąd. Gdzieś w głębi duszy zdawałam sobie sprawę, że to jest złe. Podniosłam głowę tylko na tyle, aby to dostrzec, i w desperackim pragnieniu zmiany uczepiłam się źdźbła, pozwoliłam mu się unieść, snując wizje jakiejś... przyszłości.

Skuliłam się znowu. Nie, właściwie nie. Kulenie się jest oznaką wstydu, zakłopotania. To moja dusza skurczyła się i znikła, przeszła w egzystencjalny niebyt tam, gdzie wcześniej była osoba. Dlaczego w ogóle pozwoliłam sobie myśleć, że mogłabym wieść normalne, szczęśliwe życie, takie, jakie wiodą inni? Dlaczego sądziłam, że muzyk może stać się jego częścią? Odpowiedź mnie dobija: z powodu mamy. Pragnęłam, żeby mnie kochała. Tak długo byłam sama. Chciałam mieć przy sobie kogoś, kto pomoże mi sobie z nią poradzić. Dlaczego nikogo takiego nie było?

Raz po raz odtwarzałam w głowie tamtą scenę,

przypominając sobie drugą rzecz, którą tamtego wieczoru zrozumiałam. Było już późno i stałam nieco dalej, w samym środku tłumu. Poszłam po następnego drinka, a kiedy wróciłam, nie zdołałam utorować sobie drogi pod scenę. Wypiłam wódkę – szóstą? Siódmą? Nie pamiętam. Z miejsca, gdzie się znajdowałam, nie widział mojej twarzy, wiedziałam o tym. Zespół przestał grać – któryś z muzyków zerwał strunę i trzeba ją było wymienić.

Wtedy on pochylił się do mikrofonu i uniósł brew. Zobaczyłam jego piękny leniwy uśmiech. Spojrzał niewidzącym wzrokiem w ciemność.

– To co teraz zrobimy? Davie cholernie długo wymienia tę strunę, nie sądzicie? – Zwrócił się w stronę poważnego mężczyzny, który nie podnosząc głowy znad gitary, pokazał mu środkowy palec. – Mam coś dla was, panie, żebyście się nie nudziły! – zawołał, a potem się odwrócił, rozpiął pasek, opuścił dzinsy i zakręcił swoim białym tyłkiem.

Niektórzy na widowni się zaśmiali. Inni zaczęli rzucać obelgi. On odpowiedział obscenicznym gestem. Zrozumiałam z niezwykłą jasnością, że człowiek stojący przede mną na scenie to straszny dupek, bez cienia wątpliwości. Zespół zagrał następną piosenkę, wszyscy zaczęli podskakiwać, a ja wylądowałam w barze, gdzie poprosiłam o podwójną wódkę.

Później. Znowu się obudziłam. Nie otwierałam oczu. Coś mnie zaciekawiło. Jaki jest – pomyślałam – sens mojego istnienia? Nic świata nie dałam, zupełnie nic, choć również nic od niego nie dostałam. Kiedy odejdę, nikt nawet tego nie zauważy.

W przypadku większości ludzi ich odejście z tego świata byłoby osobistą stratą przynajmniej dla garstki bliskich. Ja jednak nikogo takiego nie miałam.

Nie rozświecłam pokoju, kiedy do niego wchodziłam. Nikt nie pragnie mnie zobaczyć ani usłyszeć mojego głosu. Nie użalam się nad sobą, wcale nie. To tylko stwierdzenie faktu.

Przez całe życie czekam na śmierć. To nie znaczy, że chcę umrzeć, tylko że nie chcę dalej żyć. Teraz coś się zmieniło i zrozumiałam, że nie muszę na nią czekać. Nie mam ochoty. Odkręciłam butelkę i pociągnęłam haust.

Och, ale do trzech razy sztuka, czy nie tak się mówi? Najlepsze zostało na deser i wydarzyło się w finale. Patrzyłam na scenę przymglonym wzrokiem - z powodu wódki - i nie dowierzałam własnym oczom. Zmrużyłam je, aby się upewnić, że widzę to, co mi się wydaje. Dym; szary, gęsty, śmiertelnie niebezpieczny dym, wydobywający się z boku sceny i sunący wzdłuż niej. Sala zaczęła się nim wypełniać. Stojący obok mnie facet zakasłał; reakcja psychosomatyczna, bo suchy łód nie powoduje takiego odruchu. Poczułam, że ten dym mnie zasnuwa, a światła i lasery przebijają się przez niego. W tym momencie znowu znalazłam się tam, w domu, na piętrze. Ogień. Usłyszałam krzyki i nie mogłam się zorientować, czy to ja krzyczę, czy ktoś inny. Dźwięki bębna były równie szybkie jak bicie mojego serca, dźwięki werbla - płytkie jak puls. Sala całkiem wypełniła się dymem, tak że nic już nie widziałam. Krzyki, moje i jej. Bęben, werbel. Przyływ adrenaliny, coraz większe tempo, mdląco silne, zbyt silne jak na moje małe ciało, na każde ciało. Wrzaski. Próbowaliśmy się wydostać, pokonując

kolejno przeszkody, potykając się, dysząc, aż wypadłam na dwór, w ciemną noc. Znalazłszy się pod murem, osunęłam się po nim i upadłam na ziemię, wciąż mając w uszach krzyki, a w ciele dudnienie. Zwymiotowałam. Żyłam. Byłam sama. W całym wszechświecie nie było istoty, która czułaby się bardziej samotna ode mnie. Ani gorsza.

Obudziłam się kolejny raz. Nie zaciągnęłam zasłon i do pokoju wpadało światło, blask księżyca. To słowo przywodzi na myśl romans. Jedną dłonią ujęłam drugą, próbując sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby ktoś trzymał mnie za rękę. Były takie chwile, kiedy myślałam, że umrę z samotności. Ludzie czasami mówią, że mogą umrzeć z nudów, że umierają z ciekawości, ale dla mnie „umrzeć z samotności” to nie przerośnia. Gdy tak się właśnie czuję, gdy chodzę z opuszczoną głową, opadają mi ramiona i boleśnie, wręcz fizycznie pragnę kontaktu z innym człowiekiem – naprawdę mam wrażenie, że upadnę na ziemię i umrę, jeśli ktoś mnie nie dotknie, nie przytuli. Nie mam tu na myśli kochanka – pomijając to ostatnie szaleństwo, dawno już porzuciłam nadzieję, że będę w ten sposób kochana – ale po prostu innego człowieka. Masaż głowy u fryzjera, szczepienie na grypę poprzedniej zimy – ludzie dotykają mnie, tylko kiedy im za to płacę, a i wtedy przeważnie używają jednorazowych rękawiczek. To tylko stwierdzenie faktu.

Innym ten fakt się nie podoba, ale co ja na to poradzę. Gdy ktoś cię pyta, jak się masz, powinieneś odpowiedzieć: „Dobrze”. Nie należy odpowiadać, że płakałaś przed snem do poduszki, bo od dwóch dni nie miałaś z kim porozmawiać.

Odpowiadasz: „Mam się dobrze”.

Kiedy Bob mnie zatrudnił, pracowała u niego starsza kobieta, która miała do emerytury kilka miesięcy. Często się zwalniała, bo opiekowała się siostrą, chorą na raka jajnika. Nigdy jednak nie wspominała o raku, nie mówiła o tej chorobie po imieniu, wyrażała się o niej oględnie. Wtedy takie podejście było uważane za całkiem normalne. Teraz samotność to nowy rak - wstydliva, żenująca przypadłość, której człowiek nabawił się w niejasny sposób. Przeróżająca, nieuleczalna, tak straszna, że lepiej w ogóle o niej nie wspominać; inni nie chcą o niej słyszeć z obawy, że mogliby się nią zarazić albo skusić los, by zesłał na nich podobne nieszczęście.

Podniosłam się i na czworakach, niczym stary pies, podeszłam do okna. Zaciągnęłam zasłony, żeby nie widzieć księżycy. Padłam z powrotem na kołdrę i ponownie sięgnęłam po butelkę.

Usłyszałam jakieś walenie - łup, łup, łup - i głos męczyzny, który wykrzykiwał moje imię. Właśnie śniła mi się kostnica w ogniu i krwi, więc trwało wieczność, zanim uświadomiłam sobie, że to walenie jest realne i dobiega zza drzwi wejściowych. Desperacko pragnęłam, żeby ustało, ale w tej desperacji nie byłam w stanie wymyślić na to innego sposobu, jak tylko otworzyć drzwi. Nogi mi drżały i idąc, musiałam opierać się o ścianę. Gmerając przy zamkach, spojrzałam na swoje stopy - małe, białe, jakby marmurowe. Na jednej, tuż przy palcach, widniał wielki siniak, purpurowozielony. Zdziwiło mnie się to - nic nie czułam, nic mnie nie bolało i nie pamiętałam, jak się go nabawiłam. Równie dobrze mógł być

namalowany.

W końcu udało mi się otworzyć drzwi, ale nie mogłam podnieść głowy, nie miałam siły spojrzeć w górę. Walenie ustało. O nic innego mi nie chodziło.

- Jezu! - powiedział męski głos.

- Eleanor Oliphant - odparłam.

Kiedy obudziłam się znowu, leżałam u siebie na kanapie. Czułam pod rękami coś szorstkiego, dziwnego, i dopiero po chwili się zorientowałam, że zamiast kocem jestem przykryta ręcznikami. Nie ruszając się, powoli oceniłam sytuację. Było mi ciepło. W głowie mnie łupało. W brzuchu czułam ostry ból, pulsujący jak krew. Otworzyłam usta i usłyszałam dźwięk odłączania się wnętrza ust od dziąseł, przypominający rozdzielanie cząstek pomarańczy. Miałam na sobie swoją żółtą koszulę nocną.

Dobiegło mnie jakieś dudnienie, odgłos przewalania się; nie pochodziły z mojego ciała i w końcu je zidentyfikowałam; ich źródłem była pralka. Otworzyłam ostrożnie jedno oko - było zaklejone - i zobaczyłam, że salon wygląda jak dawniej; patrzyła na mnie żaba-puf. Żyje? Miałam taką nadzieję, ale tylko dlatego, że gdyby tak miało wyglądać życie po śmierci, natychmiast złożyłabym reklamację. Obok, na niskim stoliku przed kanapą, stała duża szklanka wódki. Wyciągnęłam drżącą rękę, wzięłam tę szklankę i podniosłam do ust, nie roniąc z niej zbyt wiele. Wypiłam jej zawartość do połowy, zanim zdałam sobie sprawę, że to woda. Zebrało mi się na mdłości, kiedy poczułam, jak przelewa się i gulgocze w moim żołądku. Kolejny zły znak - ktoś zamienił wódkę w wodę. Takich cudów nie lubiłam.

Położywszy się znowu, usłyszałam inne odgłosy, kroki. Ktoś nucił, mężczyzna. Był w mojej kuchni? Zdziwiło mnie, jak

daleko rozchodził się dźwięk. Zawsze przebywałam tu sama, nie nawykłam do tego, żeby inna osoba kręciła się po moim mieszkaniu. Upiłam jeszcze wody i zaczęłam się dławić, co przeszło w napad kaszlu i skończyło się odruchem wymiotnym. Po chwili ktoś niepewnie zapukał do pokoju i zza drzwi wyjrzała twarz – Raymonda.

Zapragnęłam umrzeć – tym razem, choć naprawdę tego chciałam, odczułam to także w sensie metaforycznym. Och, no naprawdę, pomyślałam niemal z rozbawieniem; jak rozpaczliwie, na jak wielu poziomach, człowiek musi pragnąć śmierci, zanim wreszcie ją spotka? Proszę...

Raymond uśmiechnął się do mnie ze smutkiem i zapytał cicho:

– Jak się czujesz, Eleanor?

– Co się stało? – wykrztusiłam. – Co robisz w moim domu?

Wszedł do pokoju i stanął przy moich stopach.

– Nie martw się. Wyjdiesz z tego.

Zamknęłam oczy. Żadne z tych dwóch zdań nie stanowiło odpowiedzi na moje pytania i nie to chciałam usłyszeć.

– Jesteś głodna? – ciągnął delikatnie.

Zastanowiłam się. Źle się czułam, bolał mnie brzuch. Może miało to związek z głodem? Nie wiedziałam, więc tylko wzruszyłam ramionami. Raymond przyjął to z wyraźnym zadowoleniem.

– W takim razie przyniosę ci zupy – powiedział.

Z zamkniętymi oczami opadłam na plecy.

– Tylko nie z soczewicy.

Wrócił po kilku minutach, więc powoli, bardzo powoli

podniosłam się do pozycji siedzącej, starając się nie zrzucić okrywających mnie ręczników. Raymond podgrzał w kubku zupę pomidorową i postawił ją przede mną na stoliku.

- A łyżka? - zapytałam.

Nie odpowiedział, tylko poszedł po nią do kuchni i wrócił. Wzięłam ją w prawą rękę i próbowałam zjeść trochę zupy. Ale dłoń tak mi drżała, że nie mogłam bez rozlewania donieść płynu do ust.

- Tak właśnie myślałem... Najlepiej będzie ją wypić - podsunął delikatnie Raymond, a ja skinęłam głową.

Przysiadł na fotelu i patrzył, jak piję. Żadne z nas się nie odzywało. Skończyłam i odstawiłam kubek na stół, czując, jak po moim ciele rozchodzi się ciepło, a w żyłach zaczynają krążyć sole i cukier. Tykanie zegara nad kominkiem wydawało się niezwykle głośne. Dopłam szklanekę wody, a wtedy Raymond bez pytania poszedł napełnić ją ponownie.

- Dziękuję ci - powiedziałam, kiedy wrócił i podał mi ją.

Nic nie mówił, tylko wstał i wyszedł z pokoju. Pralka ucichła i usłyszałam dźwięk otwieranych drzwiczek, a później znowu kroki. Raymond wrócił, podszedł do mnie i wyciągnął rękę.

- Chodź.

Próbowałam podnieść się sama, ale nie dałam rady. Raymond musiał mnie wesprzeć i objąć w pasie, żebym mogła pokonać przedpokój. Drzwi do sypialni były otwarte, na łóżku znajdowała się czysta pościel. Posadził mnie na nim, podniósł mi nogi i pomógł ułożyć się pod kołdrę. Pościel pachniała świeżością - było ciepło i przytulnie, jak w ptasim gnieździe.

- A teraz odpocznij - odezwał się cicho, zaciągając zasłony

i wyłączając światło.

Zasnęłam kamiennym snem.

Musiałam spać co najmniej pół dnia. Obudziwszy się wreszcie, sięgnęłam po stojącą przy łóżku szklankę i wypłam całą jej zawartość na raz. Mój organizm domagał się wody, wewnątrz i na zewnątrz, więc niepewnie, małymi krokami, poszłam do łazienki. Kiedy stanęłam pod prysznicem, zapach mydła był jak ogród. Zmyłam z siebie cały brud, wszystkie zewnętrzne warstwy, tak że wyszłam różowa, czysta i rozgrzana. Wytarłam się delikatnie, bardzo delikatnie, pełna obaw, że zerwę z siebie skórę, po czym włożyłam czyste ubranie, najczystsze i najbardziej miękkie, jakie kiedykolwiek miałam na sobie.

Podłoga w kuchni aż lśniła, wszystkie butelki zostały wyniesione, a blaty wytarte. Na jednym z krzeseł leżała sterta złożonego prania. Stół był pusty, stał na nim tylko wazon – jedyny, jaki miałam – z żółtymi tulipanami. I oparta o niego kartka:

W lodówce masz coś do jedzenia. Staraj się pić jak najwięcej wody. Zadzwon do mnie, kiedy wstaniesz. R. x

Na dole zanotował swój numer telefonu. Usiadłam i popatrzyłam na kartkę, a potem na słoneczne kwiaty. Nigdy nie dostałam od nikogo kwiatów. Nie przepadałam za tulipanami, ale skąd Raymond miał o tym wiedzieć. Rozpłakałam się, cała drżąca zaczęłam szlochać i wyć jak zwierzę. Wydawało mi się, że już nie przestanę, że nie będę

mogła. W końcu jednak się uspokoiliam, ze zwykłego fizycznego wyczerpania. Oparłam czoło o blat stołu.

Zdałam sobie sprawę, że z moim życiem stało się coś złego. Coś bardzo złego. Przecież nie tak miało wyglądać. Niczyje życie nie powinno tak wyglądać. Problem polegał na tym, że nie umiałam go zmienić. Wiedziałam, że mama postępowała źle. Nikt jednak nie pokazał mi, jak żyć, i chociaż starałam się ze wszystkich sił, nie umiałam naprawić sytuacji. Nie potrafiłam poradzić sobie z sobą samą.

Zaparzyłam herbaty i podgrzałam jedzenie, które Raymond zostawił mi w lodówce. Stwierdziłam, że jestem bardzo głodna. Później umyłam naczynia i sztućce, i zostawiłam je na suszarce z poprzednimi, pozostawionymi do wyschnięcia. Poszłam do salonu i wzięłam telefon. Odebrał po drugim sygnale.

- Eleanor... dzięki Bogu - powiedział. - Jak się czujesz?

- Cześć, Raymondzie - odparłam.

- Jak się czujesz? - powtórzył z niepokojem.

- Dobrze, dzięki. - Wiedziałam, że tak należy odpowiadać.

- Do cholery, Eleanor. „Dobrze”. Na Boga! - wykrzyknął. -

Przyjadę za godzinę, dobra?

- Raymondzie, naprawdę nie ma potrzeby - sprzeciwiłam się spokojnie. - Zjadłam... coś... - Nie miałam pojęcia, która jest godzina, więc nie wiedziałam, czy był to obiad, czy kolacja, a nie chciałam zgadywać. - Wzięłam prysznic, teraz trochę sobie poczytam i wcześniej położę się do łóżka.

- Będę za godzinę - skwitował stanowczo, po czym się rozłączył.

Kiedy otworzyłam drzwi, trzymał przed sobą butelkę napoju gazowanego z kofeiną i paczkę żelków. Uśmiechnęłam się z przymusem.

- Wejdz - powiedziałam.

Byłam ciekawa, jak dostał się do środka wcześniej, bo nie pamiętałam, żebym go wpuszczała. Czy coś wtedy mówiłam, w jakim byłam stanie? Serce zabiło mi mocniej z niepokoju i zdenerwowania. Czy go skłęłam? Byłam naga? Zaszło między nami coś strasznego? Poczułam, że butelka wysuwa mi się z ręki; upadła na podłogę i potoczyła się po niej. Raymond ją podniósł, drugą ręką wziął mnie za łokieć i zaprowadził do kuchni. Posadził mnie przy stole i wstawił wodę na gaz. Powinnam być zła, że tak się u mnie rządzi, ale czułam tylko ulgę, wielką ulgę, że ktoś się mną opiekuje.

Wreszcie zasiedliśmy po przeciwnych stronach stołu z filiżankami herbaty i przez chwilę nic nie mówiliśmy. Raymond odezwał się pierwszy.

- Co się stało, Eleanor, do cholery? - zapytał.

Ze zdumieniem usłyszałam drzenie w jego głosie, jakby był bliski łez. W odpowiedzi tylko wzruszyłam ramionami. Wtedy wyraźnie stracił cierpliwość.

- Eleanor, przez trzy dni nie było cię w pracy. Bob naprawdę zaczął się martwić, tak jak wszyscy. Wziąłem od niego twój adres, przyjechałem, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, i znalazłem cię... znalazłem...

- Gotową się zabić? - dokończyłam.

Przetarł dłońmi twarz i zauważyłam, że jeszcze chwila i się rozpłacze.

- Posłuchaj, jesteś bardzo skrytą osobą, i to mi nie przeszkadza, ale przecież się przyjaźnimy, no nie? Możesz ze mną pogadać. Nie duś tego w sobie.

- A co to da? - zapytałam. - Czy powiedzenie komuś, jak bardzo jest się nieszczęśliwym, coś zmieni? Przecież nic z tym nie można zrobić?

- Może nie zawsze można coś zrobić, masz rację - odparł. - Ale już samo mówienie pomaga. Inni też mają kłopoty, przecież wiesz. I rozumieją, jak to jest być nieszczęśliwym. Trzeba dzielić się swoimi problemami...

- Nie sądzę, aby ktokolwiek na tym świecie był w stanie mnie zrozumieć - oświadczyłam. - Taka jest prawda. Nikt nie przeszedł przez to, co ja. I żyję - podkreśliłam.

- Przekonaj się. - Popatrzył na mnie, a ja na niego. - Dobra, jeśli nie chcesz porozmawiać ze mną, to są inni. Psychologowie, terapeuci...

Prychnęłam - bardzo nieelegancko.

- Psychologowie! „Usiądźmy i porozmawiajmy, od razu ci ulży”. Nie sądzę, Raymondzie.

Uśmiechnął się.

- Skąd możesz wiedzieć, dopóki nie spróbujesz? Co masz do stracenia? To żaden wstyd, że ma się... depresję albo inną chorobę psychiczną... czy co tam...

Niemal udławiłam się herbatą.

- Chorobę psychiczną? O czym ty mówisz, Raymondzie? - Pokręciłam głową.

Uniósł ręce w pojednawczym geście.

- Spokojnie, nie jestem lekarzem. Tylko... hm... nie wydaje

mi się, żeby ktoś, kto planuje samobójstwo, pijąc do nieprzytomności, był w dobrym stanie.

To było tak zabawne podsumowanie, że niemal się zaśmiałam. Raymond zazwyczaj nie był skłonny do przesady, ale tym razem go poniosło i nie mogłam pozwolić, żeby ten z pozoru trafny opis sytuacji został uznany za prawdę.

- Raymondzie, zwyczajnie po stresującym wieczorze wypiałam za dużo alkoholu, i tyle. To jeszcze nie żadna choroba.

- Gdzie byłaś tamtego dnia? - zapytał. - Co się wydarzyło?

Wzruszyłam ramionami.

- Poszłam na koncert - wyjaśniłam. - Nie był najlepszy.

Żadne z nas przez chwilę się nie odzywało.

- Eleanor - zaczął w końcu - to poważna sprawa. Gdybym w porę nie przyszedł, mogłabyś już nie żyć, może byś się zapiła na śmierć albo zadławiła własnymi rzygami. O ile wcześniej nie przedawkowałaś pigułek.

Przechyliłam głowę i zastanowiłam się nad tym.

- Dobrze. Przyznaję, że czułam się bardzo nieszczęśliwa. Ale czy każdy od czasu do czasu nie bywa smutny?

- Oczywiście, że tak - potwierdził spokojnie. - Ale kiedy ludziom jest smutno, trochę sobie popłaczą, może objedzą się lodami, zostaną przez całe popołudnie w łóżku. Nie myślą o wypiciu udrażniacza do rur ani o podcięciu sobie żył nożem do chleba.

Mimo woli wzdrygnęłam się na myśl o piłkowanym ostrzu. Niechętnie przyznałam mu rację.

- Niech ci będzie, Raymondzie - odrzekłam. - Nie będę się

wypierać.

Położył ręce na moich ramionach. Miał silny uścisk.

- Pomyślisz przynajmniej o pójściu do lekarza? To nie zaszkodzi, prawda?

Kiwnęłam głową. Rozumował logicznie, a z logiką trudno dyskutować.

- Mam się z kimś skontaktować w twoim imieniu? - zapytał.

- Z jakąś twoją przyjaciółką, krewnym? Może z mamą? Pewnie chciałyby wiedzieć, że nie czujesz się najlepiej. - Urwał, gdy się roześmiałam.

- Mama? Nie. - Pokręciłam głową. - Tylko by się ucieszyła.

Raymond wyglądał na przerażonego.

- Przestań, Eleanor, nie mów takich rzeczy - powiedział zaszokowany. - Żadna matka nie cieszy się z tego, że jej dziecko jest nieszczęśliwe.

Wzruszyłam ramionami, patrząc w podłogę.

- Nie znasz mojej - odparłam.

Następne dni były dla mnie trudne. Raymond kilka razy wpadał bez zapowiedzi, pod pretekstem dostarczenia wiktuałów albo przekazania wiadomości od Boba, ale tak naprawdę po to, żeby sprawdzić, czy nie poderznięłam sobie żył. Gdybym miała określić jego zachowanie hasłem w krzyżówce, byłoby to „przeciwieństwo nieprzeniknionego”. Miałam tylko nadzieję, że ten człowiek nie gra w pokera, bo obawiałam się, że odszedłby od stołu z pustym portfelem.

Nie mogłam się nadziwić, że tak się mną przejmuje, zwłaszcza biorąc pod uwagę nieprzyjemne okoliczności, w jakich mnie znalazł. Dawniej, kiedy byłam smutna czy przybita, ludzie z mojego otoczenia po prostu dzwonili do pracownika socjalnego, który się mną opiekował, a potem przenoszono mnie gdzieś indziej. Raymond nie zadzwonił do nikogo i nie prosił żadnej instytucji o interwencję. Postanowił zająć się mną sam. Zastanawiałam się nad tym i doszłam do wniosku, że widocznie istnieją osoby, dla których czyjeś trudne zachowanie nie jest powodem do zakończenia znajomości. Jeśli cię lubią – a przecież, jak pamiętałam, Raymond i ja byliśmy kumplami – są gotowi podtrzymać z tobą kontakt, nawet jeśli bywasz smutny, przybity albo sprawiasz kłopoty. To było dla mnie wręcz odkrycie.

Byłam ciekawa, czy tak właśnie jest w rodzinie – gdy ma się rodziców albo, powiedzmy, siostrę, którzy trwają przy tobie bez względu na wszystko. Nie chodzi o to, by uważać to za

pewnik – wiadomo, że w tym życiu nie ma nic pewnego – ale by wiedzieć, prawie bezrefleksyjnie, że nie opuszczą cię w potrzebie, choćby było bardzo źle. Zwykle nie bywam zazdrosna, ale muszę przyznać, że czuję ukłucie zazdrości, kiedy o tym myślę. Jednak to nic w porównaniu z rozpaczą, która mnie ogarnia, gdy sobie uświadamiam, że nigdy tego nie zaznałam... czego? Chyba bezwarunkowej miłości.

Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Dzięki Raymondowi poczułam trochę, jak to jest, i uważałam się za szczęściarę, że miałam taką możliwość. Tego dnia przyniósł ze sobą czekoladki miętowe After Eight i – niesamowite – balon z helem.

- Wiem, że to głupie – powiedział z uśmiechem – ale idąc do autobusu, mijałem targ na placu i zobaczyłem faceta, które je sprzedawał. Pomyślałem, że może poprawię ci tym humor.

Widząc go z balonem, roześmiałam się; była to niespodziewana reakcja, nietypowa dla mnie. Raymond podał mi wstążkę i balon uleciał pod niski sufit, a potem odbił się od niego, jakby próbował uciec.

- Co on przedstawia? – zapytałam. – Czy to... ser? – Nigdy wcześniej nie dostałam balonu z helem, a już na pewno nie takiego dziwnego.

- To SpongeBob, Eleanor – wyjaśnił powoli i wyraźnie, jakby miał do czynienia z kretynką. – SpongeBob Kanciastoporty?

Gąbka do kąpieli w postaci ludzkiej, z wystającymi przednimi zębami! Do kupienia, jakby to było coś całkiem zwyczajnego! Przez całe życie ludzie mi mówili, że jestem dziwna, ale naprawdę, kiedy widzę coś takiego, dochodzę do

wniosku, że jestem całkiem normalna.

Zaparzyłam nam herbaty. Raymond położył nogi na stoliku do kawy. Chciałam go poprosić, żeby je zdjął, ale przyszło mi do głowy, że najwyraźniej czuje się u mnie jak u siebie w domu, na tyle wygodnie, żeby się rozluźnić i używać mebli, jak mu się podoba. Ta myśl sprawiła mi szczególną przyjemność. Siorbiąc herbatę - czym już znacznie mniej przyjemnie zaznaczał swoją obecność - zagadnął mnie o wizytę w przychodni. W tym tygodniu, po tym, jak wysunął przekonujący argument o potrzebie obiektywnej fachowej diagnozy mojego stanu emocjonalnego i skuteczności współczesnych terapii w przypadkach dolegliwości psychicznych, wreszcie zgodziłam się pójść do lekarza.

- Idę jutro - wyjaśniłam. - O wpół do dwunastej.

Kiwnął głową.

- To dobrze, Eleanor - powiedział. - A teraz obiecaj mi, że będziesz z lekarzem całkiem szczerą. Powiesz mu wszystko, co czujesz i przez co przeszłaś.

Rozważyłam to. Postanowiłam, że powiem prawie wszystko; nie zamierzałam tylko mówić o zapasie pigułek (których już nie było - Raymond, nie troszcząc się specjalnie o środowisko, wrzucił je do muszli klozetowej; udawałam irytację, ale byłam zadowolona, że się ich pozbyłam) ani wspominać o rozmowach z mamą i naszym śmiesznym nieudanym przedsięwzięciu. Mama zawsze mówiła, że należy selekcjonować informacje, jakich udziela się wścibskim lekarzom i urzędnikom, a te kwestie nie miały związku ze sprawą. Jedyne, co lekarz powinien wiedzieć, to że jestem nieszczęśliwa, a potem niech

mi poradzi, co z tym zrobić. Po co grzebać się w przeszłości, rozmawiać o czymś, czego nie da się już zmienić.

- Obiecuję. - Skrzyżowałam jednak palce.

Kiedy dostałam zwolnienie lekarskie, zastanawiałam się, jak zniosę bezczynność. Zawsze pracowałam na pełen etat; zatrudniłam się u Boba już w tydzień po uzyskaniu dyplomu i od tego czasu ani razu nie byłam na zwolnieniu. Na szczęście cieszyłam się dobrym zdrowiem.

W pierwszym tygodniu, po incydencie z wódką i wizycie Raymonda, bardzo dużo spałam. Musiałam robić także inne rzeczy, wykonywać normalne czynności, jak wychodzenie do sklepu po mleko czy kąpiel, ale tego nie pamiętam.

Lekarz jakoś zdołał ustalić, że mam depresję, mimo nielicznych informacji, jakich mu udzieliłam. Udało mi się zatrzymać wszystkie najważniejsze sprawy w sekrecie. Stwierdził, że farmakologia w połączeniu z psychoterapią będą najskuteczniejszą formą leczenia, ale sprzeciwiłam się braniu leków, przynajmniej na razie. Bałam się, że zacznę na nich polegać, tak jak polegałam na wódce. Zgodziłam się jednak, choć niechętnie, na spotkanie z psychologiem i pierwszą sesję wyznaczono mi na ten dzień. Zostałam zapisana do niejkiej Marii Temple - bez tytułu. Wolałabym wiedzieć, czy ma jakieś kwalifikacje medyczne, czy nie.

Jej gabinet mieścił się na trzecim piętrze wysokiego nowoczesnego budynku w centrum miasta. Winda przeniosła mnie w czasie do najmniej *belle* ze wszystkich *époques* - lat osiemdziesiątych. Szarość, szarość, szarość, mętne pastele, brudne plastiki, brzydkie dywany. Zapach był taki, jakby

również od lat osiemdziesiątych tam nie sprzątano. Od początku nie miałam ochoty pójść do psychologa, a ta sceneria zniechęcała mnie jeszcze bardziej, jeśli było to w ogóle możliwe. Aż za dobrze znałam takie miejsca, co jednak w pewien sposób mnie uspokajało. W ciągu swojego życia przemierzyłam niezliczone podobne korytarze z kwiatowymi fryzami i sufitami z artekstu.

Zapukałam do drzwi - cienka sklejka, szara, bez tabliczki z nazwiskiem - i stanęła w nich Maria Temple; otworzyła je zbyt szybko, jakby stała tuż za nimi, zapraszając mnie do środka. Gabinet był bardzo mały, proste krzesło, biurko i dwa typowe fotele (z tych łatwych do czyszczenia, niewygodnych) ustawione naprzeciwko siebie po obu stronach niskiego stolika, na którym stało pudełko niemarkowych chusteczek higienicznych „w rozmiarze XL”. Zbiło mnie to z tropu. Po co komu były takie chusteczki, czy miało to coś wspólnego z chromosomami? Przecież nosy mężczyzn, z kilkoma wyjątkami, są mniej więcej takich samych rozmiarów jak nosy kobiet, prawda? Czy rzeczywiście potrzebują oni większych chusteczek tylko dlatego, że mają chromosomy XY? Jaki w tym sens? Chyba nie znałam odpowiedzi na to pytanie.

W pokoju nie było okna, a oprawiona reprodukcja na ścianie (róże w wazonie, przedstawione techniką komputerową przez kogoś, kto musiał być martwy) bardziej obrażała oczy niż goły mur.

- Eleanor, prawda? - zapytała, uśmiechając się.

- Pani Oliphant - poprawiłam ją, zdejmując bezrękawnik i zachodząc w głowę, co z nim zrobić, do licha.

Maria Temple wskazała rząd haczyków po drugiej stronie drzwi. Powiesiłam go tam, jak najdalej od bardzo praktycznego płaszcza przeciwdeszczowego, a potem usiadłam naprzeciwko niej - fotel stęknął ze zmęczenia, wypuszczając z brudnych poduszek zatęchłe powietrze. Uśmiechnęła się do mnie. Te jej zęby! Och, pani Tempe. Robiła, co mogła, ale chyba nic nie mogło ich zmniejszyć. Należały do znacznie większych ust, może nawet nie ludzkich. Przypomniało mi się zamieszone w „Timesie” kilka lat wcześniej zdjęcie małpy, która zabrała komuś aparat fotograficzny i uśmiechnięta od ucha do ucha zrobiła sobie tak zwane obecnie „selfie”. Biedna kobieta; aż narzucał się przymiotnik, którym nikt nie chciałby określić swoich zębów: „małpie”.

- Eleanor... eee... pani Oliphant, nazywam się Maria Temple - zaczęła. - Miło mi panią poznać. - Spojrzała na mnie uważnie, więc wyprostowałam się na fotelu, nie chcąc okazać, jak bardzo jestem skrepowana. - Czy była pani już wcześniej u psychologa? - zapytała, wyjmując z torebki notes. Zauważyłam, że były do niego przyczepione różne breloczki - różowa pluszowa małpka, wielka metalowa litera M i najohydniejszy z tego wszystkiego, mały, pokryty cekinami czerwony pantofelek na szpilce. Znałam ten typ. Pani Temple należała do „fajnych babek”.

- I tak, i nie - odpowiedziałam. Uniosła pytająco brwi, ale nie chciałam podjąć tematu. Zapadła cisza, w której dał się słyszeć klekot windy, choć nie towarzyszyły mu żadne inne dźwięki świadczące o ludzkiej obecności. Poczułam się

opuszczona.

- Dobrze więc - podjęła dziarsko, zbyt dziarsko. - Więc chyba zaczniemy. Przede wszystkim chcę panią zapewnić, że wszystko, o czym będziemy tu mówić, pozostanie między nami. Jako psychologa obowiązuje mnie etyka zawodowa. Zawsze powinna się pani czuć w tym miejscu bezpiecznie, więc proszę pytać mnie o wszystko, w każdej chwili, zwłaszcza gdy nie będzie pani pewna, co robimy albo dlaczego. - Wyraźnie oczekiwała na jakąś odpowiedź, ale tylko wzruszyłam ramionami.

Usadowiła się na fotelu i zaczęła czytać z notesu.

- Jak widzę, skierował tu panią lekarz pierwszego kontaktu, bo cierpi pani na depresję.

Skinęłam głową.

- Może mi pani powiedzieć, jak się pani czuje? - zapytała. Jej uśmiech był jakby przyklejony do twarzy.

- Chyba jest mi trochę smutno - powiedziałam. Popatrzyłam na jej buty. Przypominały golfowe, tyle że nie miały kolców. Były złote. Nie do wiary!

- Od jak dawna jest pani smutno, Elea... pani Oliphant? - Postukała długopisem o swoje wielkie zęby. - Mogłabym mówić do pani po imieniu? Przejście na „ty” ułatwiłoby nam rozmowę. Zgoda? - Znowu się uśmiechnęła.

- Wolę bardziej oficjalną formę, ale dobrze, czemu nie - odparłam łaskawie. Jestem zwolenniczką etykiety w stosunkach międzyludzkich. W końcu widziałam tę kobietę pierwszy raz w życiu. Nie była moją koleżanką, tylko kimś, komu płacono za rozmowę ze mną. Lepiej zachować dystans,

kiedy ma się do czynienia z osobą nieznaną, która ogląda ci dno oka, szukając guzów, albo gmera w twoim uzębieniu ostrym narzędziem. Albo zagląda ci do głowy, wydobywając na światło dzienne najskrytsze myśli i uczucia z całą ich żenującą brzydota.

- Świetnie - odrzekła wesoło. Zrozumiała, że ja z kolei nie jestem „fajną babką”. Że nie będziemy razem skakać na bungee ani nie pójdziemy na bal przebierańców. Co jeszcze ma być takie fajne? Wspólne śpiewanie. Wyjazdy integracyjne. Występy magików. Nie miałam pojęcia; jeśli o mnie chodzi, lubiłam zwierzęta, krzyżówki i (do niedawna) wódkę. Co może być od tego zabawniejsze? Na pewno nie taniec brzucha w jakiejś sali. Ani „weekendy z morderstwem”. Wieczory panińskie. O nie.

- Czy coś konkretnego skłoniło cię, żeby zwrócić się o pomoc do lekarza? - zapytała. - Jakies zdarzenie, rozmowa? Opowiedzenie komuś o swoich uczuciach może być bardzo trudne, ale to wspaniale i ważne, że zrobiłaś ten pierwszy krok.

- Przyjaciel zasugerował, że powinnam zwrócić się do specjalisty - odparłam. Poczułam przyjemny dreszczyk, wymawiając słowo na „p”. - Raymond - dodałam. Skwapliwie wypowiedziałam jego imię z dźwięczną rotyzacją na początku. Było to ładne, porządne imię i przynajmniej tyle się Raymondowi należało. Miał szczęście - w końcu, biorąc pod uwagę jego nieszczególną powierzchowność, powinien się cieszyć, że nie dostał na chrzcie Eustace albo Tyson.

- Możesz mi opowiedzieć, co się takiego stało, że

postanowiłaś pójść do lekarza? Dlaczego twój przyjaciel podsunął ci taką sugestię? – ciągnęła. – Jak się wtedy czułaś?

– Czułam smutek i sytuacja mnie przerosła, to wszystko. Dlatego Raymond poradził mi, żebym poszła do lekarza pierwszego kontaktu. A on, ponieważ nie chciałam zażywać leków, zalecił mi wizytę u ciebie.

Przyjrzała mi się uważnie.

– Dlaczego czułaś smutek?

Westchnęłam, bardziej przeciągle i mimo woli bardziej teatralnie, niż było to moją intencją. Później od łez ścisnęło mnie w gardle. Tylko nie płacz, Eleanor. Nie płacz przy obcym.

– To dość nieciekawe – orzekłam, starając się, żeby zabrzmiało to nonszalancko. – Przeżyłam... coś w rodzaju romansu, który źle się skończył. I tyle. Nic nadzwyczajnego. – Nastąpiło długie milczenie. W końcu, żeby mieć to już za sobą, wyjaśniłam: – Zaszło nieporozumienie. Myślałam, że... no cóż, źle zinterpretowałam sygnały. Okazało się, że bardzo się pomyliłam w ocenie pewnej osoby.

– Czy zdarzało ci się to już wcześniej? – zapytała cicho.

– Nie.

Kolejna długa cisza.

– Kim była ta osoba, Eleanor? Dlaczego... jak to określiłaś... źle zinterpretowałaś sygnały? Co to były za sygnały?

– Chodziło o mężczyznę, który mi się spodobał, w którym, można powiedzieć, lekko się zadurzyłam i trochę mnie poniosło. W pewnym momencie jednak zdałam sobie sprawę, że byłam głupia. Nie moglibyśmy być razem. A poza tym... hm,

okazało się, że to ktoś nie dla mnie. Że jest inny, niż myślałam. Zrobiło mi się przykro i poczułam, że jestem idiotką. To wszystko... – Głos zamarł mi w gardle.

– Dobrze... chciałabym wyjaśnić kilka spraw. Jak poznałaś tego mężczyznę? Jaki był charakter twojego związku z nim?

– Właściwie go nie poznałam – odparłam.

Przestała pisać w notesie i zapadła niezręczna cisza.

– Aha... Więc w jaki sposób... wasze drogi się przecięły?

– Jest muzykiem. Zobaczyłam go podczas występu na scenie i... chyba się w nim zakochałam.

Maria Temple spytała ostrożnie:

– Czy on jest... sławny?

Pokręciłam głową.

– Nie, pochodzi stąd. Mieszka tutaj. Właściwie niedaleko mnie. Nie jest sławny. Jeszcze nie.

Nic na to nie powiedziała, tylko czekała, żebym kontynuowała. Nawet nie uniosła brwi. Nic takiego. Zdałam sobie sprawę, że mogła odnieść co do mnie mylne wrażenie.

– Żeby była jasność – dodałam – nie jestem żadną... prześladowczynią. Po prostu się dowiedziałam, gdzie mieszka, i przepisałam dla niego wiersz, którego nawet nie wysłałam. I raz wymieniłam z nim tweeta, ale nic więcej. To nie przestępstwo. Wszystkie informacje, jakie zdobyłam, były powszechnie dostępne. Nie złamałam prawa ani nic takiego.

– I nigdy wcześniej nie byłaś w takiej sytuacji, Eleanor, z nikim innym? – Brała mnie za jakąś maniaczkę, która przyczepia się do obcych. Pięknie!

– Nie, nigdy – odpowiedziałam stanowczo i zgodnie

z prawdą. - On po prostu... wpadł mi w oko, wzbudził moje zainteresowanie, to wszystko. No wiesz, był przystojny...

Kolejna długa cisza.

Wreszcie Maria Temple wyprostowała się na fotelu i zaczęła mówić, co przyjął z ulgą. To było wyczerpujące, odpowiadać na te wszystkie pytania, mówić o sobie, bojąc się, że brzmi to głupio, żenująco naiwnie.

- Oto pewien scenariusz. Przedstawię ci go, a ty powiesz, co o nim myślisz. Powiedzmy, Eleanor, że rzeczywiście zakochałaś się w tym mężczyźnie. Towarzyszące temu uczucia zwykle dają przedsmak rzeczywistego związku. Są bardzo intensywne. Czy to wydaje ci się prawdziwe, prawdopodobne?

- Popatrzyłam na nią. - Więc - ciągnęła - podobał ci się ten stan, to, co czułaś. Powiedz, co się stało, że to tak nagle się skończyło? Co sprawiło, że się odkochałaś?

Osunęłam się w fotelu. Wzięła mnie z zaskoczenia tym zaskakująco trafnym podsumowaniem tamtej sytuacji, a teraz jeszcze zadała bardzo ciekawe, celne pytanie. Zorientowałam się, że mimo złotych butów i tych breloczków Maria Temple nie jest głupia. Musiałam to jeszcze przetrwać, a tymczasem usiłowałam zebrać myśli, żeby udzielić sensownej odpowiedzi.

- Chyba gdzieś w głębi duszy czułam, że ta cała historia jest prawdziwa, i wydawało mi się, że kiedy wreszcie się poznamy, zakochamy się w sobie wzajemnie i tak dalej. Miałam wrażenie, że jestem gotowa na taki związek. Tacy ludzie... mężczyźni... jak on nieczęsto stają na mojej drodze. Uznałam, że nie mogę przepuścić podobnej okazji. I że ktoś taki spodoba się... innym. Kiedy jednak w końcu znaleźliśmy się

w jednym pomieszczeniu, wszystkie moje plany, zamierzenia... upadły. Czy to rozumiesz?

Kiwnęła głową zachęcająco.

- Wtedy sobie uświadomiłam, że byłam głupia, że zachowywałam się jak nastolatka, a nie trzydziestoletnia kobieta. On nie był nikim szczególnym, zafiksowałam się na nim, choć tak naprawdę to mógł być każdy. Chciałam zadowolić ma...

Kiwając głową, przerwała mi, zanim się zagalopowałam.

- Jest kilka kwestii, na których moim zdaniem powinniśmy się skupić podczas następnych sesji - zauważyła. - Dziś rozmawiamy o ostatnich wydarzeniach, ale w pewnym momencie chciałabym dowiedzieć się czegoś o twoim dzieciństwie...

- Nie ma mowy - odparłam. Skrzyżowałam ręce na piersi i wbiłam wzrok w dywan. „Ta pani nie musi wiedzieć, co się dzieje w domu”.

- Wiem, że może być trudno o tym mówić - nie dawała za wygraną.

- Nie chcę o tym rozmawiać, Mario. Proszę, nie pytaj mnie o mamę.

A niech to szlag! Oczywiście, od razu się tego uczepiła. Mama zawsze jest gwiazdą, gwoździem programu.

- Jakie relacje łączą cię z matką, Eleanor? Jesteście sobie bliskie?

- Kontaktujemy się regularnie. Zbyt regularnie - wyjaśniłam. Wyszło szydło z worka.

- Więc wy dwie się nie dogadujecie? - indagowała.

- To... skomplikowane. - Zauważyłam, że wiję się na fotelu dosłownie i metaforycznie.

- Możesz mi powiedzieć dlaczego? - pytała dalej, prąc jak czołg, nieustępliwie. Wścibska, bezwstydną baba.

- Nie - odparłam.

Bardzo długa cisza.

- Wiem, że to trudne, naprawdę trudne, mówić o bolesnych sprawach, ale jak powiedziałam, to najlepszy sposób, żeby przejść dalej. Zaczniemy powoli. Dlaczego czujesz się niekomfortowo, mówiąc o matce?

- Ona... ona by tego nie chciała - wyznałam. Zgodnie z prawdą. Dobrze pamiętałam, kiedy zrobiłam to ostatnim - i jedynym - razem, w rozmowie z nauczycielką. Takiego błędu nie popełnia się powtórnie.

Zaczęła mi drgać lewa noga; było to dość lekkie drganie, ale kiedy się zaczynało, nie mogłam nad nim zapanować. Odrzuciłam głowę do tyłu i wydałam coś w rodzaju westchnienia połączonego z kaszlnięciem, żeby odwrócić jej uwagę.

- Dobrze - powiedziała cierpliwie. - Jeśli się zgodzisz, na koniec zaproponuję coś innego. To ćwiczenie nazywane techniką pustego krzesła. - Splotłam dłonie i patrzyłam na nią.

- Chciałabym, abyś sobie wyobraziła, że na tym krześle - wskazała pojedynczy mebel - siedzi twoja matka. - Uprzedziła moją odpowiedź. - Wiem, że to może głupie albo krępujące, ale proszę, spróbuj. Nikt cię tu nie ocenia. To bezpieczne miejsce. - Wykręciłam splecione dłonie na kolanach, odzwierciedlając to, co działo się w moim brzuchu. -

Spróbujesz?

Spojrzałam na drzwi, pragnąc znaleźć się za nimi, popchnąć wskazówki zegara, żeby już minęła ta godzina.

- Eleanor - odezwała się łagodnie - jestem tu, żeby ci pomóc, a ty, żeby pomóc sobie samej, prawda? Chyba chcesz być szczęśliwa? Wiem, że tak. Kto nie chce? Możemy razem pomóc ci to osiągnąć. Nie przyjdzie to łatwo ani szybko, ale myślę, że warto podjąć wysiłek. W końcu co masz do stracenia? Jesteś tu przez godzinę. Dlaczego nie spróbować?

Uznałam, że ma rację. Uniosłam wzrok i rozplotłam dłonie.

- Wspaniale! - zawołała. - Dziękuję, Eleanor. Więc... wyobraźmy sobie, że na tym krześle siedzi w tej chwili twoja matka. Coś byś jej powiedziała, tu i teraz? Nikt ci nie przerwie, nie będzie cię oceniał. No, dalej, nie bój się. Powiedz, co chcesz...

Zwróciłam się w stronę krzesła. Noga mi drgała. Chrząknęłam. Nic mi nie groziło. Nie było jej w pobliżu, nie słyszała mnie. Pomyślałam o tamtym domu, zimnie, zapachu stęchlizny, tapecie w chabry i brązowym dywanie. Ulicą przejeżdżały samochody, wszystkie zmierzające do miłych, bezpiecznych miejsc, podczas gdy my byłyśmy tam same albo - co gorsza - porzucone, przez nią.

- Mamo... proszę - zaczęłam. Słyszałam własny głos, bezcielesny w tym pokoju, rozchodzący się po nim. Był wysoki i bardzo, bardzo cichy. Wciągnęłam powietrze. - Proszę, nie rób nam krzywdy.

30

Z reguły nie używam wulgaryzmów, ale ta pierwsza sesja z terapeutką była cholernie dobijająca. Pod koniec tamtego głupiego ćwiczenia z pustym krzesłem rozplakałam się przy doktor Temple, a wtedy ona z fałszywą łagodnością stwierdziła, że godzina dobiegła końca i że zobaczymy się za tydzień o tej samej porze. Właściwie wyrzuciła mnie na ulicę i znalazłam się na chodniku, wśród robiących zakupy przechodniów, ze łzami na twarzy. Jak mogła mi to zrobić? Jak jeden człowiek może patrzeć na cierpienie drugiego, cierpienie, które celowo spowodował, a potem wyrzucić go z nim na ulicę i zostawić, żeby radził sobie sam?

Było po jedenastej. Nie powinnam pić, ale otarłam łzy, wstąpiłam do najbliższego pubu i zamówiłam dużą wódkę. W milczeniu wzniosłam toast za nieobecnych przyjaciół i wypiął jednym haustem. Wyszłam, zanim zaczepił mnie któryś z innych pijących za dnia. Pojechałam do domu i położyłam się do łóżka.

Kiedy byłam na zwolnieniu, nadal spotykałam się z Raymondem na lunch w naszej kafejce. Raymond wcześniej proponował mi esemesem dzień i godzinę (były to jedyne wiadomości, jakie przychodziły na mój nowy telefon komórkowy). Jak się okazało, jeśli widujesz się z kimś dość regularnie, rozmowa od razu toczy się miło i swobodnie – możesz podjąć w miejscu, w którym skończyłeś, nie musisz za

każdym razem zaczynać od nowa.

W trakcie tych rozmów Raymond wciąż zagadywał mnie o mamę - chciał wiedzieć, dlaczego jej nie powiedziałam, że źle się czuję, dlaczego nigdy mnie nie odwiedza - ani ja jej - aż w końcu się poddałam i opowiedziałam mu w skrócie. Wiedział już o pożarze i o tym, że potem wychowywałam się w domach dziecka i rodzinach zastępczych. Powodem było to - wyjaśniłam - że nie mogłam już mieszkać z mamą, nie tam, gdzie przebywała. Miałam nadzieję, że to mu wystarczy, ale nie.

- To gdzie ona jest? W szpitalu, domu opieki? - zapytał.

Pokręciłam głową.

- W nieciekawym miejscu, dla złych ludzi - odparłam.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba nie w więzieniu? - Wyglądał na wstrząśniętego. Wytrzymałam jego spojrzenie, ale nie odpowiedziałam. Po krótkiej chwili zapytał, całkiem logicznie, jakie popełniła przestępstwo.

- Nie pamiętam - zbyłam go.

Popatrzył na mnie, a potem się zachnął.

- Chrzanisz. Daj spokój, Eleanor. Przecież możesz mi powiedzieć. To nic między nami nie zmieni, obiecuję. Cokolwiek to było, nie ty to zrobiłaś.

Poczułam, że od góry do dołu oblewa mnie fala gorąca; mogę to jedynie porównać do wrażenia, kiedy podają ci środek uspokajający przed znieczuleniem ogólnym. Serce mi waliło.

- To prawda - zapewniłam go. - Naprawdę nie wiem. Chyba mi wtedy powiedziano, ale zapomniałam. Miałam za ledwie

dziesięć lat. Wszyscy starali się nie mówić o tym przy mnie...

- Och, przestań - nie ustępował. - Musiała zrobić coś okropnego, żeby... A jak było w szkole? Dzieci potrafią być okrutne w takich sytuacjach. A jak reagują ludzie, gdy słyszą twoje nazwisko? Chociaż, gdy się zastanowię, nie przypominam sobie, żebym czytał kiedykolwiek o jakimś przestępstwie, popełnionym przez osobę o nazwisku Oliphant...?

- Na pewno byś je zapamiętał - zażartowałam.

Nie śmiał się. To nie był dobry dowcip - uświadomiłam sobie poniewczasie. Chrząknęłam.

- Oliphant to nie jest moje prawdziwe nazwisko - wyjaśniłam. Podobało mi się, od zawsze, i byłam bardzo wdzięczna temu, kto je dla mnie wybrał. Na pewno nie spotyka się wielu Oliphantów. To wyjątkowe osoby.

Wciąż patrzył na mnie, jakby oglądał film.

- Później dostałam nowe papiery i zostałam przeniesiona tutaj... Chodziło o to, żeby mnie chronić. Żeby nikt mnie nie rozpoznał. Ironia losu.

- Dlaczego? - indagował.

Westchnęłam.

- Bo opieka społeczna nie zawsze oznacza sielankę. Nic mi nie dolegało, miałam wszystko, co potrzeba, i tak dalej, ale to nie była jedna wielka nieustająca zabawa.

Uniósł brwi i pokiwał głową.

Zamieszałam kawę.

- Teraz używa się innej terminologii - ciągnęłam. - O młodych ludziach przebywających w domach dziecka czy

rodzinach zastępczych mówi się, że są „pod opieką”. A każde dziecko powinno być „pod opieką”... to mu się należy.

Usłyszałam w swoim głosie gniew i smutek. Nikt nie lubi mówić takim tonem. Gdyby ktoś poprosił: „Opisz siebie w dwóch słowach”, a ty byś odpowiedział: „Eee... pomyślmy... Zagniewany i smutny?”, to nie zrobiłoby dobrego wrażenia.

Raymond wyciągnął rękę i delikatnie uścisnął moje ramię. To było trochę niezgrabne, ale o dziwo, sprawiło mi przyjemność.

- Chcesz, żebym się dowiedział, jakie przestępstwo popełniła? - zapytał. - To chyba nie byłoby trudne. Mamy nasz cudowny internet...

- Nie, dziękuję - ucięłam. - Sama mogłabym to zrobić, gdybym chciała. Nie tylko ty umiesz posługiwać się komputerem - odparłam. Bardzo się zarumienił. - W każdym razie - kontynuowałam - jak słusznie zauważyłeś, to musiało być coś poważnego. Pamiętaj, że muszę rozmawiać z nią raz w tygodniu... to już teraz jest wystarczająco trudne. A stałoby się całkiem niemożliwe, gdybym się dowiedziała, że zrobiła to... co zrobiła.

Raymond pokiwał głową. Trzeba mu przyznać, że był wyraźnie zawstydzony - i tylko odrobinę rozczarowany.

Tak naprawdę nie jest wścibski, w przeciwieństwie do większości. Po tej rozmowie wciąż pytał mnie o różne rzeczy, ale były to zwykłe pytania o matkę przyjaciela czy przyjaciółki (przyjaciele! byliśmy przyjaciółmi!): jaka jest, czy ostatnio z nią rozmawiałam. Nie zdradzałam, oczywiście, co mama przeważnie mówi - to zbyt bolesne, wstydlive i upokarzające.

Byłam pewna, że Raymond zna już moje liczne wady, więc po co przypominać mu o nich, relacjonując jej bon moty?

Czasami dawał mi do myślenia. Kiedyś rozmawialiśmy o urlopiach; Raymond zamierzał podróżować po przejściu na emeryturę, kiedy będzie miał dość pieniędzy, żeby robić to z klasą.

- Mama dużo się najeździła po świecie, mieszkała w wielu miejscach - powiedziałam. Na nim jednak wcale nie zrobiło to wrażenia.

- W jakim wieku ona jest? - zapytał.

Zaskoczył mnie. W jakim była wieku? Zaczęłam liczyć.

- Ja... mam trzydzieści, a musiała mnie urodzić, gdy była bardzo młoda... w wieku dziewiętnastu, dwudziestu lat? Więc teraz... ma chyba po pięćdziesiątce.

Raymond skinął głową.

- Uhm. W takim razie... tak się zastanawiam... nie mam dzieci, więc nie wiem, jak to jest... ale wyobrażam sobie, że niełatwo mieszkać z maluchem w palarni opium w Tangerangze. Albo... co to było? Pracować jako krupier blackjacka w Makau? - Mówił z wielką delikatnością, jakby bał się sprawić mi przykrość. - Gdyby uwzględnić to wszystko, co robiła, czy nie zajęłoby to ponad trzydziestu lat? Chyba że zdarzyło się przed twoim urodzeniem, gdy była jeszcze nastolatką. A skoro tak... tylko się zastanawiam... skąd miała pieniądze na te wszystkie podróże i czy nie była za młoda, żeby jeździć sama we wszystkie te miejsca? A co z twoim ojcem? Gdzie go poznała?

Odwróciłam wzrok. Były to zasadnicze pytania, na które nie

umiałam odpowiedzieć. I nie wiedziałam, czy chcę. Ale dlaczego nigdy wcześniej nie przyszły mi do głowy?

Przypomniałam sobie tę rozmowę z Raymondem następnym razem, gdy mama się odezwała.

- Cześć, kochanie - powiedziała. Odniosłam wrażenie, że słyszę zakłócenia w eterze - a może było to brzęczenie jarzeniówki albo jakiś inny dźwięk, szcęk zasuwanych rygli.

- Cześć, mamó - odparłam szeptem. Usłyszałam odgłosy zucia. - Jesz coś? - zapytałam.

Zaczerpnęła powietrza, a potem rozległ się okropny charkot, jakby kot usiłował wykrztusić jakieś kłaki, a potem je wypluł.

- Żuję tytoń - wyjaśniła lekceważąco. - Ohydztwo... nie polecam, kochanie.

- Raczej nie będę miała okazji żuć tytoniu, prawda?

- Chyba nie. Nigdy nie byłaś zbyt odważna. A zanim się człowiek na jakiś temat wypowie, powinien tego spróbować. Kiedy mieszkałam w Lahaur, od czasu do czasu pozwalałam sobie na trochę betelu.

Jak powiedziałam Raymondowi, mama mieszkała w Bombaju, Taszkencie, São Paulo i Tajpej. Przedzierała się przez dżunglę Sarawaku i zdobywała Tubkal. Była na audiencji u Dalajlamy w Katmandu i na popołudniowej herbatce u maharadży Dżajpuru. A to dopiero początek.

Znowu dało się słyszeć chrząknięcie - widocznie zucie tytoniu zrobiło swoje. Skorzystałam z okazji.

- Mamó, chcę cię o coś spytać. Ile... ile miałaś lat, kiedy mnie urodziłaś?

Zaśmiała się ponuro.

- Trzynaście... nie, poczekaj... czterdzieści dziewięć. Jakie to ma znaczenie? Dlaczego pytasz? Po co ci ta informacja, córko moja?

- Tak się tylko zastanawiałam...

Westchnęła.

- Już ci to wszystko mówiłam, Eleanor - powiedziała ostro. - Tylko nie słuchasz. - Nastąpiła przerwa. - Miałam dwadzieścia lat - odezwała się. - Z ewolucyjnego punktu widzenia to dla kobiety najlepszy czas, żeby urodzić dziecko. Wszystko potem wraca na miejsce. Jeszcze teraz mam twarde, jędrne piersi supermodelki u progu kariery...

- Mamo, proszę! - zawołałam.

Zarechotała.

- O co chodzi, Eleanor? Wprawiam cię w zakłopotanie? Dziwne z ciebie dziecko! Zawsze taka byłaś. Trudno cię kochać, taka jest prawda. Bardzo trudno.

Jej śmiech przeszedł w przeciągły bolesny kaszel.

- O rany! - powiedziała. - Zaczynam się rozpadać.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętałam, usłyszałam w jej głosie nutę smutku.

- Źle się czujesz? - zapytałam.

Westchnęła znowu.

- Och, nic mi nie jest, Eleanor. Rozmowa z tobą zawsze dodaje mi sił.

Wbiłam wzrok w ścianę, spodziewając się ataku. Niemal czułam, jak matka zbiera się w sobie, żeby uderzyć.

- Cały czas sama, co? Nie masz z kim pogadać, z kim się

pobawić. I to wszystko twoja wina. Dziwna, smutna Eleanor. Za bystra, żeby to mogło wyjść ci na zdrowie, no nie? Nic się nie zmieniłaś. A jednak... pod wieloma względami jesteś wyjątkowo, wręcz pokazowo głupia. Nie widzisz tego, co masz pod nosem. Czy raczej kogo... - Znowu zakaszłała. Nie śmiałam odetchnąć, czekałam, co będzie dalej. - Och, strasznie męczy mnie to gadanie. Teraz twoja kolej, Eleanor. Gdybyś miała choć odrobinę ogłady towarzyskiej, wiedziałabyś, że konwersacja to wymiana, werbalny tenis. Nie pamiętasz? Uczyłam cię tego. No, dalej, powiedz... co robiłaś w tym tygodniu?

Milczałam. Nie byłam pewna, czy zdołam wydobyć głos.

- Muszę powiedzieć - ciągnęła - że byłam zdziwiona, kiedy mi powiedziałaś, że dostałaś w pracy awans. Zawsze należałaś raczej do tych, którzy idą za kimś, a nie przewodzą, co, kochanie?

Czy miałam jej powiedzieć, że jestem na zwolnieniu? Do tej pory udawało mi się uniknąć rozmowy o pracy, ale teraz, gdy podjęła ten temat...? A może już o tym wiedziała i to była pułapka? Staralam się myśleć szybko, ale nigdy nie byłam w tym dobra. Za wolno, Eleanor, za późno...

- Mamo, ja... nie czułam się dobrze. Nie chodzę w tej chwili do pracy. Jestem na zwolnieniu lekarskim.

Wzięła głęboki wdech. Była przejęta? Zaniepokojona? W końcu wypuściła powietrze, które dotarło do mojego ucha, ciężkie i świszczące.

- Tak już lepiej - oznajmiła, wzdychając z zadowoleniem. - Po co, do cholery, żuć tytoń, skoro można wypalić sobie

rozkosznego papieroska? – Ponownie zaciągnęła się dymem i powiedziała z jeszcze większym znudzeniem niż poprzednio:
– Posłuchaj, nie mam za dużo czasu, więc nie przeciągajmy tego. Co z tobą, że nie chodzisz do pracy? Coś poważnego? Zagrożającego życiu? Śmiertelna choroba?

– Mam kliniczną depresję, mamo – rzuciłam pospiesznie.
Prychnęła.

– Co za bzdury! – wykrzyknęła. – Nie ma czegoś takiego.

Przypomniałam sobie, co powiedzieli Raymond i lekarz pierwszego kontaktu, jaką sympatię i zrozumienie wykazał Bob. Jego siostra przez wiele lat cierpiała na depresję, jak mi wyznał. Nie miałam o tym pojęcia.

– Mamo – powiedziałam na tyle stanowczo, na ile się odważyłam – mam kliniczną depresję. Chodzę na psychoterapię, wracam do wydarzeń z dzieciństwa i...

– Nie! – wrzasnęła, tak głośno i gwałtownie, że zrobiłam krok do tyłu. Kiedy po chwili się odezwała, mówiła cichym – niebezpiecznie cichym – głosem: – A teraz posłuchaj, Eleanor. Pod żadnym pozorem nie wolno ci rozmawiać z nikim o swoim dzieciństwie, a już na pewno nie z tak zwanym terapeutą. Słyszysz mnie? Ani mi się waż. Ostrzegam cię! Wiesz, co się stanie, jeśli pójdziesz tą drogą? Wiesz, co ci zrobię? Już ja...

Martwa cisza w eterze.

Jak zwykle mama była przerażająca. Ale rzecz w tym, że pierwszy raz sama także wydała mi się przerażona.

31

Minęło kilka tygodni i sesje z Marią Temple stały się nieodłącznym elementem mojego życia. Mimo wiatru miło było wyjść z domu i zamiast jechać autobusem, postanowiłam pójść pieszo, żeby nacieszyć się niknącym słońcem. Wielu ludzi zrobiło podobnie. Poczucie przynależności do tłumu sprawiało mi przyjemność. Wrzuciłam dwadzieścia pensów do papierowego kubka siedzącemu na chodniku mężczyźnie z sympatycznym psem. Kupiłam sobie pączka w Greggs i zjadłam go po drodze. Uśmiechnęłam się do szczególnie brzydkiego dziecka, które wygrażało mi piąstką z jaskrawego wózka. Dobrze było zauważać te wszystkie szczegóły. Fragmenty życia - dzięki nim człowiek mógł się poczuć malutką częścią ludzkości, pożytecznie wypełniającą przestrzeń, choćby najmniejszą. Myślałam o tym, czekając na zielone światło. Ktoś klepnął mnie w ramię i aż podskoczyłam.

- Eleanor? - To była Laura; wyglądała równie zjawiskowo jak zwykle. Nie widziałam jej od pogrzebu Sammy'ego.

- O, cześć - powiedziałam. - Jak się masz? Przepraszam, że po pogrzebie twojego ojca nie złożyłam ci kondolencji.

Uśmiechnęła się.

- Nie ma sprawy, Eleanor... Ray wytłumaczył mi, że byłaś trochę niedysponowana - odparła.

Poczułam, że się rumienię, i opuściłam wzrok. Tamtego popołudnia musiałam naprawdę dużo wypić. Łagodnie uderzyła mnie w ramię.

- Nie przejmuj się, od tego są pogrzeby, no nie... żeby trochę się napić i nadrobić zaległości? - skwitowała z uśmiechem.

Wzruszyłam ramionami, wciąż unikając jej spojrzenia.

- Dobrze ci w nowej fryzurze - zauważyła wesoło.

Kiwnęłam głową i spojrzałam w jej obwiedzione czarną kredką oczy.

- Zauważyło to nawet kilka osób - odparłam już z większą pewnością siebie - co znaczy, że dobrze się spisałaś.

- Miło mi to słyszeć. Możesz wpaść do mnie, do salonu, kiedy zechcesz... Zawsze znajdę czas, żeby cię przyjąć, Eleanor. Byłaś taka dobra dla mojego taty.

- To on był dobry dla mnie - odrzekłam. - Szczęściara z ciebie, że miałaś takiego ojca.

Do oczu napłynęły jej łzy, ale powstrzymała je, mrugając powiekami, w czym niewątpliwie pomogły długie sztuczne rzęsy. Światła na przejściu dla pieszych zaczęły migać.

- Raymond wspomniał, że oboje bardzo go lubiliście - odparła cicho. Zerknęła na zegarek. - Ojej, przepraszam, muszę lecieć. Zostawiłam samochód w strefie płatnego parkowania, a wiesz, jacy są ci strażnicy, gdy spóźnisz się minutę.

Kompletnie nie miałam pojęcia, o czym mówi, ale pominęłam to milczeniem.

- Umówiłam się w sobotę z Raymondem - powiedziała, dotykając mojego ramienia. Uśmiechnęła się. - Jest bardzo miły, prawda? Początkowo nie zwróciłam na niego uwagi, ale potem, gdy lepiej go poznałam... - Znowu się uśmiechnęła. -

Pozdrowię go od ciebie, Eleanor – dodała.

- Nie ma potrzeby. - Zjeżyłam się lekko. - Tak się składa, że właśnie byłam z nim na lunchu. Co za pech... to ja mogłam go pozdrowić od ciebie.

Popatrzyła na mnie.

- Ja nie... nie wiedziałam, że tak dobrze się znacie - zauważyła.

- Raz w tygodniu umawiamy się na lunch - wyjaśniłam.

- A... na lunch - powtórzyła, z jakiegoś powodu wyraźnie ucieszona. - Muszę lecieć. Miło było cię zobaczyć, Eleanor!

Pomachałam jej na pożegnanie. To niewiarygodne, jak zgrabnie poruszała się na tych obcasach. Bałam się o jej kostki. Ale, na szczęście, były dość solidne.

Maria Temple miała tego dnia na sobie żółte rajstopy i purpurowe botki do kostek. Zauważyłam, że umięśnione łydki nie wyglądają korzystnie w jaskrawych kolorach.

- Czy mogłybyśmy wrócić do tematu twojej matki, Eleanor? Potrafiłabyś na przykład...

- Nie - odparłam.

Cisza.

- Dobrze, dobrze, nie ma problemu. Może więc opowiesz mi o swoim ojcu? Do tej pory o nim nie wspominałaś.

- Nie mam ojca - odpowiedziałam.

Znowu ta okropna cisza. Była strasznie irytująca, ale w końcu przyniosła efekt. Trwała całe wieki, tak że wreszcie nie mogłam jej znieść.

- Mama mówiła, że została... tak zrozumiałam... to znaczy, nie powiedziała mi tego wprost, kiedy byłam mała, ale już jako

osoba dorosła zorientowałam się, że była ofiarą... gwałtu – odparłam trochę nieelegancko. Żadnej odpowiedzi. – Nigdy go nie poznałam, nie znam nawet jego nazwiska – dokończyłam.

Chwilę pisała w notesie, a potem uniosła głowę.

– Brakowało ci w życiu ojca... albo kogoś, kto pełniłby jego funkcję? Tęskniłaś za kimś takim?

Popatrzyłam na swoje dłonie. Trudno było mówić otwarcie o takich sprawach, wyciągać je na światło dzienne. Lepiej, żeby zostały w ukryciu, tam, gdzie dotychczas.

– Człowiekowi nie brakuje czegoś, czego nigdy nie miał – odpowiedziałam w końcu. Przeczytałam to gdzieś i brzmiało prawdziwie. – Odkąd pamiętam, oprócz mnie i... jej... nie było nikogo. Nikogo, z kim bym się bawiła, rozmawiała, miała wspólne wspomnienia z dzieciństwa. Ale chyba nic w tym niezwykłego. I nie ucierpiałam z tego powodu.

Poczułam efekt tych słów w brzuchu, kwaśny i gorzki.

Notowała dalej i nie spojrzała na mnie.

– Czy twoja matka mówiła kiedykolwiek o gwałcie? Znała tego mężczyznę?

– Powiedziałam wyraźnie pierwszego dnia, kiedy tu przyszedłam, że nie chcę o niej rozmawiać – zaprotestowałam.

Odparła delikatnie:

– Oczywiście. Bez obawy, Eleanor... nie będziemy, jeśli sobie nie życzysz. Pytam tylko w kontekście twojego ojca, bo chcę się o nim dowiedzieć czegoś więcej, poznać twój stosunek do niego, to wszystko.

Zastanowiłam się nad tym.

– Nie mam do niego żadnego stosunku, Mario.

- Myślałaś kiedyś o tym, żeby go odnaleźć? - zapytała.
- Gwałciciela? Nie, nie przyszło mi to do głowy.
- Relacje córki z ojcem mogą czasem wpływać na jej relacje z mężczyznami. Co o tym sądzisz, Eleanor?

Myślałam chwilę.

- Hm, mama niezbyt lubiła mężczyzn. Ale w końcu mało kogo lubiła. Uważała, że większość ludzi się dla nas nie nadaje, niezależnie od płci.

- Co masz na myśli? - dociekała dalej.

Mimo mojego wyraźnego sprzeciwu jednak rozmawialiśmy o mamie. Ale, ku mojemu zaskoczeniu, zaczęło mi się to podobać - że doktor Temple skupia na mnie całą swoją uwagę. Może przez brak kontaktu wzrokowego. Działo to na mnie odprężająco, prawie jakbym mówiła do siebie.

- Chodzi o to - wyjaśniłam - że chciała, abyśmy stykały się tylko z miłymi, odpowiednimi ludźmi... dużo o tym mówiła. Zwracała uwagę, żebyśmy elegancko się wyrażały, godnie zachowywały... Dbała o to, żebyśmy przynajmniej godzinę dziennie ćwiczyły sztukę konwersacji. Miała... powiedzmy, że stosowała bezpośrednie metody poprawiania nas, gdy mówiłyśmy coś nie tak, robiłyśmy coś nie tak. Czyli przez większość czasu.

Maria pokiwała głową, dając znak, żebym kontynuowała.

- Mówiła, że zasługujemy na najlepsze i że nawet w trudnych okolicznościach powinniśmy właściwie się zachowywać. Można by pomyśleć, że należymy do jakiejś zdetronizowanej rodziny królewskiej... na przykład obalonego cara czy kogoś takiego. Bardzo się starałam, ale nigdy nie

udawało mi się jej zadowolić. Strasznie się wtedy gniewała, była zła. Ale nie chodziło tylko o mnie. Nikt nie był dla niej wystarczająco dobry. Zawsze nam mówiła, że musimy szukać kogoś odpowiedniego. – Pokręciłam głową. – Chyba dlatego tu wylądowałam. Bo usiłowałam znaleźć kogoś takiego, ale wszystko mi się pomieszało i w końcu się pogubiłam.

Uświadomiłam sobie, że drzę na całym ciele, jak mokry pies w zimny poranek. Maria podniosła głowę.

– Na razie przejdźmy dalej – powiedziała delikatnie. – Chcesz mi opowiedzieć, co stało się po tym, jak rozdzielono cię z matką, o swoich przeżyciach w domach dziecka i rodzinach zastępczych? Jak to było?

Wzruszyłam ramionami.

– W rodzinach zastępczych było... dobrze. W domach dziecka też było... dobrze. Nikt mnie nie molestował, miałam co jeść i pić, czyste ubrania i dach nad głową. Do siedemnastego roku życia codziennie chodziłam do szkoły, a potem poszłam na studia. Na nic nie mogę się skarżyć.

Maria odezwała się bardzo łagodnie:

– A co z twoimi innymi potrzebami, Eleanor?

– Chyba nie rozumiem, Mario – odparłam ze zdziwieniem.

– Ludzie mają wiele potrzeb, od których zależy ich zdrowie i szczęście. Powiedziałaś, że twoje podstawowe potrzeby fizyczne były zaspokojone... potrzeba pożywienia, schronienia, ciepła. A co z innymi, emocjonalnymi?

Byłam kompletnie dezorientowana.

– Ale ja nie mam żadnych potrzeb emocjonalnych – odpowiedziałam.

Przez jakiś czas żadna z nas się nie odzywała. W końcu Maria chrząknęła.

- Wszyscy je mają, Eleanor. Wszyscy... a zwłaszcza dzieci... muszą wiedzieć, że są kochani, akceptowani, rozumiani, doceniani...

Milczałam. To była dla mnie nowość. Trawiłam tę informację. Brzmiała prawdziwie, ale musiałam głębiej się nad nią zastanowić w zaciszu domowym.

- Czy był ktoś, kto ci to dawał, Eleanor? Ktoś, kto cię rozumiał? Ktoś, kto kochał cię taką, jaką jesteś, bezwarunkowo?

Oczywiście, moją pierwszą odpowiedzią było, że nie. Mama z całą pewnością nie była kimś takim. Coś jednak mi się kojarzyło, ktoś mi się przypominał. Usiłowałam ją zignorować, ale nie chciała odejść, ta osóbką o słabym głosie, małych rączkach.

- Chyba... tak.

- Nie ma pośpiechu, Eleanor. Spokojnie. Co sobie przypominasz?

Zaczerpnęłam powietrza. W tamtym domu, dobrego dnia. Snopy światła słonecznego na dywanie, gra planszowa na podłodze, para kości, dwa kolorowe pionki. Raczej blaski niż cienie.

- Orzechowe oczy. Coś w związku z psem. Ale nigdy nie miałam żadnego zwierzęcia...

Byłam zdezorientowana, zagubiona, bolał mnie brzuch, ścisnęło w gardle. Gdzieś głęboko tkwiło jakieś wspomnienie, zbyt bolesne, żeby je wydobyć.

- Dobrze - powiedziała delikatnie, podając mi pudełko chusteczek w rozmiarze XL. - Pora kończyć. - Wyjęła terminarz. - Spotkamy się za tydzień i wrócimy do tego, dobrze?

Nie do wiary. Po całym tym wysiłku, gdy byłam już tak blisko, bliźutko, ona znowu wyrzuca mnie za drzwi? Po tym wszystkim, co powiedziałam, co odkryłam, co zaczęłam odkrywać? Rzuciłam chusteczkę na podłogę.

- Idź do diabła - odparłam spokojnie.

Gniew jest dobry, powiedziała, kiedy wkładałam płaszcz. Jeśli w końcu reaguję gniewem, to znaczy, że zaczynam pracować nad sobą, nawiązuję do spraw, które zakopałam gdzieś głęboko. Do tej pory się nad tym nie zastanawiałam, ale chyba rzeczywiście nigdy wcześniej nie byłam tak naprawdę rozgniewana. Zirytowana, znudzona, smutna, to tak, ale nigdy rozgniewana. Miała rację; może w przeszłości działały się rzeczy, które powinny budzić we mnie złość. Nie było to przyjemne uczucie i z całą pewnością Maria Temple nie zasługiwała, żeby być jego obiektem, bo przecież w końcu tylko wykonywała swoją pracę. Zaraz po moim wybuchu bardzo ją przeprosiłam, a ona wykazała zrozumienie, a nawet satysfakcję. Mimo to nie chciałam, aby takie zachowanie weszło mi w krew. Przeklinanie jest świadectwem żalośnie ubogiego słownictwa.

Poza tym starałam się znaleźć sobie jakieś codzienne zajęcia, ale nie było to łatwe. Przez ponad dziewięć lat wstawałam, jechałam do pracy, wracałam do domu i tak w kółko. W weekendy piłam wódkę. Teraz wszystko się zmieniło. Postanowiłam wysprzątać mieszkanie od góry do dołu. Zauważyłam, jakie jest brudne, jakie zaniedbane. Było jak ja - niekochane, pozbawione troski. Wyobraziłam sobie, że zapraszam kogoś - na przykład Raymonda - na lunch. Spróbowałam spojrzeć na nie jego oczami. Zdałam sobie sprawę, że mogłabym je ozdobić; to nie kosztowałoby dużo,

ale wiele by zmieniło. Nowa roślina doniczkowa, kilka kolorowych poduszek. Przypomniała mi się Laura i jej elegancki dom. Mieszkała sama, miała pracę, nawet własny biznes. Ona na pewno żyła, a nie tylko egzystowała. Sprawiała wrażenie szczęśliwej. Więc to musi być możliwe.

Gdy w trakcie sprzątanía zabrzmiał dzwonek do drzwi, aż podskoczyłam. Nieczęsto słyszałam ten dźwięk. Jak zwykle z lekkim niepokojem odmykałam zamki; zauważyłam, że drżą mi ręce i serce bije szybciej. Uchyliłam drzwi na długość łańcucha i wyjrzałam. Na wycieraczkę stał młody człowiek w sportowym ubraniu, podrygując nogą w adidasie. Z całego jego ciała aż biła energia. Czapkę nosił daszkiem do tyłu. Dlaczego? Odruchowo cofnęłam się o krok.

- Oliphant? - zapytał.

Z lękiem skinęłam głową. Na chwilę zniknął z pola widzenia i pojawił się znowu z wielkim koszem kwiatów w celofanie i ze wstążkami. Chciał mi go wręczyć, więc zdjęłam łańcuch i niepewnie wzięłam od niego kwiaty, bojąc się, że to jakiś podstęp. Pogmerał w kieszeni kurtki i wyjął jakiś elektroniczny czarny gadżet.

- Proszę tu podpisać - powiedział. Podał mi plastikowy ołówek, który trzymał, o zgrozo, za uchem. Złożyłam swój najbardziej ozdobny podpis, na który nawet nie spojrzał. - Wszystkiego dobrego! - rzucił, zbiegając już po schodach. Nigdy nie widziałam takiej wibrującej energii w jednym ludzkim ciele.

Do celofanu była przypięta mała koperta, z tych, które zawierają słodkie kartki urodzinowe. W środku znajdowała się

wizytówka - prosta, biała - następującej treści: „Wracaj do zdrowia, Eleanor - myślimy o Tobie wszyscy. Serdeczności i najlepsze życzenia od Boba i całego zespołu By Design. Xxx”.

Zaniosłam kosz do kuchni i postawiłam na stole. „Myślimy o Tobie”. Kiedy zdjęłam celofan, rozszedł się zapach letniego ogrodu, słodki i odurzający. Myślę o mnie! Usiadłam i z uśmiechem pogładziłam płatki czerwonej gerbery.

Ostrożnie postawiwszy kwiaty na stoliku do kawy, powoli kontynuowałam sprzątanie, myśląc w trakcie o tym, co to znaczy stworzyć dom. Nie miałam specjalnie doświadczeń, na których mogłabym się oprzeć. Pootwierałam wszystkie okna, włączyłam radio i znalazłam jakąś nieinwazyjną muzykę, a potem wysprzątałam po kolei wszystkie pomieszczenia. Niektóre plamy na dywanie nie chciały zejść, ale większość udało mi się wywabić. Zapełniłam śmieciami cztery czarne worki, wyrzucając stare krzyżówki, wyschnięte długopisy, brzydkie bibeloty, które nazbierały się przez lata. Przejrzałam książki na półkach, odkładając na stos te, które zamierzałam zanieść (w niektórych przypadkach zwrócić) do sklepu z używanymi rzeczami.

Ostatnio skończyłam czytać dzieło poświęcone zarządzaniu, którego zamierzonym odbiorcą, jak się zdawało, byli psychopaci bez krzty zdrowego rozsądku (bardzo niebezpieczne połączenie). Zawsze lubiłam czytać, ale nie bardzo umiałam dobierać sobie lektury. Na świecie jest tak wiele książek - skąd wiedzieć, które są warte przeczytania? Które będą odpowiadać twojemu gustowi i zainteresowaniom? Dlatego biorę pierwszą z brzegu. Nie ma sensu przebierać.

Okładki także niewiele pomagają, bo zamieszcza się na nich tylko pochwały, które, jak się własnym kosztem przekonałam, rzadko kiedy odpowiadają prawdzie. „Porywająca”, „zapierająca dech w piersiach”, „przezabawna”. Nie.

Wymagam tylko, żeby książki były czyste, co oznacza, że w antykwariatach odrzucam dużą część potencjalnie ciekawej lektury. Z tego samego powodu nie korzystam z bibliotek, chociaż niewątpliwie, z zasady i w praktyce, każda z nich to istny skarbiec. To nie wasza wina, biblioteki, tylko moja, jak głosi popularne powiedzenie. Gdy pomyślę o książkach przechodzących przez tyle brudnych rąk – ludzie czytają w kąpielni, dźbią w nosie i wycierają o kartki to, co z niego wydobyli, pozwalają psom siadać na tomach! Jedzą chipsy serowe, a potem, nie umywszy rąk, przedzierają się przez następne rozdziały. Po prostu nie mogę. Nie; szukam czystych książek. Takie są w Tesco. Czasami po wypłacie pozwalam sobie na kupno kilku z nich.

Wreszcie mieszkanie było czyste i prawie puste. Zaparzyłam sobie filiżankę herbaty i rozejrzałam się po salonie. Brakowało w nim tylko obrazków na ścianach i ze dwóch dywaników. Kilku nowych roślin. Wybacz, Polly. Na razie musiał wystarczyć kosz z kwiatami. Zaczepiłam głęboko powietrza, wzięłam puf i wsadziłam do worka na śmieci. Trudno go było tam wepchnąć. Gdy się z nim mocowałam, pomyślałam, jak muszę wyglądać – obejmując ramionami wielką żabę i przyciskając ją do podłogi. Prychnęłam, a potem parsknęłam śmiechem i śmiałam się, aż rozboleł mnie brzuch. Kiedy się wyprostowałam i wreszcie zawiązałam taśmę,

z radia płynęła rytmiczna piosenka pop i zdałam sobie sprawę, że jestem... szczęśliwa. Było to dziwne, niezwykle uczucie - lekkości, spokoju, jakbym połknęła blask słońca. Jeszcze rano byłam wściekła, a teraz - spokojna i zadowolona. Powoli przyzwyczajałam się do wachlarza ludzkich emocji, szybkości i intensywności, z jakimi potrafiły się zmieniać. Do tej pory, gdy jakieś emocje mogły wytrącić mnie z równowagi, zapijałam je, topiłam w alkoholu. To pozwalało mi funkcjonować, ale zaczynałam rozumieć, że potrzebuję i chcę czegoś więcej.

Wyniosłam śmieci i po powrocie do mieszkania zauważyłam, że pachnie w nim cytryną. Przyjemnie było do niego wejść. Uświadomiłam sobie, że zazwyczaj nie zwracałam uwagi na otoczenie. To było jak mój poranny spacer do gabinetu Marii Temple; jeśli znajdziesz chwilę, żeby rozejrzeć się dookoła, i zauważysz te wszystkie drobne rzeczy, robi ci się... lżej na sercu.

Może, jeśli ma się rodzinę albo przyjaciół, pomagają oni częściej zwracać na nie uwagę. Wskazują ci je. Wyłączyłam radio i siedziałam w ciszy na kanapie, pijąc kolejną filiżankę herbaty. Słyszałam tylko cichy szum wiatru w otwartych oknach i śmiech dwóch mężczyzn na ulicy poniżej. Było popołudnie powszedniego dnia. W normalnych okolicznościach tkwiłabym w pracy, patrzyłabym na wskazówki zegara, zbliżające się do piątej, i czekałabym na porę pizzy i wódki, na piątkowy wieczór i dwa poranki, pozwalające pospać dłużej, aż do poniedziałku. Z wyjątkiem lufy, którą strzeliłam sobie w pubie, nie piłam alkoholu już od kilku tygodni. Zawsze

sądziłam, że pomaga mi zasnąć, ale teraz spałam głębiej niż kiedykolwiek wcześniej i nie nękały mnie żadne koszmary.

Z zamyślenia wyrwał mnie elektroniczny dźwięk i o mało nie rozlałam herbaty. Ktoś przysłał mi esemesa. Pobiegnęłam do przedpokoju po telefon. Na wyświetlaczu migiała kopertka:

Jesteś wolna wieczorem? Mogę wpaść? Mam dla Ciebie niespodziankę! R. x

Niespodziankę! Natychmiast odpisałam:

Bardzo proszę. Eleanor O.

Nikt nigdy mnie nie pytał, czy może wpaść z wizytą. Pracownicy opieki społecznej zapowiadali się wcześniej, a osoby z administracji, dokonujące odczytu licznika, po prostu dzwoniły do drzwi. Miałam świadomość, że poprzednie wizyty Raymonda nie były dla niego – ani dla mnie – specjalnie miłe, więc postanowiłam to naprawić. Włożyłam bezrękawnik i poszłam do sklepu na rogu. Na dźwięk brzęczyka przy drzwiach pan Dewan podniósł wzrok znad gazety. Musiało go doprowadzać do szału to dzwonienie przez cały dzień. Na mój widok uśmiechnął się niepewnie. Wzięłam koszyk i włożyłam do niego mleko, earl grey w torebkach i cytrynę, w razie gdyby Raymond lubił ją do herbaty. Przytłoczona asortymentem słodczy, spędziłam między regałami sporo czasu. W końcu wybrałam ciasteczka Garibaldi, do których dorzuciłam jeszcze paczkę różowych wafelków – miło jest zaoferować gościowi wybór. Zastanawiałam się, czy Raymond nie wolałby czegoś konkretnego, więc wzięłam jeszcze krakersy i ser żółty w plasterkach. Chyba uwzględniłam wszystkie opcje.

Stałam z koszykiem w kolejce; siłą rzeczy usłyszałam rozmowę stojącej przede mną pary, choć nie podsłuchiwałam. W końcu postanowiłam się włączyć i przyjść z pomocą.

- To tażin - podpowiedziałam.

Brak reakcji. Westchnęłam i znowu pochyliłam się do przodu.

- Tażin - powtórzyłam wolno i wyraźnie, z całkiem znośną, jak mi się zdawało, francuską wymową.

- Przepraszam? - odezwała się kobieta bynajmniej nieprzepraszająco. Mężczyzna tylko popatrzył na mnie w sposób, który najlepiej można by opisać jako lekko nieprzyjazny.

- Żadne z państwa nie mogło sobie przypomnieć nazwy... jak to opisaliście, „ceramicznego naczynia ze stożkową pokrywą”, które „Judith”... kimkolwiek jest... umieściła na liście prezentów ślubnych, przez co nazwała ją pani - tu skinieniem głowy wskazałam kobietę - „pretensjonalną krową”. - Teraz, gdy go opanowałam, z przyjemnością wykonałam gest oznaczający cudzysłów.

Żadne z nich się nie odezwało, więc poczułam się ośmielona i kontynuowałam:

- Tażin to tradycyjne naczynie do gotowania, pochodzące z Afryki Północnej - dodałam życzliwie. - Wykonane z wypalanej gliny i zdobione barwną glazurą. To jednocześnie nazwa duszonej potrawy, którą się w nim przyrządza.

Mężczyzna lekko otworzył usta, a kobieta zacisnęła je powoli w bardzo cienką i bardzo surową kreskę. Oboje odwrócili się do siebie i zaczęli szeptać, zerkając na mnie

kilka razy.

Nic więcej nie zostało powiedziane, choć jeszcze łypali na mnie, wychodząc ze sklepu po zapłaceniu za zakupy. Ani słowa podziękowania. Mimo to pomachałam im lekko.

Pan Dewan uśmiechnął się do mnie ciepło, kiedy wreszcie podeszłam do kasy.

- Wciąż nie przestaje mnie zdumiewać nieuprzejmość ludzi i ich całkowity brak znajomości *comme il faut*, panie Dewan - zauważyłam, kręcąc głową.

- Pani Oliphant - powiedział i uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Jak miło znowu panią widzieć! Doskonale pani wygląda.

Rozpromieniłam się w odpowiedzi.

- Bardzo dziękuję, panie Dewan. Mnie także miło pana widzieć. Przyjemny mamy dzień, prawda?

Kiwnął głową, wciąż z uśmiechem, i przeciągnął przez czytnik moje zakupy. Potem spoważniał.

- Coś jeszcze, pani Oliphant?

Za nim w górnym świetle lśniły butelki z alkoholami, czerwonym, złotym i przezroczystym.

- Tak! - zawołałam. - Omal bym zapomniała! - Przechyliłam się w stronę stojaka z prasą i wzięłam „Telegraph”; stęskniłam się za krzyżówkami.

Po powrocie do domu nastawiłam wodę na herbatę i wyjęłam filiżanki. Żałowałam, że nie są od kompletu, ale byłam pewna, że Raymondowi nie będzie to przeszkadzało. Pokroiłam cytrynę w plasterki i promieniście, jak szprychy koła, ułożyłam ciastka na najładniejszym talerzu, jaki miałam,

tym w kwiatki. Krakery i ser postanowiłam zachować w rezerwie. Nie ma co szaleć.

Ponieważ trochę wyszłam z wprawy, byłam dopiero w połowie krzyżówki, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi – zresztą nawet trochę później, niż się spodziewałam. W międzyczasie zgłodniałam i musiałam zjeść kilka ciastek, tak że na talerzu brakowało paru szprych. Trudno.

Raymond w jednej ręce trzymał kartonowe pudło z uchwytami, a w drugiej wielką wypchaną plastikową torbę. Zdyszany, bez pytania postawił obie rzeczy na dywanie w przedpokoju i wciąż sapiąc jak wyrzucony na brzeg morświn, zaczął się rozbierać. Palenie zabija.

Podał mi kurtkę, a ja patrzyłam na nią przez moment, zanim zdałam sobie sprawę, że mam ją powiesić. Nie było za bardzo gdzie, więc starannie ją złożyłam i położyłam na podłodze w kącie przedpokoju. Raymond nie był zachwycony, choć nie bardzo wiedziałam dlaczego. Kurtka nie wyglądała na szczególnie drogą.

Zaprowadziłam go do salonu i zaproponowałam herbatę. On jednak był wyraźnie podekscytowany.

- Może później. Najpierw muszę ci powiedzieć, co z tą niespodzianką.

Usiadłam.

- Słucham – powiedziałam, zbierając siły. Miałam skromne i niezbyt pozytywne doświadczenia z niespodziankami.

Raymond przyniósł pudło z przedpokoju i postawił je na podłodze.

- Nie musisz się zgodzić – zaczął. – Moja mama bardzo by

się ucieszyła. Ale pomyślałem, że... no, cóż...

Delikatnie zdjął pokrywę, a ja odruchowo się cofnęłam.

- Chodź, kochana - powiedział pieszczotliwie, tonem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam. - Nie bój się...

Wsadził ręce do pudła i wyjął najgrubszą kotkę, jaką kiedykolwiek widziałam. Była czarna jak smoła i ta czerń obejmowała także nos i wąsy. Jednak w gęstym futrze znajdowały się łyse placki, które przez kontrast wydawały się jeszcze jaśniejsze. Raymond przytulił kotkę do piersi i dalej szeptał jej do ucha czułości. Zwierzę sprawiało wrażenie wyraźnie rozczarowanego.

- I co ty na to? - zagadnął mnie.

Popatrzyłam w zielone oczy kotki, a ona odpowiedziała spojrzeniem. Zrobiłam krok do przodu i Raymond podał mi ją. Zrobił to trochę niezgrabnie, ale nagle było po wszystkim. Trzymałam kotkę jak dziecko, tuż przy piersi, i raczej poczułam, niż usłyszałam, głębokie dźwięczne mruczenie. Och, i to jej ciepło! Zanurzyłam twarz w resztkach futra, a ona odwróciła ku mnie łebek i delikatnie obwąchała linię moich włosów.

W końcu podniosłam głowę. Raymond wyjmował z torby kuwetę, żwirek, miękkie legowisko i małą paczkę karmy. Kotka wyrwała mi się i z ciężkim pacnięciem wylądowała na dywanie. Podeszła do kuwety, przykucnęła i głośno się wysikała, przez cały czas asertywnie utrzymując ze mną kontakt wzrokowy. Potem leniwie zakopała mocz tylnymi łapami, sypiąc żwirkiem na moją świeżo umytą podłogę.

Samica, która miała własne zdanie i gardziła konwenansami.

Zrozumiałam, że dojdziemy do porozumienia.

Raymond podziękował za ciastka i herbatę. Chciał piwa albo kawy, ale nie miałam ani jednego, ani drugiego. Przyjmowanie gości stanowi większą trudność, niż sądziłam. W końcu zgodził się na szklanekę wody, której nawet nie wypił. Jak mi powiedział, Desi, jeden z jego współlokatorów, przyniósł kotkę z podwórka. Ktoś wsadził ją do metalowego kubła i podpalił – Desi usłyszał rozpaczliwie miauczenie, kiedy wracał z pracy. Wysłuchawszy tej relacji, wstałam i pobiegłam do łazienki, gdzie zwróciłam różowe wafelki. Raymond delikatnie zapukał do drzwi, ale poprosiłam, żeby zostawił mnie w spokoju. Gdy przywlokłam się z powrotem do salonu, on i kotka siedzieli na kanapie. Usadowiłam się w fotelu naprzeciwko, oboje uważnie mi się przyjrzeni.

- Kto mógł coś takiego zrobić, Raymondzie? - zapytałam, kiedy wreszcie byłam w stanie.

Oboje z kotką wyglądali na zasmuconych.

- Jacyś zwyrodnialcy - odpowiedział, kręcąc głową. - Desi przyniósł ją do domu i upewniliśmy się, że nic jej nie jest. Ale on ma alergię, więc nie mogła u nas zostać. Zamierzałem zawieźć ją do schroniska albo spytać mamę, czy nie chciałaby jeszcze jednego kota, ale potem... sam nie wiem, pomyślałem, że może byłaby dla ciebie miłym towarzystwem, Eleanor. Powiedz, jeśli jej nie chcesz. Wzięcie do siebie zwierzęcia to poważna sprawa... duża odpowiedzialność...

To była trudna decyzja. Musiałam przyznać, że ciągnęło mnie do tej kotki. Miała niezaprzeczalny zawadiacki urok, będący częściowo skutkiem łysych placków, oraz nonszalancję,

która mogła zmiękczyć najtwardsze serce. Widziałam, że kotka ma charakter. Równocześnie jednak była delikatną istotą, która potrzebowała opieki. I w tym problem. Czy jestem w stanie temu sprostać?

Wróciłam myślami do sesji terapeutycznych; mówiłyśmy z Marią o tym, że trzeba myśleć racjonalnie, rozpoznawać negatywne schematy zachowania i mieć odwagę postępować inaczej. No, dalej, Eleanor – powiedziałam do siebie. Bądź odważna. Nie jest tak jak wcześniej, a nawet zupełnie inaczej. To tylko kot, a ty jesteś dorosłą kobietą. Dasz sobie radę, i to bez problemu.

– Podejmę się opieki nad tym zwierzęciem, Raymondzie – odpowiedziałam stanowczo. – Znajdzie u mnie ciepły kąt i strawę.

Uśmiechnął się.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Już czuje się tu jak w domu – zauważył. Kotka rozciągnęła się na poduszkach i najwyraźniej spała, choć jedno jej ucho drgało od czasu do czasu, jakby kontrolowała naszą rozmowę.

– Jak ją nazwiesz? – zapytał.

Przechyliłam głowę, zastanawiając się nad tym. Po chwili Raymond wstał.

– Zejdę na dół, żeby zapalić. Zostawię drzwi uchylone.

– Tylko nie wydmuchuj dymu w moje okna! – zawołałam za nim.

Kiedy po dziesięciu minutach wrócił, powiedziałam mu, że dam kotce na imię Glen. Zaśmiał się.

– Glen? To chyba męskie imię?

Pomyślałam o tych wszystkich czerwonych nalepkach, wszystkich pustych butelkach.

- To imię po starej przyjaciółce.

Następnego dnia obudziłam się ze strachem i zobaczyłam Glen leżącą przy mnie, z łebkiem na poduszce; była przykryta kołdrą, jak człowiek. Patrzyła na mnie wielkimi zielonymi oczami, jakby chciała, żebym już wstała. Poszła za mną do kuchni, gdzie dałam jej wody, której nie wypła, i trochę karmy, którą pochłoneła i zaraz wymiotowała na podłogę. Odwróciłam się, żeby wyjąć spod zlewu środki do czyszczenia, ale kiedy znowu na nią spojrzałam, jadła swoje wymiociny.

- Dobra mała Glen - powiedziałam. Łatwa i niedroga w utrzymaniu.

Raymond kupił tylko niezbędne minimum, żeby kotka mogła spędzić u mnie noc, więc gdy drzemała na kołdrze, wyskoczyłam z mieszkania i pojechałam autobusem do centrum handlowego, gdzie jak wiedziałam, był duży sklep z artykułami dla zwierząt. Kupiłam jej większe, wygodniejsze pośłanie, porządną kuwetę z daszkiem dla ochrony prywatności, cztery różne rodzaje suchej i mokrej karmy, a także worek ekologicznego żwirku. Do tego wzięłam butelkę oliwy, podobno dobrej dla futra - należało codziennie dodawać po łyżce do karmy. Nie miało dla mnie znaczenia, czy futro Glen odrośnie, bo podobała mi się taka, jaka była, ale pomyślałam, że może czułaby się bardziej komfortowo bez łyśnych placków na skórze. Nie wydała mi się wprawdzie typem lubiącym zabawki, ale na wszelki wypadek kupiłam jej błyszczącą piłeczkę i dużą pluszową mysz, rozmiaru męskiego

kapcia, wypchaną kocimiętką. Idąc z wózkiem do kasy, uświadomiłam sobie, że będę musiała wziąć taksówkę, żeby dotrzeć z tym wszystkim do domu. Ale czułam się z siebie dumna.

Kierowca nie chciał mi pomóc w zanieśieniu zakupów na górę, więc musiałam odbyć kilka kursów po schodach i kiedy wszystko wreszcie znalazło się w mieszkaniu, spływałam potem. Cała ta wyprawa zajęła mi ponad dwie godziny, od początku do końca. Glen wciąż spała na kołdrze.

Przez cały dzień krzątałam się po mieszkaniu. Glen stanowiła miłe towarzystwo, była cicha i niezależna, przeważnie spała. Wieczorem, kiedy siedziałam na kanapie z filiżanką herbaty i słuchałam audycji radiowej, wskoczyła mi na kolana i zaczęła chodzić po moich udach, z częściowo wysuniętymi pazurkami. Było to trochę nieprzyjemne, wiedziałam jednak, że nie chciała nic złego. Po minucie ułożyła się wygodnie na moich kolanach i zasnęła. Ze dwadzieścia minut później musiałam pójść do łazienki, zwłaszcza że nie była lekka, a leżała całym swoim ciężarem na moim pęcherzu. Chciałam delikatnie przesunąć ją na bok; stawiała opór. Spróbowałam ponownie. Przy trzeciej próbie wstała powoli, wygięła grzbiet, wydając długie, znaczące westchnienie, po czym zeskoczyła na podłogę i powędrowała na swoje nowe posłanie. Ułożywszy się na nim, popatrzyła na mnie, gdy wychodziłam z pokoju, a kiedy wróciłam, przywitała mnie tym samym spojrzeniem. Spoglądała tak na mnie przez cały wieczór. Nie przejęłam się tym. Musiałam sobie radzić z o wiele, wiele gorszymi rzeczami niż kotka z pretensjami.

Raymond wpadł z wizytą kilka dni później, żeby zobaczyć, jak miewa się Glen. Wtedy zaprosiłam go do siebie z matką, bo wspomniał, że chętnie by przyszła, a ponieważ przepadała za kotami, wyobraziłam sobie, że chciałyby zobaczyć Glen. W każdym razie po jego ostatniej wizycie pozostało sporo ciastek, więc byłam przygotowana.

Przyjechali taksówką, ku wielkiemu zadowoleniu pani Gibbons.

- Kierowca był przemiły, Eleanor, prawda, Raymondzie? - zauważyła. Raymond skinął głową i odniosłam wrażenie, że zauważyłam cień, zaledwie cień znużenia, jakby nie pierwszy raz wspomniała o tym podczas krótkiego kursu z południowej do zachodniej części miasta. - Nie mógł być miłszy, pomógł mi wsiąść do taksówki... a potem z niej wysiąść... Przytrzymał drzwi, kiedy wystawiałam balkonik...

- Tak, mam - potwierdził, wstawiając rzeczony balkonik do kąta salonu, podczas gdy jego matka sadowiła się na kanapie.

Glen, zawsze niezależna, poszła do łóżka - mojego - gdy tylko przyjechali i oprócz cicho pochrapującej wypukłości pod kołdrą nie było po niej śladu. Pani Gibbons była zawiedziona, ale dałam jej do obejrzenia zdjęcia kotki w telefonie i poszłam zaparzyć herbaty. Raymond dołączył do mnie w kuchni i patrząc, jak rozlewam napar, stał oparty o blat. Podał mi reklamówkę.

- To nic takiego - powiedział. Zajrzałam do środka. Było tam kartonowe pudełko z cukierni, przewiązane wstążką. A także mała puszka karmy dla kota Gourmet. - Cudownie! - wykrzyknęłam z zachwytem.

- Nie wiedziałem, co lubisz, a nie chciałem przyjść z pustymi rękami - odparł Raymond ze skrępowaniem. - Pomyślałem, że... wyglądasz na kogoś, kto lubi dobre rzeczy - dokończył, patrząc na mnie. - I zasługuje na dobre rzeczy - dodał stanowczo.

To mnie zaskoczyło. Muszę przyznać, że na chwilę odebrało mi mowę. Naprawdę zasługiwałam na dobre rzeczy?

- To śmieszne, wiesz, Raymondzie? - odparłam w końcu. - Dorastanie z mamą było takie dezorientujące. Czasami podawała nam prawdziwe rarytasy, a czasami... nic. Na przykład, w jednym tygodniu jadłyśmy jaja przepiórcze w soli selerowej i ostrygi, a w następnym głodowałyśmy. Dosłownie, nie miałyśmy nic do jedzenia ani picia - wyznałam. Oczy mu się rozszerzyły. - Z nią wszystko było ekstremalne - ciągnęłam, kiwając do siebie głową. - Tęskniłam za normalnością. No wiesz, trzy posiłki dziennie, zwyczajne jedzenie: zupa pomidorowa, tłuczone ziemniaki, płatki kukurydziane...

Rozwiązałam wstążkę i zajrzałam do pudełka. Znajdujący się w środku biszkopt był arcydziełem cukiernictwa: polewę czekoladową niczym klejnoty ozdobiły czerwone maliny. To był zwyczajny luksus i Raymond wybrał go dla mnie.

- Dziękuję ci - powiedziałam, czując, że w oczach wzbierają mi łzy. Nic więcej nie musiałam mówić.

- A ja dziękuję, że nas zaprosiłaś, Eleanor - odrzekł. - Mama uwielbia wychodzić z domu, a nieczęsto ma okazję.

- Jesteście tu zawsze mile widziani, oboje - zaznaczyłam, i mówiłam poważnie.

Postawiłam ciasto na tacy obok filiżanek, ale zanim ją

wzięłam, zrobił to za mnie Raymond. Ruszyłam za nim. Zauważyłam, że się ostrzygł.

- Jak się czujesz, Eleanor? - zapytała pani Gibbons, kiedy już wszyscy usiedliśmy. - Raymond wspominał, że ostatnio nie najlepiej.

Miała na twarzy wyraz łagodnej, uprzejmej troski, nic więcej, więc rumieniąc się z wdzięcznością, zrozumiałam, że Raymond nie zdradził szczegółów.

- Czuję się znacznie lepiej, dziękuję - odparłam. - Raymond nade mną czuwa. Mam szczęście.

Sprawił wrażenie zaskoczonego. A jego matka nie.

- Ma złote serce, ten mój syn - potwierdziła, kiwając głową. Raymond miał taką minę jak Glen, gdy zauważyła, że widzę, jak bezskutecznie próbuje przeskoczyć z kanapy na parapet. Rozbawiło mnie to.

- Zawstydiłeś się! - zawołałam.

- To wy powinnyscie się wstydić - odciął się - bo paplacie jak dwie stare ciotki. Czy ktoś jeszcze chce herbaty? - Sięgnął po imbryk i zobaczyłam, że się uśmiecha.

Matka i syn stanowili przyjemne, niekrępujące towarzystwo. Wszyscy byliśmy trochę zdziwieni, że tak szybko upłynął czas, gdy godzinę później zatrąbiła z irytacją wcześniej zamówiona taksówka i oboje wychodzili w pośpiechu.

- Następnym razem ty nas odwiedzisz, Eleanor - powiedziała pani Gibbons, kiedy przepychali się z balkonikiem przez drzwi, a Raymond jednocześnie wciągał kurtkę. Skinęłam głową. Szybko pocałowała mnie w policzek, ten z blizną, a ja się nie wzdrygnęłam. - Przyjedź którejs niedzieli

z Raymondem. Napijesz się herbaty, trochę posiedzisz – szepnęła. Ponownie kiwnęłam głową.

Raymond, zanim zdążyłam zareagować, także się pochylił i cmoknął mnie w policzek jak jego matka.

- Do zobaczenia w robocie – powiedział i wyszedł, w dość ryzykowny sposób sprowadzając po schodach starszą panią i jej balkonik.

Przytknęłam dłoń do twarzy. Ci Gibbonsowie lubili serdeczności – niektóre rodziny tak mają.

Pozmywałam talerze i filiżanki, a wtedy Glen w końcu postanowiła się objawić.

- To nie było zbyt uprzejme z twojej strony – zwróciłam jej uwagę. Popatrzyła na mnie i wydała krótki odgłos, nie tyle miauknięcie, ile prychnięcie. Dziwne. Przesłanie było jasne – że ma to w głębokim poważaniu. Nałożyłam jej do miski specjalnej karmy, którą przyniósł Raymond. To spotkało się ze znacznie lepszym przyjęciem, choć niestety zachowanie kotki przy jedzeniu przypominało maniery jej dobroczyńcy.

Raymond zostawił na krześle w salonie tabloid – ku mojemu ubolewaniu, często nosił je zwinięte w tylnej kieszeni spodni. Przerzuciłam gazetę, licząc, że znajdę jakąś przyzwoitą krzyżówkę, i moje spojrzenie przykuł nagłówek na dziewiątej stronie:

Glasgow Evening Times

Rozrywka

Pilgrim Pioneers zdobywają Amerykę
Zespół z Glasgow uznany za „lepszy niż Biffy”

Szkocki zespół Pilgrim Pioneers świętuje w tym tygodniu, zajmą piąte miejsce na amerykańskiej liście przebojów.

Po latach koncertowania w miejscowych pubach i klubach muzycznych ta pochodząca z Glasgow czteroosobowa grupa postanowiła podbić rynek amerykański.

Ich singiel *Don't Miss You*, napisany po gwałtownym rozstaniu z poprzednim wokalistą, został w zeszłym miesiącu zauważony na YouTube przez jednego z przedstawicieli amerykańskiego przemysłu muzycznego. Od tego czasu jest nadawany w całych Stanach Zjednoczonych jako temat przewodni szeroko zakrojonej kampanii reklamowej pewnej firmy telekomunikacyjnej.

Zespół w przyszłym miesiącu leci do Stanów, by odbyć trasę koncertową od wschodniego do zachodniego wybrzeża.

Gdy to czytałam, cofnęłam się w czasie i ujrzałam kogoś innego: osobę, jaką usiłowałam być, rozpaczliwie próbując zmienić swoje życie. Tamten muzyk był w tym wszystkim nieważny; Maria Temple pomogła mi to zrozumieć.

W swoim pragnieniu, aby nawiązać z kimś relację, skupiłam się nie na tej osobie, co trzeba. Zarzucałam sobie, że jestem kompletnym nieudacznikiem, ofiarą losu, ale dzięki Marii zaczęłam rozumieć, że wcale tak nie jest.

W artykule nie wspomniano, co robi teraz Johnnie Lomond. I zupełnie mnie to nie interesowało. Złożyłam gazetę - mogłam nią wyścielić kuwetę Glen.

@johnnieRocks 7 godz.

Gratuluję chłopakom - wspaniałe wieści i naprawdę, naprawdę zasłużony sukces. Powodzenia!

#usa #wielkasprawa

(żadnych lajków)

@johnnieLrocks 44 min.

Kurwa, kurwa, kurwa.

(później usunięte)

33

Kiedy weszłam do gabinetu, Maria była wyraźnie w dobrym humorze – podobnie jak ja. Z trudem przełączyłam się w tryb pogotowia, gdy znowu nawiązała do przeszłości.

- Nie rozmawialiśmy zbyt dużo o pożarze. Czy... zgodzisz się, żebyśmy do niego wróciły?

Ostrożnie kiwnęłam głową.

- Świetnie. Mogłabyś zamknąć oczy, Eleanor? Czasami tak łatwiej przywołać wspomnienia. Wciągnij głęboko powietrze i wypuść je do końca. Doskonale. I jeszcze raz... dobrze. A teraz spróbuj sobie przypomnieć. W dzień przed pożarem jesteś w domu. Co pamiętasz? Cokolwiek. Nie spiesz się...

Wcześniej czułam się taka lekka i wolna, taka zajęta sobą, że nie zdążyłam się na to przygotować. Gdy zamknęłam oczy i odetchnęłam, tak jak zaleciła Maria, z niepokojem poczułam, zanim jeszcze w pełni stałam się tego świadoma, że mój umysł otwiera dostęp do niechcianych wspomnień i dzieje się to zbyt szybko, bym zdążyła je zablokować. Moje ciało było ciężkie, w przeciwieństwie do mózgu, który dryfował jak balon, wymykając mi się. Teraz jednak, gdy to się działo, przyjąłam to ze spokojem. Do pewnego stopnia przyjemnie było oddać kontrolę.

- Mama... Jest zła. Spała, ale ją obudziłyśmy. Wtedy miała nas dość. - Kiedy to opowiadam, czuję łzy na policzkach, ale nie jest mi szczególnie smutno. To tak, jakbym streszczała film.

- Świetnie, Eleanor, wspaniale ci idzie - powiedziała Maria.
- Możesz powiedzieć coś więcej o mamie?

Odpowiadam cichym głosem:

- Nie chcę.

- Doskonale ci idzie, Eleanor - powtórzyła. - Mów dalej.

Więc mama...?

Nie odzywałam się przez bardzo długą chwilę, pozwalając umysłowi swobodnie wędrować po tamtym domu, uwalniając wspomnienia jak uwięzione ptaki. Wreszcie szepnęłam. Dwa słowa.

- Gdzie Marianne?

34

Niedziela. Musiałam wyjść z domu o dwunastej, żeby spotkać się z Raymondem na lunchu. Glen drzemała w swoim nowym legowisku, więc sfotografowałam ją komórką. Na ostatnim zdjęciu zasłaniała łapką oczy, jakby w obronie przed światłem. Przyklęłam obok niej na podłodze i wtuliłam twarz w największą połąć futra. Poruszyła się trochę, a potem zaczęła głośniej mruczeć. Pocałowałam ją w mięciutkie miejsce na łebku.

- Do zobaczenia, Glen - powiedziałam. - Niedługo wrócę. - Wyglądało jednak na to, że moje wyjście nie robi na niej żadnego wrażenia.

Kiedy byłam już gotowa, jak najciszej otworzyłam drzwi i weszłam na palcach do salonu, żeby sprawdzić, czy kotka nadal śpi. Zastałam ją na wielkiej wypchanej kocimiętka myszy; obie były zwrócone w moją stronę, gryzoń patrzył guzikowatymi oczami prosto przed siebie. Glen trzymała przednie łapy na grzbiecie myszy i leniwie ją ugniatała, energicznie napierając na nią od tyłu. Tak je zostawiłam.

Od sesji terapeutycznej myślałam wyłącznie o Marianne. Marianne Marianne Marianne; obracałam to imię w pamięci jak monetę między palcami. Miałam przygotować się do rozmowy o niej podczas następnego spotkania z doktor Temple. Nie byłam pewna, co o tym sędzę. Czy zawsze lepiej wiedzieć niż nie wiedzieć? Trudno powiedzieć.

Raymond, bynajmniej nietrapiony filozoficznymi pytaniami,

był już w Black Dog, kiedy tam przyszedłem; czytał „Sunday Mail” i popijał piwo.

- Przepraszam, że się spóźniłam - powiedziałam.

Był bledszy niż zwykle i kiedy wstał, żeby mnie uściskać, wyczułam od niego nie tylko dzisiejsze, ale i wczorajsze piwo; oprócz tego zalaatywał papierosami.

- Jak się masz? - zapytał chrapliwym głosem.

- Jak ty się masz? - odpowiedziałam pytaniem. Nie wyglądał za dobrze.

Jęknął.

- Szczerze mówiąc, już miałem odwołać esemesem nasze spotkanie - wyznał. - Zeszłego wieczoru trochę zabalowałem.

- Byliście z Laurą na randce? - zagadnęłam.

Łypnął na mnie.

- Skąd wiesz, do cholery? - spytał z niedowierzaniem.

Przypomniałam sobie pewien gest, podpatrzony u Billy'ego w biurze, i znacząco postukałam się palcem po nosie.

Raymond się roześmiał.

- Masz w sobie coś w wiedźmy, Eleanor - zauważył.

Wzruszyłam ramionami. A do tego byłam właścicielką czarnego kota.

- Jakiś czas temu wpadłam na Laurę w mieście - wyjaśniłam.

- Powiedziała mi, że się spotykacie.

Pociągnął duży łyk piwa.

- Uhm. Rzeczywiście, dzwoniła kilka razy, pytając, czy gdzieś nie wyskoczymy. Zeszłego wieczoru poszliśmy do kina, a potem wypiliśmy po parę drinków.

- Brzmi nieźle - podsumowałam. - Więc chodzisz z nią?

Gestem poprosił kelnera o drugie piwo.

- Laura to urocza dziewczyna - odparł - ale chyba więcej się z nią nie zobaczę.

Kelner przyniósł piwo i kartę dań. Poprosiłam o dandelion^[2]. O dziwo, nie mieli go, choć było to elegancki bar w centrum miasta; musiałam więc zadowolić się szklanką dr. peppera.

- Dlaczego? - wróciłam do tematu. - Laura jest śliczna.

Raymond westchnął.

- To trochę bardziej skomplikowane. Chyba jest dla mnie... zbyt wyrafinowana, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Raczej nie - odparłam.

- To nie mój typ, jeśli mam być szczery. - Siorbnał piwo. - Wygląd jest ważny, oczywiście, że tak, ale najważniejsze to móc śmiać się razem, dobrze czuć się w swoim towarzystwie, no wiesz. Nie jestem pewien, czy ja i Laura mamy ze sobą aż tyle wspólnego.

Wzruszyłam ramionami, bo nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie byłam ekspertem w tej dziedzinie.

Przez chwilę milczeliśmy. Raymond był strasznie błydy i wymizerowany. Klasyczne objawy kaca. Na szczęście nie znam tego, bo mam żelazne zdrowie.

Zamówiłam omlet, opisany w menu jako „omlet Arnolda Bennetta” - to zapewne nazwisko szefa kuchni, a Raymond zdecydował się na pełne angielskie śniadanie z dodatkowymi grzankami.

- Wczoraj po powrocie do domu obaliłem z Desim jacka danielsa - wyznał. - Przyda mi się teraz solidna wyżerka.

- Tylko nie wpadnij w nałóg, Raymondzie - ostrzegłam ze

smutkiem. – Chyba nie chcesz skończyć tak jak ja?

Raymond uściśnął mnie za ramię.

– Dobrze sobie radzisz, Eleanor – zauważył.

Przyniesiono nam nasze dania i kiedy jedliśmy, starałam się na niego nie patrzeć. Nigdy nie był to przyjemny widok. Byłam ciekawa, co porabia Glen. Czy dałoby się zabrać ją w takie miejsce jak to, żeby siedziała na jakimś wysokim taborecie przy stole, razem z nami? Nie widziałam powodu dlaczego nie, chyba że miałyby coś przeciwko temu grupa małych antykociarzy.

– Popatrz, Raymondzie! – powiedziałam i podsunęłam mu pod nos moją komórkę.

Obejrzał cztery pierwsze zdjęcia.

– O, ładne – skomentował. – Wygląda na to, że naprawdę się u ciebie zadomowiła.

– Przewiń dalej – poradziłam.

Pobieżnie zerknął na następne fotki, ale widziałam, że już stracił zainteresowanie. Perły przed wieprze.

Czekając na kawę, rozmawialiśmy o mało ważnych sprawach. Kiedy wreszcie nam ją przyniesiono, nastąpiła chwila przerwy. Raymond rozsypał cukier na stole i zaczął zgarniać go palcem wskazującym, nucąc fałszywie, jak zawsze, gdy był zdenerwowany. Miał pozadzierane skórki i niezbyt czyste paznokcie – czasami potrafił być taki irytujący.

– Eleanor, posłuchaj – odezwał się wreszcie – muszę ci coś powiedzieć, ale obiecuję, że nie będziesz na mnie zła.

Wyprostowałam się na krześle i czekałam na dalszy ciąg.

– Przeprowadziłem małe śledztwo w internecie na temat

twojej mamy. Aby się dowiedzieć, co się wtedy stało.

Popatrzyłam na kryształki cukru. Jak to możliwe, że każdy z nich jest taki mały, a mimo to tak idealnie kanciasty?

- Eleanor? - powtórzył. - Nie jestem pewny, czy to prawda, ale wpisałem w Google „pożar”, rok zdarzenia i miejsce, czyli Londyn. Tu jest kilka artykułów, które możesz przeczytać. Nie musisz, jeśli nie chcesz. Postanowiłem ci o tym powiedzieć, w razie... hm, w razie, gdybyś zmieniła zdanie i zapragnęła poznać prawdę.

Na chwilę wycofałam się do bezpiecznego miejsca w swojej głowie, biało-różowego, puchatego, z ptakami i szumiącymi strumieniami oraz na wpeł łysem, głośno mruczącym kotem.

- Mówiłaś, że gdzie jest teraz twoja mama? - zapytał z wielką delikatnością.

- Nie wiem - wymamrotałam. - To ona się ze mną kontaktuje. Nigdy odwrotnie. - Usiłowałam przeniknąć jego wyraz twarzy. Czasami trudno mi rozszyfrować ludzkie miny. Rozwiązywanie krzyżówek jest o wiele, wiele łatwiejsze. Gdybym miała zgadnąć, co wyrażała twarz Raymonda, powiedziałabym, że smutek, współczucie, strach. Nic dobrego. Ale pod tym wszystkim znajdowała się życzliwość, delikatność. Martwił się i bał o mnie, i na pewno nie zrobiłby mi krzywdy, nie miał takich zamiarów. To stanowiło pewną pociechę.

- Słuchaj, nie będziemy o tym więcej rozmawiać, dobrze? Chciałem tylko powiedzieć... że jeśli coś ci się przypomni... podczas psychoterapii czy kiedy indziej... mógłbym dostarczyć pewnych informacji, rozumiesz? Ale tylko, jeśli sobie zażyczysz - dodał szybko.

Zastanowiłam się nad tym. Ogarnęło mnie rozdrażnienie.

- Raymondzie - oznajmiłam - nie powinieneś popychać mnie w tamtą stronę, dopóki nie będę gotowa. Robię całkiem duże postępy samodzielnie. - Bądź cierpliwa, Marianne. Już idę. Spojrzałam mu w twarz, jeszcze bledszą niż na początku spotkania. Miał lekko uchylone usta, a oczy szkliste i zmęczone. Nie wyglądał atrakcyjnie. - Nie tylko ty umiesz posługiwać się wyszukiwarką. To moje życie i kiedy do tego dojrzeję, na pewno zdołam dowiedzieć się sama - spojrzałam na niego wprost - co się wtedy zdarzyło.

Pokiwał głową i chciał coś powiedzieć. Podniosłam dłoń, wnętrzem w jego stronę, żeby go powstrzymać. Był to bardzo niegrzeczny gest i muszę wyznać, że sprawił mi pewną zakazaną przyjemność. Potem znacząco pociągnęłam łyk napoju. Niestety szklanka była już prawie pusta i słomka wydała nieładne siorbnięcie, sądzę jednak, że *summa summarum* wyraziłam się jasno.

Pochwyciłam wzrok kelnera i poprosiłam o rachunek. Raymond bez słowa schował twarz w dłonie. Ścisnęło mi się serce. Zraniłam jego uczucia. Przytknęłam dłoń do ust i poczułam, że zbiera mi się na płacz. Raymond spojrzał na mnie, a potem się pochylił i ujął w dłonie moje ręce, całkiem asertywnie. Wypuścił nieświeży oddech.

- Przepraszam. - Wypowiedzieliśmy to słowo jednocześnie. Oboje spróbowaliśmy je powtórzyć i wyszło tak samo. Nagle zaczęłam się śmiać i zaraziłam tym Raymonda. Najpierw śmialiśmy się krótko, a potem coraz dłużej. Był to autentyczny szczery śmiech, taki, od którego trzęsie się całe ciało. Miałam

lekkie otwarte usta, świszczący oddech i zamknięte oczy. Czułam się bezbronna, a mimo to odprężona i swobodna. Przyszło mi do głowy, że wymiotując przy nim czy korzystając z toalety, czułabym się podobnie.

- Zachowałem się jak kretyn - wykrztusił, kiedy wreszcie się opanowaliśmy. - Przykro mi, jeśli cię zdenerwowałem, Eleanor. Nie powinienem był poruszać tego tematu, zwłaszcza dziś, na kacu... mam w głowie miazgę - oświadczył. - Masz całkowitą rację. To wyłącznie twoja sprawa i twoja decyzja. Na sto procent.

Wciąż trzymał mnie za rękę. To było nadzwyczaj przyjemne.

- W porządku, Raymondzie - odparłam i tak myślałam. - Przepraszam, chyba trochę mnie poniosło. Wiem, że jesteś porządnym człowiekiem, że masz dobre intencje i tylko chciałeś pomóc. - Widząc jego minę, pełną ulgi, zaryzykowałam lekki uśmiech.

Bardzo delikatnie puścił moje dłonie. Nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi na jego oczy. Były zielone, z brązowymi plamkami. Niespotykane.

On też się uśmiechnął, podniósł rękę do twarzy i potarł ją, jęcząc cicho.

- O rany - powiedział - muszę jeszcze pojechać do matki i zająć się kotami. A miałbym ochotę walnąć się do łóżka i spać do czwartku.

Powściągnęłam uśmiech i uregulowałam rachunek. Raymond protestował, ale skorzystałam z tego, żeby był osłabiony.

- Nie pojechałabyś ze mną? - zapytał. - Mama ucieszyłaby się na twój widok.

Nawet się nad tym nie zastanawiałam.

- Nie, dziękuję, Raymondzie. Nie dzisiaj - odpowiedziałam. - Glen zaraz się załatwi, a nie lubię zostawiać jej odchodów w kuwecie dłużej niż godzinę czy dwie, bo może znowu jej się zachcieć.

Raymond wstał szybko.

- Skoczę tylko do kibla - powiedział.

Po drodze do domu kupiłam kocią karmę. Glen, mimo że tego nie okazuje, kocha mnie. Wiem, że to tylko kotka. Ale miłość to miłość: zwierząt czy ludzi. Jest bezwarunkowa, najłatwiejsza i najtrudniejsza rzecz na świecie.

Czasami, po sesjach terapeutycznych, rozpaczliwie mam ochotę kupić wódkę, dużo wódki, zanieść ją do domu i wypić, ale w końcu nigdy tego nie robię. Nie mogłabym, z wielu powodów, między innymi dlatego, że gdybym była pijana, kto nakarmiłby Glen? Sama nie jest w stanie się o siebie zatroszczyć. Potrzebuje mnie.

To nie jest męczące, nie stanowi ciężaru. To przywilej. Jestem odpowiedzialna. Świadomie znalazłam się w sytuacji, kiedy muszę być odpowiedzialna. Chęć opiekowania się nią, małą, zależną, bezbronną istotą, jest czymś naturalnym i nawet nie wymaga myślenia. Jest jak oddychanie.

Dla niektórych ludzi.

Zwiększyliśmy częstotliwość sesji terapeutycznych do dwóch tygodniowo, co początkowo, kiedy Maria to zaproponowała, wydało mi się przesadą, ale potem, ku swojemu zaskoczeniu, uznałam za ledwie wystarczające. Miałam nadzieję, że nie staję się z jedną z tych egocentrycznych osób, które wciąż opowiadają o sobie i swoich problemach. Co za nuda.

Powoli przyzwyczajałam się do mówienia o swoim dzieciństwie, bo przez prawie trzydzieści lat starannie tego unikałam. Mimo to, zawsze, gdy wynikał temat Marianne, nie umiałam stawić mu czoła. Przed każdą sesją mówiłam sobie, że tym razem o niej opowiem, ale kiedy przychodziło co do czego, po prostu nie mogłam. Tego dnia doktor Temple znowu o nią spytała i kiedy odmownie pokręciłam głową, zaproponowała, żebym pomyślała o dzieciństwie jak o dwóch oddzielnych okresach: przed pożarem i po nim; wtedy łatwiej mi będzie mówić o Marianne. Dobrze, zgodziłam się, to może pomóc. Ale będzie bardzo, bardzo bolesne.

- Więc jakie są twoje najlepsze wspomnienia sprzed pożaru?
- zapytała.

Zaczęłam zastanawiać się intensywnie. Upłynęło parę minut.

- Pamiętam poszczególne chwile, fragmenty. Ale nie mogę sobie przypomnieć żadnego całego zdarzenia - odparłam. - Nie, poczekaj. Piknik, w szkole. To musiało być pod koniec

roku szkolnego albo coś takiego... W każdym razie wszyscy przebywaliśmy na dworze, w słońcu. - Nie było to nic wielkiego, a już na pewno nie konkretne wspomnienie.

- Jak myślisz, dlaczego tego dnia byłaś szczęśliwa? - podjęła łagodnie.

- Czułam się... bezpiecznie - odparłam. - I wiedziałam, że Marianne też jest bezpieczna.

Tak, o to chodziło. Marianne - nie wysilaj za bardzo pamięci - właśnie, jej grupa przedszkolna też tam była. Wszyscy dostaliśmy zapakowany lunch, kanapki z serem i jabłko. Blask słońca, piknik. Po szkole, jak zawsze, wracałyśmy z Marianne do domu, szłyśmy wolno i relacjonowałyśmy sobie wydarzenia dnia. Droga powrotna nigdy nie wydawała się długa. Nie wystarczająco długa. Marianne była taka zabawna, urodzona parodystka. Z bólem sobie przypominałam, jak mnie rozśmieszała.

Szkoła stanowiła schronienie. Nauczyciele pytali, skąd masz siniaki i skaleczenia, wysyłali cię do pielęgniarki, żeby je opatrzyła. Higienistka od wszawicy delikatnie czesała ci włosy, bardzo delikatnie, mówiła, że możesz zatrzymać gumkę, bo jesteś grzeczną dziewczynką. Szkolne posiłki. Tam mogłam się odprężyć, bo wiedziałam, że Marianne jest w przedszkolu, ciepłym i bezpiecznym. Przedszkolaki miały własne wieszaki na ubrania. Marianne uwielbiała tam chodzić.

To właśnie po pikniku mama odkryła, że pani Rose pytała o moje siniaki. Później już uczyłyśmy się w domu, dzień w dzień - koniec z ucieczkami od dziewiątej do czwartej, od poniedziałku do piątku. Było coraz gorzej i gorzej, szybciej

i szybciej, goręcej i goręcej, pożar. To przeze mnie, jak zwykle sama byłam sobie winna, głupia Eleanor, ale najgorsze ze wszystkiego, że wciągnęłam w to także Marianne. Ona nie zrobiła nic złego. Nigdy nie robiła nic złego.

Doktor Temple pchnęła ku mnie chusteczki, a ja otarłam łzy z policzków.

- Gdy mówiłaś o swoim codziennym życiu, często wspominałaś Marianne - zauważyła delikatnie.

Byłam gotowa wypowiedzieć to na głos.

- Była moją siostrą.

Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu; nie odzywałam się, żeby te słowa się skryształizowały. Oto ona: Marianne. Moja młodsza siostra. Mój brakujący kawałek, nieobecna przyjaciółka. Po twarzy strumieniem spływały mi łzy i Maria pozwoliła mi się wypłakać, dopóki nie byłam gotowa wrócić do tematu.

- Nie chcę mówić o tym, co się z nią stało - powiedziałam. - Jeszcze nie!

Doktor Temple zachowała spokój.

- Nie bój się, Eleanor. Będziemy posuwać się powoli, krok po kroku. Wyznanie, że Marianne była twoją siostrą, to wielka sprawa. W odpowiednim czasie dojdziemy do reszty.

- Chciałabym o tym opowiedzieć - odrzekłam wściekła na siebie. - Ale nie mogę.

- Oczywiście, Eleanor - odpowiedziała cierpliwie. Zamilkła na chwilę. - Jak sądzisz, dlaczego? Dlatego, że nie pamiętasz, co się stało? Czy nie chcesz do tego wracać? - Mówiła bardzo łagodnie.

- Nie chcę - odparłam powoli. Oparłam łokcie na kolanach i ukryłam twarz w dłoniach.

- Bądź dla siebie wyrozumiała, Eleanor - odezwała się do mnie. - Świetnie ci idzie.

Niemal się roześmiałam. Nie miałam takiego wrażenia.

Przed pożarem i po nim. Coś bardzo ważnego zniknęło w płomieniach: Marianne.

- Co ja zrobię? - zapytałam z rozpaczą, bo nagle zapragnęłam ruszyć dalej, poczuć się lepiej, żyć. - Jak to naprawię? Jak naprawię samą siebie?

Doktor Temple odłożyła długopis i odpowiedziała stanowczo, choć wciąż w wielką delikatnością:

- Już to robisz, Eleanor. Jesteś odważniejsza i silniejsza, niż ci się wydaje. Tylko tak dalej.

Kiedy się do mnie uśmiechnęła, na całej jej twarzy pojawiły się zmarszczki. Opuściłam głowę, pragnąc ukryć targające mną emocje. Ściskanie w gardle. Kolejne łzy, falę ciepła. Byłam tam bezpieczna, wiedziałam, że niebawem powiem więcej o swojej siostrze, choć będzie to trudne.

- Więc do zobaczenia w przyszłym tygodniu? - zapytałam. Kiedy uniosłam głowę, wciąż się do mnie uśmiechała.

Tego dnia Glen i ja oglądałyśmy teleturniej, którego uczestnicy ze szczególnie słabą znajomością statystyki (a zwłaszcza teorii prawdopodobieństwa) wybierają ponumerowane pudełka zawierające czekie i otwierają je po kolei, licząc, że trafią na sześciocyfrową sumę. Wyboru dokonują zupełnie irracjonalnie, opierając się na swojej dacie urodzenia albo dacie urodzenia kogoś bliskiego, na numerze

swojego domu albo co gorsza, „na przeczuciu”.

- Ludzie to idioci, Glen - powiedziałam. Pocałowałam ją w łebek i wtuliłam twarz w jej futro, które odrastało tak obficie, że mogła zostawiać je z radosną beztroską na moich ubraniach i meblach. Zamruczała na potwierdzenie.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Glen ziewnęła szeroko, a potem zeskoczyła z moich kolan. Nikogo się nie spodziewałam. Stałam przed drzwiami, myśląc, że powinnam zainstalować w nich wizjer, aby wiedzieć, komu otwieram. Teatralność tej sytuacji wydała mi się nużąca. Kto tam? Co za nuda. Nie lubię pantomimy ani kryminałów - wolę mieć jak najwcześniej wszystkie dostępne informacje, żeby przygotować się na wszelkie ewentualności. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam na progu Keitha, syna Sammy'ego. Wydawał się zdenerwowany. Lekko zaskoczona, zaprosiłam go do środka.

Gdy Keith usadowił się na kanapie z filiżanką herbaty, Glen zniknęła. Tak naprawdę lubiła tylko swoje towarzystwo. Tolerowała moje, ale w głębi duszy była samotnikiem, jak J.D. Salinger czy Unabomber.

- Dzięki za herbatę, Eleanor. Nie mogę długo zostać - powiedział Keith, gdy skończyliśmy wymianę uprzejmości. - Moja żona ma dziś wieczór zumbę, więc muszę wracać do domu, żeby zająć się dziećmi. - Skinęłam głową, zachodząc w głowę, kim jest Zumba. On tymczasem sięgnął do plecaka, który przyniósł ze sobą, przesunął laptopa na bok i wyjął coś zawiniętego w reklamówkę - z Tesco, jak zauważyłam z zadowoleniem.

- Porządkowaliśmy rzeczy taty - zaczął, patrząc wprost na mnie i mówiąc opanowanym głosem, jakby nakazał sobie odwagę. - To nic specjalnego, ale pomyśleliśmy, że może chciałabyś zachować coś na pamiątkę? Pamiętam, jak Raymond mówił, że wyrażałaś się o tym z uznaniem, gdy oboje pomogliście tacie... - Słowa uwięzły mu w gardle i nie dokończył.

Ostrożnie zajrzałam do reklamówki. W środku był piękny czerwony sweter, ten, który Sammy miał na sobie w dniu, gdy Raymond i ja znaleźliśmy go leżącego na ulicy. Czułam jego zapach, zapach jabłek, whisky i miłości; przycisnęłam sweter do siebie, czując jego miękkość i ciepło, subtelną, a jednak wyraźną „samiowatość”.

Keith podszedł do okna i wyglądał na ulicę; rozumiałam jego zachowanie. Kiedy człowiek sam stara się zapanować nad wzruszeniem, trudno mu być świadkiem emocji kogoś innego, kto też chce je powściągnąć. Nie mógł znieść moich łez. Pamiętam, pamiętam.

- Dziękuję ci - odezwałam się.

Wciąż odwrócony plecami, kiwnął głową. Cała reszta wisiała w powietrzu i czuliśmy ją, ale pozostała niewypowiedziana. Czasami tak jest najlepiej.

Kiedy Keith wyszedł, włożyłam sweter. Oczywiście, był dla mnie o wiele za duży, ale to nawet lepiej, bo było go więcej, w razie, gdybym kiedyś potrzebowała. Pożegnalny prezent od Sammy'ego.

36

Żeby dotrzeć do gabinetu doktor Temple, musiałam pojechać autobusem, a potem jeszcze przejść odcinek drogi. Mój bilet okresowy stracił ważność i symptomatycznie dla stanu Weltschmerzu, w jakim się znajdowałam, nawet nie zadbałam o to, żeby przedłużyć go w minionym tygodniu. Marianne. Wszystko inne nie miało znaczenia. Wrzuciłam dwa funty do szczeliny przy fotelu kierowcy, zupełnie nie przejmując się widniejącą na niej brzydką nalepką „nie wydajemy reszty” i tym, że niepotrzebnie straciłam dwadzieścia pensów. Co to jest dwadzieścia pensów?

Wszystkie pojedyncze miejsca siedzące były już zajęte; na podwójnych też zawsze ktoś siedział, co oznaczało, że będę musiała usadowić się obok obcej osoby. Gdybym była w lepszym humorze, bawiłaby mnie ta gra: masz dziesięć sekund, żeby rozejrzeć się wśród pasażerów i wybrać najszczuplejszego, najzdrowszego i najczystszeo. Jeśli wybierzesz źle, piętnastominutowa jazda do centrum może być mało przyjemnym doświadczeniem – bo albo będziesz siedzieć ściśnięta obok jakiegoś tłuściocha, albo oddychać przez usta, żeby zminimalizować smród brudasa. Takie są uroki korzystania z transportu publicznego.

Tego dnia jednak darowałam sobie tę zabawę i po prostu usiadłam z przodu, nie analizując zalet ani wad swojego sąsiada. Co prawda, dopisało mi szczęście, bo była nim starsza pani, trochę korpulentna, ale w normie, która

zalatywała lakierem do włosów i nie wykazywała ochoty do rozmowy. Dobrze.

Na następnym przystanku wysiadła i miałam całe miejsce dla siebie. Wsiadli kolejni pasażerowie i zaczęłam obserwować, jak przystojny młody mężczyzna - wysoki, szczupły, o nieproporcjonalnie dużych orzechowych oczach - wybiera sobie miejsce do siedzenia. Nie miałam nic przeciwko, żeby zajął siedzenie obok mnie, bo byłam pewna, że nie jest ani stuknięty, ani śmierdzący.

On jednak minął mnie i usiadł po drugiej stronie przejścia, obok niskiego, niezbyt porządnie wyglądającego mężczyzny w sportowej kurtce. Na kolejnym przystanku wsiadło dwoje ludzi - facet poszedł na górę, a kobieta oceniła wolne miejsce obok mnie i udała się na tył autobusu, gdzie - jak zauważyłam, zerknąwszy za siebie - usiadła obok faceta bez skarpetek. Jego gołe kostki wydawały się niepokojąco białe nad czerwono-brunatnymi skórzanymi brogsami, które włożył do zielonych spodni dresowych. Wariat.

Opuściłam wzrok, myśląc gorączkowo. Czyżbym... czyżbym wyglądała na kogoś, kogo w grze o miejsce w autobusie należało unikać? W obliczu faktów mogłam tylko uznać, że tak. Ale dlaczego?

Musiałam do tego dojść. Nie miałam nadwagi. Nie śmierdziałam - codziennie brałam prysznic, regularnie prałam ubrania. Pozostawało więc wariactwo. Czy byłam wariatką? Nie. Nie byłam. Cierpiałam na depresję, ale to choroba. Nie szaleństwo. Czy więc wyglądałam na wariatkę? Zachowywałam się jak wariatka? Chyba nie. Ale skąd mogłam

wiedzieć? Czy to przez bliznę? Egzemę? Bezrękawnik? Oparłam łokcie na kolanach i ukryłam twarz w dłoniach. O Boże, o Boże, o Boże.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał ktoś. Poczułam czyjąś dłoń na ramieniu, więc przestraszona wyprostowałam się na fotelu. To był ten facet bez skarpetek, który zmierzał na przód autobusu.

- Tak, dziękuję - odpowiedziałam, unikając kontaktu wzrokowego. Mężczyzna usiadł przy mnie, podczas gdy autobus zbliżał się do następnego przystanku.

- Na pewno? - ciągnął życzliwie.

- Tak, dziękuję - powtórzyłam. Zaryzykowałam i spojrzałam mu w twarz. Miał bardzo łagodne oczy, w tym samym odcieniu zieleni co nowe pączki na drzewach.

- Chwila zadumy, co? - Poklepał mnie po ramieniu. - Od czasu do czasu każdy z nas jej potrzebuje, prawda? - Uśmiechnął się pełen ciepła i wstał. Autobus zwalniał.

- Dziękuję! - zawołałam za nim.

Nie odwrócił się, ale podniósł rękę w geście pozdrowienia, a gdy wysiadał, spodnie podjechały mu nad gołe kostki.

Nie był wariatem. Tylko po prostu nie nosił skarpetek.

Eleanor, powiedziałam do siebie, czasami zbyt pochopnie osądzasz ludzi. Z mnóstwa powodów mogą nie wyglądać na takich, obok których chciałybyś siedzieć w autobusie, ale nie powinnaś ich oceniać w dziesięć sekund, na podstawie jednego spojrzenia. Na przykład to, że starasz się nie siadać obok otyłych. W otyłości nie ma nic złego. Może ci ludzie jedzą, bo jest im smutno, ty też z tego powodu piłaś wódkę. Może

rodzice nigdy nie nauczyli ich zdrowo gotować i racjonalnie się odżywiać. Może są niepełnosprawni i nie wolno im ćwiczyć, albo chorują na coś, co powoduje, że tyją, mimo wszelkich wysiłków. Nie wiesz tego, Eleanor.

Uświadomiłam sobie, że głos, który słyszałam w głowie – własny – brzmiał sensownie, zdroworozsądkowo. To głos mamy tak surowo osądzał ludzi i zachęcał mnie do tego samego. Jednak ten mój głos bardziej mi odpowiadał, tak jak własne myśli. Chciałam ich więcej. Czułam się z nimi dobrze, spokojnie. Czułam się sobą.

Stare zajęcia, nowe zajęcia. Czasami może nawet brak zajęć? Jednak na razie dwa razy w tygodniu jeździłam do centrum i, omijając starą windę, szłam po schodach do gabinetu doktor Temple. Już nie wydawał mi się brzydki – zaczynałam rozumieć funkcję neutralnego, niezbyt atrakcyjnego otoczenia, chusteczek, krzeseł i nieładnego obrazka. Nie było tam na co patrzeć, oprócz samego siebie, ani dokąd uciec. Doktor Temple okazała się sprytniejsza, niż początkowo sądziłam. Niemniej jednak kolczyki, które założyła tego dnia, istne łapacze snów, były, prawdę mówiąc, okropne.

Miałam zająć miejsce na scenie i wygłosić swoją kwestię. Jednak nie grałam. Jestem z natury fatalną aktorką, nie umiem kłamać ani oszukiwać. Można spokojnie powiedzieć, że nazwisko Eleanor Oliphant nie pojawi się nigdy w świetle reflektorów i wcale tego nie pragnę. Najlepiej się czuję w cieniu, pozostawiona sama sobie. Zbyt długo podlegałam rozkazom mamy.

Temat Marianne kosztował mnie wiele cierpienia, bo z determinacją usiłowałam zebrać się na odwagę i sięgnąć do wspomnień, do których pamięć odmawiała mi dostępu. Maria i ja uzgodniłyśmy jednak, że nie będziemy robić tego na siłę; miałyśmy nadzieję, że z biegiem czasu, w trakcie rozmów o moim dzieciństwie, postać Marianne pojawi się sama, w sposób naturalny. Pogodziłam się z tym. I zeszłego

wieczoru, kiedy słuchałyśmy z Glen radia, to wspomnienie, cała prawda, powróciło do mnie całkiem niespodziewanie. Był to zupełnie zwyczajny wieczór i nie rozległy się żadne fanfary, nie rozegrał się żaden dramat. Tylko objawiła się prawda. Tego dnia miałam wypowiedzieć ją na głos, tam, w tamtym pokoju, w rozmowie z Marią. Musiał być jednak jakiś wstęp. Nie mogłam tak po prostu wyrzucić tego z siebie. Pozwoliłam, by Maria mnie podprowadziła.

Tego dnia nie mogłam też w tym gabinecie uciec od mamy. Trudno uwierzyć, że stawiałam jej czoło, ale tak było. Niebo się nie rozwarło i mama nie zjawiała się jak demon, gdy tylko o niej wspomniałam. Odbyłam o niej z doktor Temple całkiem spokojną, trzeźwą rozmowę.

- Mama jest złym człowiekiem - powiedziałam. - Naprawdę złym. Wiem o tym, zawsze wiedziałam. I tak się zastanawiam... czy uważasz, że ja też mogę być zła? Ludzie dziedziczą po rodzicach rozmaite cechy... skłonność do zylaków, choroby serca. Czy mogłam odziedziczyć po niej zło?

Maria wyprostowała się na fotelu, bawiąc się szalikiem.

- To bardzo ciekawe pytanie, Eleanor. Podałaś przykłady dolegliwości fizycznych. My tu jednak mówimy o czymś innym... o osobowości, schematach zachowań. Czy sądzisz, że można odziedziczyć po kimś cechy behawioralne?

- Nie wiem - odparłam. Rozważyłam taką możliwość. - Mam nadzieję, że nie. - Umilkłam na chwilę. - Mówi się o naturze ludzkiej i wychowaniu. Wiem, że nie odziedziczyłam jej natury. To znaczy, chyba czasami bywam... trudna... Ale nie jestem... nie jestem taka jak ona. Nie wiem, czy mogłabym ze sobą żyć,

gdybym uważała, że jestem do niej podobna.

Maria uniosła brwi.

- To bardzo mocne słowa, Eleanor. Dlaczego tak mówisz?

- Nie zniosłabym świadomości, że pragnę sprawić komuś ból. Wykorzystać mniejsze, słabsze istoty. Zostawić je, żeby radziły sobie same, żeby... żeby...

Urwałam. Trudno, bardzo trudno było to wypowiedzieć. Czułam prawdziwy, fizyczny ból, a oprócz tego jeszcze bardziej podstawowy, egzystencjalny. Na litość boską: egzystencjalny ból, Eleanor! - powiedziałam do siebie. Weź się w garść.

Maria odezwała się łagodnie:

- Ale ty nie jesteś swoją matką, prawda, Eleanor? Jesteś kimś zupełnie innym, niezależną osobą, która podejmuje własne decyzje. - Uśmiechnęła się do mnie pokrzepiająco. - Jesteś młodą kobietą... Gdybyś chciała, mogłabyś pewnego dnia założyć rodzinę, i byłabyś zupełnie inną matką. Co o tym myślisz?

Nie było to łatwe pytanie.

- Och, nigdy nie będę miała dzieci - odrzekłam spokojnie. Dała znak, żebym mówiła dalej. - To oczywiste, no nie? Bo gdybym przekazała dziecku... tę skazę po mamie? Nawet gdybym sama nie miała jej w sobie, mogłaby pojawić się w następnym pokoleniu, prawda? Albo... mogłoby wydobyć ją ze mnie urodzenie dziecka. Możliwe, że cały czas tkwi gdzieś we mnie uśpiona i tylko czeka...

Maria spoważniała.

- Eleanor, pracowałam w swojej karierze z kilkoma

pacjentami, którzy mieli podobne obawy jak ty. To całkiem normalne. Pamiętaj jednak... rozmawiamy o tym, jak bardzo różnisz się od matki, jak zupełnie innych wyborów dokonujesz.

- Ale mama wciąż jest obecna w moim życiu. Martwię się tym. Ma na mnie zły wpływ, bardzo zły.

Maria uniosła głowę znad notesu, w którym prowadziła zapiski.

- Więc nadal z nią rozmawiasz? - zapytała, trzymając w górze długopis.

- Tak - potwierdziłam. Złożyłam dłonie i zaczerpnęłam powietrza. - Ale myślę, że to powinno się skończyć. Musi się skończyć. Zamierzam położyć temu kres.

Maria zrobiła tak poważną minę, jakiej jeszcze u niej nie widziałam.

- Nie mogę udzielać ci rad, Eleanor. Ale moim zdaniem to bardzo dobry pomysł. Decyzja jednak należy do ciebie. Zawsze do ciebie - powiedziała z niezwykłym spokojem, a nawet powściągliwością. Można było odnieść wrażenie, że bardzo się stara zachować neutralność. Zaczęłam się zastanawiać dlaczego.

- Chodzi o to, że mimo wszystko, mimo tego, co zrobiła, nadal jest moją matką. Oprócz niej nie mam nikogo. Poza tym dobre córki kochają swoje matki. Po pożarze byłam taka samotna. Lepsza taka matka niż żadna...

Gdy przerwałam we łzach, zobaczyłam, że doktor Temple jest pełna współczucia, że rozumie, co mówię, i tego nie osądza.

- Ostatnio - podjęłam, czując się trochę silniejsza, trochę

odważniejsza, pokrzepiona jej łagodnym wzrokiem i pełnym wsparcia milczeniem – ostatnio jednak uświadamiam sobie, że jest... po prostu zła. Że to ona jest zła, nie ja. Ja nie jestem zła i nie ponoszę żadnej winy. To nie przeze mnie stała się zła i to nic złego z mojej strony, że nie chcę mieć z nią więcej do czynienia, że czuję smutek i gniew – nie, wściekłość – z powodu tego, co zrobiła.

Ta ostatnia część była trudna do wypowiedzenia; opuściłam wzrok na dłonie, obawiając się, jak zareaguje na moje słowa doktor Temple.

- Wiedziałam, że coś jest z nią bardzo, bardzo nie tak. Zawsze wiedziałam, odkąd pamiętam. Ale nikomu nie mówiłam. I w końcu doszło do śmierci...

Ośmieliłam się unieść głowę i poczułam, że moje ciało odpręży się z ulgą, gdy zobaczyłam wyraz twarzy Marii – niezmienny.

- Kto umarł, Eleanor? – zapytała spokojnie.

Zaczerpnęłam powietrza.

- Marianne – odpowiedziałam. - Marianne umarła. - Spojrzałam na swoje ręce, a potem znowu na Marię. - Mama wywołała pożar. Chciała zabić nas obie, tyle że Marianne zginęła, a ja nie.

Maria pokiwała głową. Nie wyglądała na zaskoczoną. Czyżby już do tego doszła? Miałam wrażenie, że czeka, abym coś jeszcze dodała, ale ja milczałam. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy.

- To poczucie winy – szepnęłam w końcu. Ciężko mi było mówić, fizycznie ciężko wydobywać z siebie głos. - Jako

starsza siostra miałam się nią opiekować. Była taka mała, naprawdę próbowałam, ale to... nie wystarczyło. Zawiodłam ją, Mario. Ja żyję, a ona... Tak być nie powinno. To ona powinna była ocaleć. Nie zasługuję na szczęście, nie zasługuję na dobre życie, kiedy Marianne...

- Eleanor - zaczęła łagodnie, gdy się uspokoiłam - to całkiem normalna reakcja, że czujesz się winna w sytuacji, gdy ty żyjesz, a Marianne nie. Nie zapominaj jednak, że sama byłaś jeszcze dzieckiem. Bardzo ważne, abyś zrozumiała, że to nie była twoja wina, że za nic nie ponosisz odpowiedzialności.

Znowu się rozszlochałam.

- Ty byłaś tylko dzieckiem, a ona osobą dorosłą. To ona miała obowiązek opiekować się tobą i twoją siostrą. Zamiast tego dopuszczała się zaniedbań, przemocy fizycznej i psychicznej, i wszyscy, którzy byli w to zamieszani, ponieśli straszliwe, straszliwe konsekwencje. Ale ty za nic nie odpowiadasz, Eleanor, za nic. Nie wiem, czy powinnaś wybaczyć matce. Ale jednego jestem pewna: musisz wybaczyć sobie.

Pokiwałam głową przez łzy. Jej słowa brzmiały sensownie. Nie byłam pewna, czy w nie wierzę - ale nie można im było odmówić logiki. A więcej nie należy oczekiwać.

Wydmuchując nos - i wcale niezawstydzona trąbieniem, które było niczym w porównaniu z poczynionym przed Marią makabrycznym wyznaniem - podjęłam decyzję. Przyszła pora ostatecznie pożegnać się z mamą.

Raymond nalegał, żebyśmy spotkali się przed budynkiem, w którym znajdował się gabinet Marii, bo chciał mnie zabrać na kawę. Patrzyłam, jak idzie w moją stronę. Jego człapanie wydawało mi się teraz niemal rozczulające - nie rozpoznałabym go, gdyby zaczął chodzić jak normalny facet. Trzymał ręce w kieszeniach wiszących džinsów i miał na głowie dziwny, za duży kapelusz, którego nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Coś takiego mógłby nosić niemiecki goblin na ilustracji do dziewiętnastowiecznej baśni, najpewniej o piekarzu, który był niedobry dla dzieci i dostał za swoje od hordy chochlików. Podobał mi się ten kapelusz.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Odmroziłem sobie tyłek, idąc tutaj. - Pochuchał w złożone dłonie.

- Rzeczywiście, pogoda nie dopisała - zgodziłam się - chociaż cudownie jest zobaczyć słońce.

Uśmiechnął się do mnie.

- Masz rację, Eleanor.

Podziękowałam mu, że znalazł czas i przyszedł spotkać się ze mną. To było miłe z jego strony.

- Daj spokój - odparł, wyjmując papierosa. - Każdy pretekst jest dobry, żeby wyrwać się z pracy. I fajnie pogadać z kimś o czymś innym niż licencje na oprogramowanie i Windows 10.

- Ale przecież ty lubisz rozmawiać o oprogramowaniu, Raymondzie - zauważyłam, pociągając nosem, po czym bardzo delikatnie i bardzo śmiało dźgnęłam go w żebra. Zaśmiał się

i zrewanżował tym samym.

- Przyznaję się do winy, proszę pani - odpowiedział.

Poszliśmy do jednej z kawiarni sieciowych - widziałam ich mnóstwo w mieście. Stanęliśmy w kolejce i poprosiłam o duże mochaccino z dodatkową śmietanką i syropem orzechowym. Młody człowiek zapytał mnie o imię.

- Po co panu moje imię? - zapytałam ze zdziwieniem.

- Napiszę je na pani kubku - wyjaśnił - żeby nie było pomyłki.

Śmieszne!

- Nie słyszałam, by ktoś inny zamawiał taką samą kawę - oświadczyłam stanowczo. - Jestem pewna, że potrafię ją zidentyfikować, kiedy będzie gotowa.

Popatrzył na mnie z flamastrem w dłoni.

- Muszę napisać na kubku pani imię - powtórzył nieustępliwie, ale ze znużeniem, jak często ludzie w uniformach.

- A ja muszę zachować minimum prywatności. Nie zamierzam wszem wobec rozgłaszać swojego imienia w kawiarni - odparłam równie nieustępliwie.

Ktoś za nami w kolejce cmoknął ze zniecierpliwieniem, a jeszcze inny mruknął coś w rodzaju: „Na litość boską!”. Wyglądało na to, że nastąpił impas.

- No, dobrze - ustąpiłam. - Jestem pani Eleanor Oliphant.

Młody człowiek wytrzeszczył na mnie oczy.

- Napiszę po prostu „Ellie” - oznajmił, bazgrząc na kubku.

Raymond milczał, ale czułam, że jego szerokie ramiona i potężne ciało trzęsą się ze śmiechu. Potem przyszła kolej na

niego.

- Raoul - powiedział, a następnie przeliterował.

Odebrawszy kawy - bez żadnych problemów - usiedliśmy przy stoliku pod oknem i patrzyliśmy na przechodniów. Raymond wsypał do swojego americano trzy porcje cukru, a ja powstrzymałam się od sugestii, żeby dbał o zdrowie, chociaż mnie kusiło.

- A więc... - zaczął po chwili znanego mi już niekrępującego milczenia. - Jak ci dziś poszło?

- Właściwie dobrze - odparłam.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Wyglądasz, jakbyś płakała - zauważył.

- Bo tak było - potwierdziłam. - Ale już w porządku. To normalne, że się płacze, rozmawiając o nieżyjącej siostrze.

Na twarzy Raymonda pojawił się szok.

- Zginęła w tamtym pożarze. Mama go wznieciła. Miałyśmy zginąć obie, ale ja jakoś przeżyłam. Mojej siostrze się jednak nie udało - wyjaśniłam. Mówiłam z dziwnym spokojem. Kończąc, odwróciłam wzrok, bo wiedziałam, że na jego twarzy malują się emocje, których nie chciałam przeżyć jeszcze raz. Zamierzał coś powiedzieć, ale zaczął się jąkać.

- Wiem - odparłam łagodnie, dając mu chwilę na ochłonięcie. Dla każdego byłoby to trudne do pojęcia. Mnie zajęło całe dziesięciolecie. Opowiedziałam mu, co się stało z Marianne, co zrobiła mama.

- Teraz, kiedy wreszcie potrafię o tym rozmawiać, nie mogę dłużej znosić mamy. Muszę się od niej uwolnić.

Kiwnął głową.

- Czy to znaczy, że zamierzasz...

- Tak - odrzekłam. - W środę, gdy będę rozmawiać z nią następnym razem, powiem jej, że z nami koniec. Pora zerwać kontakt... na dobre.

Raymond kiwał głową, niemal z aprobatą. Czułam spokój, pewność, że posuwam się naprzód. To było dla mnie coś nowego.

- Jest jeszcze coś, co muszę zrobić. Muszę się dowiedzieć, co wtedy się stało... ze mną, z nami. Pamiętam niektóre szczegóły, ale chciałabym mieć pełny obraz. - Chrząknęłam. - Pomożesz mi, Raymondzie? Pomożesz mi dowiedzieć się, co wówczas zaszło, podczas pożaru? - zapytałam ledwie słyszalnie, nie patrząc na niego. - Proszę...

Nienawidziłam prosić o pomoc. Powiedziałam o tym Marii. „I co, jak do tej pory wychodziło ci to na dobre?” - zapytała wtedy. Nie bardzo podobał mi się ton jej głosu, trochę sarkastyczny, ale miała całkowitą rację. Co jednak nie znaczy, że było mi łatwo.

- Oczywiście, Eleanor - odpowiedział Raymond. - Zawsze. Kiedy tylko będziesz gotowa. Czegokolwiek będziesz potrzebowała. - Ujął moje ręce i uściśnął je delikatnie.

- Dziękuję ci - odparłam cicho, z ulgą. I z wdzięcznością.

- To niesamowite, jak dobrze sobie radzisz - zauważył, patrząc na mnie.

Wówczas to wszystko do mnie dotarło: ciepły dotyk jego dłoni, szczerłość uśmiechu, piękno czegoś, co się otwiera, jak kwiaty otwierają się rankiem w blasku słońca. Wiedziałam, co to jest. Nieporaniona część mojego serca. Wpuściła trochę

uczucia. I pozostało jeszcze trochę miejsca.

- Raymondzie - odezwałam się - nie wiesz, ile to dla mnie znaczy... mieć przyjaciela... prawdziwego, troszczącego się przyjaciela. Uratowałeś mi życie - szepnęłam, pełna obaw, że się roztkliwię, tu, w kawiarni, i wprawię w zażenowanie nas oboje. Wyglądało na to, że odkąd zaczęłam płakać publicznie, zdarzało mi się to przy byle okazji.

Raymond mocniej uściśnął moje dłonie, a ja spróbowałam - z powodzeniem - powstrzymać chęć, żeby je cofnąć i schować za plecami.

- Eleanor, nie masz mi za co dziękować. Zrobiłabyś to samo dla mnie, przecież wiesz.

Kiwnęłam głową. Ku swojemu zaskoczeniu, zdałam sobie sprawę, że miał rację.

- Pamiętam, kiedy cię poznałem. - Pokręcił głową z uśmiechem. - Myślałem, że jesteś nieźle szurnięta.

- Bo jestem nieźle szurnięta - odparłam, zdziwiona, że sądzi inaczej. Przez całe życie to słyszałam.

- Nie, wcale nie - odrzekł, wciąż uśmiechnięty. - Tak, jasne, masz trochę nierówno pod sufitem... ale w dobrym sensie. Potrafisz mnie rozśmieszyć. Masz gdzieś te wszystkie bzdury... sam nie wiem, pozowanie na luzaka, układy w pracy i pozostałe głupoty, którymi ludzie zawracają sobie głowę. Jesteś sobą, no nie?

Rozpłakałam się jednak - nie mogłam nic na to poradzić.

- Raymond, ty mało - powiedziałam. - Przez ciebie rozmazał mi się makijaż. - Byłam rozdrażniona, kiedy to mówiłam, ale potem parsknęłam śmiechem i Raymond też

zaczął chichotać. Podał mi jedną z tych marnych kawiarnianych serwetek, którą otarłam resztki „przydymionego oka”.

- Lepiej wyglądasz bez niego - orzekł.

Chwilę później szliśmy w stronę swoich przystanków autobusowych.

- No to do szybkiego zobaczenia, tak? - zapytał, gdy mieliśmy się rozstać.

- Zobaczymy się szybciej, niż myślisz! - odparłam radośnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Był wyraźnie zaintrygowany i lekko rozbawiony.

- Niespodzianka! - Wykonałam zamaszysty gest rękami. Nigdy nie widziałam magika na scenie, ale taki efekt chciałam osiągnąć.

Raymond wybuchnął śmiechem.

- Już nie mogę się doczekać - powiedział, szukając w kieszeni papierosów.

Rozstałam się z nim nieco roztargniona, bo wróciłam myślami do Marianne i mamy. Miałam zadanie do wykonania. Przeszłość uciekała przede mną - czy raczej ja przed nią - ale mimo to była w pobliżu, wciąż czaiła się w ciemności. Przyszła pora wpuścić nieco światła.

39

Powrót do pracy! Ze snu obudziło mnie pianie koguta. Ten wspaniały poranny odgłos był jednak sztuczny, dochodził z maleńkiego głośnika w moim budziku, który nastawiłam poprzedniego wieczoru, zasilaną go bateryjka typu paluszek, a nie, jak w przypadku naszych latających przyjaciół, podwyższony poziom testosteronu i promienie słoneczne. Muszę powiedzieć, że moja sypialnia jest w tej chwili strefą wolną od testosteronu i słońca. Ale mówię sobie: zima mija, pamiętaj o tym, Eleanor. Glen leżała rozciągnięta na kołdrze u moich stóp, ogrzewając je, i starała się ignorować alarm.

Podeksytowana perspektywą czekającego mnie dnia, włożyłam nową białą bluzkę, nową czarną spódnicę, czarne rajstopy i botki, kupione jakiś czas wcześniej, na koncert, na który niepotrzebnie poszłam. Byłam ubrana elegancko, praktycznie, normalnie. Tak, wracałam do pracy.

Przed laty jedni z rodziców zastępczych, u których mieszkałam, zabrali mnie razem ze swoimi dziećmi na zakupy przed rozpoczęciem roku szkolnego. Wszyscy troje mogliśmy wybrać sobie nowe buty oraz nową torbę i dostaliśmy nowiutkie mundurki (mimo że moja spódniczka i blezer z poprzedniego roku wciąż były na mnie dobre). Zakupy zwieńczyła wizyta w WHSmith, gdzie mieliśmy możliwość splądrowania oferty artykułów papierniczych. Wolno nam było brać nawet najbardziej niepraktyczne rzeczy (ekierki, spinki z motylkami, gumki do spinania kartek) i cały ten łup znalazł

się w dużym pięknym piórniku, który był tylko mój, tylko mój. Nie jestem wielbicielką perfum, wolę woń zwykłego mydła i swój naturalny zapach, ale gdyby można było kupić butelkę, która zawierałaby zapach świeżo zatemperowanego ołówka i właśnie użytej gumki do wycierania, z rozkoszą codziennie bym się nim skrapiała.

Zjadłam śniadanie (owsiankę ze śliwką, jak zwykle) i wyszłam w porę, żeby zdążyć na autobus. Glen wciąż spała; przeniosła się pod kołdrę, żeby zająć ciepłe miejsce po mnie. Zostawiłam jej świeżą wodę i dużą miskę karmy; wątpiłam, czy w ogóle zauważy moją nieobecność, dopóki wieczorem ponownie nie usłyszy przekręcanego w zamku klucza. Pod tym względem była bardzo niewymagająca (choć pod wieloma innymi – wręcz przeciwnie).

Droga na przystanek była znacznie ciekawsza, niż pamiętałam, może dlatego, że po tak długiej nieobecności patrzyłam na wszystko świeżym okiem. Widziałam mnóstwo śmieci i żadnych śmietników; te dwa fakty były z pewnością powiązane. Ta część miasta wydawała się przygnębiająco szara, ale zieleń nie dawała się stłamsić: mech na murach, chwasty w rynsztokach, od czasu do czasu pojedyncze drzewo. Zawsze mieszkalam w mieście, ale potrzebuję zieleni jak tlenu.

Raptem, dochodząc do skrzyżowania, za którym znajdował się mój przystanek, stanęłam jak wryta; moją uwagę przykuł szybki ruch. Przemknęło przede mną coś rudego. Odetchnęłam głęboko, wciągając w płuca zimne poranne powietrze. Pod kręgiem pomarańczowego światła latarni

ulicznej pił kawę lis. To znaczy, nie trzymał w łapach kubka – jak już zostało ustalone, nie jestem wariatką – ale pochyłał łebek i pił ze starbucksowego kubka, leżącego na ziemi. Wyczuł, że ktoś na niego patrzy, podniósł wzrok i śmiało spojrział mi w oczy. „No, i co?” – zdawał się mówić. „Poranna kawa, wielkie rzeczy!”. Wrócił do swojego zajęcia. Może spędził pracowitą noc przy kubkach na śmieci i nie mógł dojść do siebie w ten chłodny, ciemny ranek. Zaśmiałam się głośno i ruszyłam dalej.

Kiedy byłam na zwolnieniu, Bob powiedział mi, żebym wpadała do biura na pogawędkę albo dzwoniła, gdy tylko będę chciała. W minionym tygodniu, kilka dni przed końcem zwolnienia, wciąż nie wiedziałam, czy pójść do lekarza i je przedłużyć, czy od poniedziałku wrócić do pracy, więc do niego zadzwoniłam; nie chciałam tak po prostu przyjść, z obawy przed pytaniami ze strony kolegów, na które nie byłabym przygotowana.

– Eleanor! – wykrzyknął Bob. – Wspaniale cię słyszeć! Jak tam u ciebie?

– Dziękuję za kwiaty – powiedziałam. – Wszystko dobrze... to znaczy, czuję się znacznie lepiej, dzięki. Było ciężko, ale robię postępy.

– Doskonale, a więc świetne wieści! A czy już wiesz... eee... kiedy wrócisz? – Usłyszałam, że wciągnął powietrze, jakby się obawiał, że powiedział coś nie tak. – Nie ma pośpiechu... żadnego pośpiechu. Nie wywieram na ciebie presji... odpoczywaj, jak długo musisz. Dopóki nie będziesz całkiem gotowa, by wrócić.

- Nie chcesz, żebym wróciła, Bob? - zapytałam, pozwalając sobie na żart.

Aż prychnął.

- Eleanor, tu wszystko wali się bez ciebie! Rany boskie, Billy nie ma bladego pojęcia, jak wystawić fakturę, a Janey...

- Bob, żartowałam. - Uśmiechnęłam się i muszę przyznać, że poczułam satysfakcję na wieść, jak słabo radzą sobie koledzy beze mnie.

- A, żartowałaś! Hm, to dobry znak... więc musisz być na prostej drodze do wyzdrowienia - odparł z ulgą, dlatego że to był dowcip albo dlatego, że czułam się lepiej - a może z obu powodów.

- Wobec tego wracam w poniedziałek, Bob - oznajmiłam. - Jestem gotowa. - Mówiłam z przekonaniem.

- Świetnie! Ale jesteś pewna, że to nie za wcześnie? Och, wspaniale, Eleanor - ucieszył się. - Wobec tego nie mogę się doczekać poniedziałku. - Wiedziałam, że jest szczery, bo czułam całe to ciepło na linii. Głos się zmienia, kiedy mówisz coś z uśmiechem, brzmi inaczej.

- Dziękuję ci bardzo, że byłeś taki wyrozumiały wobec... tego wszystkiego, Bob - dodałam, czując, że ściska mnie w gardle. - Dziękuję za wsparcie. Chcę powiedzieć... że przepraszam, jeśli nie zawsze byłam... gorliwym pracownikiem przez te wszystkie lata...

- Och, daj spokój - odparł i niemal widziałam, jak kręci głową. - Bez ciebie to miejsce nie byłoby takie samo. Jesteś instytucją.

Usłyszałam, że dzwoni jego komórka. Cmoknął.

- Przepraszam cię, Eleanor, ale muszę kończyć... dzwoni nowy klient. Dbaj o siebie i do zobaczenia w poniedziałek, tak?

- Tak - potwierdziłam.

Pamiętam, odkładając telefon, pomyślałam z nadzieją, że Janey nie przyniesie jednego ze swoich domowych ciast, aby uczcić mój powrót, jak to często robiła w przypadku innych. Słowo „suchy” nie oddaje nawet w przybliżeniu wiórowatej konsystencji jej kawowo-orzechowego biszkoptu.

Kiedy przyjechałam do pracy, biuro wyglądało niezachęcająco jak zawsze, więc niepewnie zatrzymałam się na zewnątrz. Nie było mnie przez dwa miesiące i Bóg wie, jakie wydumane plotki narosły wokół przyczyn mojej nieobecności. Przez ten czas zupełnie nie myślałam - nie byłam w stanie - o arkuszach kalkulacyjnych, należnościach, zamówieniach i Vacie. Czy wciąż znałam się na swojej robocie? Nie byłam pewna, czy cokolwiek pamiętam. Hasło dostępu? Oczywiście. Trzy słowa: *Ignis aurum probat*. Próba złota jest ogień. Dalszy ciąg brzmi: *...miseria fortes viros*. A próbą dzielności - przeciwieństwa. Jakież to prawdziwe. Mocne hasło, naprawdę mocne, takie, jakiego zwykle domaga się system komputerowy. Dziękuję, Seneko.

Tak, ale mimo to czułam, że ogarnia mnie lęk. Nie dam rady. Czy dam? Nie byłam gotowa się przekonać. Może jednak wrócić do domu i zadzwonić do Boba - powiedzieć mu, że biorę jeszcze tydzień zwolnienia. Zrozumiałby.

Na chodniku za sobą usłyszałam szuranie, więc szybko otarłam łzy, które nabiegły mi do oczu, gdy patrzyłam na

wznoszący się przede mną przysadzisty budynek. Niespodziewanie zostałam obrócona o sto osiemdziesiąt stopni i niemal zmiażdżona w uścisku. Poczułam wełnę (kapelusz, szalik, rękawiczki), szorstki zarost oraz zapach jabłek, mydła i marlboro red.

- Eleanor! - wykrzyknął Raymond. - Więc to miałaś na myśli, mówiąc, że wkrótce się zobaczymy.

Nie stawiałam oporu, a nawet się poddałam, bo muszę przyznać, że w tych okolicznościach i w takim stanie ducha, w jakim byłam, znalezienie się w jego objęciach było wręcz cudownym doznaniem. Nic nie powiedziałam, tylko powoli, niepewnie podniosłam ręce i objęłam go, padając mu w ramiona. Oparłam policzek o jego pierś. Raymond także nic nie powiedział; być może czuł, że zaoferował mi już wszystko, czego w tej chwili potrzebowałam.

Staliśmy tak przez moment; potem się cofnęłam, poprawiłam włosy i otarłam oczy. Spojrzałam na zegarek.

- Spóźniłeś się do pracy dziesięć minut, Raymondzie - zauważyłam.

Parsknął śmiechem.

- Tak samo jak ty! - Znowu zbliżył się o krok i popatrzył na mnie uważnie.

Odpowiedziałam na jego spojrzenie, jak wcześniej lis na moje.

Kiwnął głową.

- Chodź - powiedział, wyciągając rękę - bo spóźnimy się jeszcze bardziej. Nie wiem jak ty, ale ja chętnie napiłbym się herbaty.

Podaliśmy mu dłoń, a on poprowadził mnie do środka, przez całą drogę, aż do księgowości. Tam, przed drzwiami, zabrałam rękę, żeby nikt nas nie zobaczył. Wtedy Raymond się pochylił, zbliżył twarz do mojej twarzy i powiedział po ojcowsku (przynajmniej tak mi się wydawało – w końcu co ja wiem o ojcach?):

- Nie bój, nic się nie stanie. Wejdiesz tam, powiesz płaszcz, wstawisz wodę na herbatę i zaczniesz dzień. Nikt nie zrobi afery, nie będzie żadnego zamieszania... Poczujesz się, jakbyś w ogóle nie była na zwolnieniu. - Kiwnął głową, jakby na potwierdzenie.

- A co będzie, jeśli...

Nie dał mi dokończyć.

- Naprawdę, Eleanor... uwierz mi. Wszystko będzie dobrze. Źle się czułaś, wzięłaś wolne, żeby dojechać do siebie, a teraz wracasz, gotowa do działania. Jesteś świetna w tym, co robisz, więc będą zachwyceni, że mają cię z powrotem. I tyle - dodał z powagą, szczerze. I bardzo łagodnie.

Poczułam się lepiej - znacznie lepiej.

- Dziękuję ci, Raymondzie - odparłam cicho.

Walnął mnie w ramię - bardzo delikatnie, właściwie nie było to walnięcie - i uśmiechnął się uspokajająco.

- Ale jesteśmy spóźnieni! - rzucił, z udawanym przerażeniem otwierając szeroko oczy. - Spotkamy się na lunch o pierwszej?

Kiwnęłam głową.

- No, dalej, wejdź do środka i urządź im piekło! - powiedział wesoło i odszedł, człapiąc po schodach jak cyrkowy słoń, który

uczy się nowej sztuczki.

Odchrząknęłam, obciągnęłam spódnicę i otworzyłam drzwi.

Wszystko po kolei: zanim wróciłam do swojego biurka i stanęłam przed kolegami, musiałam odbyć rozmowę weryfikacyjną z przełożonym. Nigdy przez nią nie przechodziłam, ale słyszałam, jak inni mówili o niej szeptem. Według przepisów, jeśli byłeś na zwolnieniu dłużej niż kilka dni, trzeba po powrocie stawić się u szefa, aby mógł się upewnić, że doszedłeś do zdrowia i nadajesz się do pracy, a także aby zapewnić ci odpowiednie ku temu warunki. Tak naprawdę jednak w powszechnym odczuciu celem tej rozmowy jest zastraszenie pracownika, zniechęcenie go do nieobecności i skontrolowanie, czy się – jak brzmiało to słowo? – nie miga. Jednak ludzie, którzy wygłaszali takie opinie, nie podlegali bezpośrednio Bobowi. Przed Bobem stawali tylko kierownicy działów. Do których teraz zaliczałam się ja, pretorianin, elekt. Ale Bob był dziwnym imperatorem.

Wstał, cmoknął mnie w policzek i uściskał, trącając swoim brzuszkiem, co wydało mi się zabawne. Kilkakrotnie poklepał mnie po plecach. Wszystko to razem było strasznie krępujące, ale naprawdę, naprawdę miłe.

Zaparzył herbaty, wyjął ciastka i zadbał o moją wygodę.

- No dobra, teraz ta rozmowa. Nie masz się co martwić, Eleanor, to tylko formalność... Dział personalny suszy mi głowę, że zaniedbuję takie rzeczy, wiesz, jak jest. - Skrzywił się. - Musimy tylko przelecieć te rubryczki - (co takiego? zdumiałam się) - i złożyć podpisy na formularzu. Potem będziesz mogła wrócić do pracy.

Popijając kawę z kubka, oblał się nią. Nosił cienkie koszule, spod których przebierał podkoszulek, przez co jeszcze bardziej wyglądał na wyrośniętego uczniaka. Przerobiliśmy listę żenująco konwencjonalnych pytań z formularza. Ku naszej obopólnej uldze, był to bezbolesny, choć trochę męczący proces.

- Dobra, dzięki Bogu mamy to już za sobą - oświadczył Bob.

- Chciałabyś jeszcze o czymś porozmawiać? Ale chyba za wcześnie wchodzić w szczegóły. Możemy spotkać się jutro, jeśli zdążysz rozeznaczyć się w bieżących sprawach...

- Chodzi o bożonarodzeniowy lunch - zaczęłam. - Czy wszystko jest już załatwione?

Bob skrzywił drobną, okrągłą twarz i przeklął całkiem nie w stylu cherubina.

- Zupełnie o nim zapomniałem! - zawołał. - Musiałem zająć się tyloma sprawami i ta, sam nie wiem... jakoś mi umknęła. Niech to szlag...

- Spokojnie, Bob. Zajmę się tym w najbliższym czasie. - Przerwałam. - To znaczy, oczywiście, gdy uporam się z zaległą rachunkowością.

Wyglądał na zaniepokojonego.

- Na pewno? Nie chciałbym cię dodatkowo obciążać, Eleanor... dopiero wróciłaś i będziesz miała co robić...

- Spoko-maroko - odparłam, powtarzając za Raymondem i pokazując jego wzorem oba kciuki. Bob uniósł brwi. Miałam nadzieję, że wykonałam ten gest prawidłowo i we właściwym kontekście. Umiem się wysławiać, ale taka pozawerbalna komunikacja czasami sprawia mi trudności.

- Dobrze, jeśli jesteś pewna na sto procent... - odrzekł, sam, co należy odnotować, wcale nie taki pewny.

- Tak, Bob. - Kiwnęłam głową. - Wszystko sprawdzę i załatwię do końca tygodnia. Możesz na mnie polegać.

- No, to świetnie - odparł, gryzmołąc na formularzu i podsuwając go mnie. - Podpisz tam na dole i będzie po sprawie - polecił.

Złożyłam zamaszty podpis. Rzadko mam okazję robić to w codziennym życiu, a szkoda, bo jest bardzo ciekawy. Wcale się nie chwale. Mówią tak wszyscy, którzy go widzieli; twierdzą, że jest bardzo oryginalny, niespotykany. Ja osobiście nie bardzo wiem, o co tyle hałasu. W końcu każdy potrafi napisać „O” w kształcie muszli ślimaka, a użycie majuskuły połączonej z minuskułą wynika tylko z przezorności - bo dzięki temu podpis trudno podrobić. Kwestia osobistego bezpieczeństwa, ochrony danych, to ważna sprawa.

Kiedy wreszcie usiadłam za biurkiem, pierwsze, co zauważyłam, to kwiaty. Wcześniej, gdy się do niego zbliżałam, zasłaniał je monitor, ale potem dostrzegłam wazon (a właściwie szklankę do piwa; w biurze nigdy nie było dostatecznie dużo wazonów, noży do ciasta ani kieliszków do szampana, mimo że koleżeństwo stale obchodziło jakieś uroczystości). Był w nim bukiet z mikołajków nadmorskich, agapantów i irysów, naprawdę piękny.

Przed nim stała koperta; otworzyłam ją powoli. Zawierała kartkę z pięknym zdjęciem rudej wiewiórki jedzącej orzech. W środku ktoś (chyba Bernadette, sądząc po dziecięcej bazgraninie) napisał: „Witaj, Eleanor!”, a wokół, pod obu

stronach, widniały podpisy ze słowami: „Wszystkiego najlepszego” albo „Serdeczności”. Byłam zaskoczona. „Wszystkiego najlepszego”? „Serdeczności”? Nie bardzo wiedziałam, co o tym myśleć.

Zdezorientowana, włączyłam komputer. W skrzynce było tyle nieotwartych wiadomości, na które nie odpowiedziałam, że przeszłam od razu do najnowszych, z tego dnia, uznając, że poprzednie po prostu wykasuję. Doszłam do wniosku, że ich nadawcy skontaktują się ze mną ponownie, jeśli chodziło o coś ważnego. Ostatnia wiadomość, sprzed zaledwie dziesięciu minut, pochodziła od Raymonda, który wpisał jako temat: „Przeczytaj mnie!”.

Pomyślałem, że tak zatytułuję, bo pewnie masz sto tysięcy nieprzeczytanych wiadomości w skrzynce. LOL. Chciałem Ci powiedzieć już tamtego popołudnia: mam dwa bilety na koncert, to muzyka klasyczna, nie wiem, czy lubisz takie rzeczy, ale pomyślałem, że tak. Za dwa tygodnie, w sobotę, jeśli masz czas – może później pójdziemy coś zjeść?

Do zobaczenia na lunchu.

R. x

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zobaczyłam, że wokół mojego biurka zebrali się koledzy. Spojrzałam na nich. Mieli różne miny, od znudzonych po życzliwe. Janey sprawiała wrażenie trochę zdenerwowanej.

- Wiemy, że nie lubisz zamieszania, Eleanor – zaczęła, wyraźnie wyznaczona na reprezentantkę. - Więc... chcemy tylko po wiedzieć... że cieszymy się z twojego powrotu do

zdrowia... i do pracy. – Towarzyszyły temu kiwnięcia głowami i pomruki na potwierdzenie. Jej przemówienie nie było popisem oratorskim, ale stanowiło kolejny wyraz sympatii i troski.

Ja też niezbyt umiałam przemawiać publicznie, wyczułam jednak, że oczekują ode mnie chociaż kilku słów.

– Bardzo wam dziękuję za kwiaty, kartkę i życzenia – powiedziałam w końcu, zerkając na swoje biurko. Zapadła cisza, której nikt z nas nie umiał wypełnić, ani oni, ani z całą pewnością ja. Ogarnęłam ich spojrzeniem. – Cóż – odezwałam się w końcu – te zaległe faktury same się nie zaksięgują, no nie?

– Wróciła! – zawołał Billy i rozległy się śmiechy, w tym i mój. Tak. Eleanor Oliphant wróciła.

40

Środa wieczorem. Najwyższy czas.

- Cześć, mamó - powiedziałam. Usłyszałam własny głos - brzmiał spokojnie, bez emocji.

- Skąd wiesz, że to ja? - Ostro. Z irytacją.

- Bo to zawsze ty - odpowiedziałam.

- No, wiesz! Nie bądź bezczelna, Eleanor. To do ciebie nie pasuje. Mama nie lubi niegrzecznych dziewczynek, które się odszczekują.

Stare teksty - reprimenda, którą słyszałam w przeszłości wiele razy.

- Już mnie nie obchodzi, co lubisz, a czego nie, mamó - odparłam.

Prychnęła - krótko, szyderczo.

- O. Ktoś tu ma humory. Co tam... te dni w miesiącu? Hormony, kochanie? Czy coś innego... no, słucham. Ktoś nawbijał ci do głowy jakichś bzdur? Wciska ci o mnie kłamstwa? Ile razy cię przed tym ostrzegałam? Mama nie ma...

- Dziś wieczorem zamierzam się z tobą pożegnać - przerwałam jej.

Zaśmiała się.

- Pożegnać? Ale to brzmi tak... ostatecznie, moja droga. Daj spokój, nie ma potrzeby. Jak sobie poradzisz bez naszych pogawędek? I co z tym twoim specjalnym przedsięwzięciem...? Nie sądzisz, że przynajmniej powinnaś

powiadomić mamę o postępach?

- To przedsięwzięcie niczego nie rozwiązywało. Źle postąpiłaś, bardzo źle, wmawiając mi co innego - oświadczyłam, nie ze smutkiem ani satysfakcją, tylko po prostu stwierdzając fakty.

Parsknęła śmiechem.

- Jeśli dobrze sobie przypominam, to był twój pomysł, kochanie. Ja tylko... kibicowałam ci z za bocznej linii. Tak robią troskliwe matki, mam rację?

Zastanowiłam się nad tym. Troskliwe. Troska oznacza... co takiego? Dbanie o dziecko, pragnienie, by miało wszystko, co najlepsze. Pranie jego brudnej pościeli, pilnowanie, żeby wróciło bezpiecznie do domu i kupowanie mu śmiesznych balonów, kiedy źle się czuje. Nie chciałam sporządzać listy jej wad i złych uczynków, koszmarów, przez które przeszłyśmy, ani wyliczać krzywd, które nam wyrządziła, Marianne i mnie. Nie o to teraz chodziło.

- Podpaliłaś dom, gdy Marianne i ja spałyśmy w środku. Doprowadziłaś do jej śmierci. Nie nazwałabym tego troskliwością. - Staralam się mówić spokojnym głosem, co nie do końca mi się udało.

- Ktoś naopowiadał ci kłamstw... wiedziałam! - zawołała triumfalnie. Mówiła energicznie, z pasją. - Posłuchaj, kochanie... każdy w mojej sytuacji postąpiłby tak samo. Tak, jak ci mówiłam... jeśli trzeba coś zmienić, zmień to! Oczywiście, po drodze mogą pojawić się pewne niedogodności... ale należy sobie z nimi poradzić i nie przejmować się za bardzo konsekwencjami.

Wygłaszała tę tyradę z taką satysfakcją, zadowolona, że może mnie pouczać. Uświadomiłam sobie, że zabicie nas, Marianne i mnie, było dla niej zaledwie „niedogodnością”. W dziwny sposób tylko mi to pomogło.

Zaczerpnęłam powietrza, choć właściwie nie musiałam.

- Żegnaj, mamó - powiedziałam. Ostatnie słowa. W moim głosie brzmiała stanowczość, zdecydowanie, determinacja. Nie byłam smutna. Byłam pewna. A pod tym wszystkim, jak kształtujący się embrion - mały, bardzo mały, zaledwie skupisko komórek, bicie serca tak malutkiego jak łebek szpilki - znajdowałam się ja. Eleanor Oliphant.

I tak po prostu mama zniknęła.

Lepsze dni

Chociaż czułam się całkiem dobrze i naprawdę byłam gotowa wrócić do pracy na pełnych obrotach, dział personalny nalegał na „powrót stopniowy”, więc pracowałam tylko przedpołudniami, po kilka godzin dziennie. Co było jeszcze głębsze – za niepełny wymiar godzin chcieli płacić mi całą pensję, ale to już ich sprawa. W piątek, na zakończenie mojego krótkiego dnia i pierwszego tygodnia pracy po powrocie, po raz drugi spotkałam się z Raymondem na lunchu.

Od poniedziałku komunikowaliśmy się tylko drogą elektroniczną. Poprzedni wieczór spędziłam na poszukiwaniach w internecie. Bardzo łatwo było znaleźć w sieci wszelkie informacje. Być może za łatwo. Wydrukowałam dwa artykuły prasowe, nie czytając nic oprócz nagłówek, a potem włożyłam do koperty i zakleiałam. Wiedziałam, że Raymond także już je znalazł, ale było dla mnie ważne, że to ja sama przeprowadziłam śledztwo. To była moja historia, nikogo innego. W każdym razie nikogo, kto by żył.

Zgodnie z moją prośbą Raymond dołączył do mnie w kawiarni, żebym nie była sama, gdy przeczytam je po raz pierwszy. Zbyt długo usiłowałam poradzić sobie z tym na własną rękę i nie wyszło mi to na zdrowie. Czasami, zmagając się z czymś, po prostu potrzebujesz obecności kogoś bliskiego.

– Czuję się jak szpieg albo ktoś taki – zauważył Raymond, patrząc na zaklejoną kopertę, która leżała między nami.

- Kompletnie nie nadajesz się do pracy w wywiadzie - odparłam. Uniósł brwi. - Masz zbyt szczerą twarz - wyjaśniłam, a on się uśmiechnął.

- Gotowa? - zapytał już z poważną miną.

Potwierdziłam skinieniem głowy.

Koperta była beżowa, samoklejąca, formatu A4; wzięłam ją z szafki z artykułami piśmienniczymi w pracy. Stamtąd także pochodził papier. Miałam z tego powodu lekkie poczucie winy, zwłaszcza że jak się niedawno dowiedziałem, Bob musiał wliczać takie wydatki w bieżące koszty. Otworzyłam usta, żeby powiedzieć o tym Raymondowi, ale on zachęcająco wskazał głową kopertę i zrozumiałam, że dłużej nie mogę opóźniać biegu spraw. Otworzyłam kopertę i pokazałam, że zawiera dwie kartki formatu A4. Raymond się przysunął, żeby być bliżej mnie. Biły od niego ciepło i siła. Zaczęłam czytać.

„The Sun”, 5 sierpień 1997, s. 2

Atrakcyjna, ale śmiertelnie niebezpieczna dzieciobójczyni zwiódła nas wszystkich - mówią sąsiedzi.

Dzieciobójczyni, Sharon Smyth (na zdjęciu), lat 29, mieszkała przy spokojnej Maida Vale przez ostatnie dwa lata, opowiadają sąsiedzi, zanim wznieciła tragiczny w skutkach pożar.

„Była z niej taka ładna, moda kobieta, wszyscy daliśmy się na to nabrać” - mówi jeden z sąsiadów, który chce zachować anonimowość. „Jej dzieci były bardzo dobrze ułożone, zawsze grzeczne - każdy zwracał uwagę na ich maniery” - relacjonuje reporterowi. „Z biegiem czasu jednak można się było

zorientować, że coś jest nie tak. Dzieci zawsze się jej bały, to było widać. Czasami miały siniaki, z domu dochodził płacz. Sądziłyśmy, że to robota opiekunki, ale patrząc wstecz...

Któregoś razu, gdy rozmawiałem ze starszą dziewczynką... po wiedziałbym, że miała dopiero dziewięć, dziesięć lat... matka rzuciła jej takie spojrzenie, że mała zaczęła drzeć, trząść się jak osika. Strach pomyśleć, co działo się u nich za zamkniętymi drzwiami”.

Policja wczoraj potwierdziła, że tragiczny pożar w tamtym domu został wzniecony celowo.

Jedno z dzieci (lat 10), którego imienia nie możemy podać z powodów prawnych, wciąż przebywa w szpitalu. Jest w stanie krytycznym.

Spojrzałam na Raymonda. On spojrzał na mnie. Żadne z nas przez chwilę nic nie mówiło.

- Wiesz, jak to się kończy, prawda? - zapytał cicho, delikatnie, patrząc mi w oczy.

Wzięłam drugi artykuł.

„London Evening Standard”, 28 września 1997, s. 9

Najnowsze wiadomości o morderstwie przy Maida Vale: dwie ofiary śmiertelne, dzielna dziewczynka uratowana

Policja potwierdziła dziś, że zwłoki znalezione na miejscu zeszlotygodniowego pożaru przy Maida Vale należą do Sharon Smyth (lat 29) i jej młodszej córki Marianne (lat 4). Starsza, Eleanor (lat 10), została dzisiaj zwolniona ze szpitala po, jak mówią lekarze, cudownym ozdrowieniu z poparzeń trzeciego

stopnia i zatruciu dymem.

Rzecznik policji oświadczył, że Smyth celowo dokonała podpalenia i zginęła na miejscu przestępstwa wskutek zaczadzenia, gdy uciekała z budynku. Badania wykazały, że obu dziewczynkom wcześniej podano środki usypiające i że zostały związane.

Nasz reporter dowiedział się także, że Eleanor Smyth zdołała się oswobodzić i uciekła z pożaru, Sąsiedzi zeznali, że widzieli tę po vážnie ranną dziesięciolatkę, jak wraca do domu przed przyjazdem służb ratunkowych. Strażacy podobno znaleźli ją, gdy próbowała dostać się do zamkniętej na klucz szafy w sypialni na piętrze. W środku znajdowało się ciało jej czteroletniej siostry.

Policja nie może odnaleźć żadnych żyjących krewnych dziecka, którym zajęła się opieka społeczna.

- Ja też na to trafiłem - powiedział Raymond, gdy podsunęłam mu wydruki.

Popatrzyłam za okno. Ludzie robili zakupy, rozmawiali przez komórki, pchali wózki dziecięce. Życie toczyło się dalej niezależnie od tego, co się zdarzyło. Tak to już jest.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało.

- W porządku? - zapytał w końcu Raymond.

Pokiwałam głową.

- Będę dalej chodziła na psychoterapię. To pomaga.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Jak się czujesz?

- Jezu, czy wszyscy muszą mnie o to pytać? - jęknęłam, a potem się uśmiechnęłam, aby wiedział, że żartuję. - Nic mi

nie jest. To znaczy, mam dużo rzeczy do przepracowania, bardzo ważnych rzeczy. Będę rozmawiać o tym wszystkim z doktor Temple... o śmierci Marianne, o tym, jak zginęła mama i dlaczego przez te lata udawałam, że żyje, że dzwoni do mnie... to potrwa i nie będzie łatwe – dokończyłam. Czułam wielki spokój. – Najważniejsze jednak... że dochodzę do siebie. Naprawdę dochodzę do siebie – powtórzyłam, podkreślając ostatnie słowo, bo to była prawda.

Za oknem przebiegła kobieta, goniła pieska rasy chihuahua, wołając go z coraz większym niepokojem w głosie.

– Marianne uwielbiała psy – powiedziałam. – Zawsze, gdy któregoś widziała, cieszyła się i próbowała go uściskać.

Raymond odchrząknął. Przyniesiono nam kawy, zaczęliśmy je pić.

– Poradzisz sobie? – zapytał. Ale zaraz potem jakby zezłościł się na siebie. – Przepraszam. Głupie pytanie. Żałuję tylko, że nie wiedziałem wcześniej – wyznał. – Że nie pomogłem ci bardziej. – Wbił wzrok w ścianę; wyglądał, jakby miał się rozplakać. – Nikt nie powinien przechodzić przez to, przez co ty przeszłaś – zauważył w końcu z wściekłością. – Straciłaś młodszą siostrę, mimo że zrobiłaś, co mogłaś, aby ją uratować, a przecież sama byłaś tylko dzieckiem. Że przeżyłaś to wszystko, a potem przez tyle lat usiłowałaś sobie z tym poradzić, to naprawdę...

– Kiedy się czyta o „potworach” – wtrąciłam – zapomina się, że mieli rodziny. Nie pojawili się znikąd. Nigdy nie myśli się o tych, którzy zostali i muszą dalej żyć.

Raymond pokiwał głową.

- Poprosiłam o udostępnienie mi moich akt w opiece społecznej. Muszę zrewidować swoją opinię na temat ustawy o dostępie do informacji, i powiem ci, że to wspaniały akt prawny. Kiedy dostanę te dokumenty, usiądę i przeczytam je od deski do deski... Czarna księga Eleanor. Muszę dowiedzieć się wszystkiego... poznać najdrobniejsze szczegóły. To mi pomoże. Albo zaszkodzi. Albo jedno i drugie.

Uśmiechnęłam się, by mu pokazać, że się nie martwię, i żeby on też się nie martwił.

- Ale to nie wszystko, prawda? - powiedział. - Te stracone lata, zmarnowany czas. Przydarzyły ci się straszne rzeczy. Potrzebowałaś wtedy pomocy i jej nie otrzymałaś. Teraz masz do niej prawo, Eleanor... - Pokręcił głową, nie mogąc znaleźć słów.

- W końcu liczy się tylko jedno: że przeżyłam. - Posłałam mu słaby uśmiech. - Przeżyłam, Raymondzie! - powtórzyłam, wiedząc, że miałam szczęście i nieszczęście, i ciesząc się z tego.

Kiedy przyszła pora kończyć, zauważyłam i doceniłam wysiłki Raymonda, żeby skierować rozmowę w inną stronę, na normalny temat.

- Jakie masz plany na resztę tygodnia? - zapytał.

Wyliczyłam na palcach.

- Muszę zabrać Glen do weterynarza na szczepienia i zorganizować bożonarodzeniowy lunch w parku safari. Na stronie internetowej piszą, że w zimie mają nieczynne, ale na pewno uda mi się ich przekonać, żeby dla nas zrobili wyjątek.

Wyszliśmy na dwór i zatrzymaliśmy się przy drzwiach, żeby

nacieszyć się słońcem. Raymond przetarł twarz, a potem spojrzał nad moim ramieniem na drzewa. Znowu odchrząknął. Jedno z wielu zagrożeń, gdy się jest palaczem.

- Eleanor, dostałaś mój mejl w związku z koncertem? Właśnie się zastanawiałem, czy...

- Tak - odparłam z uśmiechem.

Kiwnął głową, przyjrzał mi się, po czym powoli odpowiedział uśmiechem. Ten moment zawisł w czasie jak kropla miodu spadająca z łyżki, ciężka, złota. Zeszliśmy na bok, żeby ustąpić z drogi kobiecie na wózku inwalidzkim i jej przyjaciółce, które wchodziły do kawiarni. Raymond musiał wracać do pracy. Ja mogłam spędzić resztę dnia, jak chciałam.

- To na razie, Raymondzie - powiedziałam.

Przyciągnął mnie i mocno uściskał, zakładając mi za ucho kosmyk włosów. Poczułam jego ciepłe ciało, miękkie, ale silne. Kiedy oderwaliśmy się od siebie, cmoknęłam go w policzek, ocierając się o łaskoczący zarost.

- Do zobaczenia wkrótce, Eleanor.

Zarzuciłam torbę na ramię, zapięłam bezrękawnik i ruszyłam w stronę domu.

Podziękowania

Dziękuję wszystkim swoim przyjaciołom i rodzinie, a także następującym osobom i instytucjom:

Janice Galloway, za mądrość i inspirację.

Mojej niezwykłej agentce, Madeleine Milburn, i jej kolegom z agencji za zaangażowanie, doświadczenie, rady i wsparcie.

Redaktorkom, Marcie Ashby w Anglii i Pamelii Dorman w USA, za to, że zajęły się tą książką i pracowały nad nią wnikliwie, mądrze i z poczuciem humoru. Jestem również wdzięczna ich zdolnym kolegom i koleżankom z HarperCollins i Penguin Random House, którzy brali udział w jej wydaniu i promocji. Mam szczęście, że znalazłam się w takich dobrych rękach.

Scottish Book Trust uznał mnie za godną nagrody Next Chapter Award, która między innymi umożliwiła mi pracę pisarską i edytorską w Moniack Mhor Creative Writing Center. Jestem bardzo wdzięczna obu tym instytucjom.

Mojej grupie autorskiej za konstruktywną krytykę, pomocne dyskusje i świetne towarzystwo.

George'owi i Annie za gościnność i nieustające wsparcie.

I wreszcie George'owi Craigowi, Vicki Jarrett, Kirsty Mitchell i Philipowi Murninowi za przyjaźń, redaktorskie oko i żartobliwą zachętę, gdy pisałam tę książkę - i kiedy jej nie pisałam.

[1] Wacko Jacko (Szurnięty Jackson) - tak tabloidy złośliwie nazywały Michaela Jacksona. Oprócz charakterystycznych strojów nosił też białe rękawiczki.

[2] *Dandelion and burdock* - tradycyjny napój znany na Wyspach Brytyjskich od około 1265 roku. Metoda produkcji oparta jest na fermentacji korzeni mniszka lekarskiego i łopianu, dlatego napój staje się naturalnie gazowany.

Tytuł oryginału: *Eleanor Oliphant Is Completely Fine*
Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers Ltd, 2017
Projekt okładki: Jaya Miceli, Simon and Schuster, Inc.
Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media
Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda
Opracowanie redakcyjne: Jolanta Nowak
Korekta: Bianka Dziadkiewicz

© 2017 by Gail Honeyman

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Gettyimages.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-2868-8

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.